

3978

BIBLIOTEKA
Zarządu Głównego
Ligi Narodzi i Wolności //rcin.org.pl

Wacław Natkowski

Ziemia i człowiek

SZKICE I STUDYA GEOGRAFICZNE

Geografia wyprowadza myśl ludzką z ciasnoty i jednostronności zaścianka, otwiera szerokie porównawcze horyzonty. Musi ona żywo interesować każdego, kto umie *myśleć* naukowo, *czuć* artystycznie lub *działać* praktycznie na szerszej arenie.



4198 / II

BIBLIOTEKA
Zarządu Głównego
Ligi Morskiej i Kolonijalnej

WARSZAWA
NAKŁADEM JANA FISZERA
Nowy - Świat № 9

1901

CBGIOŚ. ul. Twarda 51/55

<http://rcin.org.pl>

Wa5126711

Дозволено Цензурою.
Варшава, 19 Февраля 1901 г.



3978

SWYM BYŁYM UCZENNICOM

W DOWÓD PAMIĘCI

O ich zawsze żywym interesowaniu się geografią

POŚWIĘCA

Autor.

SPIS RZECZY.

✓ I.	Od autora	1
✓ II.	Kilka słów o wadach w wykładzie geografii u nas	9
✓ III.	W obronie tak zwanej geo-grafii	17
✓ IV.	Nasze krajoznawstwo i środki jego podniesienia	33
V.	Gościnność jako objaw etnologiczny	43
VI.	Z powodu artykułu „Etyczne znaczenie geografii“	48
VII.	Ocena zasługi Kolumba	56
✓ VIII.	Michał Hube, jako geograf-pedagog	61
IX.	Geografia Śniadeckiego	68
X.	Zasługi Kołłątaja na polu geografii	77
XI.	Projekt afrykańskiej wyprawy Rogozińskiego i jej prawdopodobne rezultaty	83
XII.	Kraj lodowy i jego mieszkańcy	94
XIII.	Dwie perły uroczej Italii	128
✓ XIV.	Znaczenie geograficzno-dziejowe morza Śródziemnego	135
✓ XV.	Systemat Nilu i jego znaczenie	154
✓ XVI.	Abisynia i jej mieszkańcy	184
XVII.	Dżungarska brama narodów	221
✓ XVIII.	Afganistan i jego stanowisko geograficzno-dziejowe	236

OD AUTORA.

Dwa przedmioty od czasów pierwszej młodości zajmowały szczególnie mój umysł i pociągały ku sobie: matematyka i geografia. Pierwsza czyniła zadość memu popędowi do logicznego uzasadniania sobie wszystkiego i osiągnięcia bezwarunkowej pewności; wstrętowni do nieokreśloności, niejasności, błagi. Druga czyniła zadość nietylko memu zmysłowi natury, popędowi do obserwacji zjawisk przyrody, ale także — potrzebie fantazyi. Ten drugi wzgląd grał tu nawet rolę ważniejszą, albowiem w geografii nie miałem początkowo bynajmniej dobrych wzorów, musiałem naukę dopełniać, — a raczej zastępować fantazyą: z suchego, nędznego podręcznika Czarkowskiego przemawiały do mnie same tylko dźwięki nazw; miękie, śpiewne lub też twarde, energiczne, wywoływały w mych uczuciach odpowiednie nastroje; również z nędznego atlasu Herknera, pozbawionego wszelkiej plastyki terenu, uderzały mnie

tylko barwy granic politycznych: jasno-zielona, karmინowa lub też piaskowo-żółta, zgniło-zielona i t. d., budziły w mej fantazyi różnobarwne obrazy przyrody rozpatrywanych krajń, mniejsza o to, czy odpowiednie rzeczywistym. Obrazy te kombinowały się z nastrojami dźwiękowemi nazw i tworzyły mi jakiś osobliwy świat ułudy, w którym lubiłem przebywać.

Prócz tego moją ulubioną lekturę stanowiły, pokrewne geografii, malownicze podróże i opowieści z życia na łonie natury, szczególnie — Fenimora Coopera i Mayne-Reida. Pociągały mnie ku nim nietylko barwne obrazy przyrody, lecz jeszcze więcej — obrazy walk, obrazy siły i dzielności wolnych dzieci natury. Wreszcie, mego duchowego pokarmu dopełniała poezya o charakterze subiektywnym (Słowacki i t. p.).

Tym sposobem rozwijało się we mnie jednocześnie kilka duchowych prądów, po części walczących ze sobą: logiczny, przyrodniczo-estetyczny, wojowniczy i psychologiczny (auto-analityczny).

Studia matematyczne zniechęciły mnie czasem; nie tyle może dlatego, że niektóre odkrycia twierdzeń lub dowodów, jakie na tem, tak dawno i doskonale uprawionem, polu udało mi się poczynić, były, jak się później z dzieł obszerniejszych przekonałem, powtórzeniami odkryciami Ameryki; ale głównie dlatego, że matematyka swemi despotycznymi, niezłomnymi prawami pochłania całkowicie jednostkę ludzką, odrywa ją od życia, zaciera jej indywidualność. Przerzuciłem się więc stanowczo na pole geografii, gdzie, jako na niwie młodej, jest więcej do zrobienia i gdzie indywidualność

ludzka może się bardziej wypowiedzieć, ujawnić. Zresztą, przez geografję, jako podstawę, miałem zamiar przejść zczasem do nauk o człowieku; dlatego to charakterystyczną jest rzeczą, iż mimo przygotowania matematycznego, nie geografia matematyczna (astromiczna), lecz antropologiczna, pociągała mnie bardziej ku sobie.

Wobec powyższego «zamiaru» i geografia zaczęła mi z czasem nie wystarczać, tembardziej, że i na tem polu spotkały mnie liczne rozczarowania. W ten sposób zostałem popchnięty ku trzeciej drodze — psychospołecznej. Lecz tutaj już, prócz młodocianego zapału, przyniosłem ze sobą doświadczenie życiowe, rezultaty walk, jakie w życiu staczać byłem zmuszony, i stąd wędrówka po tej trzeciej drodze zyskała charakter przeważnie polemiczny, krytyczny (który zresztą już i na drodze geograficznej, jako zbyt u nas zachwaszczona, musiał się także przejawić). Albowiem owe «rozczarowania» naukowo-geograficzne nie miały źródła we własnej niewytrwałości, lecz w żelaznej konieczności warunków zewnętrznych, społecznych. Przekonałem się mianowicie z własnego doświadczenia, że dla osiągnięcia doniosłych rezultatów w nauce, to znaczy dla rozwinięcia działalności badawczej, rozwiązania stawianych sobie problematów, nie wystarcza zapał, wytrwałość, przygotowanie naukowe; wogóle nie wystarczają potrzebne ku temu warunki wewnętrzne; — trzeba w tym celu sprzyjających warunków zewnętrznych, lub przynajmniej pewnej, że tak powiem, elastyczności duchowej, nie mającej nic wspólnego z nauką, lecz wpły-

wającej błogo na pomyślne ułożenie się tych właśnie warunków zewnętrznych. Inaczej, najlepsze pomysły naukowe nie dadzą się rozwinąć i uzasadnić, wogóle nie dadzą się urzeczywistnić wskutek braku swobodnego czasu, braku materiałów naukowych, niemożności przeprowadzenia badań na miejscu i t. d. Przy największem wyężeniu energii zaledwie tylko część drobną, lub nawet tylko ułamki, pomysłów i planów można oblec w szaty konkretne.

Pozwolę tu sobie przytoczyć parę przykładów z mego własnego doświadczenia.

Jeszcze będąc w uniwersytecie, powziąłem dwa plany prac geograficznych. Pierwszym mym planem było zreformowanie geografii szkolnej, mianowicie przez wprowadzenie doń zasady przyczynowego wyjaśniania zjawisk; kurs geografii szkolnej, napisany według tej idei w r. 1876 (gdy jeszcze nawet w Niemczech panowały wszechwładnie suche tabelaryczne podręczniki Seydlitza i Kluna), nie został wydrukowany wskutek bankructwa księgarza-wydawcy, który w ospałym naówczas Krakowie odważył się na wydawanie dzieł naukowych. Rękopis ten był mi tylko pomocny później przy udzielaniu lekcji geografii i w końcu posłużył za podstawę do opracowania mej «Geografii Rozumowej», która wyszła z druku dopiero w r. 1888, gdy już niektóre podręczniki niemieckie zaczęły wchodzić na tę samą drogę (Kirchoff Schulgeographie); przytem za reformę tę spotkały mnie liczne napaści ze strony rutynistów.

Drugim mym planem było zreformowanie geografii umiejętnej, ritteryańskiej, która od śmierci jej twórcy popadła w zastój, była posądzana o niezdolność do dalszego rozwoju i prawie wyparta przez prąd fizyczny w geografii. Przyszedłem mianowicie do przekonania, że przyczyną zastoju geografii ritteryańskiej było traktowanie związków między człowiekiem i przyrodą według poszczególnych krajów; przyczem naturalnie można było otrzymywać tylko związki cząstkowe, nie można było osiągnąć wyższych uogólnień, ogólnych praw związku, niezależnych od poszczególnych krain. Środkiem więc, zapewniającym tej geografii dalszy, wyższy rozwój, byłoby traktowanie tych związków według innych kategorii; mianowicie: na-przód według kategorii fizyczno-geograficznych w ich wpływie na zjawiska życia ludzkiego, a następnie według kategorii zjawisk życia ludzkiego w ich zależności od zjawisk fizyczno-geograficznych. Na takiej podstawie miałem zamiar stworzyć nową gałąź geografii — *geantropologię*.

Dla urzeczywistnienia jednak takiej idei, trzeba było wiele lat pracy, wolnej od pracy obowiązkowej, codziennej. Przytem od idei tej zostałem później oderwany propozycją redakcyi «Biblioteki Matematyczno-Fizycznej», propozycją opracowania kursu «geografii fizycznej»; tymczasem ideę podobną do mojej powziął i urzeczywistnił geograf niemiecki Ratzel (*Anthropogeographie*). Taką ceną okupiona moja «geografia fizyczna», złożona po sześcioletniej pracy komitetowi kasy Mianowskiego i zakwalifikowana do druku, jak

żąda ustawa, przez dwóch ekspertów, nie została mimo to wydrukowana, gdyż była podobno «za obszerna», czy też «zanadto geologiczna»¹⁾.

Wreszcie podczas pisania «geografii fizycznej» powziąłem plan opracowania obszernej geografii Polski, napisałem nawet szkic tej pracy («Geograficzny rzut oka na dawną Polskę»), ale gdy moja «geografia fizyczna» uległa zmarnowaniu, musiałem i ten plan porzucić.

Wszystkie te i tym podobne, drogo kosztujące, doświadczenia, wraz ze śledzeniem za innymi tego rodzaju objawami i za rozwojem prądów socjologicznych, uświadomiły mnie społecznie, tak iż nie znalazłbym się już w takim kłopotcie, jak znany uczony francuski, którego nauka tak pochłonęła, iż powołany do udziału w życiu politycznym, nie wiedział, jak sam przyznaje, do jakiej partii należeć, za kim głos swój podawać. Zrozumiałem, że obecny grunt społeczny, zwłaszcza u nas, to pole zachwaszczone, na które rzucać bezpośrednio ziarna wiedzy jest to je marnować; bo i ziarna te, produkowane i rzucone resztkami sił, będą słabe i grunt dla ich wzrostu — nieodpowiedni. Zrozumiałem, iż należy wprzód chwasty wyrwać z korzeniem i grunt ten przeorać pługiem krytyki społecznej, którego żelazo zostało zahartowane w ogniu doświadczeń i zawodów; zrozumiałem, że one nie były bezwartościowe: owszem, zużytkowane właściwie, jako

¹⁾ Obacz moje artykuły w tym przedmiocie, zamieszczone w „Głosie”, 1899, Nr. 2 i 6, oraz artykuł: „W obronie tak zwanej geo-grafii” w niniejszym zbiorze (stosunek geografii do geologii).

motory, mogą się stać ważniejszymi czynnikami rozwoju kulturalnego, niż jakieś specjalno-naukowe odkrycie uczonego filistra. To też po seryi «szkiców geograficznych», czytelnik spotka się, być może, z naszymi «szkicami społecznymi»¹⁾.

Poruszając powyżej stosunki osobiste, chciałem dać czytelnikowi nić przewodnią do zrozumienia ogólnego charakteru tak niniejszego zbioru szkiców, jak i następnych. Zresztą, stosunki poruszone tutaj nie są tak bardzo wyjątkowo-osobiste, jakby się to komuś mogło wydawać; owszem, sądzę, że dla warunków pracy naukowej u nas, a nawet i nie u nas, są one dość ogólne, dość typowe i jako takie też zasługiwały na ujawnienie.

Warszawa, w kwietniu 1899 r.

¹⁾ Większa część niniejszych „Szkiców Geograficznych” była już różnemi czasy drukowana w pismach peryodycznych, postarałem się jednak tutaj szkice te rozszerzyć i nowemi badaniami dopełnić.

KILKA SŁÓW

o wadach w wykładzie geografii u nas ¹⁾.

„Jeden jest tylko środek zwrócenia geografii z fałszywej drogi, mianowicie: trzymać się ściśle tellurycznych własności w stosunku ich do rodzaju ludzkiego. Geografia nie powinna być przypadkowym zlepkiem rozmaitych nauk, nie powinna być mozaiką wszystkich możliwych barw, nie powinna stroić się w różnobarwne pióra innych nauk, powinna być nauką samoistną.”

Karol Ritter.

Nie ma zapewne nauki, któraby, pomimo swego starożytnego początku, była tak zaniedbana, tak mało miała w sobie żywotności i interesu, jak geografia do ostatnich prawie czasów. Dawniejsi autorowie geografii, poddawszy tę naukę nieubłaganej sekcji anatomicznej, podzielili ją na *fizyczną* i *polityczną*; między temi częściami istniał niezgłębiony, że tak powiem, kastowy przedział: geografia fizyczna rozwijała się na podstawie fizyki

¹⁾ Jest to pierwsza praca autora jeszcze z czasów studenckich, drukowana w „Szkicach społecznych i literackich” 1876 r. Stanowi ona wyjątek z przedmowy do podręcznika geograficznego, który pozostał w rękopiśmie (ob. wyżej: „Od autora”).

szybko wprawdzie, lecz bez żadnego względu na młodszą swą siostrę, o której nawet istnieniu zda się zapomniała.

Autorowie fizycznych geografij z lekceważeniem traktowali geografję polityczną, tak np. Jan Śniadecki w dziele swem „Geografia czyli opisanie matematyczne i fizyczne ziemi”, na samym początku powiada: „ziemia jest mieszkaniem ludzi, podzielonych na różne społeczeństwa, usadowionych na różnych placach jej powierzchni, składających narody, które się różnią miejscem, językiem i wewnętrznem swego towarzystwa urządzeniem. Opisanie ziemi w tym względzie uważanej, nazywają geografją polityczną, która, będąc wypadkiem najczęściej umów dobrowolnych lub wymuszonych, tak jest nauką zmienną, jak są zmiennie mniemania ludzi, stopnie i zamiary ich chuci i namiętności. Narody jedne szerzą się z uszczerbkiem drugich, jedne, pochłonawszy drugie, czekają także na kolej śmierci i zniszczenia: są to skutki sił, *żadnemi stałemi prawami* opisać się niemogących.” Widzimy stąd, iż Śniadecki nie przypuszczał żadnego związku, żadnego logicznego następstwa faktów, wchodzących w zakres geografii politycznej.

Geografia polityczna, odcięta tak od swej naturalnej podstawy, geografii fizycznej, żadną miarą rozwijać się nie mogła; autorowie jej ignorowali geografję fizyczną, a przytem zanadto dosłownie tłómaczyli sobie nazwę geografii (*opisanie* ziemi) i zrobili z jej części politycznej suchy spis nazwisk, cyfr, szczegółów bez związku i interesu; jednym słowem — coś w rodzaju suchej litanii lub annałów, które uwzględniają tylko stronę *opisową* zjawisk, nie wdając się w *badanie*.

Dopiero Karol Ritter w swych dziełach i prelekeyach na uniwersytecie berlińskim rozwinął myśl, która stała się prawdziwym cementem, spajającym rozerwane dotąd części geografii, i włąła w tę naukę ożywcze go ducha, wprowadzając do niej badanie; mianowicie badanie wpływu, jaki warunki fizyko-geograficzne wywierają na fizyczną i duchową stronę człowieka; Ritter, „jak Lavater drugi”, nauczył nas z fizyognomii kraju wyprowadzać wnioski o charakterze i dziejach, zamieszkującego w nim narodu. Najlepiej jednak objaśnimy myśl Rit-

tera, przytaczając własne jego słowa. „Ziemia, mówi ten znakomity geograf, to wielki organizm, urządzony celowo dla rozwoju człowieka ¹⁾, to wielki zakład wychowawczy dla rodu ludzkiego. Każdy człowiek, mówi Ritter dalej, odzwierciedla w sobie swoją ojczyznę. Mieszkaniec północy i południa, wschodu i zachodu, syn górzystego Tyrolu, Batawczyk, mieszkaniec holenderskiej niziny, każdy jest przedstawicielem swej krainy, w której się urodził i wychował. Miejscowy wpływ okolicy na charakter jej mieszkańców, na ich fizyognomię i budowę ciała, na formę czaszki, na kolor skóry, temperament, język i duchowy rozwój jest niezaprzeczony.” Zadaniem geografa jest badać prawa tej zależności człowieka i narodów od ziemskich warunków. Tą przewodnią myślą kierowany w swych pracach, Ritter stał się twórcą tak zwanej *geografii porównawczej*, t. j. geografii umiejętności.

U nas metoda Rittera nie znalazła prawie naśladowców; w naszych podręcznikach geograficznych przedmiot ten zwykle po dawnemu traktowany bywa ²⁾. Wiadomości z geografii matematycznej i fizycznej nie ma prawie żadnych, a te, które się tam znajdują, są najczęściej jakimiś lakonicznymi wyciągami z astronomii, robionymi na chybi trafi, niewiedomo, w jakim celu i dla kogo, umiemy bowiem rzecz nic się z nich nowego nie dowie, a chcący się nauczyć, nie zrozumie ich z powodu lakonizmu i najczęściej braku figur objaśniających. Geografia polityczna odstrasza zwykle swą suchością, wyliczaniem nazw i mnóstwem cyfr. Obok nazw najdrobniejszych nieraz miast i miasteczek, na-

¹⁾ Pośpieszamy uprzedzić czytelnika, iż nie przyjmujemy tu odpowiedzialności za wyrażenie: „urządzony celowo”; dla nas dość jest uważać ziemię za organizm, *służący* do rozwoju człowieka, a modyfikacja taka nie tylko nie zaszkodzi geografii ritteryańskiej, ale owszem, uchroni ją od wielu błędów (teleologii).

²⁾ Nie miałem tu oczywiście na myśli prac: Pola, Tatomira, Stroynowskiego i Kotkowskiego, ale są to prace albo tylko do ziem polskich odnoszące się, albo też monograficzne lub niedokończone, a bynajmniej nie szkolne podręczniki do geografii powszechnej (rok 1876).

stępuje litania ulic, zakładów i różnych osobliwości miast większych, co właściwie do *przewodników dla podróżujących*, a nie do geografii należy; ale natomiast trudno znaleźć, dlaczego to miasto wznosi się, a inne upada, dlaczego jedno jest fortecą i widownią często powtarzających się walk, drugie stolicą, trzecie ogniskiem handlu i przemysłu; dlaczego w jednym ten, a w drugim inny rodzaj przemysłu rozwinął się i t. d.; jednym słowem— trudno spotkać tego, co właściwie do geografii należy. Co do cyfr, to te podawane są nieraz z tak śmieszoną dokładnością, że np. w liczbie mieszkańców miast można znaleźć setki, dziesiątki, a nawet jedności. Ci, co te liczby podają, zapomnieli chyba, że ludzie rodzą się i umierają i że nie są przywiązani do miejsca, jak rośliny, lecz zmieniać je mogą, a więc liczba mieszkańców zmienić się może w jednostkach i setkach w ciągu jednego dnia, a cóż dopiero w ciągu roku lub lat kilku; dokładność więc taka nietylko niema żadnego naukowego znaczenia, ale działa zgubnie, zniechęcając do przedmiotu.

Podawać taki nawał geograficznych faktów bez ich wyjaśnienia, bez uwzględnienia przyczyn i skutków, jest to toż samo, co w matematyce podawać twierdzenia bez ich dowodzeń; pomyślmy sobie, co by się wtedy stało z matematyką? ta piękna królowa nauk zmieniałaby się w registr niezrozumiałych, suchych i najnudniejszych w świecie faktów i prawideł, których spamiętanie stałoby się prawie niepodobnem. A jednak, co wskutek złej metody z matematyką staćby się mogło, to z geografją stało się rzeczywiście, tak, iż przyzwyczailiśmy się uważać ją za zbiór gołych faktów, cyfr i nazwisk, za naukę suchą i nudną, przypisując to samej nauce, co jest tylko winą metody.

Często, niby to dla urozmaicenia przedmiotu i zajęcia szkolnej młodzi, autorowie przytaczają najróżnorodniejsze interesujące (?) fakta powyciągane na chybi trafi z innych nauk i nie mające najmniejszego z geografją związku; ba! nawet nieboszczykom nie pozwolą spokojnie spoczywać i tych wciągnęli do geografii i wyliczają z całą sumiennością ich miejsca urodzin, zgonu, spoczynku; ich zasługi i zajęcia wraz z datami aż do miesięcy i dni. I pocóż

pechać w geografię rzeczy zgoła do niej nienależące, po co przystrajać ją „w różnobarwne pióra innych nauk?”; czyż geografia nie może być nauką samodzielną? Ritter okazał nam, iż posiada ona dość sił żywotnych własnych, trzeba je tylko umieć ujawnić ¹⁾.

Od podobnego traktowania geografi nie są wolne nawet najnowsze nasze podręczniki (rok 1876): w jednym z nich ²⁾ znajdujemy np. następujący opis Wiednia, podobny zresztą do opisu wszystkich miast większych. „Wiedeń z przedmieściami (911,000 mieszkańców i 25,000 załogi wojskowej) największe, najbardziej zaludnione, najważniejsze miasto monarchii. Wiedeń zajmuje wraz z 9 dzielnicami więcej niż 55 klm. kw. i liczy przeszło 11,000 domów. Siedziba najwyższych władz państwa i arcybiskupa. Większe kościoły: kościół katedralny św. Szczepana w stylu gotyckim, kościół Karola, Maria Stiegen, kościół parafialny dworski Augustyanów (mauzoleum Arcyksiężniczki Maryi Krystyny, dłuta Canovy), kościół Minorytów z mozaiką podług Leonarda da Vinci, kościół w Alt Lerchenfeld, kościół ślubowany (Votivkirche) i t. d. Największe budowle: zamek cesarski, arsenał, Belweder (z galerią obrazów), wiele pałaców rządowych i prywatnych, akademia umiejętności, mennica, główny urząd cłowy, gmach nowej opery, pałac arcyks. Albrechta, Wilhelma, Ludwika, Wiktora, ks. Lichtensteina, hr. Harracha, ks. Szwarzenberga, dom bankowy, zakład kredytowy, akademia handlowa, Künstlerhaus, gmach towarzystwa muzycznego, dworce kolei żelaznych i wiele innych. Zbiory cesarskie, biblioteka dworska, gabinet historii naturalnej, numizmatyczny i archeologiczny, skarbiec, zbiór Ambrazyjski, akademia sztuk pięknych. Wiele towarzystw, popierających sztuki

¹⁾ Wiadomo, że po Ritterze Peschel, a następnie Richthofen ożywili geografię mianowicie fizyczną, jeszcze innemi ideami: pierwszy, wprowadzając do niej ewolucyjną ideę Darwina; drugi — wprowadzając ideę genetycznego traktowania form geograficznych.

²⁾ Mianowicie w geografii Kluna, przetłómaczonej z niemieckiego dla szkół galicyjskich.

piękne. Wiele posągów (cesarza Józefa II, cesarza Franciszka I, arcyks. Karola, ks. Eugeniusza i Schwarzenberga), świątynia Tezeusza w ogrodzie ludowym (Volksgarten). Zakłady naukowe: akademia umiejętności, uniwersytet posiadający wspaniałe zbiory, zakład państwowy dla geologii, towarzystwo geograficzne, seminarium, Augustineum, Theresianum, instytut politechniczny, Józe-finum, akademia medyczna dla kształcenia lekarzy wojskowych, akademia orientalna, akademia handlowa, 7 gimnazyów, 2 gimnazya realne, 4 zupełne szkoły realne, prywatne szkoły realne i handlowe i t. d. Zakłady dla handlu i przemysłu: bank narodowy, zakład kredytowy, towarzystwo wymiany (Escompte-Gesellschaft), wiele banków, giełda pieniężna i towarowa, kasa oszczędności, wiele towarzystw asekuracyjnych, towarzystwo żeglugi parowej na Dunaju, izba handlowo-przemysłowa, stowarzyszenie rękodzielników, szkoły przemysłowe i rękodzielnicze, towarzystwo rolnicze i ogrodnicze. Wiele zakładów sanitarnych i miłosiernych, szpitale, zakład dla głuchoniemych i ślepych, dom obłąkanych, zakład dla sierot, dom inwalidów. Miejsca rozrywki i zabawy: Prater, park miejski (Stadpark), Augarten i inne ogrody, 10 teatrów, piękne okolice z wspaniałymi willami. Najpierwsze miasto fabryczne i handlowe. Letnie zamki królewskie, Schönbrunn, Hetzendorf, Luxenburg.”

Oto litania, co się zowie! Jeżeliś ją doczytał cierpliwie czytelniku, otrzyj pot z czoła, odetchnij i ciesz się, żeś zdobył tak obfity pokarm dla umysłu, tyle pożytecznych a pouczających wiadomości: dowiedziałeś się np. że w Wiedniu znajduje się *wiele pałaców rządowych i prywatnych*”; jest to dla ciebie zapewne również nowa, ciekawa i pouczająca wiadomość, jak gdybyś, przeglądając opis pewnego oceanu, wyczytał, iż znajduje się w nim *wiele wody*. Co zaś jest naprawdę bardzo pożyteczne, to wiadomość o „domu obłąkanych”, mianowicie na przyszłość dla tych, którzyby chcieli uczyć się geografii z podobnych podręczników.

W tymże samym podręczniku znajdujemy cyfry jeszcze obfitsze i sążnistsze, niż zwykle: nowe miary dziesiętne zadały

nowy cios geografii na tym punkcie: powstały miliony kilometrów, podawane najczęściej z chwalebą dokładnością aż do prostych dziesiątków, a nawet jedności. Chyba jeden sławny rachmistrz Bukston mógłby spamiętać te olbrzymie szeregi cyfr, a zresztą choćbyśmy przypuścili, iż uczeń przy mozolnej pracy zdołałby się ich wyuczyć, to czyż to nie będzie praca marna, czas stracony? któż bowiem ręczyć może za tak drobnostkową dokładność, choćby nawet w krajach geodetycznie mierzonych. Jedyną korzyść, jaką stąd uczeń odnieść może, jest ta, iż odczyta się myśleć. Czyż to więc nie nonsens podawać podobne cyfry, czyż to nie najpewniejszy środek odstręczenia od geografii, i zabicia tej nauki, która i tak niezbyt szczęśliwem u nas cieszy się życiem?

Nakoniec, dla osłodzenia, dla urozmaicenia i wzbudzenia zajęcia (sic!) w szkolnej młodzieży znajdujemy w tymże podręczniku takie *geograficzne* (??) wiadomości, jak np. że Mickiewicz umarł w Galata, że wykładał literaturę starożytną w Losannie; znajdujemy całe curriculum vitae Jana Kochanowskiego: urodził się w Sycynie, studia odbywał w Padwie, wczasu zażywał w Czarnolesiu, apopleksyi dostał w Lublinie, a spoczywa w Zwoleniu — pytamy się, co za związek z geografją mogą mieć podobne fakty? czy geografia ma się zmienić w literaturę, a raczej zbiór życiorysów?

Wskutek podobnego traktowania przedmiotu wiedza geograficzna u nas w bardzo smutnym znajduje się stanie. Kto sięganie pamięcią w czasy szkolne, ten zapewne przypomni sobie, że w odpowiedziach uczniów bądź na lekcjach, bądź na egzaminach nie zdarzało się może w żadnym innym przedmiocie tylu prawdziwie konkursowych absurdów, co w geografii. Taż sama ignorancja, jako naturalne następstwo nauki w szkole, przechodzi po za jej mury w koła publiczności; żadna może okoliczność nie ujawnia lepiej tej ignorancji, jak ogólny u nas zapał do gorących dysput politycznych, zwłaszcza podczas toczącej się gdzieś wojny. A cóż dopiero mówić o geografii matematycznej i fizycznej! — Każdy patrzy na zjawisko pór roku, nierówności dnia, fazy księ-

życa, zmiany punktów wschodu i zachodu słońca i t. p., lecz czyż choć jeden na dziesięciu tych, co roszeją pretensję do wykształcenia, ma jasne pojęcia o przyczynach tych zjawisk?

Są to wszystko skutki fałszywej metody. Dopóki jej nie zmienimy, dopóty geografia stanowić będzie wielką i ważną lukę w naszym tak ogólnem, jak i niejednem specjalnem, wykształceniu ¹⁾).

¹⁾ Dotychczas jeszcze dawna metoda nie została w zupełności wyługowana: dotychczas niektórzy „pedagogowie” przemawiają za „dokładnością w podawaniu cyfr (obszaru powierzchni, wysokości gór, długości rzek i t. d.) i wymagają takowej od uczniów, nie mając pojęcia, w jaki sposób cyfry te powstają i co jest warta ich mniemana dokładność. Nie wiedzą np. że pomiar powierzchni jest zawsze niedokładny: niedokładny nawet wtedy, gdy mierzymy według wielkości trapezów siatki geograficznej (a nie planimetrem), bo to zawsze nie będzie prawdziwa powierzchnia kraju, lecz jej rzut na poziom; a choćbyśmy liczbę tak otrzymaną zredukowali nawet na podstawie mapy izohipsów danego kraju, to jeszcze pozostaną pewne nierówności orograficzne, których nie można ująć rachunkiem. Wreszcie wielkość powierzchni danego kraju wypadnie różną, stosownie do tego, czy weźmiemy za podstawę rachunku siatkę elipsoidu Bessla czy też Clarke'a.

W OBRONIE tak zwanej geo-grafii.

W ciągu kilku ostatnich dziesięcioleci geografia uczyniła w Niemczech ogromne postępy, a ruch ten przenika coraz głębiej do Francji, Anglii i innych krajów; u nas jednak nie tylko wśród publiczności, ale i wśród uczonych panują o tej nauce jeszcze bardzo tradycyjne, to znaczy bardzo niejasne i bardzo fałszywe, pojęcia. Postaramy się tutaj o sprostowanie tych pojęć.

1. *Geografia jest uważana za naukę elementarną*, jedynie szkolną, niegodną człowieka, namaszczonego do wyższych uniwersyteckich studyów; tymczasem gruntowne traktowanie jej wymaga wysokiego naukowego przygotowania, albowiem potraça ona z jednej strony o tak wysoką matematykę, jak mechanika ciał niebieskich, z drugiej — o tak trudną kwestyę psychologiczno-filozoficzną, jak związek materji z duchem, ziemi z człowiekiem. Przytem ponieważ związek ten jest nie tylko bezpośredni, ale w daleko większym stopniu także i pośredni, gdyż warunki geograficzne wywierają wpływ na rodzaj eksploatacyi skarbów przyrody (pasterstwo, rybactwo, rolnictwo i t. d.), więc geografia wkracza też na pole nauki tak skomplikowanej, jak socyologia.

Nie dziw też, że gdzieindziej, szczególnie w Niemczech, geografia jest oddawna nauką uniwersytecką i nie staje tam by-

najmniej wobec swych słuchaczy, jako skromny intruz z niższych klas gimnazjalnych; odwrotnie: słuchacze uczuwają nieraz wobec niej luki w naukowym przygotowaniu, utrudniające im podążanie na wyżyny tej umiejętności i zmuszające nieraz profesora do obniżania jej naukowego poziomu, niedostępnego dla części słuchaczy, tych szczególnie, którzy nie posiadają dość matematyczno-przyrodniczego wykształcenia.

2. *Geografia jest uważana za naukę pamięciową, faktyczną*; tymczasem ona wymaga bystrości rozumowania i postrzegania: rozważa ona bowiem każde zjawisko w związku z całą sumą innych, jemu towarzyszących, jako ogniwo nieprzerwanego łańcucha przyczyn i skutków. Pamięć szczegółów jest w niej tylko dość obojętnym produktem ubocznym rozumowania i postrzegania. A jednak nietylko wśród przeciętnych ludzi praktycznych, którzy chcą się dowiedzieć z geografii, jak długo się jedzie z Psiej Wólki do Kiernozi, ale nawet wśród niektórych uczonych, zacieśnionych w swym specjalizmie, można napotkać wymaganie faktyczności od geografii, a to na tej zasadzie, że: a) *samo skonstruowanie faktu jest procesem naukowym*, b) *fakty są potrzebne w życiu praktycznym*.

Jakkolwiek oba te twierdzenia same w sobie są zupełnie słuszne, to jednak nie mogą one służyć bynajmniej jako argumenty za faktycznością, a przeciw rozumowości w geografii; albowiem *co do pierwszego*, to zupełnie co innego jest proces skonstruowania faktu, a co innego jego spamiętanie: co innego jest np. wymagać od uczącego się geografii, by wiedział, w jaki sposób konstatuje się fakt, że góra ma tyle a tyle metrów wysokości, to jest by znał metody pomiaru wysokości gór (barometryczną, hypsometryczną, niwelacyjną i trygonometryczną), a co innego wymagać, by pamiętał kilkadziesiąt wierzchołków pewnego systemu górskiego z ich cyframi wysokości i to jeszcze, jak zwykle, z dokładnością do jednostek metrów!

Co do drugiego, to w wykładzie geografii nie podobna przyjąć podstawy praktycznej w sensie ciasnym, faktycznym, gdyż nie wiadomo, jakie to mianowicie fakty podawać mamy

uczącym się, jakie im w dalszem życiu będą potrzebne; to bowiem zależy od tego, jaki zawód ktoś wybierze, na jakiej arenie działać mu przyjdzie. Nauczyciel czy autor, któryby chciał takie rzeczy przewidywać, musiałby, jak to uczynił pewien autor galicyjski, umieszczać w swej geografii nawet rabinów powiatowych, boć naturalnie jakiemuś uczącemu się geografii chałaciarzowi wiadomość ta może być „w praktyce potrzebna“! Panowie, żądający faktyczności w geografii, zapominają, że rolę tę, jaką oni pragną narzucić naszej nauce, spełniają już oddawna kalendarze informacyjne, rajzebuchy i wreszcie szwajcarzy hotelowi. Geograf nie może się zaprzętać domysłami, jakie to faktyczno-informacyjne wiadomości mogą być potrzebne z osobna różnym uczonym ¹⁾, politykom, przedsiębiorcom, komiwojażerom, reporterom i t. d. i t. d.

Wprawdzie każdy może z geografii odnieść praktyczną korzyść, ale to zupełnie w innym, daleko szerszym, nie zaś ciasnym, faktycznym, sensie. Praktycznym zadaniem geografii jest mianowicie dać uczącemu się *ogólne* narzędzie, *ogólny* oręż w czekającej go walce o byt, to znaczy rozwinąć jego władze umysłowe rozumowaniem, a władze zmysłowe — obserwacją. Kto wykształcił w sobie te dwie władze, ten, rzucony w *jakiegokolwiek* warunki, na *jakąkolwiek* arenę, zorientuje się szybko w sytuacji i da sobie radę.

Chodzi tu mianowicie o wyrobienie tego, co nazwałbym *zmysłem geograficznym*. Zmysłem geograficznym jest np. to, gdy ktoś, wzięwszy do ręki mapę nieznanego sobie bliżej kraju,

¹⁾ Szczególniej historycy roszczą pod tym względem różne pretensje do geografii: oburzają się np. na „nieznawstwo geografii“ u uczniów, gdy ci nie wiedzą, gdzie leży jakie miasto lub miasteczko, w którym odbył się jakiś zjazd dostojników, zawarto jakiś traktat i t. p. Nie jest to jednak bynajmniej „nieznawstwo geografii“: miejscowość bardzo ważna dla historyka może nie mieć żadnego znaczenia dla geografa i ten ostatni nie ma wcale obowiązku brać tego na uwagę, że ona może być potrzebna dla historyka. Historyk więc zamiast oburzać się na „nieznawstwo geografii“, niech poprostu sam pokaże uczniom na mapie potrzebną mu miejscowość i wtedy będzie miał prawo wymagać od nich tego „znawstwa“.

potrafi z niej wywnioskować najcharakterystyczniejsze cechy kształtu powierzchni, biegu wód, stosunków klimatycznych, przyrody organicznej i człowieka i stąd potrafiłby się sam w tym kraju zorientować lub udzielić cennych kierowniczych wskazówek, udającemu się tam podróżnikowi, wojownikowi, koloniście, handlarzowi i t. p. Zmysłem geograficznym jest to, gdy ktoś z *luźnych* wskazówek podróżników, którzy przebiegali nieznaną kraj po oddalonych od siebie drogach, potrafi wyrobić sobie o nim *całym* trafne wyobrażenie, a przytem, być może, sprostować niejedyn błąd we wskazówkach podróżników, na podstawie przeczących sobie wzajemnie doniesień. Zmysłem geograficznym jest to, gdy ktoś z chaosu geograficznych warunków, towarzyszących danemu zjawisku, potrafi wyróżnić te, które są jego główną przyczyną. Zmysłem geograficznym jest to, gdy ktoś, jak swego czasu Behm, potrafi dowieść, że pewna rzeka (Kongo), której niewiadome są źródła, i druga (Lualaba), której niewiadome jest ujście, stanowią jedną i tą samą rzekę (Lualabę-Kongo) i t. d. Pamiętanie faktów, wymagane przez wielu, nie ma nic wspólnego z takim „zmysłem geograficznym“, podobnie jak czynność umysłowa rachmistrza, mnożącego na pamięć wielocyfrowe liczby, z czynnością matematyka, budującego prawa związku między wielkościami, odkrywającego, jak Leverrier, a priori nowe planety ¹⁾.

Pomijając nawet czysto umysłowe korzyści takiego traktowania geografii, trzeba przyznać, że i pod względem praktycznym taki „zmysł geograficzny“ jest daleko więcej wart, niż pamięć szczegółów: ktoś, coby, ucząc się w szkołach najobszerniejszej geografii faktycznej, udał się następnie do nieznanego sobie kra-

¹⁾ Rzecz dziwna, że jeden z lepszych geografów niemieckich, Wagner, oburzając się na ignorancję geograficzną, wykazywaną na egzaminach przez kandydatów do stanu nauczycielskiego, wymienia na dowód błędy czysto faktyczne, między innymi np. że jakiś kandydat umieścił miasto Kyffhäuser w górach Fichtel. Można być znakomitym geografem, nie wiedząc nawet o istnieniu miasta Kyffhäuser: wszakże Humboldt nie wiedział o istnieniu miast stutysięcznych w Indyach; a jednak Wagner konkluduje, iż to dowodzi „braku zmysłu geograficznego“!

ju, to, w przypuszczeniu nawet, iż wszystkie fakty, wyuczone mechanicznie, pozostałyby mu w pamięci, przekonałby się natychmiast o zupełnej nicości swej wiedzy faktycznej w porównaniu do wymagań miejscowych, które oszołomiałyby go swym chaosem, jako nieprzywykłego do kombinowania, jako nieposiadającego „zmysłu geograficznego“. Kto zaś posiada zmysł geograficzny, ten zorientuje się szybko w nowych dla siebie stosunkach potrafi opanować je umysłowo i podjąć z nimi w praktyce skuteczną walkę.

Zresztą, gdybyśmy nawet stanęli przez chwilę na stanowisku zwolenników wyuczania się faktów, to i do tego celu geografia rozumowo traktowana byłaby daleko skuteczniejsza: fakty otrzymane, jako produkt uboczny rozumowania, staną się trwalszą własną ością naszej pamięci, niż wyuczone wprost, wykute; albo wiem wiadomo psychologom, iż tem silniej utrwalają się w naszej pamięci pojęcia, im większą ilością nici związane one będą z innymi, które są ich przyczynami lub skutkami.

3. *Geografia jest uważana za naukę suchą i nudną.* Zarzut ten może ściągać się jedynie do czysto faktycznie traktowanej geografii, do tych pedagogów lub autorów, którzy w miejscu pełnych ruchu i życia obrazów geograficznych usiłują wznieść trupiarnię pełną szkieletów i kości („podręczniki czysto faktyczne“, wymagane przez J. Plebańskiego, zaciętego przeciwnika rozumowości w geografii). Traktowana jednak według wymagań dzisiejszej nauki, geografia jest chyba jednym z przedmiotów najbardziej interesujących dla każdego, kto umie *myśleć naukowo, czuć artystycznie lub działać praktycznie* na szerszą skalę.

Czyż bowiem nie powinna *zainteresować każdego myślącego człowieka* ta czysto geograficzna kwestya, dlaczego np. w Australii utrzymały się dotąd twory dawno minionej geologicznej przeszłości, które gdzieindziej napotykamy tylko w stanie kopalnym, głęboko ukryte pod ziemią; dlaczego tym sposobem Australia jest krainą „skaczących skamieniałości“, ożywionem muzeum dawnych epok stworzenia? Dlaczego fauny mórz tak

blizkich jak Śródziemne i Czerwone są zupełnie różne, mimo to, że dzielący je wązki przesmyk jest bardzo świeżego pochodzenia? Dlaczego jeziora są niejako „przewodnikami skamieniałościami“ formacji peryodu lodowego, to jest dokumentami dawnego zlodowacenia? Dlaczego z wiecznych lodowisk wnętrza Grenlandyi wieją wiatry ciepłe? Dlaczego niektóre rzeki Syberyi znikają po ulewnych deszczach? W jaki sposób większa część zagłębień ziemi może należyć do form wypukłych? i t. d. i t. d.

Ale ażeby wykazać najdotykalniej, o ile geografia nowoczesna, zerwawszy z dawną metodą, przestała być suchą i nudną, weźmy tę grupę zjawisk geograficznych, która zasłużyła sobie na najbardziej nieszczęsną sławę pod tym względem, mianowicie — grupę miast, wogóle osad ludzkich.

Jakże zajmowała się niemi geografia dawna? — Oto wyliczała ich nazwy w formie litanii, z dodatkiem cyfr ludności, dokładnych często aż do jednostek. Przy większych miastach spotykaliśmy się prócz tego z wiadomościami, że znajduje się tam „wiele gmachów rządowych i prywatnych, wiele zakładów naukowych i dobroczynnych“ i t. p. Gdy zaś który z takich „geografów“ zastanowił się wreszcie, że we wszystkich większych miastach są „gmachy i zakłady“, tak, iż formułkę tę co chwila trzeba było powtarzać, wtedy uszczęśliwiał czytelników lub uczniów wymienianiem nazw tych gmachów (jakeśmy to widzieli w artykule poprzednim). Dziś rzeczy te przeniesiono szczęśliwie do kalendarzy informacyjnych, ksiąg adresowych i „Baedekerów“, a natomiast w geografii powstała jedna z najbardziej zajmujących i płodnych jej gałęzi, mianowicie nauka o osadach ludzkich (*Siedelungskunde*). I w jakież sposób zaszła ta zmiana? Oto w ten, że zaczęto uważać osady ludzkie jako pewne organizmy, które powstały dzięki wewnętrznym potrzebom ekonomicznym lub wojennym i rozwijały się po części pod wpływem tych potrzeb wewnętrznych, po części pod wpływem przystosowania się do warunków zewnętrznych, bądź najbliższych, lokalnych, bądź dalszych, ogólniejszych — komunikacyjnych.

Nawet nazwy miejscowości przestały być jedynie obciążeniem pamięci, przestały odstręczać swą beztreściowością, gdyż zaczęto je *wyjaśniać*, bądź charakterem przyrody najbliższej okolicy, bądź charakterem narodów, które je nadawały; że zaś charakter przyrody nieraz ulega zmianie, a nazwa pozostaje, więc nazwy mogą nam posłużyć za wskazówki, jakim zmianom dana okolica uległa. Tak więc nawet nazwy, te puste niegdyś dźwięki, stały się przedmiotem interesującej nauki (*geograficzna onomastologia*).

Czyż dalej nie *zainteresuje każdego człowieka z duszą artysty* ta błyskawiczna, bo myślowa podróż po całym obszarze naszego globu; to przesuwanie się przed oczami duszy, niby w olbrzymim kalejdoskopie, najróżnorodniejszych krajobrazów?

Tej ponurej grozy wiecznych lodowisk polarnych, spadających z gromowym łoskotem do sennych fiordów, opromienionych czarodziejskim blaskiem zorzy północnej, rozlanych u stóp jakichś kolosalnych skalistych warowni, jakichś ementarzysk olbrzymów, gdzie nieprzespanym snem spoczywają zwłoki bohaterów-badaczy, którzy, posłuszni prawom tajemnym, złożyli w ofierze ludzkości swe życie, pełne myśli, uczuć, pragnień i nadziei.

Tej wspaniałej rozkoszy, świecących wszystkimi barwami, lasów dziewiczych Ameryki, wśród których danniki królowej rzek, Amazonki, płyną w liściastych tunelach. Lub tych pierwoborów Afryki ekwatorialnej, dziedziny podstępnych pigmejów, do której dna promienie słońca nigdy nie dochodzą, gdzie panuje wieczny mrok i cisza, przerywana tylko świstem zatrutej strzały; gdzie żaden śmiertelny nie wstąpi bez trwogi, gdzie życie trzeba utracić lub komuś je zabrać.

Tych bezwodnych, bezdrzewnych stepów Turanu, z horyzontem bez końca, tęsknym, jak nieziszczone pragnienie, gdzie słupy piasku w lecie, a śniegu w zimie, przebiegają jak demony; a zbite w kule bodiaki, toczne wichrem jesiennym, skaczą po stepach fantastycznie, tajemniczo, niby jakieś żywe istoty. Gdzie w zawody z wiatrami ugania się za łupem plemię koczownicze, które „nie spoczywa ani pod cieniem drzew, ani pod opieką

króla“, co „na koniu nie zna ni ojca, ni matki“ i które „trudniej opanować, niż ziarenka piasku przygwoździć.“

Tych zachodnio-azyatyckich opustoszałych krain dawnej kultury, gdzie w miejsce słynnych „śpiczlerzy świata“, „rajów ziemskich“, „krain obfitości Ormuzda“, podróżnik spotyka pustynie; gdzie ruiny sterczą, jak białe mary wśród mglistej od pyłu atmosfery; gdzie wzgórza są rumowiskami miast dawnych, po których hordy światoburzców przeszumiały jak huragan, a śmiertelne technienie pustyni dokonało dzieła zniszczenia.

Tych islandzkich czarnych pustyń lawy, tego chaosu skalistych złomów, ponurych i martwych jak krajobraz księżycowy, gdzie tu i owdzie śniegiem pokryte góry widnieją, jak „płachty śmiertelne na ciałach olbrzymów“; gdzie wieczne ognie walcą z wiecznymi lodami pod oponą nieba wiecznie chmurnego, przy jęku szalonych wichrów, przy ogłuszającym ryku morza, którego fale roztrzacają się wściekle o czarne bazaltowe słupy wybrzeża. I gdzie człowiek w ciężkich zapasach z groźną i skąpą przyrodą nauczył się pogardzać śmiercią i mało wymagać od życia.

Tej niezmaconej pogody lazuruwego nieba, tych pełnych blasku i spokoju krajobrazów nadśródziemnomorskiego południa, gdzie na każdym kroku wzrok spotyka zabytki dawnej artystycznej kultury.

Tej melancholii smętnych lasów australijskich rzewni i nowozelandzkich paproci, które czynią wrażenie idealnych krajobrazów dawno minionej geologicznej przeszłości; których ciszy nie przerywa, jak u nas, śpiew ptaków, tylko odrywająca się i zwieszająca strzępami kora drzew, kołysana wichrem, wydaje chrzęst do zgrzytu podobny.

Tej grobowej ciszy tundr, tej białej, mroźnej krainy Anhelego, gdzie „marzną łyzy i westchnienia“, gdzie „oko nie spotka ni miasta, ni góry, żadnych pomników ludzi ni natury“; gdzie ani głos dzwonu, ani pianie koguta, ani psa szczekanie nie zdradzają bliskości człowieka.

Tej tajemniczej krainy faraonów, tego „daru“ świętej rzeki, której początku nawet bogowie nie znali, gdzie uroczę palmy

wznoszą swe królewskie głowy ponad żary i piaski pustyni; gdzie o zachodzie słońca padają wydłużone gigantycznie cienie piramid, tych najwyższych prawie dzieł człowieka, z których szczytu „czterdzieści wieków spogląda“ i które same jedne z całego stworzenia „nie lękają się czasu“.

Tych cudownych bezwietrznych nocy na przezroczystym morzu Czerwonem, gdy srebrne promienie księżycy rzucają nań czarowne, nieznanne w wyższych szerokościach blaski i łódź płynie niby zaczarowany okręt wśród jednolitego przezroczego medium; gdyż i głębie morza, przeniknione od pionowych promieni księżycy, podobne są do nieba, rozpiętego nad żeglarzem i roje tajemniczych istot morskich widzi on głęboko pod swemi stopami“ (Schweinfurth).

Tej tajemniczej ciemności grot stalaktytowych, których samotność i ciszę przerywa tylko miarowy dźwięk kropel, spadających ze stropu do kryształowych basenów; niby zaklęta królowna skarży się na swe osamotnienie: *klung-klung-klung-klung!*

Tych nieprzejrzanych niw „państwa niebieskiego“, falujących, jak oko zasięgnie, różnobarwnymi kwiatami opiumu.

Tych mgłą owianych torfowisk Szkocyi, wśród których zdlają się błaznić duchy bohaterów Osyana i Walterskota.

Tych stepów Podola i Ukrainy, tej „drogi światoburzców“, tego „wielkiego mogilnika“, ponad którym w powiewie stepowego wichru zda się unosić „jęk tych z pod trawy, co śpią na zwiędłych wieńcach swojej dawnej sławy.“

Tych stepów Afryki Południowej, tego Eldorada florystów, tego niezmiernego ogrodu botanicznego, gdzie pod różnobarwnymi kwiatami niknie prawie zieloność traw, a gdy po spokojnym dniu słońce chyli się ku zachodowi, wtedy ciepłe tchnienie kwiatów przewiewa lekko nad stepem i napełnia powietrze upajającą wonią.“

Tych niezmiurzonych równin rzeki Kolorado, gdzie pod stopami wędrowca odsłaniają się nagle ziejące przepaście kanionów, których strome ściany poziomo uwarstwione, pokrajane w labirynt obelisków, piramid, bastyonów, lśnią w promieniach

południowego słońca różnobarwnemi wstęgami. A w miarę jak słońce zmienia swe położenie, zmienia się i widok kanionu, niby w kalejdoskopie: nowe głębokie wąwozy otwierają się niespodzianie, z gładkich napozór ścian wysuwają się nowe wieże i bastiony. Cienie sterzących skał posuwają się zwolna, jak widma, po ścianach, przybierając dziwacznie połamane kształty. Nad wieczorem głębokie powoli zapadają w mrok, tylko najwyższe szczyty wież i obelisków błyszczą jeszcze w promieniach zachodzącego słońca; ale wreszcie i one gasną, zapadają w ciemność. Niebo zabarwia się na horyzoncie czerwono, z ciemnej głębi kanionu biją prądy ciepłego powietrza, słońce zapada pod poziom, światło jego ukazuje się jeszcze na szczytach dalekich wulkanów; wreszcie zmierzch pokrywa je także, razem z niezmierną pustynią. Nagle na zachodzie zapala się purpurowe światło zorzy wieczornej; w jego odbiciu skały kanionu zapalają się raz jeszcze blaskiem czarodziejskim. Wreszcie i te ostatnie blaski gwiazdy dziennej zamierają; oteńczenie kanionu zieją straszliwą ciemnością, noc pokrywa swą oponę niezmierny step, szumiący las i majestatyczne stożki wulkanów (Credner).

A czyż i nasze, choć mniej wybitne, krajobrazy pozbawione są wdzięku, czyż nie pociągają one naszej „duży utęsknionej do tych pagórków leśnych, do tych łąk zielonych... do tych pól malowanych zbożem rozmaitem, wyzłacanych pszenicą, posrebrzanych żytem...“?

I t. d. i t. d.

Wreszcie czyż popęd człowieka do szerszej *działalności praktycznej nie znajduje w geografii najwyższego interesu?* Nie mówimy tu o tej praktyczności drobiazgowej, filisterskiej; ale o praktyczności wyższego rzędu: narodowej, społecznej i politycznej. Na zasadzie tego, cośmy powiedzieli wyżej o „zmysle geograficznym“, znawstwo geografii daje narodowi możność umiejętnego wyzyskania bogactw przyrody, jako środka, jako oręża w międzynarodowej konkurencji na arenie cywilizacji wszechludzkiej; daje możność wybiegania pod każdym względem po za sferę parafii, zdolność ekspansywną i kolonizatorską, która jest

nieomylnym objawem żywotności i siły. Słusznie też powiedziano, że bez znajomości geografii nie ma realnej, produkcyjnej miłości kraju; jest chyba tylko mdła a tania frazeologia, użyteczna jedynie dla filistrów, jako płaszczyk do pokrycia umysłowej i etycznej nicości lub jako ślina do oplwania ludzi, mających odwagę przekonań.

4. *Geografia jest uważana za naukę nieśamodzielną, za zlepek różnych nauk, za królową bez państwa.*

Wprawdzie geografia traktuje *te same zjawiska*, co i różne poszczególne nauki (fizyka, petrografia, botanika, zoologia, antropologia), ale traktuje je *według innej metody*, z innego stanowiska. Każda z powyższych poszczególnych nauk traktuje należącą doń grupę zjawisk *w oderwaniu*, samą dla siebie, bez względu na całą sumę towarzyszących jej warunków; tymczasem geografia rozpatruje te zjawiska tak, jak one rzeczywiście na gruncie swym, w swem środowisku zachodzą, w całej jego komplikacji, wśród całej sumy zjawisk towarzyszących, jako ogniwo całego łańcucha zjawisk, *związanych* między sobą, związanych z ziemią.

I tak np. zjawisko skał, rozpatrywane samo dla siebie w oderwaniu od reszty zjawisk ziemskich jemu towarzyszących, w gabinecie pod mikroskopem, dmuchawką lub w retorcie, należy do petrografii (litologii); jeżeli jednak zaczniemy rozpatrywać skały, jako tworzące pewne góry oraz związek tych skał z innymi zjawiskami, jak klimat, wody płynące, wiatry i t. p., to już staniamy na gruncie geografii. Zjawiska życia zwierzęcego jako takie należą do zoologii, lecz jeżeli powstanie kwestya, w jakim związku z całą sumą ziemskich warunków, jak klimat, grunt, rozkład lądów i wód i t. d., znajduje się takie a nie inne rozprzestrzenienie na ziemi pewnej formy zwierzęcej, to znów wejdziemy na pole geografii. Dalej pomiary czaszki, wzrostu, klatki piersiowej, mózgu i t. d. człowieka należą do antropologii; ale jeżeli zapytamy, czy nie ma jakiego prawa w rozprzestrzenieniu się na ziemi tego lub owego kształtu czaszki, lub innych wyżej wymienionych cech; czy nie da się tu odnaleźć jakieś prawo zależności

od ukształtowania pionowego, klimatu, gruntu, pożywienia i t. d. to postawimy już kwestyę na gruncie geograficznym i t. d.

Powie kto może, iż tak pojęta geografia, jako wymagająca *badaii*, nie odpowiada nazwie *geo-grafii*, która oznacza *opisanie* ziemi. Na to odpowiedź, że w kwestyi pojęcia jakiejś nauki nie może rozstrzygać etymologia, lecz rozwój historyczny; albowiem zwykle tak bywa, iż żywe pojęcie, rozwijając się, ulega z biegiem czasu zmianie, podczas gdy martwa nazwa pozostaje, oparta na sile przyzwyczajenia. Toż samo stało się z nauką geografii: z opisu ziemi stała się ona badaniem ziemi, z *geo-grafii* — *geo-logią*.

Nastąpiło tu zlanie się dwóch nauk o ziemi, a właściwie dwóch metod poznawania ziemi, co historycznie da się łatwo wyśledzić i zrozumieć: to, co nazywano oddawna geologią, wyszło od pojęć ogólnych, apriorystycznych, od hipotez (o powstawaniu ziemi, stanie jej wnętrza, kataklizmach i t. p.); to, co nazywano geografją, wyszło od szczegółów, od opisu faktów na powierzchni ziemi napotykaných. Lecz z biegiem czasu geologowie, w celu zyskania trwalszego gruntu dla swych hipotez, zstąpili do obserwacyi pojedynczych obecnych zjawisk (Hoff, Lyell.); geografowie zaś, ulegając dążności umysłu ludzkiego, zaczęli się od opisu wznosić do badań, do uogólnień (Ritter, Humboldt, Puschel, Richthofen) i tym sposobem nastąpiło zlanie się geografii z geologią. Pogląd ten na stosunek geografii do geologii, o ile nam wiadomo, przez nikogo przedtem nie był wypowiedziany ¹⁾, a wszelkie usiłowania, skierowane dziś do wykreślenia granicy między temi naukami, nie wyłączając próby tak znakomitego umysłu, jak Richthofen, prowadzą tylko do naciągań, a nawet absurdów ²⁾.

¹⁾ Słowa te pisaliśmy w r. 1892 („Prawda”, N. 48), obecnie geolog francuski Lapparent (Leçons de géographie physique) przytacza analogiczne zdanie angielskiego geografa Mackindera („formule vraiment saisissant”), mianowicie: „geologia zaczęła rozważać przeszłość w świetle teraźniejszości, a geografia — teraźniejszość w świetle przeszłości”. Wobec tego musiała nastąpić unia obu nauk.

²⁾ Richthofen w „Aufgaben und Methoden der heutigen Geographie”, str. 21, dochodzi w tym względzie do wniosku wprost śmiesznego:

Powie kto dalej, że, rozszerzając tak pojęcie geologii, włączając do niej klimatologię, oraz naukę o florze, faunie i człowieku (z wyżej określonego „geograficznego“ punktu widzenia), otrzymamy naukę zbyt obszerną, której umysł człowieka nie obejmie, szczególnie wobec ciągłego pogłębiania się wiedzy, ciągłej specjalizacji. Jest to zarzut tylko pozornie słuszny; albowiem, jakkolwiek w miarę rozwoju wiedzy rośnie potrzeba podziału pracy, jakkolwiek wskutek tego z tak obszernie pojętej geologii wydzieliły się lub wydziela takie nauki specjalne, jak litologia, paleontologia, meteorologia, antropologia, a nawet tak wysoce specjalna gałąź, jak geologia glacyalna (Gletscherkunde Heima); to geologia (geografia) pozostanie zawsze jako najwyższe tych wszystkich nauk uogólnienie, niby pogląd ze szczytu góry na *cały* przebieg jakiejś walki, niezrozumiałej i niepodobnej do objęcia dla żołnierzy, a nawet wodzów pojedynczych oddziałów. To najwyższe uogólnienie geologiczne („geograficzne“) znajduje swe uzasadnienie, swą rację bytu nie tylko wewnątrz, we właściwości umysłu ludzkiego, który tym sposobem ułatwia sobie objęcie wielości zjawisk; ale i zewnątrz, w tem mianowicie, że zjawiska ziemskie w rzeczywistości zachodzą nie w oderwaniu, w odosobnieniu, jak to uważają nauki poszczególne, lecz w towarzystwie i związku z całą sumą innych zjawisk, jak to uważa geologia („geografia“). Geologia („geografia“) więc, będąc najwyższem uogólnieniem, jest zarazem *najbardziej naturalnem przedstawicielem zjawisk ziemskich*; jak dane zjawisko ziemskie jest rezultatem mnóstwa czynników, tak samo geologia („geografia“) jest syntezą mnóstwa poszczególnych nauk, badających po szczególe te czynniki.

„Gdyby dzisiaj powstał wulkan, to przyczyna jego powstania i jego związek z innymi wulkanami byłyby przedmiotem badań geologa; dalszemi zaś modyfikacyami wulkanu zająłby się geograf.“ Nie wiadomo doprawdy, jakby usprawiedliwić taki podział pracy; albowiem np. analogia z podziałem pracy między akuszerką i niańką nie da się tu przeprowadzić: kto zbadał powstanie wulkanu i zna jego naturę, ten już sam daleko lepiej zbadać potrafi i dalsze jego modyfikacje.

Indywidualnym siłom umysłowym każdego geologa („geografa“) pozostawionem być musi naturalnie to, jak głęboko potrafi on zapuścić korzenie w warstwy tych poszczególnych nauk, aby z nich wyciągnąć soki dla drzewa geologicznego („geograficznego“); o ile będzie umiał odnieść się krytycznie do poczerpniętych szczegółów i cząstkowych uogólnień; o ile potrafi je skombinować i zużytkować samodzielnie do swych własnych celów.

Z czasem zapewne i sama nazwa geografii, jako *nauki* o ziemi, zniknie, ustępując miejsca obszerniej pojętej nazwie geologii; nazwa zaś geografii pozostanie nadal tylko dla oznaczenia nie nauki, lecz *archiwum*, zbioru surowych materiałów o ziemi, i zajmować będzie takie samo stanowisko wobec geologii (w naszym wyżej określonym sensie), jak etnografia wobec etnologii. I jak nie moglibyśmy wymagać, aby w szkołach uczono na pamięć, w jakie np. wzory baby pewnej wsi farbują swe chustki, jakiej formy wyrabiają kijanki lub jakiego koloru noszą podwiązki, tak też podobnie i w tak zwanej dziś geografii, a właściwie geologii, nie będziemy uczyć, w jakich miastach galicyjskich mieszkają rabini, ile pudów ryby poławia się w jeziorze Białem, lub ile sierpów i kos wyrabia pewna wieś Obszaru Centralnego, jakkolwiek rzeczy te mogłyby być komuś w praktyce potrzebne ¹⁾.

Wspomnimy tu wreszcie o *kwestyi dualizmu* w geografii, który też był używany jako argument przeciw samodzielności tej nauki, a przynajmniej przeciw możności objęcia jednym umysłem tak różnych pól badania, jak przyrodnicze i humanitarne. Zarzut ten skłaniał nieraz geografów do usiłowań uczynienia geografii monistyczną przez odrzucenie jednej części; a więc zapanowywał to monizm polityczny, to znów fizykałny: jak dawniejsi geografowie w guście Büschinga zerwali z geografją fizyczną, tak nowsi w guście Gerlanda zrywali z antropologiczną, twierdząc, że człowiek nie należy do geografii. Taki monizm, osiągną

¹⁾ Pozostawienie więc przez nas pojęcia geografii, jako archiwum, jako zbioru materiałów, bynajmniej nie uprawnia wyżej przytoczonych zarzutów lub wymagań skierowanych przeciw pojęciu geografii, jako nauki.

przez obcinanie treści, szkodził rozwojowi geografii, podobnie jak i ostry dualizm formalny. Spór, naszym zdaniem, rozwiązuje się tak, że geografia jest nauką dualistyczną co do treści, gdyż bada przyrodę i człowieka; ale jest monistyczną co do formy metody, ponieważ zadaniem jej jest właśnie przyczynowe *wiązan*ie obu. Tym sposobem geografia zajmuje stanowisko pośrednie między naukami humanitarnymi a przyrodniczymi i, jak słusznie zauważono, „dopomaga do przerzucenia mostu przez lukę między temi dwoma działami umiejętności i przyczyni się do jednolitości światopoglądu.“

Powyższa *walka między rozumowością i faktycznością* w „geografii“ (geologii) mogłaby się komuś wydawać burzą w szklance wody, sprawą drobną, a nawet indywidualną i pretensjonalną; sąd taki jednak byłby znowu ciasny. Pomijając bowiem nawet ten wzgląd, że sprawa nauczania prowadzi za sobą wogóle zawsze i wszędzie ważne skutki w życiu społecznym; walka ta jest tem ważniejsza jeszcze z tego względn, że stanowi jeden z epizodów walki rozległej, toczącej się na różnych polach, związanej jednak ze sobą jedną nicią przewodnią: jest to np. walka tych pedagogów, co chcieliby z ludzi uczynić istoty myślące i czujące, z tymi formalistami, którzyby chcieli uczynić z nich jedynie maszynki do spełniania pewnych posług społecznych; jest to walka tych pisarzy, którzyby chcieli przewodniczyć społeczeństwu w dążeniu na coraz wyższe umysłowe poziomy, z tymi pismakami, którzyby chcieli poziom umysłowy i etyczny czytelników obniżyć, bo tylko wśród nędznego otoczenia tacy ludzie, nędzni umysłowo i moralnie mogą znaleźć rację swej egzystencji; jest to walka tych uczonych, co całe swe życie poświęcili celowi idealnemu, dążeniu do prawdy, z tymi doktorami blagi, karyerowiczami, obdarzonymi sprytem życiowym, dla których nauka jest tylko środkiem złobycia rozgłosu, a z nim wygodnego filisterskiego bytu; jest to walka tych artystów, obdarzonych iskrą geniuszu, co tworzą pod nieprzepartym popędem natchnienia, z tymi geszefciarzami, co węższą gusta bogatych filistrów, co opa-

nowują ster konkursów, sądów i nagród, pole, gdzie rosną obficie chwasty nepotyzmu i prywaty i t. d. i t. d.

Wogóle jest to walka między prądem cywilizacyjnym, obejmującym szerokie horyzonty, a bezduszną drobiazgowością, parafiańszczyzną, tandetą, a często i podłością, które w ostatnich czasach, szczególnie u nas, wezbrały niepomierne i których fale, — nie! — których pomyje usiłują zdławić ostatnie placówki myśli i uczucia. Jest to walka między człowiekiem kultury, produktem wiekowej ewolucyi a troglodytami, których prawo atawizmu rzuca od czasu do czasu w zwiększonej liczbie wśród naprzód kroczącej ludzkości.

Ze stanowiska ewolucyjnego nie można wątpić, przy kim zostanie zwycięstwo ogólne na arenie wszechludzkiej, lecz można wątpić, przy kim zostanie zwycięstwo cząstkowe i chwilowe na pewnej poszczególniej arenie etnicznej; a wątpliwość ta tembardziej powinna pobudzać nas do walki z troglodytyzmem, iż właśnie dlatego, że w organizmie wszechludzkim musi zwyciężyć *człowiek*, więc zwycięstwo troglodytów wśród pewnej części tego organizmu musi być dla niej wyrokiem zagłady.

NASZE KRAJOZNAWSTWO

i środki jego podniesienia.

W ostatnich czasach zaczęły się odzywać w prasie i społeczeństwie głosy i nawoływania o potrzebie badań kraju naszego, potrzebie podręcznika do geografii Królestwa Polskiego, potrzebie dobrych podręczników do geografii szkolnej...

Słuszności i ważności tych nawoływań dowodzić, zdaje się, nie potrzebujemy: poznanie swej siedziby, swego kraju jest to nie tylko kwestya ciekawości, ale zarazem kwestya praktyczna, ekonomiczno-polityczna niezmiernej wagi. Znać swój kraj, pojmować z jednej strony jego braki, umieć z drugiej — wyzyskać jego korzystne warunki naturalne; jest to posiadać najpotężniejszy oręż na arenie konkurencyi międzynarodowej. Zastanówmy się raczej, dlaczego nawoływania w tym kierunku przychodzą tak późno, dlaczego mają one dość odosobniony i platoniczny charakter; czy są i jakie są środki, aby stały się one powszechniejszemi i nie daremnymi — ażeby sprowadziły rezultaty realne?

Stan geografii u nas, w prasie, szkole i społeczeństwie, jest nad wyraz smutny: społeczeństwo nasze nie posiada, że się tak wyrazimy, najmniejszego zmysłu geograficznego, bez *ogólnego* zaś zmysłu geograficznego nie można pojmować, ani tem mniej uprawiać geografii *szczególnej* kraju.

Prasa nasza prawie zupełnie nie interesuje się geografią, rzadko można tam spotkać artykuł geograficzny, a napisany z jaką taką kompetencją jest już białym krukiem. Wprawdzie, jak to dowcipnie zauważył pewien pisarz, gazety nasze umieszczają czasami „gruntowne artykuły o mundurach anamskich“, no i o zamkach króla Ludwika; ale te i tym podobne, jakkolwiek niezmiernie ważne, artykuły chyba tylko mają w pojęciu reporterów jakkolwiek związek z geografią. Z nauk, jeszcze archeologia cieszy się u nas pewnem wzięciem, lecz nie jest to bynajmniej owa pokrewna geografii archeologia w sensie Virchowa, albo Burnoufa, ale w czysto polskim następującym: „donoszą nam z Ciemnogrodu, że profesor X. skłania się ku hipotezie prof. Y., według której obraz Św. Pafnucego, umieszczony w głównym ołtarzu kościoła N., należy do pierwszej, nie zaś, jak inni nasi uczeni twierdzą, do drugiej połowy N-tego wieku“ i t. p. Zresztą, w prasie naszej panuje wszechwładnie reporterya, sztuki piękne, szczególnie teatr, konkursu na komedye, beletrystyka, potok tłumaczonych powieści, szczególnie w dobrym tonie, angielskich, gdzie, według oklepanego szematu, genialny człowiek pracy patrzy jak na bóstwo, na dumną córę lordów i marzy rozkosznie, że za cenę geniuszu może przecież z czasem okupi swe niskie urodzenie i stanie się godnym ucałować bucik swej rasowej bogini.

Taką to bawarką, poczęści zatrutą, pasie nasza prasa (z nielicznymi wyjątkami) swych czytelników. Reporterzy czujnie strzegą (caveant consules!...), ażeby ich znakomite państwo nie poniosło jakiego szwanku, t. j. ażeby się do pism nie wkrađały poważniejsze artykuły, gdy się zaś taka parszywa owca w ich niezarażonem nauką stadzie pojawi przypadkiem, to nazywają oni to technicznem mianem „zagwałdzenia“ pisma. Pyszne wyrażenie! — czyż ci panowie sądzą, że prace takie stoją w jakiegokolwiek analogii do ich zagwałdzonych głów? — Trzeba jednak przyznać, że w tej czujności reporterzy nie ograniczają się na potrzebach chwili obecnej, oni patrzą głębiej, proroczym duchem w przyszłość, bo nużby z czasem publiczność przywykła do po-

ważniejszej strawy, a popyt na głupstwaby zmalał; z czegoż żyliby wtedy reporterzy i literaci do wszystkiego? Wszakże każdy inny zawód potrzebuje jakiegokolwiek rzeczywistej umiejętności, ten — tylko mechanizmu pisania!

Gdy ktoś napisze gruntowny artykuł geograficzny, nie umieszczą mu, albo całe miesiące trzymać będą w biurku redakcyjnym; im będzie gruntowniejszy, im większą będzie posiadał wartość, tem trudniej mu ujrzeć światło dzienne. Gdy wreszcie wyjdzie, to często autor nie pozna się z nim, bądź z powodu nie słychanych błędów druku, bądź niekompetentnych poprawek (?); tak np. pewnemu autorowi poprawiono wyraz „sawanny“ na „stepy“, ani się domyślając, że jest to toż samo, co zamiast wyrazu „kawa“ napisać „herbata“. Inny redaktor, który potrafi w kilka dni „z badać wszechstronnie“ dzieło jakiej kto chce specjalności, potrafił też nowe zapatrywania lub wyrażenia, które dzisiejsza nauka postawiła na miejsce dawnych, poprawiać pewnemu autorowi na podstawie swych przestarzałych wspomnień szkolnych, sądząc w swej naiwnej zarożumiałości, że autor popełnił w tych razach błędy. Tenże redaktor potrafił nawet dorabiać całe ustępy do cudzej pracy geograficznej, pełne bezsensów i komunałów, i usiłował zmusić autora do przyznania tej bazgraniny za swoją; natomiast wyrzucił cały ustęp, poświęcony wspomnieniu świeżo naówczas zmarłego Albina Kohna, gdzie autor zwrócił uwagę społeczeństwa, że pisarz ten nie znalazł w polskich pismach dostatecznego poparcia dla swych prac geograficznych, zmuszony został porzucić literaturę ojczystą i pisać dla Niemców, u których znalazł chleb i uznanie. Pewna znów redakcja nie chciała przyjąć artykułu o geograficzno-politycznych stosunkach Azji Centralnej, na tej podstawie, że referent geograficzny (???) „nie zgadza się“ (no, proszę!) z poglądami artykułu (napisanego nb. na podstawie prac takiej powagi w danej kwestyi, jak Vambery); ten sam zaś referent geograficzny, będący zarazem politykiem, komedyopisarzem i felietonistą, napisał niedługo potem zwykłe tygodniowe sprawozdanie polityczne, w którym jako „geograf“

twierdził, że warownia Turkmenów Geok Tepe leży w dolinie Atreku!

Musieliśmy poruszyć tutaj te zakulisowe sprawy, bo one właśnie charakteryzują stan geografii w naszej prasie i wykrywają jedną z przyczyn zła ¹⁾).

Dział geograficzny (o ile on istnieje) w pismach codziennych, a nawet i wielu tygodniowych, wypełniają zwykle reporterzy, podpisujący zmyślonemi inicjałami lub pseudonimami błędne tłumaczenia. Stąd to niepraktykowane dziwolągi w pojawiających się czasami artykułach geograficznych, podróźniczych i kronikach. W jednym z fachowych pism codziennych, którego fach stoi w ścisłym związku z geografją, spotkaliśmy przed paru laty wykaz produkcji bawełny w Stanach Zjednoczonych, gdzie wśród pojedynczych rubryk wyczytaliśmy: „jeziro Tenne“ — produkcya tyle a tyle; miał to być bezwątpienia stan Tennessee; nie wiadomo doprawdy, co tu bardziej podziwiać — zdrowy rozsądek, czy geografję kronikarza? Pewien korespondent z Anglii do naszych pism, pisząc o Afganistanie, podaje wysokość Paropamizu mniejszą, niż wysokość Merwu, nie kłopotąc się tem bynajmniej, że w takim razie rzeka, płynąca z tych gór i tworząca oazę Merw, musiałaby płynąć z dołu do góry; według autora, rzeka ta stanowi musi rodzaj szruby Archimedes! Redakcyja pewnej gazety, donosząc podczas wojny w Afganistanie, że Anglicy zajęli „Kelat i Gilzaj“, zrobiła od siebie taki nawiasowy dodatek: „*oba* w Afganistanie, przyp. redak.“ Redakcyja chciała pouczyć publiczność, jak tradycyjny „Piotr — Marcina“, albowiem jest to jedno tylko miasto o nazwie złożonej Kelat-i-Gilzaj. Pewien dość poważny tygodnik każe podróźnikom przejść wpoprzek Afrykę od oceanu Indyjskiego do Spokojnego! Wogóle, w krótkich wzmiankach, jakie pisma nasze czynią czasem o przebiegu podróży, nieszczęśliwi podróźnicy, wyciągani nieraz z dawnych już grobów,

¹⁾ Nie chodziło nam tu o polemikę z tem lub owem pismem, lecz o kwestyę ogólną, więc nie cytujemy z imienia i nazwiska pism i osób, w potrzebie jednak moglibyśmy to uczynić.

zmuszeni bywają, podobnie jak „Kara Mustafa, wielki mistrz Krzyżaków, iść z ogromnem wojskiem przez Alpy na Kraków“; takich dziwolągów możnaby przytoczyć bez liku. Ujemny wpływ prasy na wiedzę geograficzną nie kończy się jednak jeszcze na tem.

Podczas gdy pojawienie się komedyjek, fars scenicznych, tak zwanych „perełek“. prasa rozdyma do olbrzymich rozmiarów i roztrębuje na wszystkie strony, a autorów pasuje na wielkość. to pojawienie się choćby najlepszych artykułów i prac geograficznych pomija najczęściej milczeniem, nawet bibliograficznym. Gdy pewien autor wykazał przed kilku laty błędność pewnej teorii na podstawie naukowo-geograficznej, pisma, z małym wyjątkiem, nie wspomniały o tem, a obecnie, gdy ktoś inny napisał o tej samej teorii broszurę felietonową, toż samo pismo, które nie miało miejsca nawet na bibliograficzną wzmiankę o tamtej broszurze, tej przyznaje zasługę pierwszeństwa w podjęciu kwestyi.

Podczas gdy prasa ogólna traktuje tak po macoszemu i mało powiedzieć po dyletancku geografję, nie posiadamy pisma wyłącznie poświęconego tej nauce, a gdyby ono i powstało, to jesteśmy przekonani, że kierować nim będzie jaki reporter, komedyjopisarz lub artysta dramatyczny; oryginalne artykuły o kraju naszym umieszczać będą turyści-malarze i commis-voyageurowie, którzy nas powiadomią, jak im smakował tradycyjny „stary miodek“ u „zacnego“ plebana, jakie było menu wybornego obiadku u „światłego“ ziemianina hr. X., którego komnaty i antenaty znajdują szczegółowe opisanie i t. d. Publiczność czytać będzie to wszystko w czasie poobiedniej drzemki, aż ich z tej drzemki obudzą Niemcy, którzy przyjdą *zbadac* nasz kraj, jak mało znane krainy Njam-Njamów lub Mombuttów.

W geografii szkolnej panować będą dalej Czarkowsko-Gargulscy et Comp., doczekają się oni setnych wydań, bo dobry podręcznik wobec braku wszelkiego zmysłu geograficznego w naszym społeczeństwie nie jest wcale „dobrym interesem“ dla wydawcy. Na geografję dawnej Polski, której obecnie tak bardzo żądają, znalazłby się zapewne wydawca, ale dla podjęcia takiej

pracy, znalezienie wydawcy to zamało. Jeżeli bowiem dla skreślenia geografii Prus, Poznańskiego, Szląska, możnaby się oprzeć na źródłach niemieckich, które, szczególnie obecnie, pojawiają się w wybornych monografiach („Forschungen zur deutschen Landes — und Volkskunde herausg. von Lehmann. Stuttgart“). Jeżeli dla skreślenia Litwy, Wołynia, Podola mamy materyały zgromadzone przez oficerów generalnego sztabu. Jeżeli dla Galicyi znalazłyby się też źródła poczęści polskie, poczęści niemieckie, które napisanie geografii wyżej wymienionych krain sprowadziłyby do pracy jedynie gabinetowej zbudowania gmachu z gotowych już cegiełek, to dla geografii Królestwa Polskiego materyały drukowane nie wystarczają. Pamiętnik Fizyograficzny zbyt krótko istnieje, zbyt mało, niestety, znajduje poparcia, „cegiełki“, jakieby tam można znaleźć, są w większej części wyborne, ale zbyt nieliczne, zbyt luźne, nie wystarczą do zbudowania gmachu; mapa p. Wójcickiej ze swej natury „poglądowej“ uwzględnia tylko niektóre nadające się do tego objawy. Tu już więc trzeba być nie tylko budowniczym, ale i ceglarem, trzeba samemu wyrabiać cegiełki do budowy. Na to potrzebne są wycieczki po kraju, przedsiębrane przez kogoś, mającego zmysł geograficzny, gruntowne geograficzne wykształcenie; kogoś, co umiałby rozmaite objawy przyrody i człowieka każdej okolicy ująć w jednolitą, przyczynową i organiczną całość, stanowiącą to, co nazywamy charakterem krainy; kogoś, co umiałby szczególnie wniknąć okiem geografa we wzajemny związek między człowiekiem i przyrodą, coby cechy etnologiczne i antropologiczne, oraz działalność, człowieka umiał przedstawić na tle geograficznych warunków; coby dostrzegł odwrotnie, jak działalność człowieka z biegiem czasu zmieniała wygląd okolicy i t. d.

Na to wszystko trzeba paru lat podróży, pracy i znacznych środków materyalnych — one to głównie paraliżują u nas wszelką naukową działalność, lub chęć do niej. Czyż to niemieccy uczeni są z tak innej gliny ulepieni i to im pozwala stwarzać tyle dzieł poważnych i arcydzieł? Kto miał sposobność przypatrzeć się z bliska tym naukowym wielkościom, które podziwiał przedtem

w ich dziełach, ten zapewne przyzna, że sąd, jakiśmy sobie o nich a priori wytworzyli, niezupełnie się sprawdza: w rozmowach i dysputach z nimi okazuje się nieraz, że repertuar ich wiadomości jest stosunkowo nie tak znów wielki, a jednak pozwala im na budowanie kolosalnych gmachów. I jakaż więc jest tajemnica tego, nieprawdopodobnego napozór zjawiska? Tylko środki materyalne: w Niemczech naukę uprawiają po większej części bogaci, często nawet milionerzy. Taki uczony, z niewielkim nawet materyałem naukowym, może osiągać wielkie rezultaty w nauce (że posiada on metodę o tem, nie potrzebujemy naturalnie wspominać), albowiem gdy postawi sobie problemat, potrzebuje tylko sięgnąć po ścianach założonego księgami i mapami gabinetu, aby zgromadzić fakta potrzebne do rozwiązania; gdy w literaturze całego świata niema dostatecznych źródeł do danej kwestyi, natenczas badacz puszcza się w podróż, siedzi lat parę w jakiejś miejscowości, na jakiejś wyspie, szczycie wulkanu, w głębi jakiejś doliny i t. d. i przywozi brakujące mu materyały. Gdy chce rozklasyfikować, dajmy na to, wybrzeża, lub objaśnić sobie jakiś szczególny załam brzegu, to bierze do ręki najrozmaitsze mapy doń odnoszące się: geologiczna powie mu o składzie petrograficznym danego załamu, mapa admiralicyi pouczy go o głębi morza okolicznego, mapa generalnego sztabu ukaże mu plastykę tego wybrzeża, kierunek i wysokość gór w tem miejscu, inna mapa wskaże mu obfitość opadów atmosferycznych i t. d. i t. d. Mając te wszystkie elementy odrazu przed oczyma, łatwo odkryć ich wzajemną zależność, rozwiązać problemat. Bez takich środków badania, nawet geniusz nic nie poradzi, a nawet człowiek średnich zdolności przy metodzie, przy jakiej takiej wytrwałości, może zdziałać cuda.

Wprawdzie i u nas są ludzie zamożni, ale ci rzadko zajmują się nauką, chyba ot tak, dorywczo, dla zabawki; u nas niwę tę, leżącą odłogiem, uprawiają przeważnie niezamożni, a dla tych praca naukowa jest kradzieżą czasu, zużywanego przeważnie na pracę na chleb powszedni. Dlatego to nasze najlepsze nieraz siły idą często na marne, nie są wstanie ani popchnąć wiedzy naprzód,

ani nawet podnieść jej przeciętnego poziomu wśród społeczeństwa, a prawda ta stosuje się może w najwyższym stopniu do geografii.

O smutnym stanie tej nauki w prasie, w podręcznikach, wśród towarzystwa „inteligentnego“, możnaby tom napisać, lecz i tych kilka słów wystarczy do zrozumienia, jak bardzo jest źle. Czy może być lepiej? Jakie są sposoby podniesienia poziomu geografii u nas, a w następstwie rozwoju wiedzy geograficznej o własnym kraju? Zdaniem naszym, sposoby te dadzą się streścić w następujących punktach.

1. Założenie pisma geograficznego o poważniejszym zakresie, któreby zogniskowało nasze prawdziwe, choć nieliczne siły geograficzne, a nie jakichś tam turystów, oraz literatów do wszystkiego. Dobrzeby przytem było, aby redakcyja tego pisma stanowiąca zawiązek Towarzystwa geograficznego, oraz aby gromadziła bibliotekę krajoznawczą i urządziła odczyty, zaznajamiała publiczność ze zdobyczami geografii i etnografii; dochody stąd możnaby przeznaczyć na kompletowanie owej biblioteki.

2. Usunięcie z prasy codziennej na dalszy nieco plan sztuk pięknych, teatru, zbrodni, cudów i t. p., a zajęcie się, zainteresowanie sztukami brzydszemi, między innymi geografją i etnografją w sposób poczytny, ale przyzwyczajający stopniowo do poważniejszej, pożywniejszej strawy, wytwarzający stopniowo zmysł geograficzny w społeczeństwie.

3. Rozpisanie konkursu, lub jakiebądź inne materialne poparcie sprawy podręczników geograficznych szkolnych, któreby raz przecie wyparły Czarkowskich et Comp.

4. Traktowanie poważne geografii w szkołach, nie przez nauczycieli do wszystkiego (jak w prasie przez literatów do wszystkiego), jak się to często dzieje, lecz przez specjalistów; zarazem uwzględnienie w „Przeglądzie Pedagogicznym“ działu geografii szkolnej, na podobieństwo „Zeitschr. für Schulgeographie“.

5. Popieranie materialne wycieczek po kraju, przedsięwziętych przez ludzi, posiadających geograficzne wykształcenie,

jak również przez przyrodników, uprawiających specjalnie oddzielne gałęzie wiedzy.

6. Zachęcenie całego społeczeństwa do współdziałania w pracy nad poznaniem swej siedziby. Każda jednostka, myśląca i umiejąca patrzeć na objawy życia przyrody i człowieka w okolicy, notując wiernie te objawy, może przynieść swą cegiełkę do gmachu wiedzy o naszej krainie, który z czasem powinien być zbudowany ręką architekta-geografa. Więc np. ludzie wiekowi niech notują zmiany, jakim w ciągu ich długiego życia uległa ich okolica rodzinna; rolnik, ogrodnik — warunki gruntów i urodzajów, a wraz z leśnikiem — czas kwitnienia, owocowania i opadania liści u różnych roślin; gdy okolica jest górzysta, niech zwrócić pod tym względem uwagę na różnice między podnóżem gór i szczytami, oraz między różnymi stokami. Inżynier, a nawet każdy, niech notuje różnice w poziomie wód, czas ich zamarzania i puszczania lodów, czas pierwszego spadnięcia śniegu i czas jego zniknięcia (przyczem znów w okolicach górzystych zwrócić uwagę na różnicę stoków i wzniesienia). Górnik niech notuje stosunki kopalniane i wogóle geologiczne. Przemysłowiec, kupiec — stan różnych produktów i stosunki handlowe. Doktor — stosunki zdrowotne i antropometryczne. Nauczyciel — uzdolnienie uczniów, oraz łatwiej dające się dostrzedz cechy antropologiczne (kolor oczów, włosów). Aptekarz niech powie o ziołach używanych przez lud, jako środki lecznicze. Wójt gminy, sędzia — o moralności i pojęciach prawnych ludu.

7. Wynalezienie i poparcie materyalne kogoś, zajmującego się bibliografią, a zarazem posiadającego zmysł geograficzny, ażeby zebrał bibliografię wszystkich, odnoszących się do naszego kraju dzieł, artykułów, korespondencji i t. p. po różnych pismach peryodycznych, o ile te prace mają jakąkolwiek wartość (znany takiego w Krakowie, który już po części pracuje nad tym przedmiotem i podjąłby się zapewne wykonać tę pracę w całości).

8. Wynalezienie i poparcie kogoś, bądź u nas, bądź w Galicyi lub Poznańskiem, coby się podjął i umiał tak zgromadzić

materyał zużytkować krytycznie, własnymi badaniami na miejscu dopełnić i po przetrawieniu, dał nam, choćby za lat kilka, dzieło geograficzne o naszym kraju, stojące na wysokości dzisiejszej geograficznej wiedzy ogólnej.

Bez wprowadzenia w czyn choćby części wyżej wymienionych punktów, wszelkie pojedyncze, platoniczne nawoływania pozostaną głosem wołającego na puszczy. „Dama, zowiąca się etnografią“, przyjedzie do nas z Petersburga, a druga, zowiąca się geografią, z Berlina, my zaś odegramy, już bez „konkursu“, wspaniałą tragi-komedję ¹⁾.

¹⁾ Część powyższych naszych postulatów, postawionych w r. 1886 („Przegl. Tygod., № 41), znalazła już urzeczywistnienie.

Ważną rzeczą byłoby też założenie muzeum geograficznego (jak jest już etnograficzne), złożonego z różnych pomocy naukowych do geografii, jak globusy, atlasy, modele; jak różne okazy naturalne (szczególniej z naszego kraju). Muzeum takie założył wprawdzie przed laty p. Eugeniusz Babiński z gruntowną znajomością rzeczy, gorącym zamiłowaniem i ciężkimi ofiarami, lecz, niestety, społeczeństwo nie poparło tego czynu, jak należało i muzeum, z takimi ofiarami zgromadzone, poszło na marne.

GOŚCINNOŚĆ

jako objaw etnologiczny.

Jest to właściwością każdego prawie narodu na niskim stopniu kultury, iż uważa się on za wybrany, za lepszy etycznie od innych narodów, szczególnie od tych, które właśnie stoją na wyższym szczeblu cywilizacyi. Na wpół pasterski Węgier patrzy z pogardą na pracowitego Niemca. Turek czuje się nieskończenie wyższym od ucywilizowanego europejczyka. Duma hiszpańskiego hidalga niema sobie równej. Nawet dziki Australczyk, lub Indyanin czerwonoskóry, patrzy z politowaniem na pracującego białego.

Toż prawo powtarza się i wśród różnych warstw tego samego narodu: „dobrze urodzony“, ale za to źle rozwinięty umysłowo, szlachcic polski czuje się, a przynajmniej czuł się do niedawna, wyższym od takich mieszczuchów, jak doktor, profesor, literat i t. p. Przytem w pojęciu takiego pierwotnego ludu cechy jego, stanowiące ową mniemaną wyższość, są uważane za jakieś wyjątkowe, nieledwie boskie dary, przekazywane jako świętości z pokolenia na pokolenia. Tymczasem w rzeczywistości cechy owe nie są niczem wyjątkowem i specyficznem dla danego narodu, lecz są zwykle wspólne wszystkim narodom na

nizkim stopniu kultury; a nieposiadanie ich przez pewien inny naród nie jest bynajmniej dowodem jego niższości, lecz właśnie dowodem, że przeszedł on już pewne stadyum rozwoju i wzniosł się o jeden szczebel wyżej na drabinie cywilizacji.

I u nas, niestety, niezbyt dawną jest epoka, gdyśmy byli ogółem w mniemaniu o naszej narodowej wyższości, o wyjątkowym posłannictwie naszym wśród narodów; ba! nawet dotąd mniemanie to znajduje wyraz w licznych organach konserwatywnych, kałużących naszej narodowej dumie, prawiących o naszej moralnej wyższości nad zgniłym, zmateryalizowanym, postępowym zachodem. Między zaś owymi wyjątkowcami, z nieba zesłanemi na naród wybrany cechami, niemałą rolę gra gościnność, „którą się nasi przodkowie szczycili“, która manifestowała się „zdejmowaniem kół“, zostawianiem miejsca u stołu „dla pp. Zagórskich“, „prośbą na klęczkach, by jedli i pili“ i t. d. i t. d.

Pewien domorośły etnolog i społecznik z „Kur. Warsz.“ w art. „Gościnność“, jakkolwiek z higieny tyle już się nauczył, że protestuje przeciw zbytniemu zmuszaniu gości do jedzenia i picia, co sprowadza niestrawność, to jednak w etnologii nie jest jeszcze tyle mocny, ażeby spojrzeć z nieco szerszego stanowiska na objawy życia narodowego. To też uważa on gościnność zawsze jeszcze jako wyjątkową cnotę ojców naszych; „tak zwane postępowe stronnictwo, mówi on, pragnie usunąć wiele właściwości naszego plemienia, nieodłącznych od natury naszej. Pesymiści znów twierdzą, że gościnność u nas, niestety, upada, ale (odpiera autor) natura nasza nie zmieniła się tak bardzo (co za szczęście!) i nie prędko się zmieni (cieszymy się!), jeżeliby nawet mogła się zmienić. Otóż na przekór klubom, bawaryom, ogródkom. gościnność staropolska istnieje u nas w całym starodawnym blasku. Zawsze jeszcze: *gość w dom, Bóg w dom...* Natura nasza całkiem jest odmienna od tej, jaką różni autorowie (wym. postępowcy) pragną nam narzucić na kark“ i t. p.

Otóż gościnność nie jest bynajmniej ani specyficznie polską cechą, ani też taką, z której posiadania moglibyśmy się chlubić, a z upadku smucić. Gościnność jest objawem ogólnego etnolo-

gicznego prawa, które brzmi: *stopień gościnności jest odwrotnie proporcjonalny do stopnia cywilizacji.*

Ludy stojące na niskim stopniu kultury, szczególnie pasterckie, a w następstwie i pierwotno-rolnicze, odznaczają się wysokim stopniem gościnności; jest to naturalne: w krajach zamieszkiwanych przez takie ludy, zwykle zaludnionych rzadko, trzeba przejechać nieraz kilkanaście lub nawet kilkadziesiąt mil wśród najniewygodniejszych warunków, zanim ujrzy się osadę ludzką; musi więc ona z jednej strony dla znużonego podróżnika przedstawiać się jako raj, z drugiej strony — dla gospodarza, żyjącego w odosobnieniu, gość jest prawdziwym skarbem, rodzajem gazety z nowinami i polityką, lekarstwem na nudy. Przytem gra tu też rolę i wzgląd utylitarny; gospodarz może innym razem sam potrzebować gościnności.

U ludów, stojących na wysokim stopniu kultury, względy te ustają: osady ludzkie idą tu gęsto, podróżny znajduje wszędzie domy zajezdne, hotele i t. p. ze wszelkimi wygodami, gazetami i t. d., nie ma powodu żądać gościnności, nie potrzebuje się niczem krępować. Przytem człowiek kultury nie ma czasu na gościnność; dla utrzymania bytu musi on pracować, ma jakieś obowiązki, które musi spełniać systematycznie, a które mu zajmują kilka lub nawet kilkanaście godzin na dobę.

Dlatego to u nas gościnność utrzymuje się najsilniej w tych klasach narodu, które najwięcej noszą na sobie cechę cywilizacyjnej pierwotności, t. j. u szlachty i u ludu wiejskiego. Dlatego też u cywilizowanych narodów zachodu gościnność upadła; miejsce jej w życiu towarzyskiem zastąpiły kluby, knajpa (lub kawiarnia), owa, tak pogardzana i wydrwiwana przez nas, niemiecka knajpa. A jednak, otrząsnąwszy się z naszych salonowo-towarzyskich uprzedzeń, będących dziedzictwem życia próżniaczego, i zastanowiwszy się bez drwin poważnie nad znaczeniem knajpy, musimy przyznać, że jest ona jedną z przyczyn niemieckiej produktywności i wogóle niemieckiej cywilizacji. W knajpie robotnik odbudowuje swe zużyte mięśnie, uczony lub artysta znajduje odpoczynek dla znużonego natężeniem mózgu; knajpa jest ro-

dzajem snu, daje ona człowiekowi, zmęczonemu pracą fizyczną lub umysłową, kilkogodzinne zapomnienie, pokrzepienie, po którym powraca do pracy ze świeżymi siłami. Przytem w knajpie człowiek jest zupełnie swobodnym; przychodzi, kiedy ma czas i czuje potrzebę wytchnienia, wychodzi, kiedy trzeba powrócić do pracy, nie potrzebując tłumaczyć się z tego nikomu; etykieta nie zmusza go do odsiedzenia tyłu a tyłu godzin, wymienienia tyłu a tyłu komunałów, uprzejmego słuchania głupstw. U nas z rautów i salonowych posiedzeń wracają ludzie znużeni, kontenci, że już odsiedzieli swoje, potrzebujący więcej odpoczynku po tej „zabawie“, rażącej dysonansami i komunałami, niż po właściwej pracy; tego rodzaju „zabawy“ muszą zmniejszać produktywność jednostki i całego narodu.

Przytem w domu, nachodzeni przez gości, wytrącani bywamy ze swych obowiązkowych zajęć, tracimy czas daremnie. Proszę sobie np. wyobrazić miłe położenie tego, kto, mając na głowie jakąś pracę (uczony, literat, urzędnik i t. p.), bywa nachodzony w imię „polskiej gościnności“ dzień w dzień, a gdy posiada tylko siedm domów znajomych, już łatwo mu się to może zdarzyć; spraszanie zaś wszystkich znajomych na dzień jeden jest często trudnem, raz z powodu względów materyalnych, szczupłości mieszkania i t. p., drugi raz z powodu ciężaru kombinowania bardzo różnych nieraz elementów; boć znajomi składają się np. z krewnych, z którymi nieraz, wobec dzisiejszej epoki przełomu idei, nie łączy nas nic więcej, prócz jakichś wspomnień dzieciństwa; z przyjaciół, z którymi nas łączą wspólne koleje życia; z kolegów po fachu, ze znajomych oficjalnych, interesantów i t. d. i t. d. takie elementa trudno nam skombinować. Proszę więc sobie, jak powiadam, wyobrazić np. uczonego zajętego jakąś ideą, którą chce urzeczywistnić, literata, piszącego zamówiony artykuł, profesora zmuszonego na jutro opracować lekcję i t. d. — proszę sobie wyobrazić, że takiego lub tym podobnego człowieka pracy nachodzą goście przez czas jakiś codziennie i siedzą wedle zwyczaju do 12-ej lub 1-szej w nocy; czyż to nie prawdziwa klęska dla niego? Nieraz musi on, dzięki gościom, wyrzec się zupełnie snu

w nocy lub nie spełnić swych obowiązków. Dla takiego człowieka, co jest jakimś potrzebnem kółkiem w maszynie społecznej, wyrażenie: „gość w dom, Bóg w dom“ — to gorzka ironia.

Staropolska gościnność możebną jest tylko dla próżniaków, darmozjadów bez zajęcia, dla pasorzytów społecznych lub dla tych ludzi pracy, którzy, aby utrzymać dom na odpowiedniej stopie, nie wahają się zaprzedać swych przekonań lub stać się wołami roboczezi.

A zatem, panowie, nie macie się z czego cieszyć, że ta „cnota“ ojców nie wygasła jeszcze, bo to tylko dowód tego, iż u nas dużo jeszcze ludzi lekkomyślnych, bez stałego zajęcia, uważających życie za rozrywkę, a nie za obowiązek; lub dowód tego, że wielu ludzi o wyższych aspiracjach ulega zmarnowaniu, spoleniu, — jednym słowem, to dowód naszej pierwotności. Zanikanie zaś tej „cnoty“ jest ze stanowiska etnologii właśnie pocieszającym objawem, bo zapowiedzią zmniejszania się naszej lekkomyślności, znakiem sumienniejszego spełniania obowiązków, wzmoczenia produktywności i niezależności myśli, — jednym słowem, jest znakiem kroku naprzód na polu cywilizacji ¹⁾.

¹⁾ Artykuł powyższy, napisany przed kilkunastu laty, obecnie nie wyda się już zapewne tak wielkiem, jak podówczas, dziwactwem.

Z powodu artykułu
„ETYCZNE ZNACZENIE GEOGRAFII”¹⁾.

(Uwagi krytyczne)²⁾.

Przystępując do rozbioru wyżej zatytułowanego artykułu, oświadczamy otwarcie, iż wiemy, kto się w nim ukrył pod skromną maską „Starego Pedagoga“: poznajemy naszego ukochanego, a niestety świeżo zmarłego, profesora geografii³⁾ z młodzieńczych lubelskich czasów; profesora-obywatela o sercu gorącym, który pierwszy zasiewał w nas ziarna wiedzy geograficznej, otwierał szersze horyzonty w tej tak zaniedbanej do niedawna nauce; który spodziewał się wiele po swych uczniach, więcej zapewne, niż okoliczności zdziałać im pozwoliły, skoro powiada, że w geografii „podażaliśmy“ tylko za prądem zagranicznym i to nawet między innymi francuskim^(?)⁴⁾. Profesora tego kochaliśmy i szanowali, a pamięć o nim pozostanie dla nas drogą na zawsze.

¹⁾ Ob. „Przegląd Pedagogiczny”, 1891, nr. 14 i 15.

²⁾ Artykuł napisany w r. 1891.

³⁾ Mowa tu o Aleksandrze Szumowskim.

⁴⁾ Zresztą inni poczytywali to nam za błąd, żeśmy właśnie nie „podażali” za francuzami w geografii; mówiąc nawiasem, my uparcie poczytywać to sobie będziemy za zaletę, choćby ona nawet miała być jedyną.

Ponieważ jednak zapatrywania nasze na kwestyę, poruszoną w pomienionym artykule, znacznie odbiegają od przekonań tam wyrażonych, więc nie możemy nie zabrać głosu w tej sprawie; tem bardziej, że nie pozwala nam na to tak nasz stosunek do geografii w ogólności, jak i do „Przeglądu Pedagogicznego“ w szczególności ¹⁾.

Oceniając jak należy szlachetne pobudki autora-obywatela, musimy mimo to stauowczo poczynić pewne zastrzeżenia co do twierdzeń „artykułu“; a to tembardziej, że artykuł ten, trzymany w tonie dość ogólnym, pozostawia w zastosowaniu praktycznem szerokie pole i może zaprowadzić niektórych nauczycieli, wykonawców, nawet znacznie dalej, niż chciał tego sam inicjator; może dać pochop do niebezpiecznej reakcyi w nauce, cofnąć ją w czasy teleologii średniowiecznej, z której zaledwie dopiero zaczęła się u nas otrząsać.

Co zaś do wyżej wspomnianych „pobudek“, co do celów, już nie naukowych, lecz ogólniejszych, to błędną jest rada tych, co każą tonącym chwytąć się dla ratunku deski gnijącej: lepiej odważnie rzucić się w fale, bo wśród nich możemy się nauczyć pływać i zmęźniejemy; tymczasem, trzymając się deski gnijącej, możemy się wprawdzie czas jakiś utrzymać na powierzchni, lecz gdy deska zgnije do reszty, a silna fala uderzy, wtedy my, nieumiejący pływać, z członkami zmartwiałymi od braku ruchu, pójdziemy na dno odrazu i bez ratunku.

Najprzód dla jasnego postawienia kwestyi koniecznem zdaje nam się zwrócić uwagę, że z dzisiejszego stanowiska tytuł artykułu nie zupełnie odpowiada jego treści: treść bowiem ma na celu wykazać potrzebę kształcenia, za pomocą geografii, uczuć nie tyle etycznych, ile religijnych; a to z dzisiejszego stanowiska nie jest bynajmniej jedno i to samo.

Uczucie religijne jest związane ze sferą tajemniczości, niezgłębionej dla umysłu człowieka. Etyka zaś nie może, a przy-

¹⁾ Autor niniejszych „szkiców“ był naówczas członkiem redakcyi tego pisma.

najmniej nie powinna wiązać się z uczuciem tajemniczem, niepojętem: jako kierowniczką naszego postępowania w życiu, musi ona wiązać się z warunkami realnymi i wymaganiami tego życia; musi wypływać a posteriori z warunków życiowych danego społeczeństwa w danej jego fazie ewolucyjnej; musi opierać się naukowo na realnych zdobyczach bio- i socjologii ¹⁾.

Wszelka etyka aprioryczna, oparta na tajemniczości, nie licząca się z realnymi warunkami życia, musi prowadzić swych adeptów albo do rozbicia głowy o kamień rzeczywistości (np. zasada umartwiania ciała w przeciwstawieniu do biologicznej zasady higieny i socjologicznej zasady produktywności jednostki społecznej), do bezużytecznego marnowania energii życiowej, do fakiryzmu; albo do omijania tej etyki w życiu, którą wyznają w teorii, do chińskiej hipokryzyi. W pierwszym razie społeczeństwo stanie się pastwą wyzyskiwaczy moralnych, propinatorów moralności, którzy każą innym poświęcać rzeczy realne, ziemskie dla tajemniczych, nieziemskich, aby sami tem snadniej stać się mogli panami pierwszych (kasta kapłańska związana z kastą wojowników i dążąca do szafarstwa dwiema dźwigniami życia: głodem i miłością). W drugim razie społeczeństwo zostanie strawione przez raka demoralizacji: prawo istnieć tam będzie zdaje się na to tylko, aby wynaleźć kruczek do jego obejścia.

¹⁾ Jednakże nawet jeden z głębszych naszych umysłów, socjolog, uległszy widocznie reakcyi, boi się „koszernej postępowości”, skłonny jest przypisywać moralność i popęd do czynu u Anglików, ich religijności; pisarz ten zapomina zapewne o niezliczonej ilości wołów i butelek piwa angielskiego, pochłanianych przez tych moralistów i religiantów, oraz o atletycznym wyrobieniu ich mięśni; zapomina, że te i inne dźwignie czynu czerpią oni w moralnem gnębieniu Irlandczyków i religijnym wyzysku sił nędzarzy i ciał nędzarek. To właśnie daje im ową pogodę umysłu i spokój sumienia, oraz niezachwianą wiarę w „cudowny ład” tego najlepszego ze światów. Szkoda tylko, że czasem choć chwilowo ta „moralna“ ich równowaga bywa naruszana przez jakiś skandaliczny proces lupanarowy lub bakaratowy. Jeżeli więc pomieniony autor nie chce być „koszernym postępowcem”, to zdaje się mieć pewne prawo od niego wymagać, aby był „koszernym” (to znaczy konsekwentnym) socjologiem.

Do etyki, opartej na tajemniczości, doskonale da się zastosować logika Omara: albo prawidła jej przypadkowo zgadzają się z wymaganiami życia i w takim razie jest ona niepotrzebna, albowiem życie samo doprowadzi w sposób daleko ściślejszy i zrozumialszy do tych samych prawideł; albo zawiera ona prawidła sprzeczne z wymaganiami życia i wtedy jest szkodliwa.

Wracając teraz do geografii i omawianego jej znaczenia, łatwo zrozumiemy, że w celach wychowawczych może ona, a nawet powinna wywierać wpływ na etykę wychowawców i to naturalnie tylko na etykę, opartą na nauce i realnych warunkach życia. Jakież to wspaniałe pole dla nauczyciela geografii np. przy traktowaniu walk Holendrów z morzem, wskazać na olbrzymie rezultaty współdziałania i wytrwałości; na doniosłość spełniania obowiązków społecznych przez każdą jednostkę. Przy traktowaniu Stanów Zjednoczonych południowych wskazać na demoralizujący i zgubny wpływ niewolnictwa, wogóle nierównowagi społecznej. Przy Hiszpanii — na skutki fanatyzmu i t. d. A ileż to uwag nastęrcza się przy traktowaniu Irlandyi, Lombardyi, Wołoszczyzny, malarycznych okolic włoskich, opłakanych stosunków Sycylii, lamaizmu tybetańskiego, tabuizmu polinezyjskiego i t. d. Ale nawet i bez tego sama *nauka* o ziemi jako taka, wyjaśniając zjawiska przyczynami naturalnymi, uwalniając umysł wychowawca od wielu zabobonów, przyczynia się do jego umoralnienia.

Co zaś do tajemniczości, niepoznawalnego, religii, to wplatanie tych rzeczy do geografii byłoby negacją nauki: ona badać może tylko poznawalne, a pobudkę do badań znajduje w ciągłym powątpiewaniu. Wplatanie to jest szkodliwe zarówno teoretycznie naukowo, jak i praktyczno-społecznie. Najprzód bowiem prowadzi w nauce do takich absurdów, jak np. że „na pustyniach deszcze nie padają dlatego, że tam nie ma ludzi. więc są niepotrzebne“; że „łądu na ziemi więcej jest, niż wody, bo jakżeby Stwórca miał się więcej troszczyć o ryby, niż o człowieka“ i t. p. Piękne korzyści z mieszania tajemniczości do geografii, nieprawdaż? Powtóre, w praktyce życiowej daje ono oręż fanatykom oraz zręcznym hi-

pokrytom, którzy z jego pomocą będą przeprowadzać swe interesy partyjne, nie wspólnego ani z nauką, ani z pomyślnością społeczeństwa niemające, prowadzące do wyżej wspomnianego eksperymentu z gnijącą deską.

Po ogólnym rozbiorze kwestyi, zastanowimy się teraz nad paru twierdzeniami omawianego artykułu, które autor przytacza na poparcie lub rozwinięcie swej myśli głównej.

1) Spotykamy się tu mianowicie z dość znanem twierdzeniem, że w wychowaniu jednostki należy powtarzać wszystkie fazy (błędy) rozwoju ludzkości.

Twierdzenie to, jakkolwiek utarte, nie wydaje nam się jednak bynajmniej słusznem; rodząca się dziś jednostka nie równa się jednostce z przed lat tysiąca: przynosi ona ze sobą *in potentia* wszystkie zdobycze ewolucyi poprzednich pokoleń, nie potrzebuje więc powtarzać dawno przebytych i zapomnianych błędów, staje odrazu *in potentia* na wysokiem piętrze, zbudowanego przez dawne pokolenia, gmachu, z którego prowadzić należy dalszą budowę; zresztą, na to przecież jest nauka i nauczanie, aby człowiekowi, względnie — uczniowi, oszczędzić ponownego doświadczenia tego, co już przed nim inni doświadczyli. Jeżeli zaś zwolenników powyższego twierdzenia nie zadawalniają wywody teoretyczne, to zapytam ich praktycznie: czy zechcą oni w sferze nauki nauczać dzieci, że pioruny rzuca Jowisz ukryty w chmurach, a w sferze etyki odbywać z malcami praktyki kani-balizmu?

2) Dalej, że z faktów naukowych należy korzystać dla wykazania za ich pomocą wielkości Stwórcy oraz cudownego ładu wszechświata i tym sposobem wpływać na uczucia religijne wychowawców?

Dalecy jesteśmy od negowania uczucia religijnego u człowieka, ale jeżeli mamy uczucie to rozwijać, to nie opierajmy go na takich podstawach, które później, przy wyższym rozwoju umysłowym wychowawca, muszą runąć, albowiem z runięciem sztucznych podstaw runąć może i samo uczucie i w ten sposób ci, co

najbardziej pragną uczucie to rozwijać, najbardziej mu szkodzą. Tak się ma i z owym mniemanym „ładem“. gdy uczeń dojdzie do jakiego takiego rozwinięcia filozoficznego, łatwo zrozumie, że ów „ład“ jest jedynie złudzeniem umysłu i wynika stąd, że umysł nasz jest *conform* ze światem zjawisk, bo wśród nich i na nich się rozwinał. Gdyby jakiś stwórca nieznan w przystępie gniewu rzucił garść najbardziej chaotycznie schwyconych elementów w przestwory wszechświata, to świadomość, która by się na ich podstawie rozwinęła, musiałaby układ taki uważać za „ład“ i, w razie bezkrytyczności, podziwiać jego cudowność i mądrość. Ład i nieład, chaos i porządek nie są to pojęcia absolutne, lecz są to stosunki danego układu do danej umysłowości.

Przy sposobności autor artykułu wyraża życzenie, abyśmy z nauki Kopernika rozwijali mianowicie ową ideę cudownego ładu wszechświata. Idea ta była zupełnie w duchu owych czasów, gdy sądzono, iż deszcz nie pada na pustynię z powodu, że tam jest nie potrzebny; gdybyśmy jednak przyjęli na siebie rolę rozwijania jedynie takich idei, to byłoby to z naszej strony zaiste już chyba mniej niż skromnością!

3) Z przykrością wreszcie wyczytujemy w omawianym artykule takie wyrażenia, jak: „wywracanie koziołków pozytywizmu“; „obłąd spirytyzmu“ i t. p. Czyż badanie, oparte na doświadczeniu, ma być wywracaniem koziołków, czy nie słuszniej wyrażenie to mogłoby przysługiwać bujaniom metafizycznym? A znów przypisywanie „obłądu“ takim poważnym badaczom, jak Crookes i inni, czy nie jest, lekko mówiąc, za śmiałe; czy ci ludzie nie przystępowali do badania pomienionych zjawisk, uzbrojeni całą metodą nabytą w naukach ścisłych; czy nie otwiera się w zjawiskach spirytyzmu nowe, rozległe i do olbrzymich rezultatów mogące doprowadzić pole badania? Czyż więc słusznymi są nawoływania konserwatystów, by wobec tego wrócić do dawnych wierzeń? Daremne wołania: badania te bowiem są dalszym ciągiem rozwoju wiedzy, a bynajmniej nie uwstecznieniem do podań biblijnych. Zresztą, kto powrót taki radzi, nie powinien stawiać sobie naukowo kwestyi: „skądżeśmy przyszli i dokąd idzie-

my?": wszakże religia już dawno kwestyę tę rozwiązała, po cóż więc (ze stanowiska konserwatywnego) te wątpliwości? Po co (z tego stanowiska) w młodych wychowawcach budzić niedowierzanie w twierdzenia religii objawionej?

Reasumując nasze zapatrywania na kwestyę wyrażoną w tytule, zastrzegamy się raz jeszcze, że nie myślimy tu negować *uczucia* religijnego; nie chcemy tylko, aby religię rozciągano po za właściwą jej sferę—na pole nauki. Dla człowieka pierwotnego religia może zaczynać się już w tajemniczej chmurze, z której piorun wypada; dla człowieka nauki dopiero po za obłoczkiem Laplace'a, lub nawet po za ciemnymi kosmicznymi masami Crolla, które, pędząc po przestworach wszechświata, spotykają się ze sobą i uderzeniem wywołują powstanie systematów planetarnych. Obszary religii i nauki są w rozwoju umysłowości ludzkiej jak dwa koła współśrodkowe: drugie zawarte w pierwszym, rozszerza się w miarę umysłowego rozwoju ludzkości i zbliża się nieskończenie do osiągnięcia obwodu pierwszego; ścieśniać więc raczej należy obszar religii, aby go pogłębić, uszlachetnić, oczyścić od zabytków fetyszyzmu; nie zaś rozszerzać na obszar, podległy naukowemu badaniu, zmuszając naukę do „kozyłków“ metafizycznych. Nie, wykładający naukę powinien się stosować do względów religijnych, lecz odwrotnie: wykładający religię powinien mieć na względzie coraz nowe zdobycze wiedzy, aby nie stać z nią w rażącej sprzeczności i tym sposobem podkopywać uczucie religijne.

Nie dziwi nas, że ludzie starsi kochają i czezą poglądy i wierzenia swej młodości, że chcieliby je widzieć wiecznie młodemi i świeżemi. Któż z nas nie doświadcza bólu i żalu, widząc, jak to, co przyzwyczał się czcić i kochać w latach młodości, pada nieraz zdruzgotane pod nieubłaganym rydwanem wciąż naprzód pędzącej ludzkości; kto z żalem nie patrzył na bankructwo różnych wierzeń religijnych, idei i instytucji społecznych, pragnień idealizmu, romantyzmu i t. d., szczególnie w naszej epoce, epoce przełomowej. Lecz cierpienia nasze i żale

zamknijmy w sobie i idźmy dalej; one są nieuniknione, bo ludzkość iść musi przez ciernie i głogi, przez ostre, raniące skały, przez strapienia, zawcody i rozczarowania coraz wyżej i wyżej i nic jej nie powstrzyma. Kto, jednostka czy naród, iść z nią nie chce, kogo osłabia ból, kto zatrzyma się, by powieść stęsknionym wzrokiem za znikającymi kwietnymi nizinami, za mirażem dawno już znikłej oazy, ten zginie niechybnie, jak ginie maruder, mknącej w nieścignioną dal, karawany!

OCENA ZASŁUGI KOLUMBA.

„Wielki i wciąż wzrastający wpływ Nowego Świata na Stary stał się przyczyną, że imię odkrywcy ładu Amerykańskiego pokryło cieniem imiona daleko zdolniejszych i odważniejszych żeglarzy — szczęśliwy przypadek włożył Kolumbowi wieniec nieśmiertelności na głowę.“

Tak rozpoczyna swe studjum o Kolumbie geograf niemiecki Sophus Ruge ¹⁾. Uczony ten uzasadnia dalej szczegółowo powyższe twierdzenie, zdzierając aureolę ze słynnego odkrywcy, wykazując brzydkie wady jego charakteru (chciwość, podstępne zawieranie umów) i umysłu (dogmatyzm); jakoteż wielką niedostateczność jego wiedzy naukowej („Imago mundi“, nędzna kompilacya Piotra d'Ailly) i zdolności żeglarskich (niedokładność zdjęć, niepewność orientowania się). Ruge, wraz z Bancroftem, zarzuca nawet Kolumbowi to, że „przedstawiał się jako przynosiciel Chrystusa (Christophoros) dla ciemnych ludów pogańskich, podczas gdy w rzeczywistości rozpuścił on między nie całe legiony dyabłów.“

Wprawdzie przy końcu swej pracy Ruge stara się złagodzić ten ostry sąd, przyznając, że „Kolumb przez swe odkrycie otworzył nowe drogi dla historyi ludzkości i to pozostanie jego

¹⁾ S. Ruge. „Christoph Columbus“, 1892.

zasługą, mimo wszystko, cobyśmy mogli zarzucić jego osobie, jego charakterowi, jego żeglarskim uzdolnieniom“; w każdym jednak razie odkrywca Nowego Świata w obrazie skreślonym przez Rugę wygląda wcale nieszczególnie. W obronie Kolumba przeciw Rugemu (i innym) wystąpił petersburski profesor geografii, Petri ¹⁾).

Ale jakkolwiek przyznać trzeba, że Ruge sądzi Kolumba za ostro, to jednak z drugiej strony Petri, który zresztą swą obroną bohaterów wogóle, tak naukowych, jak społecznych, czyni bardzo sympatyczne wrażenie, daje się, co do Kolumba, unosić zapałowi znów nieco zadaleko. Oba autorowie stawiają się za mało na stanowisku czasu Kolumba. Ruge potępia go przeważnie ze stanowiska etyki i nauki dzisiejszej, Petri usiłuje go bronić z tegoż stanowiska. Tymczasem jeżeli z jednej strony krzywdą jest dla wielkich ludzi przeszłości potępiać ich na podstawie etyki i nauki dzisiejszej, to jest na podstawie tego wysokiego piedestału, który oni przecież swojemi wzniesli dla nas barkami, to z drugiej strony obrona z tego samego wysokiego stanowiska jest często niemożliwa i prowadzi do naciągania, oraz sprzeczności. Tak np. Petri, usiłując obronić Kolumba od zarzutu chciwości (wydarcie nagrody biednemu majtkowi, co pierwszy zoczył ląd), argumentuje, że „Kolumb inaczej patrzył na tę kwestyę“ (!); a równocześnie Pinzona potępia za chciwość (a może i Pinzon też „inaczej patrzył na tę kwestyę“²⁾).

To darmo! kto chce sądzić bez uprzedzeń, ten musi przyznać: 1) że brzydkie (z dzisiejszego stanowiska) strony charakteru Kolumba nie dadzą się zaprzeczyć; 2) że umysł jego był typu średniowiecznego, był splewany dogmatyzmem; 3) że wykształcenie jego (nawet z ówczesnego stanowiska) było niedostateczne. Ale z drugiej strony trzeba też przyznać, że ze stanowiska ówczesnego faktu powyższe wyglądają nieco inaczej: etyka owych czasów, to etyka konkwistadorów, na tle której Kolumb nie

¹⁾ Ob. „Wiadomości ces. rusk. Towarzystwa geograficznego“, tom XXVIII, zes. VI, 1892.

przedstawia się tak źle; nie był to przynajmniej okrutnik w rodzaju Korteza lub Pizarra. Podobnie i dogmatyczność umysłu była zupełnie w duchu owych czasów, a Kolumb przynajmniej zwalczał takie, stawiane mu przez zwolenników biblii zarzuty, jak np. że niemożliwym jest istnienie antypodów, lub że łatwo jest płynąć na zachód *wdół* (!) krzywizny ziemskiej, ale napowrót niepodobna będzie płynąć *podgórze* (!).

W każdym razie, mimo obrony powyższych dwóch punktów, Kolumb w zestawieniu z trzecim przedstawia się jako człowiek miary średniej. Wobec tego rodzi się pytanie, skąd sława Kolumba, czy on na nią zasługuje i w jakim stopniu; czy jest on rzeczywiście wielkim?

Pytanie to można rozstrzygnąć na podstawie „dokumentów ludzkich“, oraz na podstawie zasad przejawiania się siły człowieka, jakieśmy na innym miejscu rozwinęli ¹⁾.

Na tych podstawach *psychospoleczna geneza Kolumba* tak nam się mniej więcej przedstawia.

Kolumb był synem szynkarza, biedakiem, lecz z natury obdarzony wielką siłą absolutną; siła ta dała mu wielką ambicję, nie licującą z jego położeniem i otoczeniem, a jednak wciąż potęgowaną właśnie przez ten kontrast. Ubogi i niskiego pochodzenia, lecz czujący swą siłę, zapragnął zostać bogatym, znakomitym. Jakaż do tego droga? — morze, jak u wszystkich Genuesńczyków, drugich Fenicyan, przyciśniętych górami do wybrzeża, nie znajdujących środków do życia w swej ubogiej kamienistej ojczyźnie. Morze, to znaczy handel; lecz handel na wielką skalę, handel z bogatym Wschodem, został właśnie wtedy zatamowany przez wzrastającą potęgę mahometanizmu, stąd niepowodzenia Genuesńczyków wogóle, a Kolumba w szczególności. Pod tem parciem ekonomicznem powstaje więc we Włoszech idea szukania nowych dróg do bogatego Wschodu; powstaje idea „szukania wschodu przez zachód“ (Toscanelli).

¹⁾ Ob. art. „Natura i siła“ w „Prawdzie“, 1893, № 42, 43, 45.

I oto w tę ideę Kolumb, ambitny i namiętny wkłada całą swą duszę płomienną, całą swą wielką siłę absolutną; staje się w oczach filistrów „zwaryowanym na punkcie Zipangu“. — *Wielka siła absolutna i zwrócenie jej w jednym kierunku czynią Kolumba wielkim*; wielkim w tym jednym kierunku, ale zarazem małym lub miernym w kierunkach innych; to jest etycznym i naukowym (a także, jak wiadomo, i w administracyjnym).

Dla obrony więc wielkości Kolumba nie ma potrzeby wykazywać wielkości jego etyki, ani nauki, które *musiały* być mierne (jakkolwiek znów nie tak bardzo, jak z naszego dzisiejszego piedestału może się wydawać): gdyby Kolumb był uosobieniem altruizmu lub wielką potęgą na polu teoretyczno-naukowym, to nie wystarczyłoby mu z pewnością siły (wobec tego jej zapasu, jaki posiadał) na zwalczanie olbrzymich przeszkód praktycznych jakie z natury rzeczy musiał napotkać w urzeczywistnieniu swego planu odkrywczego; nawet owa zarzucana mu „wiara w autorytety“ była właśnie warunkiem zwrócenia siły w kierunku *czynu*.

Przyznając Kolumbowi wielkość, trzeba jednak zauważyć, że olbrzymia sława, jaką został obdarzony; sława, przyćmiewająca innych odkrywców, nie jest proporcjonalna do jego zasług, lecz raczej do olbrzymiego znaczenia Ameryki dla Europy. Otóż taka miara wydaje nam się niesprawiedliwością w przeciwnym kierunku; albowiem: po pierwsze, odkrycie Ameryki było skutkiem idei nie Kolumba, lecz Toscanellego, a w wykonaniu jej znaczną zasługę przypisać należy nieugiętej energii Pinzona; powtóre, odkrycie to, jakkolwiek doniosłe w skutkach, nie było *świadomym* celem podróży, lecz czystym *przypadkiem*, produktem ubocznym. Gdy np. jakiś pasterz, grzebiąc w piasku pustyni dla znalezienia wody, którą chce napoić swe stado, znajdzie przypadkiem źródło uzdrawiające, lub bryłę błyszczącego kruszczu, których zawartości nie pojmuje, lecz które zbadane i zużytkowane przez innych, staną się błogosławieństwem lub bogactwem ludzkości, to pasterz taki nie zasługiwałby na sławę proporcjonalną do wielkości skutków swego czynu, lecz tylko — do wielkości energii, z jaką po-

szukiwał wody. Olbrzymie dodatnie skutki odkrycia Ameryki dla Europy zarówno nie są zasługą Kolumba, jak ujemne skutki dla Indyan („rozsianie legiona dyabłów“) nie są jego winą.

Dalecy jesteśmy od chęci umniejszania sławy bohaterom, będącego tak na rękę filistrom; pragniemy tylko, aby ona była rozmierzana sprawiedliwie — *suum cuique!* W szczególności sława Kolumba musi mu być policzona jedynie na podstawie tej niespożytej energii i wytrwałości, z jaką zwalczał wszystkie przeszkody, tamujące mu drogę do celu; oraz — tej siły, z jaką przejął się nową ideą szukania wschodu przez zachód. Prócz tego, pod względem energii czynu musimy tuż obok Kolumba postawić Pinzona, który (nie będąc, jak Kolumb, znużony długoletnią walką) wykazał w czasie podróży więcej energii, zarysował się wybitniej, od samego admirała. Wreszcie musimy uznać, że jak Kolumb, tak i Pinzon byli tylko dzielnymi wykonawcami *idei Toscanellogo*.

Nowe odkrycie, jako fakt dotykalny, działa potężniej na masy, niż nowa idea: masy darzą większą sławą czyn, niż ideę, która go zrodziła. Historyk nauki musi przywracać naruszoną równowagę, naruszoną zasadę sprawiedliwości, i w danym razie — zaznaczyć, że odkrywcą Ameryki (lub ściślej — odkrywcą wschodu przez zachód) był nie tylko Kolumb z Pinzonem, ale i Toscanelli; podobnie jak np. w nowszych czasach, w dziele mniejszej skali, odkrywcą Lualaby-Kongo był nie tylko energiczny podróżnik Stanley, ale i uczyony geograf — Behm ¹⁾.

¹⁾ Behm mianowicie wykazał *teoretycznie*, że Kongo Portugalczyków (ujście rzeki) i Lualaba Livingstona (bieg górny) muszą stanowić jedną i tę samą rzekę (Petermann's „Mitteilungen“, 1872).

MICHAŁ HUBE

jako geograf - pedagog.

(Kartka z dziejów geografii).

Gdy, badając rozwój dziejowy jakiejś nauki, traci się wiele czasu na mozolne odczytywanie bibulastych, zapyzonych szpargałów, ażeby wynaleźć w nich najczęściej fakta i teorye już od dawna znane i oklepane, albo też przestarzałe i błędne, to jednak za to ma się czasami wysokie zadowolenie moralne: czasami uda się wyciągnąć z pyłu zapomnienia jakąś cenną perłę, postawić na należnym szanownym miejscu nazwisko zapomniane, przyémione nieraz miernotami, które niestety za życia swym życiowym sprytem zbyt często zdobywają przewagę nad prawdziwą zdolnością i zasługą, a nawet po śmierci przewaga ta prawem inercyi utrzymuje się czasem przez długie pokolenia ze szkodą tak pierwiastku naukowego, jak i ogólnie ludzkiego. Takiego uczucia moralnego zadowolenia doznaliśmy, odczytując wśród wielu naszych starych podręczników geograficznych dzieła Michała Hubego („Wstęp do fizyki“, 1788 i „Listy fizyczne“, 1791), niegdyś profesora matematyki i fizyki w korpusie kadetów (ur. 1737, um. 1807).

Oba powyższe dzieła Hubego, prawie jednakowe treścią, niewiele różne formą (pierwsze w formie popularnego podręcznika, drugie w formie listów), tytułami swymi, dość zresztą nieokre-

ślonymi, nie zdają się należyć do naszego tematu; jednakże, wyjąwszy końcowe ustępy, należące wyłącznie do fizyki, traktują one właśnie *geografię* matematyczno-fizyczną. Autor w obu tych dziełach postępuje od zjawisk najbliższych, od rzeczy zmysłowych do uogólnień, do abstrakcyi; od zjawisk na ziemi do ogólnych działów fizyki.

Matematyczna część geografii Hubego posiada szczególniej niezwykłą pedagogiczną wartość, odznacza się niezwykłą jasnością i popularnością; a popularność Hubego nie jest to owa popularność, która czyni rzecz nibyto zrozumiałą dla nieuka, a za to naprawdę niezrozumiałą dla uczzonego, gdyż polega na powierzchownem omawianiu, dowolnem uogólnianiu lub nieścisłości wyrażań i definicyi; owszem: Hube jest drobnostkowo subtelny, matematycznie ścisły w wyrażeniach, nie pominie żadnej wątpliwości, jaka może nasunąć się nowicyuszowi; sam sobie stawia w takich razach zarzuty i zbija takowe; jest on zarazem ścisłym matematykiem i genialnym pedagogiem, który potrafi najciaśniejszej głowie przedstawić rzecz jak na dłoni.

Dzieł Hubego nie wahamy się uznać pod względem pedagogicznym za epokowe, w części matematycznej—za nigdy nieprzestarzałe. Gdyby dziś przedrukować prawie dosłownie tę część, to otrzymalibyśmy wyborny podręcznik do geografii matematycznej; podręcznik, z którego każdy wykładający geografię mógłby, jeżeli nie pod względem faktycznym, to z pewnością pedagogicznym wiele skorzystać i to nawet w takim razie, gdyby był dobrze obeznany ze współczesną literaturą niemiecką w tym przedmiocie. Ale nie tylko pedagogom radzilibyśmy czytać Hubego: jest dużo ludzi „wyształconych“, którzy nie mają wyobrażenia o przyczynach wielu otaczających nas zjawisk — dla których nierówności dnia, pory roku, ruchy ziemi, wzajemne położenie ciał niebieskich, kół na niebie i ziemi i t. p., są to wszystko hieroglify, jakiś chaos bez wyjścia. Otóż takim radzimy też czytać Hubego, a ręczymy, że w miarę czytania doznają takiego uczucia, jak ślepy, gdy mu schodzi katarakta.

Powyższy nasz sąd o zaletach matematycznej geografii w dziełach Hubego musimy uilustrować niektórymi przykładami.

W szczególnie dowcipny, uzmysławiający, sposób Hłomaczy Hube ruch pozorny słońca. Gdyby, mówi on, ktoś w czasie porównania, będąc na równiku, postawił prostopadle skazówkę na tablicy poziomej, to przekonałby się, że cień jej przez cały dzień nie odstępuje od linii prostej, z zachodu na wschód poprowadzonej; do południa cień byłby ku zachodowi, coraz krótszy, w południe znikłby, a potem byłby ku wschodowi, coraz dłuższy. Stąd widzimy, że słońce przez cały ten dzień biegnie po płaszczyźnie, która przechodzi przez skazówkę pionową i przez linię prostą od wschodu na zachód, więc jest ona płaszczyzną pionową pod samym równikiem od wschodu na zachód rozciągniętą, to jest — jest płaszczyzną równika. W każdym innym dniu (nie w czasie porównania) słońce zakreśla równoleżnik. Jeżeli bowiem pod równikiem będziemy skazówkę kompasu zwracać tak przez cały dzień ku słońcu, aby cienia nie dawała, to przekonamy się, że ona stanowić będzie z linią południową zawsze równe kąty; a że linia południowa, dla wielkiej odległości słońca, za jedno z osi może być uważana (pod równikiem), więc linia, łącząca środek ziemi ze słońcem (reprezentowana właśnie przez skazówkę kompasu), kręci się dokoła osi, tworząc powierzchnię stożka prostego którego oś jest osią świata i który, przecinając się ze sklepieniem nieba, tworzy koło prostopadłe do osi, a więc równoległe do równika. Wierny jednak wyżej wspomnianej subtelności, autor dodaje zaraz, iż słońce właściwie zakreśla linię „węzokrętną“, ale w ciągu 12 godzin skazówka nie wykaże nachylenia skrętów, bo zwoje tej linii tak są do siebie zbliżone, że mogą uchodzić za równoleżniki.

Jeszcze jako dowód subtelności Hubego może służyć postawienie sobie następnej kwestyi: poziomy dwóch miejsc przeciwstonych są od siebie oddalone; dlatego gdy np. na równiku słońce bawi nad poziomem i jednym i drugim po 12 godzin, to zdawałoby się, iż obrót jego powinien trwać dłużej niż $12 + 12 = 24$ godzin, bo musi ono jeszcze przebyć łuki zawar-

te między tymi poziomami; tak jednak nie jest, gdyż w porównaniu z odległością słońca rozmiary ziemi nikną i oba poziomy zlewają się w jeden.

Wybornie też uzmysławia Hube pozorny roczny ruch słońca, podając sposób wykreślenia ekliptyki na globusie: zaczynając od chwili wiosennego porównania, oznacza się codziennie zboczenie słońca; równik dzieli się na 365 części, odpowiadających dniom, a mając zboczenie słońca dla każdego dnia, oznacza się za pomocą miesięcznego południka każdodziennie położenie słońca i szereg otrzymanych tym sposobem na globusie punktów łączy się za pomocą linii. Linia ta będzie kołem przeciętem pośrodku przez równik i nachylnem doń pod kątem $23\frac{1}{2}^{\circ}$. Słońce przebiega tę linię w ciągu roku, czyli 12 miesięcy, więc podzielono ekliptykę na 12 części równych, a ponieważ miesiąc ma średnio 30 dni, więc każdą z tych części podzielono jeszcze na 30 części, otrzymano więc razem 360 części (stąd każde koło zaczęto z czasem dzielić na 360°). Dla lepszego obserwowania tych 12 części podzielono gwiazdy, leżące w pobliżu ekliptyki, na 12 gromad i t. d.

Zjawiska księżycowe też są subtelnie traktowane: płaszczyzna drogi księżycyca niewiele różni się od drogi słońca (największe zboczenie księżycyca tylko o przeszło 5° większe od zboczenia słońca). Księżyc w pełni oddalony jest od słońca o 6 znaków, t. j. znajduje się w punkcie, odpowiadającym punktowi ekliptyki, wprost przeciwnemu ze słońcem; jeżeli więc wówczas słońce ma zboczenie północne, to księżyc ma południowe i odwrotnie. Dlatego to w czasie nocy letnich (gdy słońce ma zboczenie północne) księżyc tak nisko chodzi nad poziomem, jak słońce w zimie; w zimowe zaś noce księżyc krąży wyżej. W czasie pełni wschód księżycyca przypada o zachodzie słońca i t. d.

Słońce, objaśnia Hube, jest kulą, a nie płaską tarczą, bo w ostatnim razie podczas obrotu około osi powinno by przyjmować kształt podługowaty, a nawet kształt linii, gdy się krawędzią obróci; kula zaś zawsze ma postać okrągłej tarczy. Podobnież tłómaczy rozmałą krzywiznę kół na mapach: malarz, mówi on,

rozmaicie skrzywiony pierścień rysuje, stosownie do tego, z jakiego punktu nań patrzy. Czasem umie też Hube twierdzenie matematyczne uilustrować barwnym obrazem; mówiąc np. o późniejszym zachodzie słońca na szczytach gór, dodaje: według zeglarzy wyższa część pika Teneryfyy przedstawia zachwycający widok dla tego, kto po zachodzie słońca płynie około tej wyspy. Wyniesiona ponad ciemności, rozpostarte po morzu dokoła, zdaje się gorzeć purpurowym ogniem.

Takież same prawie pedagogiczne zalety posiada i fizyczna część geografii w dziełach Hubego: prowadzi on nas do kopiącej się studni, do stromych urwisk parowu i tam naucza o warstwach i skamieniałościach z dawnych epok geologicznych; wnosi z nich o zmianach klimatu i zmianach w rozkładzie lądów i mórz; zna już spostrzeżenie „pana Pallasa“, że morze Kaspjskie łączyło się niegdyś z Czarnem; z podobieństwa warstw po obu stronach cieśnin wnosi o oderwaniu się wysp od lądu i t. d. Do najlepszych należy dział o rzekach, traktowany gruntowniej i obszerniej, niż w wielu dzisiejszych podręcznikach do geografii fizycznej. Hube podnosi znaczenie rzek dla człowieka i ich wpływ na pomyślność narodów; tłumaczy ich płynięcie toczeniem się kuli po stole, gdy go nachylimy; tłumaczy warunki, od których zależy bystrość rzeki, więc najprzód od wielkości spadku (dlatego to tak bystrym jest pęd górskich potoków, dlatego to tak zjeżdżając z góry, hamujemy koła); dalej, od masy płynącej wody; dlatego to rzeki płyną tak bystro w czasie wiosennych roztopów (i są wtedy mętne, bo porywają więcej mułu); dlatego to rzeki głębokie i szerokie prędzej płyną, niż małe (w tych samych warunkach). W biegu danej rzeki prędkość się odmienia w miarę zmiany koryta (t. j. w miarę rozszerzania i zwężania, pogłębienia lub zmielenia), albowiem wyobraziwszy sobie dwa sąsiednie poprzeczne przekroje koryta, łatwo zrozumieć, że przez nie tyle wody musi odpływać, ile nadpływa, bo inaczej rzeka między przekrojami wzbierałaby, albo opadała; jeżeli więc koryto zwęzi się lub stanie się płytszem, to woda musi płynąć bystrzej, aby jej mogło tyle odpływać, ile szerzem i głębszem nadpływa. Dlatego to rzeka w ciasnych wąwo-

zach. o płytkiem, skalistem dnie, płynie bardzo bystro, tworzy wiry. W najgłębszej linii koryta woda płynie najbystrzej (podobnie jak rzeka, mająca więcej wody) i to się zwie nurtem. Gdy przy ujściu rzeka dzieli się na odnogi, to w punkcie podziału woda każdej z nich jest jednakowo wzniesiona nad powierzchnię morza, więc dalej ta odnoga, która jest dłuższa, ma mniejszy spadek: płynie leniwiej i zamula dno; dlatego to np. dłuższa odnoga Wisły nosi miano Leniwki. Zastanawia się też Hube nad unoszeniem i osadzaniem mułu, tworzeniem się delt, posuwaniem wybrzeży w morze, tworzeniem się napływowych wysp śród rzeki, działaniem wody na wybrzeża, przesiąkaniem wody rzecznej w grunt na boki i t. d. Brzegi strome, mówi on, bardziej ulegają zniszczeniu, niż pochyłe, bo w pierwsze fale i lody uderzają prostopadle (albowiem woda ma powierzchnię poziomą). Kępy rzeczne, zarosłe zwykle, z czasem wzrastają, bo rośliny, wstrzymując bieg wody, sprzyjają osadzaniu się piasku, nagie zaś wysepki woda często zmywa. Dalej mówi Hube o wodzie podziemnej, której istnienie objawia się w kopalniach nieraz zalewanych (np. Olkuskie), o źródłach mineralnych, źródłach nafty, wiecznych ogniach i związku ich z religią Parsów i t. d.

Naturalnie, że takie działy, jak o powstawaniu gór, trzęsieniach ziemi, wybuchach wulkanicznych, oceanie, wiatrach, są dziś przestarzałe, inaczej być nie może. Tylko w niewielu miejscach spotykamy rzeczy przestarzałe już i na owe czasy. Tak np. wedle Hubego, z morza Śródziemnego ma płynąć górą prąd do oceanu Atlantyckiego, a z Atlantyku, jako słońszego (?), dołem do morza Śródziemnego; jednakże już Halley obliczył, że ilość wody ulatniającej się z morza Śródziemnego jest większą, niż ilość przynoszona mu przez rzeki, zatem morze Śródziemne ma poziom niższy od Atlantyku i dlatego górą musi płynąć prąd od oceanu Atlantyckiego do morza Śródziemnego. Wogóle o prądach oceanu miał Hube fałszywe pojęcie, jakoby *cięższe* wody od równika płynęły *dołem* do biegunów, a *lżejsze* od biegunów górą ku równikowi. O górach lodowych sądził, iż powstały z nagromadzenia na sobie pól lodowych. Tłómaczenie zboczenia passa-

tów za pomocą pozornego dziennego ruchu słońca ku zachodowi, tłumaczenie bakonowskie, było już za czasów Hubego przestarzałe, albowiem Hadley dał już wtedy tłumaczenie prawdziwe. Niepotrzebnie też Hube zadawał sobie trud zbijać z powagą zdanie następujące: „mniemano dawniej, iż dlatego morze jest słone, aby się tak łącno wody jego nie psuły“; z równą powagą trzeba by chyba zbijać zdanie pewnego średniowiecznego geografa, który twierdził, że na pustynie deszcz dlatego nie pada, iż z powodu braku mieszkańców jest tam niepotrzebny! Tu i owdzie jednak zdarzają się i w tych działach u Hubego bystre poglądy, zgodne z dzisiejszym stanem wiedzy. Tak np. przy trzęsieniach ziemi znajdujemy miejsce godne uwagi: „trzęsienia ziemi nawet w tych krajach bywają, gdzie się ognisto góry nie znajdują, przeto *nie zawsze od jednej przyczyny pochodzić muszą.*“

Wogóle Hube sposobem przeprowadzenia rzeczy, jasnością i popularnością wykładu wiele przypomina „Fizyografię“ Huksleya, uznaną za dzieło znakomite. Jednak musimy przyznać, że, nie biorąc w rachubę tych postępów, jakie wiedza uczyniła przez stulecie, oddzielające ukazanie się dzieł Hubego, od „Fizyografii“ Huksleya i porównyując tylko sposób przedstawienia obu autorów, to w bardzo wielu wypadkach Hubemu trzeba przyznać pierwszeństwo.

Geografia JANA ŚNIADECKIEGO.

Geografia Jana Śniadeckiego, nazwana po polsku, zbyt etymologicznie, *opisaniem* ziemi ¹⁾, jest po dziele Jonstona, napisanem zresztą po łacinie ²⁾, pierwszą u nas geografiją fizyczną o szerokim zakresie.

„Założyłem sobie, mówi Śniadecki (przedmowa), wszystkie wiadomości, wynalazki i myśli do poznania ziemi ściągające się, rozrzucone po matematyce, astronomii, fizyce ogólnej, pod jeden widok zebrać“ i t. d.

Zadanie to spełnił autor w sposób, świadczący o jego wielkiem czytaniu i gruntowności, jakkolwiek naturalnie nie zdołał całkowicie uniknąć pomyłek. Dzieło Śniadeckiego zawiera geografiją astronomiczną i właściwą fizyczną (bez części biologicznej). Pierwsza zajmuje przeszło połowę książki i roz-

¹⁾ „Geografia czyli opisanie matematyczne i fizyczne ziemi przez Jana Śniadeckiego“ (trzy wydania: 1804, 1809 i 1818).

²⁾ Jan Jonston, znakomity naturalista i lekarz, pochodził z rodziny szkockiej, osiadłej w Wielkopolsce (ur. 1603, um. 1675 r.). Jego dzieło geograficzne, napisane po łacinie, wyszło w Amsterdamie pod tyt.: „John Jonston Thaumato-graphia Naturalis“ (cztery wydania: 1630, 1632, 1661, 1665). Treść tego dzieła podaliśmy w „Wiście“ z r. 1888.

poczyna się wiadomościami wstępnymi z kosmografii (gdzie wyłożono między innymi złudzenia wzroku) i mechaniki, wraz z geometryą (o siłach, ruchu, liniach krzywych, kuli i kołach na niej). Część ta, oparta na matematyce, nie wiele straciła na wartości i dotąd może służyć za podstawę do wykładu.

Geografia fizyczna właściwa w dwóch pierwszych wydaniach zawiera tylko naukę o morzu i atmosferze (umieszczona przy końcu kartografia należy właściwie do geografii astronomicznej), dział zaś o lądach i wodach lądowych dodano dopiero w wydaniu z r. 1818. Śniadecki oddzielał, jak wiadomo, geografię matematyczno-fizyczną ostro od politycznej, stał więc na punkcie antypodycznym względem wyłącznie znów statystyczno-politycznego kierunku Büschinga; a jednak już wówczas rozpoczynała się dążność do płodnego połączenia obu tych działów geografii (Gatterer, Ritter).

Ważnym niedostatkiem Śniadeckiego z dzisiejszego, a do pewnego stopnia nawet i z ówczesnego stanowiska, jest zupełne pominięcie geografii organizmów, która już przy końcu poprzedniego i na początku bieżącego stulecia zaczynała kiełkować (Zimmermann „Tiergeographie“, 1778; Humboldt „Ideen zur Geographie der Pflanzen“, 1805). Morfologia powierzchni ziemi (plastyka) uwzględniona została, jak wspomnieliśmy, dopiero w późniejszych wydaniach i to słabo, a jednak wtedy już Humboldt i Ritter zakładali jej podstawy.

Wogóle na geografii matematyczno-fizycznej Śniadeckiego widać, że pisał ją matematyk i fizyk, lecz nie geograf; tego rodzaju geografie fizyczne pojawiają się zresztą aż do naszych czasów: autorowie ich, przygotowani w swym specjalnym przedmiocie, zlepiają dzieła takie z działów astronomii i fizyki; pojedyncze części same w sobie są zwykle dobre, ale nie są ze sobą powiązane ideą geograficzną; przytem geografie takie są zwykle pozbawione głowy, t. j. części biologicznej (taką np. jest, wyborna zresztą w szczegółach, mała geografia A. Witkowskiego).

Co do geografii Śniadeckiego, to część astronomiczna (matematyczna), oparta na matematyce, mimo całego prawie stulecia,

jakie upłynęło od jej wydania, nie wiele, jak powiedzieliśmy, straciła na wartości; część fizyczna właściwa jest natomiast obecnie już bardzo przestarzała, jakkolwiek Śniadecki, potępiając geografję polityczną za jej niestałość, twierdził, że prawa geografii fizycznej są zawsze niewątpliwe i stałe¹⁾; a nawet niektóre kwestye były przestarzałe już za czasów Śniadeckiego.

Tak w teoryi prądów morskich Śniadecki, idąc za Bernoullem, tłumaczy prąd równikowy wirowym ruchem ziemi, a prądy, płynące ku biegunom — większem ogrzewaniem się, a stąd wzniesieniem się, wody pod równikiem; jest to uwsteczniczenie wobec Hubego, który za główną przyczynę prądów uważał wiatry, jak to i my obecnie za przykładem Zöppritza czynimy. Za to w tłumaczeniu passatów Śniadecki, idąc za Hadleyem, zarzucił już bakkonowskie objaśnienie ruchem dziennym słońca ku zachodowi; objaśnienie to zbija Śniadecki w następujący sposób: „To tłumaczenie przypuściwszy, wypadłby raczej w pasie gorącym ziemi wiatr wschodni i zachodni, naprzemian wiejący; bo wystawiwszy sobie przez płaszczyznę południka ziemię, podzieloną na część wschodnią i zachodnią, od czasu południa do czasu północy część zachodnia jest bardziej ogrzana, niż wschodnia; więc z tej ostatniej powietrze popłynie do pierwszej. Ale od czasu północy do czasu południa część wschodnia jest bardziej ogrzana, niż zachodnia; więc dla tej samej przyczyny powietrze w drugim przypadku

¹⁾ Przytem i samo lekceważenie geografii politycznej przez Śniadeckiego nie może też cieszyć się „stałością“. Śniadecki nie przeczuwał, że i geografia polityczna, wogóle geografia człowieka, może z czasem też dojść do sformułowania praw niemal tak samo ścisłych, jak prawa geografii fizycznej; że np. istnieje nie tylko pas uprawy wina, ale i pas prawodawców religijnych, że mucha tsetse wyznaczyła nie tylko granicę rozprzestrzenienia się bydła, ale oraz granicę państwa Boerów i t. p. Wprawdzie z biegiem czasu prawa geografii człowieka, prawa jego związku z przyrodą, ulegają zmianom; ale i te zmiany można, lub można będzie, ująć też w pewne prawa.

płynąć powinno od zachodu na wschód, dla której w pierwszym przypadku płynie od wschodu na zachód.⁴ Tłómaczenie mussonów Śniadecki niesłusznie przypisuje sobie, albowiem już przed nim wytłómaczył je Halley. Podane przez Śniadeckiego stosunkowe ilości składników powietrza atmosferycznego (27 tlenu, 72 azotu, 1 kwasu węglanego), już na owe czasy były przestarzałe. Mylnem też jest twierdzenie Śniadeckiego, że gdyby nie wiatry, to gazy, wchodzące w skład atmosfery, „ułożyłyby się według swych ciężkości gatunkowych, podzieliłyby ją na pokłady śmierci i życia dla zwierząt i roślin“: twierdzenie to sprzeciwia się prawu Daltona o dyfuzji gazów (1802 r.), a nawet stawia Śniadeckiego w sprzeczność ze sobą samym, albowiem w innym miejscu, z powodu powietrznej żeglugi Gay Lusaca, autor tak mówi: „*falszywe* było mniemanie tych fizyków, którzy rozumieli, że wiatry, mieszając powietrze, nie dają się gazom, do składu atmosfery należącym, ułożyć warstwami, stosownie do ich ciężkości gatunkowej.“ W swej teorii gradu (zamarzanie kropel wody wskutek silnego ułatniania, wywołanego długim spadkiem z *bardzo znacznej wysokości*) Śniadecki nie wziął na uwagę tej okoliczności, że Humboldt przy wejściu na górę Chimborazo (1802 r.) został napadnięty przez silny grad na wielkiej wysokości, mianowicie 17,400 stóp par. i że wogóle wysokie wyżyny Kordylierów (paramos, puna) bywają nawiedzane częstymi i straszliwymi gradami, jak o tem świadczy Humboldt w swych podróżach po Ameryce (tom II, str. 254, 255, polsk. przekł.). Okoliczność ta czyni mianowicie teorię Śniadeckiego bardzo nieprawdopodobną: jeżeli bowiem grad pada *na* znacznej wysokości, to nie może w tym razie padać *ze* znacznej wysokości (względnej do poziomu, na który spada). O ułatnianiu miał Śniadecki pojęcie już na owe czasy bardzo przestarzałe: uważa on je za sprawę chemicznego łączenia się wody z powietrzem („jak kwasy rozpuszczają metale, tak powietrze rozpuszcza wodę“); tymczasem już w r. 1752 Leroy, lekarz z Montpelier, uważał ułatnianie za sprawę fizyczną, zależną od temperatury.

Przy końcu nauki o powietrzu spotykamy najniefortunniejsze pomysły Śniadeckiego; nie możemy tu powtarzać jego rozwlekłych i zawiłych rozumowań, dość, że na ich podstawie dochodzi on do następujących dziwolągów: „Powietrze, od biegunów ku równikowi płynące, mieści w sobie masę wody, rozpuszczonej przez gęstość (podług powyższej chemicznej teorii Śniadeckiego, im powietrze jest gęstsze, tym więcej wody rozpuszcza); ta gęstość, ciepłem dojmującym osłabiona w pasie gorącym, sprawuje obfite opadanie wody w deszczach peryodycznych“ (a więc, według Śniadeckiego, ciepło wywołuje skroplenie!).

Za to podnieść należy trafność sądu Śniadeckiego, gdy zwraca on uwagę na niewłaściwość astronomicznej podstawy przy podziale ziemi na pasy klimatyczne i usiłuje dokonać podziału na podstawie fizycznej, to jest za pomocą termometru. Jest to zaród tej idei, którą w nowszych czasach podjął i urzeczywistnił Supan (Petermann's „Mitteilungen“, 1879), a mógł urzeczywistnić, bo miał na swe zawołanie izotermy, nieznane jeszcze Śniadeckiemu.

Przy omawianiu cyrkulacji wody na ziemi Śniadecki, prócz zwykłego wyjaśnienia źródeł (z wód atmosferycznych), przyjmuje jeszcze inne, sięgające aż czasów filozofii jońskiej, a zwalczone już przez Palissy'ego w r. 1580; mianowicie przypuszcza Śniadecki przesiąkanie wody morskiej w grunt i wznoszenie się jej bądź na zasadzie włoskowatości, bądź na zasadzie naczyń połączonych; przyczem woda przesiąkająca pozbywa się części mineralnych, dochodzi do stanu wody deszczowej, staje się lżejszą i dlatego źródła mogą występować wysoko nad powierzchnią morza.

Co do pierwszego jednak, to teoria włoskowatości tłómaczy wprawdzie wznoszenie się wody w gruncie nad poziom morza, ale nie tłómaczy jej wytryskania na powierzchnię ziemi. Przytem w nowszych czasach obliczono, że wskutek włoskowatości wzniesienie wody w gruncie jest bardzo nieznaczne; w grubym zwirze woda wznosi się zaledwie ponad swój poziom hydrostatyczny, w średnio grubym piasku wzniesienie wynosi tylko 0.3 m., w gruncie piaszczysto-gliniastym — 0.6 m., w glinach

i marglach—1.5 m.; wyżej wznosi się tylko woda w gruntach tłustych i torfiastych (Daubrée: *Eaux souterraines*, Haas: *Quellenkunde*, str. 24).

Co do drugiego zaś, to Śniadecki dla objaśnienia źródeł w górach na 3000 stóp wysokich musiał głębokość morza przypuścić skromnie na 100000 stóp; ze stosunku bowiem ciężaru wody deszczowej do morskiej, jak 100 : 103, wypada na zasadzie prawa naczyń połączonych proporcya: $100 : 103 = 100000 : x$, skąd x , to jest odległość pionowa źródła od dna morskiego = 103000, więc wysokość nad powierzchnią morza = 3000 stóp.

Śniadecki nie wierzył ani w podwyższanie się temperatury w miarę zagłębiania się w ziemię, ani w ogniste wnętrze ziemi; niska temperatura wody na dnie mórz wystarczała mu do obalenia tych twierdzeń; a trzęsienia ziemi przypisywał, podobnie jak to już czynił Arystoteles, gazom powietrza zamkniętym w pieczarach ¹⁾.

O ukształtowaniu dna morskiego nie mógł Śniadecki naturalnie mieć prawdziwego pojęcia: uważał on je, zgodnie z Buachem, jako analogiczne z powierzchnią lądu—jako „nastrzępione górami“.

Natomiast, mimo dawniejszego odkrycia Gmelina, że poziom morza Kaspijskiego leży niżej od poziomu oceanu, Śniadecki powtarza bajkę, że morze Kaspijskie łączy się podziemnymi kanałami z Czarnem, a nawet z oceanem Wielkim! Bajka ta wzięła początek od historyków Aleksandra W., którzy, chcąc mu przysporzyć sławy, zapewniali, że morze Kaspijskie, którego dosięgnął, stanowi część oceanu.

¹⁾ Również błędnie zapatrywał się na trzęsienia ziemi i wulkany Jędrzej Śniadecki: zjawiska te objaśniał on procesami chemicznymi, mianowicie zetknięciem się wody z pokładami węgla, obfitemi w piryty, i dochodzi na tej podstawie do niefortunnego wniosku: „Bez przytomności jestestw organicznych na ziemi nie miałyby miejsca wulkany, które bardzo późno (!) po pierwiastkowym utworzeniu świata powstać musiały („Teorya jestestw organicznych“, 1838, I, str. 88).

Góry Ryfejskie (Uralskie) są, według Śniadeckiego, odnogą Altajskich, a góry Brazylijskie i Alegańskie — odnogami Andów. Mimo wielkiej trzeźwości, pozytywności umysłu, nie ustrzegł się Śniadecki jednak pewnej teleologii: zaznaczywszy, że góry ciągną się w pobliżu wybrzeży oceanu, uważa je za jakieś „obronne szafice“ i dodaje: „łąd, leżący między cieśniną Gibraltarską i morzem Bałtyckiem, tak wielkiego obwarowania nie *potrzebuje* (przeciwnie!) i nie ma *też* ciągnących się gór wysokich.“ Brak wody w pustyniach np. w „Zacharze“ objaśnia Śniadecki względem zbyt lokalnym — brakiem gór.

Niezbyt logiczne (nie mówiąc już o nieprawdziwości) jest wystąpienie Śniadeckiego przeciw twierdzeniu, że łąd Azji jest więcej wzniesiony od innych, na tej podstawie, iż na nim znajduje się zapadlina morza Kaspijskiego. Błędem jest dalej twierdzenie, że „Podole i Ukraina, jeśliby nie były zdolne do utrzymania winnic, to chyba tylko dlatego, że nie są od wschodu górami zasłonięte“ (a winnice nad Donem i Wołgą?). Że Śniadecki każe Nigrowi uchodzić do jeziora we wnętrzu Afryki, to nie powinno nas dziwić, gdyż dolna część Nigru później dopiero została zbadana przez Clappertona.

Przy końcu swej książki Śniadecki traktuje kartografię w sposób gruntowny: zastanawia się nad rzutami perspektywicznymi (głównie steoreograficznymi, dla których na drodze trygonometrycznej wyprowadza wartości promieni równoleżnika i południka), walcowymi i stożkowymi; jednak i ten dział książki jest dziś już niedostateczny, zwłaszcza wobec przewrotowych badań francuskiego matematyka Tissota, które w Niemczech zostały dalej rozwinięte przez Hammersa i Bludau'a. Śniadecki, zastanawiając się nad racją bytu map nieperspektywicznych, które choć nieraz dają obrazy ziemi bardzo skarykaturowane, mimo to jednak są bardzo użyteczne dla pewnych zgóry założonych celów, wypowiada godne analityka zdanie: „Karta zaiste geograficzna, będąc wyrażeniem rysunkowem kombinacji i rachunku, bardziej być powinna obrazem dla rozumu, niż dla oka.“

Język autora w omawianem dziele nie zdaje się stwierdzać ogólnego w tym względzie o Śniadeckim mniemania. Pominąwszy nawet liczne różnice od dzisiejszego naszego języka, naturalne u pisarza tak zamiłowanego w archaizmach (np. „uwaga“ zamiast rozważanie, „naturaliści obłąkani“ zamiast „wprowadzeni w błąd“, „zamiecie“ zamiast „mielizny“, „przystojny“ zamiast „stosowny“ i t. d.), sam styl Śniadeckiego jest tutaj rozwlekły, ciężki, zagmatwany, co nie wynika bynajmniej z trudności przedmiotu, ale stąd właśnie, że autor zanadto usiłuje być jasnym: Śniadeckiemu wydaje się wciąż, że czytelnik zapomniał już twierdzeń i definicyi, danych poprzednio, i dlatego spotykamy się co chwila z powtórzeniami; stąd ustępy długie nadmiarę, mnóstwo zdań wtrąconych i rozwijających, stąd zbyt częste „czyli“ i „albo“.

Przytem Śniadecki nie posiada tego ciepła i zapału, którym odznacza się np., znany nam już, Hube; przeciwnie, z kartek jego książki wieje chłód, sztywna powaga uczonego, odzianego w togę i biret. Śniadecki, to natura o wielkiej przewadze rozumu nad uczuciem; trzeba jednak przyznać, że w zakresie tego ograniczenia posiada wielką amplitudę. Śniadecki łączy w sobie, podobnie jak Bessel, zdolności zarówno matematyka, jak i obserwatora, analityka, jak i empiryka. Stąd jego wahania: z jednej strony kładzie on nacisk na to, że oparł wykład swej geografii matematycznej nie na „fenomenach pozornych“ (które nam daje przecież bezpośrednio obserwacya), lecz na „prawdziwych“ (z których dopiero przez dedukcyę dochodzimy do obserwowanych)¹⁾; z drugiej występuje przeciw nauczaniu po-

¹⁾ Śniadecki więc uważał sobie za zaletę to, co wielu dzisiejszych dydaktyków ostro potępia; krańcowi z nich twierdzą nawet, że system Kopernikański przyniósł szkodę w dydaktyce (S. Günther), bo, porzucając geocentryczne rozważanie zjawisk, odwiódł od obserwacyi, zatarł świeżość wrażeń. Sądzę, że o ile chodzi nie o kwestyę nauczania wogóle, lecz o układ podręcznika do bezpośredniego nauczania, to Śniadecki miał racyę uważać swe przeprowadzenie za zaletę: podręcznik powinien przedewszystkiem uczyć rozumowania; obserwacyi na żywej naturze nauczyć on nie

czątków geografii na globie, „kuli papierowej“, a nie na świecie rzetelnym. (Tę samą zupełnie myśl wyraża Rousseau w „Emilu“). Z jednej strony, jak widzieliśmy, nawet w *obrazie* rysunkowym, w mapie, gotów jest poświęcić podobieństwo do rzeczywistości względem rozumowym; z drugiej, jak z jego pism filozoficznych wiadomo, występuje przeciw filozofii Kanta, jest nieprzyjacielem czystego rozumu.

może (może tylko dać ku temu wskazówki dla nauczyciela). Ci, co układają podręczniki w porządku, wskazanym przez obserwację na żywej naturze, ulegają złudzeniu: podręcznik taki nie nauczy obserwacyi, ale za to, używany przez nauczyciela bezpośrednio, „zadawany“, utrudni umysłowe objęcie rzeczy i obciąży pamięć wielu faktami, cennymi być może w razie ich obserwowania, ale bezdusznymi w razie uczenia się ich z książki przed poznaniem zasady ogólnej, z której one logicznie wynikają.

Zasługi
HUGONA KOŁŁATAJA
na polu geografii.

Zadziwiającym jest fakt, że u nas, gdzie idee geograficzne cywilizowanego zachodu tak późno zdołały się przedrzeć, a jeszcze nawet do chwili obecnej nie zdołały w zupełności wyprzeć dawnej bezdusznej rutyny; że u nas, powiadamy, zjawił się człowiek, który wyprzedził Humboldta i Rittera w geografii, a Hoffa i Lyella w geologii. Niestety jednak, praca jego ukończona w roku 1805, leżała w rękopiśmie przez lat 37, została wydana dopiero w 30 lat po śmierci jej autora i to nie jako geografia, lecz jako część prac historycznych; nie wywarła też żadnego wpływu na dalsze dzieje geografii u nas. Człowiekiem tym był Hugo Kołłątaj, a dziełem, o którym mowa — „Badania Historyczne“¹⁾.

Pod powyższym tytułem kryje się pełen rozległych widnokręgów i niepospolitej gruntowności wykład geografii fizycznej

¹⁾ Hugo Kołłątaj. „Badania Historyczne“, wyd. F. Kojświewicza, Kraków, 1842 r.

Na zasługi Kołłątaja, jako przyrodnika, pierwszy zwrócił uwagę J. J. Boguski („Prawda“, 1882, Nr. 42—44).

ogólnej, odpowiadający duchem dzisiejszej geografii umiejętnej. Do badań geograficznych doprowadziły Kołłątaja właśnie badania historyczne, mianowicie badania pierwotnych dziejów ludzkości; w dziejach tych bowiem Kołłątaj znalazł podanie o potopie i postanowił sprawdzić takowe na podstawie naukowej, przyrodniczej, na podstawie geografii fizycznej.

W genialnie nakreślonym ogólnym poglądzie na powierzchnię ziemi i zachodzące na niej zmiany Kołłątaj przemawia słowy, jakby wyjętymi z Lyella: „ci, którzy na tych postrzeżeniach, widocznych wprawdzie, lecz nie dość jeszcze dokładnych, przestać mogli, wzięli się zbyt za prędko do układów, szukając przyczyny tak wielkich rewolucyi we własnych domniemywaniach, bo zazwyczaj mniej nas one kosztują, jak cierpliwe śledzenie działań natury i odnoszenie ich do *jednych zawsze praw fizycznych*. Lecz któżby rozsądnie chciał przestać na samych śladach, które mu pokazują, co *niegdyś natura działać mogła*, nie wpatruwszy się dobrze wprzód, co ona *nieprzestannie działa?* Ktoby był tak niecierpliwy, żeby szukał w swej głowie niepewnych przyczyn, kiedy doświadczenie przekonać go może, iż *skutki trwające są wcale podobne do przeszłych*, a zatem od jednej i teje samej pochodzić muszą przyczyny. Nie bądźmy zanadto porywczymi do wniosków: śledźmy najprzód naturę krok za krokiem w jej terażniejszych dziełach. Któż wie czyli, co się nam zdaje być na pierwsze spojrzenie zamieszaniem i nieporządkiem, nie jest raczej skutkiem bardzo porządnym i nieodmiennym praw natury“ (I, str. 145).

Następnie Kołłątaj rozpatruje szczegółowo działanie wody, powietrza i ognia na powierzchni ziemi tak, jak to i obecnie traktuje się w geografii fizycznej. Tutaj uczony nasz zbija między innymi twierdzenie Buffona, jakoby prądy morskie były rezultatem przyływów, postępujących od wschodu na zachód; nie zgadza się również, aby różny ciężar gatunkowy wody morskiej mógł wywołać prądy: jest to, mówi on, wielki skutek objaśniać drobną przyczyną. Niestety, Kołłątaj powtarza natomiast za Śniadeckim teorię prądów Bernullego, opartą na ruchu wirowym

ziemi; w każdym razie nie zadawała go ona widać, gdyż wyraża on bystry domysł, że przyczyną prądów mogą być wiatry, gdyż kierunek prądu równikowego zgadza się z kierunkiem wiatrów statecznych. Drugim błędem, zapożyczonym od Śniadeckiego, jest teoria chemicznego rozpuszczania się wody w powietrzu.

Przy wybornym opisie wybuchów wulkanicznych Kołłątaj występuje przeciw objaśnieniu ich przez ogół cudownością („okna piekielne“, przez które wychodzą „jęki potępionych“): „zadziwienie, mówi on, obudza zwyczajnie bojaźń, a bojaźń prowadzi do zabobonu; zabobon zaś wszystko ma za cudowne, czego nie pojmuje, a co go zadziwia i przestrasza“ — zdaje się, że to Bouckle tutaj przemawia. Niestety jednak, Kołłątaj, idąc za drugim Śniadeckim, Jędrzejem, przyczynę zjawisk wulkanicznych przypisuje gorenium pokładów węgla i pirytów.

Dalej Kołłątaj zastanawia się nad nierównościami powierzchni ziemi i dla ich zrozumienia bada, tak jak to robi dziś geograf, skład petrograficzny i stratigraficzny skorupy ziemskiej. W dziale tym musi być naturalnie wiele błędów, zważywszy na czas, w którym Kołłątaj pisał; tak np. St.-Gottard uważany jest za jedną z najwyższych gór w Alpach, a to według Buffona, który do wniosku takiego przyszedł na tej zasadzie, że z tego punktu rozpływają się na wszystkie strony wielkie rzeki; jednakże i tutaj bystry geograficzny zmysł Kołłątaja nastreczył mu wątpliwość, przy pomocy analogii z rzekami Europy wschodniej, które też rozpływają się na wszystkie strony z jednej okolicy, a jednak okolica ta nie odznacza się bynajmniej wielką wysokością.

O powstaniu gór Kołłątaj miał błędne wyobrażenie: sądził, że powstały one już gotowe na dnie oceanu, z nagromadzonych tam, spiętrzonych na sobie, osadów, a prądy morskie miały je wymodelować. Sądząc, że położenie warstw w górach jest pierwotne, nie wierzył, aby granit mógł stanowić warstwę podstawową gór, albowiem przy kopaniu głębokiej studni w krajach tak niskich, jak Holandia, nie znaleziono w głębi granitu, tylko glinę i piasek. Na podstawie takiej genezy gór Kołłątaj usiłował

zbić twierdzenie, że potop ogólny, to jest całkowita zamiana ładu w morze, a dna morskiego w łąd, mógł się odbyć przez kolejne następstwo potopów cząstkowych; wtedy bowiem, mówi on, góry nie mogłyby się wynurzyć z morza w tych wybitnych kształtach, w tych znacznych pochyłościach, jakie obecnie widzimy; zwolna ustępujące morze, osadzając muł, pozostawiłoby nierówności tylko bardzo łagodne. Według Kołłątaja, potop powstał przez przelanie się wody z jednej półkuli ziemi na drugą, a więc zgodnie z późniejszą teorią Adhemara. Zresztą, Kołłątaj nie zaprzecza obok tego zupełnie cząstkowym potopom; owszem, omawia je szczegółowo i z wielką znajomością rzeczy. Mówi mianowicie o genezie morza Śródziemnego, o przerwach w Gibraltarze i Bosforze, które powstały „czyli przez ciężar wody, czy przez trzęsienie ziemi, co daleko podobniejsze; oczywista jednak, że się zrobiły w jednej litej skale, bo na obu brzegach owych cieśnin znajdują się warstwy kamienia jednakiej formy, materyi i wysokości, co pokazuje, że te oddzielne skały robiły niegdyś jedną tylko łąwę litego kamienia.“ O morzu Czarnem mówi, że było niegdyś obszerniejsze i między dowodami świeżego wynurzenia krain, na północ od tego morza leżących, przytacza jeden niezmiernie ciekawy: „góry podolskie mają *jeszcze* wodospady.“ Kołłątaj uprzedził tu Peschla: zna widocznie tę prawdę, że wodospady, podobnie jak jeziora, należą do „wdzięków młodości“, gdyż z biegiem czasu znikają. Mówiąc o morzu Bałtyckiem, wyraża się, iż „należy ono też do gatunku *śródziemnych*“; kiękuje tu już u Kołłątaja dzisiejsza klasyfikacja mórz Krümmlla. Dalej Kołłątaj zastanawia się nad rozczłonkowaniem ładu Europy zupełnie jak Ritter, zna klinową budowę południa, mówi o oderwaniu się Anglii od Francyi; Islandyę uważa za ślad dawnego połączenia Europy z Grenlandyą (idzie tu za Buffonem i innymi). Pośród możliwych przyczyn potopu biblijnego wymienia trzęsienie ziemi i wiatry (zaród idei Suessa, rozwiniętych w „Das Antlitz der Erde“).

Rozbierając zapatrywania innych uczonych na zjawisko potopu, Kołłątaj, śmiało dążący do prawdy, bez oglądania się na

żadne względy uboczne, nie darował oportunistomowi Buffona, który dowodził niemożliwości potopu na podstawie fizycznej: „przecież nie chcąc pewnie zachodzić w żadne ze Sorboną spory, utrzymywał, że choć podług wszelkich stosunków fizycznych potop powszechny jest niepodobny, był jednak w samej rzeczy, lecz zrządzony cudem przez wolę Boga. Wszelako wybieg Buffona nie ocala bynajmniej rzetelności tego podania, bo co fizycznie niepodobne, to historycznie należy do legend.“

Koźłataj mógł wprawdzie dla swego ogólnego planu oparcia dziejów na podstawie przyrodniczej znaleźć pobudkę u Herdera („Ideen zur Philosophie der Geschichte der Menschheit“), który był poprzednikiem Rittersa; ale w przeprowadzeniu tego planu uczony nasz stoi wyżej od Herdera — i to tak co do gruntowności traktowania poszczególnych kwestyi przyrodniczych, jak i co do ogólnego charakteru całego dzieła, wolnego, jak wspomnieliśmy, od więzów teleologii. Herder to umysł wprawdzie wysoce szlachetny, bogaty w zapładniające idee, obejmujący szerokie horyzonty, ale wśród jego rozległych widoków zarysy obrazów nie posiadają wyrazistości: przysłaniają je błękitne opary poezyi lub nawet mroki teleologii; zarysy obrazów Koźłataja są wyraziste, ostre. Koźłataj to umysł może nie mniej lotny, a zarazem z pewnością bardziej naukowy, pozytywny.

W dziele Koźłataja, pisanem przed rokiem 1805, a przytem w warunkach niepomysłnych, w więzieniu, nie może, naturalnie, nie być błędów w odniesieniu do dzisiejszego stanu umiejętności; zresztą, sam charakter dzieła pociągał za sobą błędy: jak wśród społeczeństwa o wyższej kulturze napotyka się większą ilość i różnorodność przestępstw, bo jest tam wogóle więcej czynów; tak samo u pisarza, obejmującego szersze horyzonty, usiłującego zawsze docierać do gruntu rzeczy, zdolnego do pomysłów oryginalnych, znajdujemy często wiele błędów; ale mimo to prace pisarzy takich są więcej warte, niż niezliczone bezduszne kompilacje, które może nie posiadają błędów, ale których ta cecha jest jedyną zaletą.

Pomimo więc błędów Kołłątaja, jego metoda, układ, bystrość rozumowania, wszechronność naukowa od matematyki do historyi, stanowisko filozoficzne wolne od teleologii, umysł niepodległy, wielkie znawstwo literatury przedmiotu — wszystko to nadaje pracy Kołłątaja charakter, przypominający dzieła tej miary, co „Kosmos“ Humboldta.

Projekt

AFRYKAŃSKIEJ WYPRAWY ROGOZIŃSKIEGO

i prawdopodobne jej rezultaty ¹⁾.

Afryka jest bezwątpienia częścią świata najtrudniejszą do zbadania, przedstawiającą dla podróżnika największą sumę trudów i niebezpieczeństw. Oblewające ją morza nie wdarły się nigdzie głęboko w jej zbity owalny kadłub, niby nieruchawe krępe cieisko hippopotama; jej wybrzeża, błotniste i gorące, sieją miazmatami, rodzącymi zabójcze febry; za wybrzeżami wznoszą się szeregi trudno dostępnych gór skrajnych, rzeki afrykańskie, przedzierając się ku morzu przez te góry, tworzą wodospady, które nie pozwalają statkom przeniknąć w głąb lądu; mucha tsetse, zabójcza dla bydła, nie pozwala używać w podróży zwierząt jucznych, trzeba je zastąpić tragarzami, którzy często buntują się i dezertują, albo słoniami, których sprowadzanie z Indyi kosztuje zbyt drogo; nakoniec, wrogie usposobienie wielu plemion murzyńskich przecięło dni niejednego już podróżnika.

Wszystko to są powody, dla których Afryka otrzymała miano „ciemnego kontynentu“, dla których zawsze słychać z niej „ali-

¹⁾ Artykuły drukowane w r. 1882 i 1883.

quid novi“, dla których znaczne jej przestrzenie są nieznanne i przedstawiają na mapach „białe plany“. Ale właśnie ta trudność zbadania, ta tajemniczość Afryki, pociąga swym urokiem podróżników, bo duch ludzki uczuwa szlachetną rozkosz, łamiąc zapory, stojące w poprzek jego dążeniom do prawdy; „gdyby dzieje ludzkiego rodu, mówi Oskar Peschel, były zgóry przez Boską Opatrzność obrachowanym dramatem, to Afryka po to tylko istniałaby na tej wielkiej scenie, aby przeciwnościami, jakie przedstawia do pokonania, pobudzić duchowy rozwój europejskich ludów.“ Potężnym, zaprawdę, musi być ten tajemniczy urok „ciemnego kontynentu“, kiedy zdołał zainteresować nawet nasze społeczeństwo, zawsze tak obojętne dla wszelkich kwestyi geograficznych.

Pobudzenie tego interesu, poruszenie jednego ze zmartwiałych nerwów naszego społeczeństwa, zawdzięczamy Rogozińskiemu, oficerowi marynarki rosyjskiej, który za cel życia obrał sobie zbadanie pewnej części podrównikowej Afryki, a zarazem pragnął, aby zbadanie to odbyło się materialnie i moralnie polskimi siłami: „aby kotwica okrętu, co wysadzi podróżnych na próg nieznanych krain, nosiła polski nagłówek i mogła być przechowana w skarbcu narodowych pamiątek.“

W celu urzeczywistnienia tej idei, Rogoziński poświęcił się studjom afrykańskich stosunków po zagranicznych bibliotekach i ułożył plan podróży, który zyskał wielkie uznanie i współczucie między zagranicznymi uczonymi: kilku znakomitych Włochów obiecało swój udział w podróży, a król belgijski ofiarował na ten cel okręt. Następnie zwrócił się Rogoziński do polskiego społeczeństwa, poparty przez Filipa Sulimierskiego, który w artykułach „Wędrowca“ nawoływał społeczeństwo do udziału w wyprawie; sumę, brakującą jeszcze do urzeczywistnienia wyprawy, zamierzał Rogoziński zebrać drogą odczytów o Afryce.

* * *

W pierwszym odczycie uwiadomił nas Rogoziński o celu i planie swej wyprawy. Jednym z najważniejszych nieznanych

obszarów Afryki, świecących na mapach jako „białe plamy“, jest obszar przejściowy z Afryki Wyższej do Niższej, zawarty między dorzeciami Benue i Szari na północy, a dorzeczem Lualaby-Kongo na południu i ciągnący się od nadbrzeżnych gór Kamerun na zachodzie do wielkich źródłowych jezior Nilu na wschodzie. Obszar ten, a w szczególności jego część zachodnia była celem wyprawy Rogozińskiego. Według wieści, zasięgniętych od Murzynów, mają się w tej części znajdować wielkie jeziora Liba; ponieważ takie same wieści krążyły dawniej o jeziorach Nilu i zostały sprawdzone przez naukowe wyprawy, które zbogaciły mapę Afryki nieznanymi dawniej jeziorami, więc Rogoziński miał mocne przekonanie, że i wieści co do jezior Liba także się sprawdzą, i że on za dwa lata stanie znów pośród nas w Warszawie z mapą Afryki, zbożoną w pobliżu swej zachodniej krawędzi wielkimi jeziorami, analogicznymi do jezior źródłowych Nilu w pobliżu wschodniej krawędzi. Zadaniem też wyprawy będzie zbadanie biegu rzeki Liba, która ma wypływać z tych jezior, a której tylko mała częśćka pod Pebotem jest znana. Jedną część wyprawy zbada te rzekę w dół Pebotu i przekona się, która z licznych rzek wpadających do zatoki Kameruńskiej, stanowi bieg dolny rzeki Liba. Drugą część wyprawy zbada rzekę Liba w górę Pebotu, aż do jezior i określi hydrograficzny ich stosunek do Benue Szari i północnych dopływów Kongo. Gdyby się pokazało, że jeziora te stanowią źródła rzeki Benue, do których nie udało się dotąd dosięgnąć, płynąc w górę tej rzeki, to byłby to fakt nadzwyczaj ważny, gdyż w takim razie rzeka Benue stanowiłaby wygodną drogą wodną do samego serca podrównikowej Afryki.

Rogoziński skreślił w swym odczycie przypuszczalny obraz przyrody nieznannej krainy, z której postanowił uchylić tajemniczą zastonę; obraz ten był piękny pod względem artystycznym, ale pod względem geograficznym wydaje nam się zbyt przesadzony: że cała Afryka nie jest Saharą, że posiada znaczne obszary o bogatym świecie roślinnym i zwierzęcym — to wiemy; ale żeby kraina z tak jednostajną linią brzegową, zamurowana dokoła ścianami gór, niedopuszczających wpływu morza, mogła zaraz po za

temi górami posiadać roślinność tak bujną, jak Jawa i dziewicze lasy Amazonki, to trudno przypuścić.

Co do przeciwności, to Rogoziński sądził, że nie będą zbyt wielkie; na wybrzeżu zbuduje się stacya, będąca zarazem obserwatorium meteorologicznem i podstawą operacyjną do wyprawy w głąb lądu. Klimat w okolicy zatoki Kameruńskiej jest zdrowy, a co do Murzynów, to tych dzieli na trzy kategorie: pozostający w stanie pierwotnym, zmahometanizowani i tacy, co zetknęli się z cywilizacją europejską. Ostatni są wrogami Europejczyków, gdyż chcą utrzymać w swych rękach zyskowny monopol handlu; drudzy również są wrogami, bo ich zfanatyzowali, nienawidzący Europejczyków, misyonarze arabscy; Murzyni zaś w stanie pierwotnym — przeciwnie, okazują się najżyczliwszymi dla podróżników europejskich, a z takimi właśnie Murzynami będzie wyprawa Rogozińskiego miała głównie do czynienia (wyjawszy wąskiego pasa nadbrzeżnego) ¹⁾.

* * *

W drugim swym odczycie Rogoziński zaznajomił publiczność naszą z dziejami odkryć geograficznych na wybrzeżach zachodnio-ekwatorialnej Afryki i skreślił przyrodę Kameruńskiego wybrzeża, będącego progiem do nieznannej krainy jezior Libańskich. Rogoziński występuje w obronie klimatu Afryki, twierdząc, że nie jest on tak zabójczym sam przez się i że, jeżeli wielu podróżników w tej części świata umiera lub choruje, to jest to wynikiem niezastosowania się w pożywieniu do klimatu; mianowicie — używania pokarmów mięsnych, zamiast roślinnych. Jako

¹⁾ Przytaczając w swoim czasie („Przegl. Tygodn.“, 1882, Nr. 6) ten pogląd Rogozińskiego, dodaliśmy życzenie:

„Oby twierdzenie Rogozińskiego co do ostatniego punktu sprawdziło się; oby, prócz głębokiej wiedzy i szlachetnego zapалу, towarzyszyła naszemu sympatycznemu podróżnikowi najważniejsza, niestety, w przedsięwzięciach ludzkich — gwiazda szczęścia!“

przykład, że przy pokarmie roślinnym można być zdrowym i silnym w klimacie gorącym, przytaczał Indusów, którym religia zabrania używać mięsa na pokarm i którzy trzymają się zasady braminów: „niechaj ryż stanowi twe główne pożywienie, a soczysty banan tylko zabawkę wieczorną.“ Pozwolimy sobie powątpiewać w wielkie zdrowie i siłę Indusów: wiadomo, jak częste i straszne choroby nawiedzają Indostan; wiadomo, że Indusi są wogóle febryczni, apatyczni, pozbawieni energii i męstwa (jakże różnią się pod tym względem od blisko pokrewnych im Afganów, zamieszkujących wietrzną, chłodniejszą i zdrowszą wyżynę); nie potrafili oni nigdy oprzeć się obcym zdobywcom, a ich bohater, Tippto Saib właśnie w najwynioślejszej i najzdrowszej części półwyspu (Seringapatam) najdłużej stawiał opór Anglikom. Ryż i polenta nie chronią mieszkańców Lombardyi od malaryi, a mięso nie sprowadza jej u Gauchosów; nie tak łatwo wyłamać się z pod zgubnego wpływu niezdrowego klimatu, a w każdym razie ochronnym środkiem jest raczej regularny sposób życia, ilość, nie jakość, pokarmów i wygody, o które właśnie tak trudno podróżnikowi, stawiającemu pierwsze kroki w nieznanych krainach.

Wogóle, z obu odczytów Rogozińskiego wynieśliśmy to przekonanie, iż zapatruje on się na warunki afrykańskie zbyt różowo, zbyt entuzyastycznie; pocieszamy się jednak tą myślą, że pogląd taki, a raczej takie uczucie towarzyszyło mu tylko, jako prelegentowi, mamy nadzieję, że Rogoziński, w chwili objęcia dowództwa i wyruszenia w głąb nieznanych krain, włoży ciemne okulary, zamiast różowych, a miejsce jego prelekcyjnego entuzjazmu zajmie chłodna rozważa wodza, obliczająca najgorsze szanse, bo takim tylko sposobem dochodzi się do trwałego zwycięstwa. Zresztą, w zakończeniu przypuścił prelegent na chwilę niepomysłny rezultat i zakończył swój pożegnalny odczyt słowami, przypominającemi termopilskich bohaterów: „lecz jeśli nie unikniemy niebezpieczeństwa, jeśli polegniemy zdala od rodzinnej ziemi, a okręt nasz „Lucya-Małgorzata“ powróci osierocony, to powie on rodakom, że spełniliśmy wiernie nasz obowiązek, że

tam, na odległym lądzie, byliśmy przedstawicielami chwały naszego narodu!¹⁾

* * *

Po odczytach Rogoziński pojechał do Francji i po pokonaniu wielkich trudności finansowych wypłynął wreszcie, zbyt późno, z Hawru i przybył na wybrzeże Kameruńskiej; tu na małej wyspce Mondoleh założył stację, jako podstawę operacyjną w wyprawie ku tajemniczemu wnętrzu, które, według hipotezy Rogozińskiego, ma zawierać nieznanne jeziora Liba (ob. Petermann's Mitteilungen, 1883, Heft X).

W sprawozdaniach z odczytów Rogozińskiego wyraziliśmy pogląd, że podróżnik nasz zbyt różowo, zbyt entuzjastycznie zapatruje się na stosunki afrykańskie: na łatwość podróżowania po Afryce, na środki zapobieżenia febrze, oraz na usposobienie Murzynów afrykańskich. Dotychczasowe losy wyprawy, jakoteż wiadomości o terytorium przyszłych badań Rogozińskiego, skądinąd zaczerpnięte, zdają się stwierdzać nasze zapatrywanie²⁾. Pominawszy bowiem trudności finansowe, dość wspomnieć, że członkowie wyprawy już chorowali na febrę³⁾, co nie pozwoliło wyprawie popłynąć w górę rzeki Kriniabo, aż do jej katarakt; znana jest dalej katastrofa z „Łucyą-Małgorzatą“, oraz zatonięcie łodzi z naukowymi instrumentami⁴⁾. Tak więc już na wstępie, wyprawa napotkała poważne trudności. Mimo to, w liście Rogozińskiego do „Słowa“, brzmi ta sama entuzjastyczna nuta; donosi on tam mianowicie, iż między jego ludźmi znajduje się pewien Murzyn, nazwiskiem Indi, pochodzący z tajemniczego wnętrza

1) „Przegl. Tygodn.“, 1882, Nr. 11.

2) Słowa te pisaliśmy w r. 1883 („Przegl. Tyg.“, Nr. 47).

3) Niestety, towarzyszy Rogozińskiego, geolog K. Tomczek padł później ofiarą klimatu.

4) Sam Rogoziński opisał później w sposób wzruszający wszystkie te przeciwności i niepowodzenia (Ob. „Wyprawa S. Rogozińskiego na lągrze „Łucya-Małgorzata“ 1882 - 1883.“ Warszawa, 1896).

trza: „ów Indi, mówi z zapałem o dalekim swym kraju, przez który przepływa *wielka woda Riba, idąca do wielkich wód ku słońcu*. Oto widzicie (?) — dodaje Rogoziński — że nie twierdziłem napróżno, iż jeziora istnieją. Wkrótce je ujrzę“ (?) i t. d.

Otóż, to znów zbyt pośpieszny wniosek: „wielką wodą“ nazywa wiele plemion murzyńskich, każdą najznaczniejszą rzekę w ich kraju płynącą, stąd to tak częste w Afryce zmiany w nazwach jednej rzeki, która przepływa siedliska plemion, mówiących różnymi językami. Między innymi np. nazwa rzeki Uelle, jak twierdzi najnowszy jej badacz, dr. Junker, nie jest imieniem własnym, lecz pospolitem, oznaczającym „wielką wodę“ w języku plemienia Asandeh, również jak nazwa „Majo“ u plemienia Mangbattu (Monbattu Schweinfurta) i prawdopodobnie nazwa „Makua“ u plemion na zachód od Mangbattu. I Savorgnanowi de Brazzy, gdy ten przeszedłszy dział wodny między Ogowe i Kongo, odkrył rzeki Alima i Likona, płynące ku wschodowi, mówili Murzyni, iż rzeki te płyną ku wielkiej wodzie. Brazza, wobec zagadkowego wschodniego kierunku tych rzek, też wytłómaczył sobie błędnie mowę Murzynów i sądził, iż rzeki te gubią się w jakimś jeziorze wewnętrznym. Dopiero odkrycie Stanleya rozjaśniło zagadkę: rzeka Kongo zatacza tu wielki łuk ku północy i ku temu to łukowi płyną z zachodu Alima i Likona ¹⁾. Tak samo i owa Riba, czy Liba, może też płynąć ku jakiej wielkiej rzece, należącej do systematu Kongo; być może, iż jest to wyższy bieg znacznej rzeki Bangała, której ujście do Kongo blisko 18° dług. wsch. Greenw., na południe od przypuszczalnego położenia jezior Liba, obserwował Stanley w czasie swej wiekopomnej żeglugi wpoprzek „ciemnego kontynentu“ (ob. mapę Hassensteina w Peterm. Mitt., 1883, Heft V).

Podczas gdy, jakeśmy to wykazali, *istnienie* jezior Liba, nie wynika jako konieczność, z mowy owego Murzyna, to *nieistnienie*

¹⁾ Podobnemuż błędowi uległ podróżnik Piaggia: na podstawie opowiadań krajowców o „wielkiej wodzie“ twierdził on, że w kraju Monbattu znajduje się wielkie jezioro (Ob. Schweinfurt „Im Herzen von Afrika“, II. str. 71).

ich, jest co najmniej prawdopodobne, z wiadomości, zaczerpniętych przez innego podróżnika, badacza rzeki Benue, Roberta Flegla. Podróżnik ten odkrył źródła Benue, przeszedł dział wodny, oddzielający tę rzekę z południa od systematu starego Kalabaru i Szari (Logone) i dosięgnął miasta Ngaundere 1882 roku, na południe od którego rozciąga się obszar nieznany Rogozińskiego. Sam Flegel miał też zamiar zbadania tego obszaru, tylko trudności finansowe powstrzymały go (według jego obliczenia, potrzeba na to 2 — 2½ lat i 35 — 40,000 marek). Otóż, badania Flegla usunęły stanowczo jedno z przypuszczeń Rogozińskiego, mianowicie, że jeziora Liba są źródłami jeziorami rzeki Benue. Powtórne zachwiały, jeżeli nie zupełnie usunęły, prawdopodobieństwo ich istnienia wogóle: z wiadomości zebranych i zestawionych krytycznie przez Flegla w Ngaundere od ludzi inteligentnych, którzy zwiedzali często okolice na południe tego miasta, wynika, że do 18° dług. wsch. Greenw. nie istnieje żadne wielkie jezioro (wyjąwszy niewielkie rozszerzenie jednego z dopływów starego Kalabaru); zatem mniemane jeziora Liba trzebaby przemieścić po za 18° dług. wsch., ale tam północny łuk Kongo tak się zbliża do systematu Szari, że jeziorom byłoby chyba za ciasno. Flegel, na podstawie zebranych wiadomości, daje szkic hydrograficzny owego nieznanego obszaru, na południe Benue (ob. Pe-term. Mitt., 1883, H. VII). Otóż, między innymi, spotykamy tam szkic rzeki Nana, płynącej mniej więcej około 15° dług. wsch. Greenw., w kierunku południowym, a następnie południowo-wschodnim; przy rozpatrywaniu tego szkicu nasuwa się myśl, czy czasem rzeka Nana nie jest początkiem rzeki Liba-Bangala? Może wyprawa Rogozińskiego, zamiast odkrycia nowych jezior, zidentyfikuje rzeki Nana, Liba, Bangala. Zresztą, czy Rogoziński znajdzie w danym obszarze jeziora, czy ich nie znajdzie, zawsze podróż jego będzie miała donośne znaczenie; dla nauki czyściej bowiem wszystko to jedno, czy zostanie *stwierdzone*, że tam są jeziora, czy ich niema, lecz na ich miejscu jest coś innego; zawsze będzie to zdobycie nowej prawdy, która zetrze część „białej plamy“ z mapy Afryki, posunie nas o krok w pozna-

niu naszej ziemi, dorzuci jeden więcej ciężarek na szali cywilizacyi ¹⁾.

Nakoniec, co do zapatrywań się Rogozińskiego na Murzynów, to dzieli on ich, jak wiadomo, na trzy kategorie: 1) zmałometanizowanych, fanatycznych i wrogich europejczykom; 2) takich, co zetknęli się z cywilizacją europejską i, obawiając się o swój monopol handlowy, też są nieprzyjaźni Europejczykom; 3) pierwotnych, najzyczliwszych dla podróżników. Otóż, co do tej zyczliwości Murzynów pierwotnych, to jest ona bardzo problematyczną. Wszakże Stanley stoczył z „pierwotnymi“ Murzynami trzydzieści dwie bitew na falach Lualaby Kongo, a jakkolwiek obwiniają go o zbyt ni rozlew krwi, to ciekawy jestem, co miał robić ten podróżnik, gdy mimo wszelkich perswazyi, mimo ofiarowywanych podarków, Murzyni rzucali się wszędzie na niego, jak krwiożercze bestye, wołając: „mięsa, mięsa!“ (Stanley: *A travers le Continent Mysterieux*). Nielepszego też przyjęcia doznał Serpa Pinto, gdy napadnięty w Lialui, wśród nocy, musiał walczyć przy łunie palącego się obozu i ocalenie swe zawdzięcza tylko kulom eksplodującym, które rzuciły paniczny postrach na hordę dzikich, jako dzieło szatana. (Serpa Pinto: *Quer durch*

¹⁾ Pogląd nasz na rzekę Nana, jako część składową systematu Kongo (wyrażony r. 1883, „Przegl. Tyd.“, 47) sprawdził się. W czasie jednak, gdyśmy pisali słowa powyższe, zaledwie tylko *ujścia* prawych dopływów Kongo były znane i to niedokładnie. Po bliższem ich zbadaniu okazało się (Mizon, 1892 r.), iż Nana spływa do Kongo za pośrednictwem rzeki Sanga, uchodzącej nieco na zachód od przypuszczanej przez nas Bangali; ale bo też rzeka Nana nie przyjmuje w końcu kierunku południowo-wschodniego, jak na mapie Flegla (na której oparliśmy nasze przypuszczenie), lecz płynie na południe, stąd ujście jej (pod nazwą Sanga) do Kongo wypadło nieco dalej na zachód, niżemy przypuszczali.

Co do jezior Liba, to po odkryciu Nany przez Flegla przeniesiono je rzeczywiście dalej na wschód około 18° od Greenw. w ciasne miejsce między górnym biegiem rzeki Szari i łukiem Kongo (Ob. mapę Afryki przez Habenichta w Peterm. Mitt., 1885); ale obecnie po odkryciu rzeki Ubangi, płynącej tamtędy równoległe do Kongo, już zbrakło miejsca dla jezior.

Afrika). W szczególności co do Murzynów, z którymi prawdopodobnie spotka się Rogoziński, to Flegel słyszał o nich, że „mają jeden zły zwyczaj — pozerają się wzajemnie“; przytem stosunki wśród tamtejszych plemion są bardzo niespokojne, gdyż w obszar ten sięgają już wojenne wyprawy plemion mahometańskich z nad Benue, w celu chwywania niewolników. Zresztą, tak częste są w Afryce zmiany w usposobieniu ludności, a nawet w ludności samej, wskutek ciągłych wojen, że o Murzynach afrykańskich, podobnie jak o rzekach Australii i lodach podbiegunowych, można powiedzieć, iż są „nieobliczoną potęgą“; tam, gdzie jeden podróżnik znajduje dogodne warunki, drugi, w innym czasie, najgorsze. Ale „utinam falsus sim vates!“¹⁾

Czuliśmy się w obowiązku uczynienia tych kilku uwag o wyprawie Rogozińskiego, ażeby rzucić na nią, niejaki światło ze stanowiska naszej dzisiejszej wiedzy o Afryce. Zastrzegamy się przytem, by nas źle nie zrozumiano i nie poczytano za przeciwnika samej wyprawy; owszem, od samego początku, jak w „Przeł. Tygod.“, tak i w „Wędrowcu“, jeszcze za redakcyi Sulimierskiego, popieraliśmy tę wyprawę, jak mogliśmy, oraz wyrażaliśmy naszą szczerą sympatyę dla jej dzielnego, pełnego zapалу kierownika. Dzisiaj nie zmieniamy zdania, nie solidaryzujemy się bynajmniej z krytyką niektórych pism, co występowały przeciw wyprawie, a nawet przeciw osobistości Rogozińskiego. Krytyka ta wynikała po większej części z nieznajomości najelementarniejszych faktów z dziejów odkryć geograficznych i z niezrozumienia różnicy, jaka zachodzi między kwalifikacyami podróżnika i geografa, fabrykanta cegieł i mularza, budującego z nich dom; krytyki więc tej zbijać tu nie mamy potrzeby.

Co zaś do zaściankowej ekonomii, która zabrania ofiar na cele dalsze, nie przedstawiające natychmiastowej, praktycznej korzy-

¹⁾ Niestety, przewidywania nasze sprawdziły się: z późniejszego listu Rogozińskiego dowiedzieliśmy się, że wyprawa po bitwie z przeważającą liczbą *ludożerców* musiała się cofnąć i wrócić na wybrzeże, nie dopięwszy celu.

ści, to była ona już praktykowana w dziejach przez pewien naród, mianowicie Chińczyków i wtrąciła ich w skostnienie, uczyniła za-
bytkiem archeologicznym. A nam i tak niewiele do tego brakuje:
my zawsze mamy pełny worek, gdy idzie o odgrzebanie jakichś
wyblakłych już szmat przeszłości, o urządzenie jakiejś uroczystości
historycznej, stawianie pomników, zasłużenie się Rzymowi i t. d.
i t. d.; głównie, gdy idzie o przypomnienie naszych zasług w prze-
szłości położonych; to ogromnie technie zgrzybiałością, lub przy-
najmniej chwilową bezsilnością zarówno jednostki, jak i narodu.

Zamiast tego, nie chcemy i nie uczuwamy potrzeby przyjść
z pomocą młodym pracownikom, siejącym ziarna dla przyszłości,
walczącym z przeciwnościami w dążeniu do szlachetnych, wyż-
szych, cywilizacyjnych celów, bądź w zimnych czterech ścianach
poddasza, bądź wśród gorącej, centralnej Afryki; nie staramy się
przeważyć szali tej ciężkiej walki na korzyść walczących, by
osiągnąć cel, a tym sposobem zamanifestować, że nie tylko
w przeszłości, ale oraz i w teraźniejszości, walczymy na ogólnie
ludzkiej, cywilizacyjnej arenie dla celów przyszłości. A jednak
tylko takim zamanifestowaniem dowiedziemy innym narodom,
że jesteśmy niezbędnem kółkiem we wszechludzkiej maszynie,
której produkt zowie się cywilizacją; tylko tym sposobem unik-
niemy wśród narodów biernej roli archeologicznego zabytku ¹⁾.

¹⁾ Zwichnięcie się wyprawy Rogozińskiego tylko potwierdza po-
wyższe zdanie: brak środków materialnych zmusił Rogozińskiego do dłu-
giej zwłoki z wyjazdem, tak, iż wyprawa, przybywszy na miejsce, spotkała
już na swej drodze kolonizacyjne zabiegi Niemców i zaplątała się w polity-
kę, co również przyczyniło się do niepowodzenia.

KRAJ LODOWY

i jego mieszkańcy.

Islandya — „Eisland“, to ponura, pełna tajemniczości i grozy kraina na końcu zamieszkanego świata; kraina, gdzie pośród chaotycznie nagromadzonych złomów bazaltu i lodu, pod oponą nieba chmurnego, przy jęku szalonych wichrów, przy ogłuszającym ryku morza, miotanego wściekle na czarne skały wybrzeża, walczą ze sobą dwie siły — ognia i mrozu; kraina, gdzie wśród głębokich ciemności nocnych groźne łuny wulkanów zlewają się z czarodziejskim blaskiem zorzy polarnej; kraina, której puste i nieznane wnętrza człowiek napełnił utworami fantazyi, a sam wziął w posiadanie tylko skraje nadbrzeżne i tutaj w ciężkich zapasach z groźną i skąpą przyrodą zahartował ciało i ducha, nauczył się pogardzać śmiercią i mało wymagać od życia.

Ta odosobniona wyspa, rzucona pod koło biegunowe, na granicy obu półkul (południk Ferro) między Skandynawią i Grenlandią, leży wprawdzie bliżej Ameryki niż Europy, ale biogeograficznie, etnograficznie i historycznie oraz politycznie, należy do tej ostatniej: flora i fauna tej wyspy jest bardziej europejską niż amerykańską, z Europy została ona zaludniona, pod wpływem Europy stała się krainą kultury, krainą historyczną, jedyną z pośród polarnych. Od bliskiej, lecz niegościnniej Grenlandyi przez

zapchaną pływającymi lodami cieśniną Danemark Islandya nie prawie utrzymać nie mogła.

Islandya genetycznie wydaje się na pierwszy rzut oka niby potężnym palem, lub nawet wielką resztką dawnego mostu lądowego, który łączył niegdyś arktyczne okolice dwu części świata i którego ślad pozostał prócz tego w ławicy, około 500 m. głębokiej, ciągnącej się od Wielkiej Brytanii przez Faroer i Islandyę do Grenlandyi. Jednakże dokładnie rozstrzygnięcie genezy Islandyi jako wyspy, zaliczenie jej do pewnej genetycznej kategorii wysp jest dziś jeszcze trudne: Wallace zalicza ją do starych wysp kontynentalnych, inni — do wulkanicznych. Stosunki fauny wobec licznych środków wędrówek, tak biernych jak czynnych, nie mogą nam tej kwestyi rozstrzygnąć: z trzech znajdujących się tu zwierząt ssących niedźwiedź polarny i lis polarny mogły się dostać na pływających lodach; mysz zaś mogła tu przybyć z pierwszymi kolonistami, jako niedostrzeżony towarzysz podróży. Renifer nie wchodzi tu w rachubę, gdyż wiadomo, że został sprowadzony przez człowieka. Z ptaków większość jest pochodzenia europejskiego, ale i to nie może dowodzić dawnego połączenia lądowego, albowiem i dzisiaj ptaki z lądu Europy odwiedzają corocznie tę odległą wyspę. Jeżeli przyszłe badania okażą, mówi Supan ¹⁾, że Islandya nigdy nie była z lądem połączona, to będzie ona jedynym okazem wyspy pierwotnej o tak wielkich rozmiarach (przeszło 100,000 km.²).

Zarys jej wybrzeży przypomina zaokrąglony tułów kaczki, z głową zwróconą na północo-zachód ku Grenlandyi; jest to mianowicie półwysp poszarpany fiordami i łączący się z główną masą wyspy (podobnie jak w Nowej Gwinei) wąską szyją tylko 7 km. szerokości (między Breidifiördr i Hunafloi). Jak ten półwysp, tak i cały tułów jest na północo-zachodzie silniej rozczłonkowany fiordowatemi zatokami (Breidifiördr, Faxafiördr) i półwyspami (Snaefels, Reykjanes). W porównaniu jednak z innymi krajami fiordowemi, jak Skandynawia, Szkocya, Grenlandya i Pa-

¹⁾ Ob. A. Supan, „Physische Erdkunde“, 1884.

tagonia, Islandya ma brzegi mniej poszarpane; przyczyną tego jest szybko tutaj wypełnianie fiordów tak utworami wulkanicznymi (popiół, lawa), jako też lodowcowo-rzecznicami, które tu występują nadzwyczaj obficie wskutek spotęgowanego topnienia lodowców podczas działalności wulkanów. Wreszcie do ujednostajnienia linii brzegowej przyczynia się obserwowana w licznych śladach nadbrzeżnych negatywna zmiana poziomu („podnoszenie się“ wybrzeży), albowiem przy wynurzaniu się dna morskiego plastyka jego warunkuje poziome kształty wybrzeża, a ponieważ plastyka dna morskiego odznacza się jednostajnością, więc i wybrzeża przez nią uwarunkowane muszą być jednostajne. Szczególniej jednostajne w przeciwieństwie do północno-zachodniego jest południowo-wschodnie wybrzeże Islandyi, biegnące łukowato, wyrównane przez wyżej wymienione czynniki: istniejące tu niegdyś fiordy znikły, lub, wskutek, charakterystycznych dla fiordów, mielizn końcowych (moren) odcięte od morza, zmieniły się w laguny.

Islandya składa się z utworów wybuchowych nowszego czasu (przedtrzeciorzędowych nie znaleziono), oraz z utworów lodowcowych; wyjątkowo napotykanymi czasami głazy granitowe są przybyszami ze stron dalekich, mianowicie zawędrowały tu ze Szpicbergu na lodach płynących. Od pokrewnych wysp Faroer różni się Islandya tem, że jej wulkany nie wygasły, jak tam, przed epoką lodową, lecz działają do chwili obecnej ¹⁾.

W utworach wybuchowych Islandyi rozróżniają mioceniczny obszar bazaltów, zajmujący północ-zachód i północ-wschód wyspy, oraz mioceniczny obszar tufów (brekczya palagonitowa), zajmujący południe i środek.

Dwa wyżej wymienione obszary, bazaltów i tufów, różniąc się materiałem, różnią się też i pod względem plastyki powierzchni. Obszar bazaltów przedstawia falistą wyżynę, pokrajaną wewnątrz głębokimi dolinami rzek, a na wybrzeżach fiordami, ku

¹⁾ Ob. F. Hahn, „Die nordischen Inseln“, 1890, w wydawnictwie A. Kirchhoffa, „Unser Wissen von der Erde“.

którym wyżyna spada stromo, lub schodowato, niby mury cyklo-
pów; fiordy te przynajmniej poczęści, szczególnie na północo-
zachodzie zawdzięczają swe powstanie wielkim uskokom z rozcią-
ganiem W—O. Obszar tufów, arena działalności wulkanicznej
tak trzecio-, jak i czwartorzędowej, jest krainą wysokich gór wul-
kanicznych: wielka i śniegami pokryta grupa wulkanów Vatna
Jökull, zwana w zachodniej części Skaptar Jökull, a w południo-
wej Oröfa Jökull, wznosi się w tej ostatniej do 2,000 m. na sa-
mem południowym wybrzeżu wyspy; wznosząca się na zachód od
tej grupy, Hekla dosięga przeszło 1,500 m.

Wśród obszaru tufów napotykają się też żyły bazaltu, które
po spłókanu tufu sterczą w najdziwniejszych, fantastycznych
kształtach; odwrotnie: wiele gór tufowych przez wypłkanie, lub
wywianie zawartych w nich twardszych odłamków otrzymało
dziwaczne podziurawienia. Piasek, powstały ze zwietrzenia tu-
fów, pokrywa znaczne przestrzenie, tworząc pokłady eolskie po-
dobne do lössu („mehöllä“ Islandczyków), które następnie ulegają
pokrajaniu przez erozyję wodną. Na utworach wulkanicznych
trzeciorzędowych, głównie na tufach, leżą twory wulkaniczne
czwartorzędowe, które można znów podzielić na przedlodowe
i polodowe; ostatnie jako niepokryte utworami lodowcowemi,
a przytem trudno wietrzejące, stanowią najniegościnniejsze pust-
kowie.

Lawy czwartorzędowe tak przedlodowe (dolerytowe), jak
i polodowe, ciągną się pasem łukowatym od przylądka Reykjanes
naprzód z zachodu na wschód, a potem na północo-wschód i pół-
noc, wogóle równoległe do południowego i wschodniego wybrze-
ża; pas ten, przepoławiając wyspę, sięga przez okolice jeziora My-
vatn do północnego wybrzeża pod Husavik. Lawy te wylały się
bądź z licznych kraterów, które nadają wielu okolicom Islandyi
charakter krajobrazu księżycowego (np. okolice jeziora Myvatn);
bądź wypływały odrazu wzdłuż całych szpar na obie ich strony,
tworząc nie pojedyncze stożki, lecz całe wały z żuzli i bloków
lawy; bądź wreszcie wyciekały, niby źródła, z małych otworów
na stokach wulkanów tufowych. Wypełniwszy zagłębienia po-

wierzchni tufowej, wysuszywszy jeziora, lawy te utworzyły w Islandyi równiny wylewu wulkanicznego, wśród których sterczą niezupełnie zanurzone stożki tufowe, niby wyspy. Trudno sobie wyobrazić coś bardziej dzikiego i pustego, jak te islandzkie pola lawy, zwane tu Hraun: wyglądają one to jak stężące fale czarnego oceanu, to jak zczorniałe kry, nagromadzone po burzy; w wielu miejscach dzikie te rumowiska składają się z tak wielkich i fantastycznych odłamów, że przypominają zwaliska zamków. Tylko z pomocą wytrzymałych koni islandzkich człowiek może przebywać te pustynie, lecz i koń musi postępować tylko z wolna i ostrożnie po tej „nierównej a jednak gładkiej“ powierzchni. Wśród tych pustyń tylko gdzieś tam napotykają się oazy trawiaste, dostarczające paszy dla koni i przez to umożliwiające podróż¹⁾; są one uwarunkowane w części przez ciepłe źródła, bijące z lawy (podczas gdy przy źródłach zimnych i strumieniach lodowcowych znika wszelka roślinność); prócz tego, pokrycie lawy morenami, wyjątkowo znaczniejszy stopień zwietrzenia, lub omińnięcie jakiegoś miejsca przez potok lawy wskutek stosunków terenu i t. p. mogą też uwarunkować istnienie oazy trawiastej.

Wulkany Islandyi wykazują po wszystkie czasy nadzwyczaj spotęgowaną działalność, sprowadzającą straszliwe klęski. Najbardziej znany wulkan, Hekla, miał w czasach historycznych przynajmniej 18 wybuchów; zresztą, wybuchy zdarzają się nie tylko ze znanych gór wulkanicznych, lecz także z nowootwierających się szpar, takim był straszliwy wybuch 1743 r. w okolicy Skaptar Jökull: wówczas to powstała na 14 km. długa, prosta jak sznur szpara, a na niej utworzyło się 33 kratery; z kraterów tych w ciągu 4 i pół miesięcy wypłynęło 4½ miliarda metrów sześciennych lawy, które pokryły obszar 900 km.² i z których można zbudować górę wielkości Mont Blancu. Ilość wyrzucanych popiołów bywa też olbrzymią: pokrywa on grubszą, lub cieńszą warstwą nieraz całą wyspę, unoszony wiatrami dosięga wysp Or-

¹⁾ Ob. Grönlund, „Isländische Naturverhältnisse“ w „Die Natur“, 1881. Nr. 26, 27.

kadzkich, a nawet Sztokholmu. Zniszczenia, wywołane przez popiół, są większe, bo powszechniejsze, niż przez lawę; pastwiska ulegają zasypaniu, lub zatruciu, z tego wynika pomór na bydło, a w następstwie i na człowieka. Popiół spadły do rzek zatamowuje je, sprowadza wylewy, zatrzuwa ryby. Nawet już po spadnięciu popiół ten może zagrażać okolicom oszczędzonym od zniszczenia: wraz z piaskiem, powstałym ze zwiertzałego tufu, staje się on igraszką wiatrów i zasypuje znaczne przestrzenie; wytwarza niby zczerniałe Sahary w miniaturze, gdzie wszelki ślad wnet niknie zawiany i gdzie ludzie dla niezmylenia drogi wznoszą wysokie piramidy kamienne.

Oprócz wulkanów, Islandya posiada znaczną ilość źródeł gorących, które są w związku bądź z wulkanami, bądź z uskokiemi; najczęściej napotyka się one w południowo-zachodniej części wyspy (słynne gejzery), oraz na północy, szczególnie w okolicach jeziora Myvatn. Te zjawiska wulkaniczne przynoszą korzyść człowiekowi przy praniu, gotowaniu i kąpielach; źródła, bijąc wśród morza, dostarczają rybakom wody do picia, a na wybrzeżach służą do wywarzania soli z wody morskiej. Niegdyś ułatwiły one wprowadzenie chrześcijaństwa na wyspie, gdyż Islandczycy wzbraniali się przyjmowania chrztu zimnego. Według dawnego zwyczaju, młody Islandczyk obowiązany był ofiarować wybrance swego serca oczyszczone od mułu źródło do kąpieli.

Do okolic wulkanicznych i do uskoków przywiązane też są w Islandyi trzęsienia ziemi, należą więc one tutaj części do kategorii wulkanicznych, części do tektonicznych.

Na utworach wulkanicznych przedlodowych leży druga część składowa Islandyi: utwory lodowcowe epoki lodowej. Islandya w epoce tej była pokryta skorupą lodową, podobnie jak dzisiaj Grenlandya, i tylko pojedyncze szczyty gór sterczały z pod tej pokrywy, jak grenlandzkie „nunatakar”. Śladami tej epoki są moreny, głazy narzutowe, baranie łby (Rundhöcker), szlify i szramy na wygładzonej powierzchni skał (obok wygładzeń i szram lodowcowych dają się też napotykać wietrzane, wytwo-

rzony przez masy lotnego piasku, miotanego wichrami ¹⁾. I obecne lodowce zajmują jeszcze dość znaczne obszary ($\frac{1}{7}$ wyspy); w zetknięciu z utworami wulkanicznymi przyjmują one czasami barwę czarną, niby pokłady antracytu. Szczególniej znaczne obszary zajmują lodowce w południowej wilgotniejszej części kraju, mianowicie w grupie Vatna Jökull, która zdala wydaje się niby „płachta śmiertelna na ciele olbrzyma“; lodowce tej grupy w peryodzie przyrostu dosięgają morza. Walka ogni wulkanicznych z lodowcami sprządza również straszne klęski na nieszczęśliwą wyspę; wybuchy wulkanów, lub tylko wzmożenie się ich działalności rozgrzewającej, wywołują nagle topnienie wielkich mas lodu (Jökulhlaup) i wtedy szerokie potoki wody, błota i brył lodowych zalewają kraj; gdy w roku 1861 zdarzyły się „subglacyalne“ wybuchy na Vatna Jökull, to od topniejących firnów i lodów cały południowy pas nadbrzeżny został zalany, a okręty angielskie w odległości 130 km. od brzegu musiały z trudem przebywać prąd wody błotnistej na 50 km. szeroki ²⁾.

Osady potoków lodowcowych, tak dawnych jak i dzisiejszych, składają się z piasku i szabru i noszą w Islandyi nazwę sandr. Na ich powierzchni napotykają się lejkowate zagłębienia; są to miejsca, gdzie dłużej utrzymywały się odłamy lodowców porwane i uniesione podczas jökulhlaup. Sandr, pochodzące z dawnych lodowców, zmieniły po większej części swój charakter pierwotny: pokryły się trawą lub torfowiskami ³⁾.

Wody Islandyi, zasilane obficie lodowcami, spływają głównie na północ i południe (na zachód i wschód płyną tylko drobne rzeczki nadbrzeżne), albowiem główny dział wodny biegnie linią

¹⁾ Fakt ten, zaczerpnięty od takiego znawcy Islandyi, jak Thorodsen (Pettermanna „Mitteilungen“, 1885, str. 330), dowodzi, że erozya wietrzana nie ogranicza się bynajmniej jedynie na klimatach suchych, jak to zdawało się memu krytykowi ze „Wszczęświata“, panu J. Siemiradzkiemu.

²⁾ Ob. A. Heim, „Gletscherkunde“, 1885.

³⁾ Ob. K. Keilhack, „Deutsche geographische Blätter“, 1886.

falistą z zachodu na wschód przez okolice najznaczniejszych obszarów lodowcowych (Lang-Jökull, Hofs-Jökull, Vatna-Jökull. Jökull = lodowiec). Rzeki położyły tu sobie, tak w tufach jak w bazaltach, głębokie kanionowe łożyska i często tworzą wodospady (twardość skał, młodość rzek, podobnie jak w Skandynawii). Jeziora, pominąwszy laguny nadbrzeżne, o których genezie jużesmy wspominali, pochodzą bądź z powodu zatamowań lodowcowych, bądź zapadnięć wulkanicznych. Jeziora te nie są wielkie, ale bardzo liczne: jak w Irlandyi, tak i tutaj z niejednego wzgórza można naraz objąć wzrokiem niezliczone zwierciadła jezior: jedne błyszczące w świetle pośród zieleni łąk, inne ciemne, jakby bez życia, zaledwie dostrzeżone wśród również czarnych skał, lub torfowisk. Wiele z tych jezior nie ma odpływu, jednak woda ich nie jest słona, bądź dlatego, że brak odpływu jest tylko pozorny (odpływ podziemny), bądź dlatego, że lawy okoliczne trudno się rozkładają, więc woda nie może od nich otrzymać cząstek soli. Jeziora Islandyi są utworami bardzo zmiennymi: potoki lawy, lub zasy pylnego piasku i popiołu dzielą je na części, lub całkiem wypełniają.

* * *

Poznawszy powyżej główne czynniki, warunkujące wogóle skład gruntu i kształt powierzchni Islandyi, warunkujące jej charakter krajobrazowy, przyjrzyjmy się teraz poszczególnie ważniejszym jej okolicom, które po większej części dopiero w ostatnich czasach zostały bliżej poznane, dzięki niezmiordowanej podróżniczej i badawczej działalności Islandczyka, Thoroddsena, słusznie nazwanego Saussurem swej ojczyzny.

Południowa nizina Islandyi ¹⁾ jest na północo-zachodzie ograniczona górami, ciągnącemi się od przylądka Reykjanes do Lang Jökull; granicę tę wyznaczają linie zapadnięć, wzdłuż któ-

¹⁾ Ob. Th. Thoroddsen, „Zwei Reise ins Innere von Island“ w *Peterm. Mitt.*, 1892.

rych zdarzają się trzęsienia ziemi, występują stare wulkany i źródła gorące, między nimi znane gejzery, oraz wodospady na rzekach. W pobliżu gejzerów nizina wdziera się najdalej we wnętrze wyspy, a jednak wznosi się tylko na 120 m. nad poziom morza. Na południo-wschód od rzeki Thjorsa między Burfell i Heklą nizina przechodzi bezpośrednio w wyżynę wnętrza bez odgraniczeń; a to z wielką szkodą dla pierwszej, albowiem przy silnych wiatrach popiół wulkaniczny i pył pumeksowy, pokrywające pustynię wnętrza, znajdują łatwy dostęp na nizinę i zasypują chaty i łąki.

Podłoże niziny południowej składa się z palagonitowego tufu i brekcyzi, z rozrzuconymi żyłami i gniazdami bazaltu. Podłoże to wyskakuje tu i owdzie z pod młodszej formacji (pokrycia dyluwialnego), w kształcie odosobnionych wyniosłości brekcyzowych, które noszą zwykle pokrywą bazaltową ze szramami lodowcowymi; pokrywa ta uchroniła wyniosłości od denudacji. W epoce lodowej nizina południowa była wielką zatoką, w której osadził się muł przynoszony przez niezliczone potoki lodowcowe. Obecnie nizinę tę skrapiają dwie rzeki: Thjorsa i Hvita (południowa), wypływające z lodowców Hofs Jökull; druga z nich przedstawia zadziwiające zjawisko: woda jej już po wielokroć prawie zniknęła, tak, że po niektórych częściach łożyska można było chodzić suchą nogą; widocznie przy jakichś nieznanych warunkach rzeka znajduje ujście do szczelin podziemnych. Mieszkańcy okoliczni utrzymują, że tu pod ziemią przebywa smok, który opuszcza swą jaskinię i wtedy woda wlewa się do niej.

Na wschodzie niziny wyżyna wnętrza, ograniczona z południa przez znaną już nam śnieżną grupę Vatna Jökull, dosięga prawie wybrzeża morskiego; tutaj pozostaje tylko wąski pas nadbrzeżny piaszczysty (sandr) z jego deltami i lagunami. Pas ten utworzony jest, jak wiadomo, z napływów osadzonych przez potoki lodowcowe; potoki te często zmieniają swe łożyska, wzbierają i czynią ten pas tak niebezpiecznym dla człowieka, że mieszkańcy wschodniego wybrzeża wysy, udający się do Reykjavik, wola omijać ten pas długą drogą okólną na północ od grupy Vatna Jö-

kull. Pas ten jest dzisiejszym utworem analogicznym do pasa piaszczystego, ciągnącego się na południe właściwej krainy morenowej Pojezierza Bałtyckiego i zawdzięczającego swe powstanie takimże potokom lodowcowym, które spływały niegdyś z krawędzi dyluwialnego lodowca skandynawskiego ¹⁾.

Zachodnia nizina Islandyi, przytykająca do Faxafiördr, nosi charakter podobny do niziny południowej: składa się z osadów morskich dyluwialnych (pokrytych w części torfowiskami), wśród nich wznoszą się odosobnione wzgórza bazaltowe, na których leżą osady ludzkie. Nizinę tę skrapia rzeka Hvita (zachodnia), wypływająca z lodowców Lang Jökull i z licznych jezior, na północo-zachód odeń leżących (Fiskivátn) ²⁾.

Na północ od niziny południowej i w niewielkiej od niej odległości, wśród wyżyny islandzkiej, wznoszą się wspomniano już dwie wielkie masy lodowcowe: *Lang Jökull* i *Hofs Jökull* z najwspanialszemi w Islandyi solfatarami i wulkanami błotnemi, których nieznanne okolice zbadał Thoroddsen w 1888 roku ³⁾. W pobliżu Hofs Jökull wznosi się tutaj grzbiet gór, ciągnący się z południa na północ, zwany *Kerlingarfjöll*, który swemi szczytami i ścianami o najrozmaitszych barwach brunatnej, czerwonej, zielonej, żółtej i białej czyni silne wrażenie, wyjątkowe szczególnie w Islandyi, gdzie wszędzie prawie spotykamy jedynie ponure skały czarne. Góry te są utworzone prawie wyłącznie z liparytu, który przebił brekczyę palagonitową, stawiając i tutaj fundament.

Orograficznie góry Kerlingarfjöll składają z dwu równoległych łańcuchów, rozdzielonych rzeczką Kerlingara, która wyłobiła głęboki dziki kanjon w liparycie i brekczyi palagonitowej; ściany i krawędzie tego kanjonu są pokrajane w niezliczone

¹⁾ Ob. K. Keilhack w Petermanns „Mitteilungen“, 1891.

²⁾ Ob. K. Keilhack, „Islands Natur“ w „Deutsche Geographische Blätter“, 1886.

³⁾ Ob. Th. Thoroddsen, „Neue Solfataren und Schlammvulkane in Island“ w „Ausland“, 1889, Nr. 9.

stromie brózd, wypłukane przez wody deszczowe, tak, że w wielu miejscach dolina zmieniła się w labirynt gór erozyjnych o najdziwniejszych kształtach. Ściany kanionu są wszędzie tak strome, że człowiek nie byłby w stanie wdrapać się po nich, a cała dolina jest zupełnie pozbawiona roślinności, zupełnie naga, widać tu tylko jasne usypiska stoczone z sąsiednich gór liparytowych.

Ze szczytów gór Kerlingarfjöll (1100 m. i wyżej) można objąć wzrokiem całą Islandyę w poprzek z południa na północ. Na południe widać wyraźnie część wyżyny pokrajaną licznymi dolinami; dalej rozpościera się nizina południowa, wśród której z powodu odległości nie widać już szczegółów, z wyjątkiem znacznie wyżej wspomnianych odosobnionych gór z bazaltowem pokryciem; wreszcie ograniczające tę nizinę z południa morze zlewa się z niebem na mglistym skraju horyzontu. Na północ widać wyżynę, rozciągającą się aż do morza, gdzie rozpada się ona na części pokrajane dolinami rzek i fiordami. Samo morze Lodowate ukrywa się przed wzrokiem za mleczno-białą zastoną mgłą, wytworem pływających lodów, która wysyła we wnętrze wyspy wzdłuż dolin rzecznych liczne odnogi, nakształt ramion polipa. W pobliżu gór roztacza się wspaniały widok na świat lodowcowy Lang Jökull i Hofs Jökull, które swymi błyszczącymi kopułami lodu nadają całej okolicy piętno absolutnej martwoty.

Samo góry Kerlingarfjöll przedstawiają się jako labirynt skał porozrzynanych głębokimi dolinami potoków, spływających z każdego zagłębienia wyższej części gór, napełnionego śniegiem; nigdzie wzrok nie spotka śladu roślinności, ale za to ściany gór i zbocza dolin pstrzą się najjaskrawszymi barwami, rażącymi oczy swą dysharmonią. Z każdego otworu lub szczeliny skalnej wznoszą się większe lub mniejsze strumienie pary, a z głębi ziemi wydobywają się jęki i świsty, co wszystko dowodzi, że tutaj bóg Wulkan ma jeden z większych swych warsztatów, gdzie dniem i nocą odbywa się energiczna praca. Woń siarkowodoru rozchodzi się daleko.

Podróż po dolinach tych gór jest bardzo niebezpieczna, albowiem wrące a głębokie gliniaste błoto, tworzące tu kałuże, pokryte jest w wielu miejscach skorupą, która pod ciężarem człowieka może się załamać. Kałuże te i przyległe im zbocza wyniosłości mają najrozmaitsze barwy, z tych to kałuż tryskają strumienie par siarczanych i wybucha błoto, z którego powstają dokoła okrągłe wały.

Jest to islandzka „kraina cudów“, przypominająca sławną amerykańską.

Drugą ciekawą, nie tylko pod względem fizycznym, ale i historycznym, okolicą jest znane już zresztą dawniej *pole lawy Thingvallhraun*, rozciągające się między krainą gejzerów i Reykjavik. Lawa porozpękała się tutaj w liczne szczeliny, z których jedna ma milę długości, a jej wyższe zbocze, z którego potoki rzucają się wodospadami, ma 140 stóp wysokości. Trzy takie szpary, zbiegając się ze sobą, izolują prawie zupełnie olbrzymi blok lawy pokryty murawą; blok ten, który tylko za pomocą wężkiego przesmyku łączy się z resztą pola lawowego, stanowi jakby naturalną warownię, którą Islandczycy obrali niegdyś jako siedlisko swego parlamentu; tutaj przez wieki zbierali się przedstawiciele narodu, strzeżeni od natręctwa tłumu przez wartę ustawioną na wężkim przesmyku. Stąd, podobnie jak ze skały Tarpejskiej, strącano w przepaść przestępców; tutaj czarownicy znajdowali śmierć na stosie. Tutaj był też główny rynek wymienny dla całej wyspy, który w pewnych peryodach stawał się miastem namiotów ¹⁾. Ku Reykjavikowi Thingvallhraun traci swój charakter pustynny, pokrywa się roślinnością, co uwarunkowało powstanie tutaj licznych ferm i samej stolicy Reykjavik. Wyjątkowa w Islandyi żyzność tej części pola lawy wynika stąd, że było ono świadkiem całego zlodowacenia wyspy i uległo wszystkim jego konsekwencyom, t. j. pokruszeniu i pokryciu morenami, na których porasta bujna trawa ²⁾.

¹⁾ Ob. E. Reclus, „Geographie Universelle“, tom IV, 1879.

²⁾ Ob. K. Keilhack, „Islands Natur“ w „Deutsche geographische Blätter“, 1886, B. IX, H. 1.

Typowem zato polem lawy, przejmującym swą groźną wspaniałością, jest *Odadahrauu*, rozciągające się na północ Vatna Jökull do okolic jeziora Myvatn; i ta kraina wnętrza została poraz pierwszy zbadana przez Thoroddsena w r. 1884 ¹⁾.

Odadahrauu jest największem polem lawy w Europie, powierzchnia jego składa się z chaotycznie nagromadzonego rumowiska, którego w wielu miejscach niepodobna przybyć pieszo; obok rumowisk napotykają się też obszary piasku lotnego. Pustynia ta jest prawie zupełnie pozbawiona roślinności: w południowej części można jechać całymi dniami, nie napotykając ani źdźbła trawy. Z powodu wysokiego położenia, nawet w lecie można tu zostać zaskoczonym przez zamiecie śnieżne (a także grady); często bywają tu też zamiecie piaszczyste niemniej niebezpieczne, a przynajmniej bardzo dotkliwe: pył subtelny wciska się do oczów i uszów, przenika odzienie i pakunki; szkielety koni i owiec zamiast wielbłądów dopełniają analogii z Saharą. Do tego trzeba dodać, że oryentowanie się za pomocą kompasu jest w wielu miejscowościach zawodne z powodu zawartości żelaza w lawie. Wobec braku roślinności trzeba zabierać ze sobą pakunki siana dla koni, a oprócz tego kosę i grabie (jak gdzieindziej strzelbę do upolowania zwierzyny), aby w razie napotkania oazy powiększyć swe zapasy. Islandczycy przywiązują do tej ponurej pustyni liczne przesadne wieści o bujnych oazach, zamieszkałych przez ludzi. Wieści te nie są pozbawione pewnej podstawy realnej, albowiem dawniej przestępcy uciekali rzeczywiście w tę niedostępną krainę i żyli tam czas pewien wśród niewymownych cierpień. Miało to miejsce w XVII i początku XVIII stulecia, gdy w Islandyi wszelkie przekroczenia przeciw obyczajności, oraz związki między krewnymi były surowo karane.

Nędza zmuszała tych zbiegów do napadania i rabowania osad sąsiadujących z pustynią (wpływ pustyń na rozbójnictwo); fermerzy też przedsiębrali wyprawy zbrojne w celu chwywania

¹⁾ Ob. Th. Thoroddsen, „Eine Lavawüste im Innern Islands“ w *Peterm. Mitt.*, 1885.

rabusiów, lub w celu wynalezienia nowych pastwisk (zupełnie jak skwatterzy w Australii). Thoroddsen znalazł rzeczywiście oazy ze źródłami i trawą, mianowicie w północnej części Oda-dhraun w pobliżu gór Herdubreid (na południo-wschód jeziora Myvatn). Jest to bardzo malownicza okolica: kolosalne góry Herdubreid należą do najwspanialszych krajobrazów górskich w Islandyi; na południe widnieje śnieżna opona Vatna Jökull, na północ rozciąga się nieprzejrzana równina, która w razie pogodnego zachodu słońca oblewa się barwami nieopisanej piękności, w południe zaś przy pogodnym dniu można tu obserwować najrozmaitsze fata morgana: równina wydaje się usiana małemi jeziorkami, nad którymi piętrzą się masy skalne; ukazują się też domy, lub karawany koni jucznych. Czasami też powstają tu charakterystyczne dla pustyń lawy małe wiry, unoszące słupy piasku, jak na Sabarze. Thoroddsen zwiedził w tej okolicy jeden wulkan, którego krater był wyłożony białą skorupą lodu; na dnie leżały pojedyncze stoczone gązdy, które z krawędzi krateru wydawały się, jak czarne punkty na białym marmurze. Inny wulkan (Askja), który do wspólni ze stosunkami lodowymi wytworzył charakterystyczną dla Islandyi skałę, konglomerat z gładów wyrzuconych przez wulkan, a spojonych cementem lodowym, odznacza się wogóle kombinacją zjawisk wulkanicznych z lodowcami: spotykamy tu mianowicie kotlinowate zagłębienie z cichem jeziorem, na zielonawej powierzchni którego pływają masy pumeksu; dalej olbrzymie kratery, pokryte zielonawymi i żółtymi inkrustacjami siarki; niezliczone strumienie pary, wybuchające z ogłuszającym szumem. Zjawiska te, w połączeniu z polami śnieżnymi i lodowcami, z dziko poszarpaną krawędzią góry, sprawiają, mówi Thoroddsen, na widzu potężne wrażenie. Chyba pióro Danta, lub ołówek Dorógo, mogłyby dać wierny obraz tego wrażenia. Na południo-zachód od Askja, już w sąsiedztwie północnej krawędzi lodowców Vatna Jökull, wznosi się wulkan Trölladyngja, jedna z największych kopuł lawy w Islandyi (1,500 m.). Wulkan ten w czasach historycznych nie był, zdaje się, czynny, ale w dawniejszych musiał mieć potężne wybuchy, gdyż potoki

lawy rozbiegają się stąd we wszystkie strony, niby poczerńiało fale morskie. Największy z tych potoków płynął na północ prawie aż do morza na odległość 1^o szerokości, t. j. przeszło 110 km.; jest to najdłuższy potok lawy w Islandyi. W pobliżu Trölladyn-gja i Herdubreid Thoroddsen napotkał ślady dawnych zbiegów, mianowicie ruiny chat oraz szkielety koni i owiec; jedna z chat była osobliwością nawet w Islandyi; składała się ona z płyt lawy, których szpary były pozatykane mchem; w poprzek niej był przeciągnięty szkielet koński, na którym oparte płyty lawy reprezentowały dach; drzewa, naturalnie, ani kawałka. Trudno pojąć, mówi Thoroddsen, w jaki sposób istota ludzka mogła mieszkać w takim budynku.

Przez Odadahraun w pobliżu wschodniej krawędzi przepływa w północnym kierunku rzeka Jökullsa, wypływająca z Vatna Jökull i nazywana niekiedy, dla odróżnienia od innych rzek tejże nazwy, Jökullsa i Axarfirdi, lub Jökullsa a Fjölum. Spadając w głęboką wulkaniczną szparę, rzeka ta tworzy wodospad Dettifoss, jeden z najwyższych w Islandyi, na 100 m. wysoki i tą szparą spieniona i szumiąca płynie dalej do morza (Axarfjördr). W pobliżu zaś zachodniej krawędzi płynie również obfita w wodospady rzeka Skjalfandafljöt. Z jezior tego obszaru, drobnych lecz licznych, najznaczniejsze jest Myvatn, które zawdzięcza swe powstanie wulkanicznemu zapadnięciu; otaczają go potoki lawy i setki kraterów; posiada też mnogie wyspy wulkaniczne. Drugie drobne jezioro Sandvatn (na północ Myvatn) miało niegdyś połączenie z Myvatn, lecz następnie zostało oddzielone potokiem lawy.

Islandya północno-wschodnia ¹⁾. Na wschód Odadahrauu rozciąga się z początku pustynia lotnego piasku, powstałego ze zwietrzenia tufu. Osady bardzo rzadko się tu spotykają; mieszkańcy zajmują się hodowlą owiec, które przez całą zimę chodzą po polach, dobywając z pod śniegu nędzną trawę. Dalej na wschód, w okolicach, uchodzącej na północno-wschodniem wy-

¹⁾ Ob. Wichmann, Thoroddsens Reise durch Ostisland w Petermanns Mitt., 1884.

brzeżu, rzeki Jökullsa a Bru (źródła w Vatna Jökull) obszar tufu ustępuje miejsca obszarowi bazaltu, w którym rzeka ta wyżłobiła sobie głębokie łożysko; to też dla przebycia jej używają tutaj oryginalnego środka transportu, zwanego „klafar“ lub „draettir“: oba brzegi mianowicie są połączone linami, umocowanymi na skałach; na takiej linii za pomocą postronków przeciąga się kosz lub skrzynia, mieszcząca pasażera. W jednej z ubocznych dolin występują obficie źródła gorące, które są rzadkością we wschodniej Islandyi. Gęściej zaludniona dolina Jökullsa a Bru silnie ucierpiała w r. 1875 od wybuchu wulkanicznego (Askja); szczególnie fatalnem było wyrzucenie olbrzymiej masy popiołu pumekowego, który zniszczył pastwiska i zmusił mieszkańców do ograniczenia hodowli bydła i owiec. Na wiosnę obszary pumekowe trudno rozmarzają, gdyż biała barwa nie rozgrzewa się tak łatwo od słońca, jak ciemna; woda płynąca, natrafiwszy na takie zmarzłe obszary, podmywa je, przez co tworzą się z czasem zapadliny do 80 stóp głębokie, które utrudniają podróż i w których często ginie bydło.

W pobliżu Jökullsa a Bru i równolegle z nią płynie, też na Vatna Jökull biorąca początek, rzeka Fljötisdalur, która tworzy wązkie, długie i głębokie jezioro Lagarfliöt. W górnej jego części godzien uwagi jest najpiękniejszy na całej wyspie las brzozywy, z drzewami 8 — 9 m. wysokimi, zaś w jednej z dolin ubocznych — wspaniały wodospad Hengitorsu, jeden z najwyższych w Islandyi; woda spada tu ze ściany pionowej na 110 metrów wysokiej.

Na wschód rzeki Fljötisdalur zaczyna się fiordowa kraina Islandyi wschodniej, ku fiordom kraj spada stromemi bazaltowymi ścianami, które niekiedy wkraczają w morze na podobieństwo irlandzkiej „grobli olbrzymów“; komunikacje lądowe są bardzo utrudnione i dlatego drogi te są mało używane, szczególnie od czasu, gdy wzdłuż wybrzeży zaprowadzono regularną żeglugę; nieraz dwie bardzo blizkie osady nad dwoma sąsiednimi fiordami nie komunikują się krótką drogą lądową, lecz dłuższą wodną. Z powodu handlu, z przybywającymi tu dla połowu, rybakami

francuskiemi, wytworzył się na tych wybrzeżach handlowy żargon, będący mieszaniną wyrazów francuskich i islandzkich, którym obie strony wprawnie władają; przytem Islandczykom wydaje się, że mówią po francusku, a Francuzom, że po islandzku. Nad największym z tutejszych fiordów, Reydarfiördr, leży osada portowa Eskifiördr, najważniejszy punkt handlowy wybrzeża wschodniego, wskutek połowu śledzi; liczne statki rybackie i parowce nadają mu więcej ożywienia, niż innym portom Islandyi. W pobliżu tego fiordu, w Halgastadir znajdują się kopalnie słynnego szpatu islandzkiego, mieszczącego się w wydrążeniach bazaltu.

Islandya północno-zachodnia. Część Islandyi, rozciągająca się zachód Odadahrauu, a na północ od Hofs Jökull, wybiegająca na północ trzema dość tępemi półwyspami (między zatokami Skjalfandi i Hunafjördr) została w ostatnich czasach zbadana przez Thoroddsena ¹⁾. Kraj ten przedstawia wyżynę, utworzoną z wylewów bazaltu, tylko część południowa w sąsiedztwie z lodowcami Hofs Jökull, oraz wązkie i długie pasy wzdłuż rzek są pokryte osadami dyluwialnymi i aluwialnymi. Doliny rzeczne posiadają łąki, ulepszone przez mieszkańców za pomocą zalewów, sprowadzonych przez zatamowywanie rzek; działalność ta wpływa na rozwój hodowli bydła. Źródła gorące, ogrzewając grunt, umożliwiają nawet rolnictwo w tych wysokich szerokościach: mieszkańcy uprawiają na ogrzanych polach kapustę i kartofle, szczególnie w dolinie rzeki Fnjoska, płynącej na wschodnim z trzech wyżej wspomnianych półwyspów. Dolina tej rzeki obfitowała niegdyś w lasy, ale te zostały wyniszczone po części przez człowieka, po części przez owce, które w czasie zimy, gdy lasy były zasypywane śniegiem, obgryzały sterczące ze śniegu gałązki.

¹⁾ Ob. Keilhack-Thoroddsen, „Aus dem nördlichen Island“ w Petersmann's Mitteilungen, 1898.

Północno-zachodni półwysep ¹⁾. Półwysep ten tworzy wyżyna bazaltowa, spadająca stromo, niekiedy prostopadle, ku morzu, gdzie rozgałęzia się, tworząc niezliczone fiordy; poszarpanie to zawdzięcza po części erozyi, po części procesom tektonicznym, mianowicie zapadnięciom. Gdyby fiordy te zostały nieco tylko przedłużone, to półwysep rozpadłby się na grupę wysp, podobną z wielu względów do Faroer. Fiordy Islandyi północno-zachodniej przedstawiają wspaniałe widoki: bazaltowe skały spadają ku morzu w kształcie czarnych piramid, bastyonów, lub poszczerbionych murów. W czasie spokoju powietrza wspaniałą ciszę przyrody przerywa tutaj tylko szum wodospadów, pluskanie psów morskich, lub łoskot staczających się złomów bazaltowych.

Podróż wzdłuż tych wybrzeży jest bardzo niebezpieczna: podróż po górnej krawędzi wśród zasp śnieżnych grozi spadnięciem w przepaść, bądź wskutek złego stąpnienia konia po rumowisku, bądź wskutek orkanu; podróż u stóp grozi znów zalewem fal morskich, albowiem postępuje się tutaj po wąskiej ścieżce z rumowiska, między ścianą skalistą i morzem; fale morskie obrzucają podróżnego wilgocią w zawody z deszczem, padającym z góry; czasami ścieżka się urywa, przecięta wysuniętą skałą, i trzeba czekać odpływu morza, aby ją obejść z niebezpieczeństwem życia. Na wybrzeżach widać tu liczne ślady negatywnej zmiany poziomu: liczne tarasy, po części z materiału luźnego, po części wybite przez fale w twardych skałach, znajdują się na wysokości do 50 m. nad obecnym poziomem morza; na lądzie przy kopaniu znajdują się wysoko masy dawnego drzewa napływowego, muszle, dziś jeszcze w morzu żyjących mięczaków, oraz szkielety zwierząt morskich, jak wieloryby i t. p. Podania mieszkańców przemawiają też za „podnoszeniem“ w czasach historycznych.

We wnętrzu półwyspu występują w wielu miejscowościach osady ze skamieniałościami, zawierające zwęglone pnie drzew i zwane przez Islandczyków *surturbrand*: lasy mioceniczne zostały

¹⁾ Ob. Thoroddsen, „Eine Reise nach dem Nordkap von Island“ w *Peterm. Mitt.*, 1888.

tu pokryte przez wybuchy trachitowe i bazaltowe; w wielu miejscach napotyka się w bazalcie dziury, w których pozostały szczątki pni drzewnych. Są też tutaj źródła gorące, które warunkują w tak wysokich szerokościach egzystencją ogrodów warzywnych.

* * *

Z powodu wysokiej szerokości geograficznej ($63\frac{1}{3}^{\circ}$ — $66\frac{1}{2}^{\circ}$) noce zimowe w Islandyi są bardzo długie, zresztą zorze północne oświecają je często, a ogniste potoki lawy — niekiedy. W lecie, przeciwnie, noce są bardzo krótkie i „jasne“, albowiem z powodu niewielkiego zagłębienia się słońca pod poziom zmierzch zlewa się ze świtem; prócz tego promienie odbite od górnych warstw atmosfery tembardziej muszą się przyczyniać do rozwidnienia nocy, że w wielu okolicach padają na wieczne śniegi, które błyszczą wtedy światłem szkarłatnem; cała okolica zdaje się płonąć.

Klimat Islandyi znajduje się pod korzystnym wpływem wielkiego minimum północno-atlantycznego, oraz ciepłego prądu morskiego, który, odgałęziając się od Golfstromu, opływa całą wyspę w kierunku skazówki zegara. Niekorzystny znów wpływ wywiera prąd zimny, opływający dalej wyspę z północy i zachodu (cieśnina Danemark) i unoszący masy lodowe: przy długo trwających wiatrach północnych i północno-zachodnich lody te gromadzą się we fiordach północno-zachodniego wybrzeża i tam długo się utrzymują (np. w roku 1882), tamując żeglugę, oziębiamy lato, sprowadzając mgły, niszcząc już i bez tego skąpą roślinność Islandyi, mianowicie pastwiska, będące podstawą hodowli bydła. Ponieważ jednak wiatry północne i północno-zachodnie są rzadsze, niż północno-wschodnie i wschodnie, wiejące z nad prądu ciepłego, więc wogóle Islandya ma klimat cieplejszy, niż to wynika z jej szerokości geograficznej. Widać to najlepiej na mapie izanomali: przez Islandyę przechodzi mianowicie roczna izanomala $+7^{\circ}$, a styczniowa aż $+20^{\circ}$; to znaczy, że Islandya

pod względem temperatury rocznej jest o 7° , a pod względem styczniowej o 20° cieplejsza, niż być powinna ze względu na swą szerokość geograficzną; w lipcu za to jest nieco zimniejsza: przechodzi przez nią izanomala — 3° ¹⁾.

Co do izoterm, to przez południową część wyspy (Reykjavik) przechodzi roczna izoterma $+4^{\circ}$, przez północną (Akureyri) — izoterma $+2^{\circ}$. W lipcu przez południową część (nieco na półn. Reykjavik)—izoterma $+10^{\circ}$, przez północną (na północ Akureyri) izoterma $+8^{\circ}$. W styczniu wreszcie przez środek wyspy przechodzi izoterma -2° , wzdłuż zaś południowego wybrzeża izoterma 0° ²⁾. W Reykjavik temperatura najcieplejszego miesiąca, lipca wynosi $+12^{\circ}$, temperatura najzimniejszego, lutego wynosi $-2,5^{\circ}$. Amplituda więc dochodzi 15° , w każdym razie jest bardzo mała, jak na tak wysoką szerokość geograficzną (łagodzący wpływ morza). Za to wahania temperatury między pojedynczymi latami z powodu wyżej wymienionych przyczyn (napędzania lodów do fiordów) są bardzo znaczne, dochodzą bowiem 5° — 6° , to jest wielkości nieobserwowanej w żadnym innym kraju. Wskutek wielkich wahań ciśnienia barometrycznego panują tu silne burze, które nietylko często zatapiają łodzie rybackie, ale i dla hodowców bydła są szkodliwe, albowiem wywołują zamiecie piaszczyste („mistur“), które zasypują pastwiska.

Co do opadów, to deszcze i śniegi padają często, mgły również są częste, ale ilość opadu nie jest zbyt wielka, wogóle 600 — 900 mm. Naturalnie, że w różnych okolicach kraju są pod tym względem różnice: nad Berufjördr na wschodnim wybrzeżu roczna ilość opadu wynosi 1,093 mm., na wysepce Grimsey (na kole biegunowym) tylko 414 mm. Na południowym stoku Vatna Jö-

¹⁾ Ob. Spitalera mapę izanomali rocznych w Petermanns Mitteil., 1887 i tegoż mapę izanomali lipcowych i styczniowych w Peterm. Mitt., 1889. Izanomale mają u Spitalera bieg nieco odmienny od podanych dawniej przez Hanna w atlasie Berghausa.

²⁾ Ob. mapy izoterm Hanna w Berghausa Physikalischer Atlas, Nr. 30.

kull ilość opadu jest większa, niż na północnym i wogóle, niż w północnej części wyspy; różnica ta ma naturalnie wpływ na różnicę wysokości linii śnieżnej: podczas gdy na południowym stoku Vatna Jökull wysokość ta spada do 900 m., a niektóre lodowce sięgają prawie poziomu morza, to na stoku północnym wznosi się do 1,300 m., a we wnętrzu Odadahraun nawet do 1,500 m., potem dalej na północ znów nieco się zniża.

Flora, jak i roślinność, Islandyi jest uboga głównie z powodu warunków klimatu i gruntu. Jakkolwiek bowiem średnia temperatura roku i zimy jest stosunkowo wysoka, to jednak najważniejsze dla roślin lato jest chłodne, a peryod ciepła trwa krótko ¹⁾; wielka zmienność temperatury, oraz silne wichry też wpływają szkodliwie na roślinność. Islandya, mówi Wojekow ²⁾, stanowi najlepszy przykład, jak mało sądzić można o klimacie i roślinności kraju z jego średniej temperatury rocznej: średnia temperatura Islandyi około $+3^{\circ}$ jest taka, jak w Kazaniu, a wyższa niż w całej Syberyi; jednak na Islandyi nie rośnie zboże, a w Syberyi południowej dojrzewają pszenica i arbuzy. Grunt też przyczynia się niemniej do tego ubóstwa: składa on się bowiem z rumowisk lawy, wiecznych śniegów i lodowców, piasków i popiołów; przytem trudno wietrzejąca lawa i silne wichry nie sprzyjają tworzeniu się humusu. Wreszcie i człowiek wywarł tutaj, jak w wielu innych krajach, swój wpływ niszczący na roślinność, mianowicie leśną; dawniej Islandya posiadała lasy, głównie brzoźowe, ale te zostały wyniszczone na opał, oraz budowę domów i statków. Trzeba zaś zauważyć, że wyniszczenie lasów w pobliżu ich granicy naturalnej, uwarunkowanej czy to suszą, czy niską temperaturą, czy wreszcie silnymi wichrami, jest trudne później do wynagrodzenia; albowiem las istniejący znajduje w sobie samym warunki, sprzyjające jego egzystencji: zachowuje wilgoć, chroni grunt od silnego oziębienia, osłabia siłę wicherów. Gdy las zostanie wyniszczony, to warunki egzystencji

¹⁾ Ob. Supan, „Die Wärmeperiode w Peterm. Mitt., 1887.

²⁾ Ob. Wojekow, „Klimaty kuli ziemskiej“, 1884.

lasu pogarszają się, a jeżeli były one i tak bliskie normy granicznej, to łatwo mogą spaść pod nią.

Obecnie spotykamy w Islandyi głównie tylko zarośla brzozy karłowatej, wierzby i jałowcu, jedyne „drzewa“ iglastego Islandyi. Zdarzają się one głównie na wysepkach wśród bystrych rzek i wodospadów, które stanowią ochronę od ludzi i zwierząt. Ktoś z powodu tych zarośli wyraził się dowcipnie, że „Islandya posiada lasy, ale nie posiada drzew“, a drzewo jarzębiny, które utrzymało się w zacisznym miejscu wybrzeża północnego pod Akureyri, mieszkańcy okazują z dumą, jako „drzewo wyspy“. Są to wyrażenia charakterystyczne, nie należy ich jednak brać dosłownie, albowiem tu i owdzie znajdują się jeszcze na Islandyi rzeczywiste lasy z prawdziwymi drzewami (brzozy, wierzby, jarzębiny), wśród których, jadąc konno, można używać cieniu i gdzie rozlega się śpiew ptaków, podobnie jak u nas.

Jakkolwiek ubogą jest flora Islandyi, stanowi ona jednak ważną podstawę bytu człowieka, który wśród trudnych warunków nauczył się wyciągać ze wszystkiego największą możliwą korzyść; o tem jednak powiemy niżej.

Fauna Islandyi jest naturalnie również uboga z pewnemi wyjątkami (szczególniej ptaków). Renifery, sprowadzone w roku 1770 z Laponii, nie mogły osiadłym Islandczykom przynieść wielkiej korzyści, zostały więc zaniedbane i zdziczały; napotyka się one stadami w okolicach jeziora Myvatn, gdzie na nie Islandczycy polują. Niedźwiedzie białe dostają się tu na pływających lodach, ale nigdy nie przebywają lata na wyspie; jeżeli nawet znużone w pierwszej chwili po wylądowaniu nie zginą z ręki człowieka, to, spustoszywszy stada owiec, uchodzą znów na lody, płynąc ku nim nieraz bardzo daleko. W jaskiniach lawy w północnej części Odadakraun często napotyka się lisy, które tępieniem jagniąt więcej przynoszą szkody, niż swemi futrami korzyści. Ze zwierząt morskich, psy morskie, szczególnie na wybrzeżach północno-zachodnich są przedmiotem polowania, mnóstwo też poławia się śledzi i sztokfiszów (Islandya ma w herbie sztokfisz); z ryb w jeziorach i rzekach żyją szczególniej pstrągi i ło-

sosie w różnych odmianach, z których tak zwany przez Islandczyków „krus“ żyje w szczelinach lawy na dnie jeziora Myvatn. Węzów, jaszczurek i żab nie ma tu zupełnie. Ze ślimaków napotyka się w jeziorach różne gatunki *Limnaea* i tylko w jednej małej zatoce jeziora Myvatn, z której dna bije źródło ciepłe, ogrzewające wodę zatoki do 21°, napotyka się prócz tego mały gatunek *Planorbis* na liściach *Myriophyllum* i *Potamogeton*. Niektóre owady, jak np. komary, występują za to chmarami, szczególnie nad jeziorem Myvatn, które stąd właśnie otrzymało swą nazwę („jezioro komarów“). Dość powiedzieć, że skazańców umieszczano niegdyś na wyspie tego jeziora związanych i nagich; komary zagryzały ich na śmierć. Liczne są też pająki, snujące swą pajęczynę w szczelinach lawy.

Najważniejszą jednak dla Islandyi jest jej bardzo liczna fauna ptasia, szczególnie wodna: niektóre okolice tylko dzięki obecności ptaków mogły stać się siedzibą człowieka: ptaki dostarczają mięsa, tłuszczu, jaj, pierza, bez czego człowiek w wielu surowych okolicznościach nie mógłby wytrzymać ciężkiej walki o byt. Ptaki dostarczają nawet materiału opałowego: tłuste ich ciała po wysuszeniu wybornie się palą, przyczem pióra służą za podpałkę. Archipelag *Vestmannaeyjahra* u południowego wybrzeża dostarcza głównie tego materiału: pingwiny, mewy, alki, śpiące masami na skałach, padają tu pod ciosami kijów. Wskutek tępienia ptactwa, oraz obfitego używania jaj w tej ubogiej w środki pożywienia krainie, ilość ptaków silnie się zmniejsza. Tylko dostarczający cennego puchu edredon (*Somateria mollissima*) cieszy się szczególniejszą opieką człowieka, jako prawdziwy skarb wyspy; nie tylko niewolno na niego polować, ale niewolno nawet strzelać w pobliżu jego siedzib, aby go nie płoszyć. To też edredon jest tak łaskawy, że pozwala człowiekowi nie tylko się zbliżyć, ale nawet głaskać; stanowi on coś pośredniego między zwierzęciem dzikiem i domowym.

* * *

Islandya w czasach przedhistorycznych musiała nie być zaludniona, przynajmniej nie znaleziono tu żadnych śladów

z epoki kamiennej, lub bronzowej; żaden tumulus nie wznosi się na przyłądku, żaden dolmen nie ukazuje się wśród torfowiska.

Pierwszymi odkrywcami i osadnikami Islandyi byli przy końcu XVIII wieku Celtowie irlandzcy, mnisi, którzy się tu dostali przez wyspę Faroer i których ślady (książki, dzwony i laski) znaleźli tu później na wybrzeżach Normannowie ¹⁾. Tradycya islandzka twierdzi, że Celtowie, uciskani przez Normannów, zmuszeni byli opuścić wyspę, lecz przedtem na kłatwę zapalili ognie wulkanów. Wreszcie ślady pobytu Irlandczyków w Islandyi pozostały w niektórych nazwach miejscowości, jak np. archipeląg Vestmannaeyjahr, to jest „archipeląg ludzi zachodnich“ — nazwa, którą Normannowie nadawali niegdyś żeglarzom z Erynu.

Normannowie przybyli tu poraz pierwszy zagnani burzą w drugiej połowie IX stulecia i odkrytą wyspę nazwali z początku Snaeland, to jest „krajem śniegu“. Nowa kolonia wkrótce otrzymała nazwę dzisiejszą — „Kraju lodu“ i została zaludniona przez kwiat rycerstwa normańskiego: wielu rycerzy niezadowolonych z ucisku władców emigrowało z Norwegii i Danii na tę odległą i ponurą wyspę, gdzie czekały ich wprawdzie ciężkie zapasy z surową i groźną przyrodą, ale zarazem i wolność. Tym sposobem jeszcze przed końcem X stulecia powstała tu pod kołem biegunowem kwitnąca republika, gdzie oświata stała wysoko, gdzie przechowały się eddy, pieśni bardów i sagi, przywiezione tu przez pierwszych osadników.

Podobnie, mówi Ritter, jak niegdyś Afryka północna, Kartagina, została zaludniona przez najlepsze jednostki Fenicyi; jak Italia południowa, Magna Graecia, jako kolonia wygnańców greckich, stała się schronieniem nauk i sztuk; podobnie jak cywilizacya Arabów dosięgnęła najwyższego stopnia rozwoju w ich kolonii hiszpańskiej, tak samo, dzięki błogim skutkom wolności, zakwitła młodzieńcza kolonia Normannów — Islandya. Kolonia ta ze swej strony stała się punktem wyjścia dalszej kolonizacyi

¹⁾ Ob. Peschel-Ruge, „Geschichte der Erdkunde“, 1878, I.

(Grenlandya, Winlandya), ojczyzną poprzedników Kolumba w odkryciu Nowego Świata.

Już jednak w drugiej połowie XIII-go stulecia Islandya utraciła swą niezależność, stała się kolonią norweską, a wreszcie duńską; ucierpiała też wiele przez te czasy od epidemii, klęsk głodowych, wybuchów wulkanicznych, trzęsień ziemi, a nawet piratów: w XIV stuleciu od angielskich, w XVII od mahomekańskich, którzy zapędzili się aż w tak dalekie, polarne okolice. Za każdym razem ich punktem oparcia był skalisty archipelag Vestmannaeyjahr.

Obecni Islandczycy, wskutek swego wyspowego odosobnienia, zachowali najczystej ze wszystkich Skandynawów język staronormański. Liczba ludności z powodu ubóstwa przyrody jest nieznaczną: w roku 1880 wynosiła 72,000, to jest 0,7 na 1 km.²; przytem należy zwrócić uwagę, że większa część wnętrza, jako zajęta przez rumowiska lawy, lotny piasek i popiół oraz lodowce, jest zupełnie bezludna; tradycye Islandczyków, że śród pustyń wnętrza mają się znajdować zielone oazy, w których pasterze i myśliwi pędzą żywot odosobniony, sprowadzają się, jak wspomnieliśmy, jedynie do tego, że czas jakiś ukrywali się tam zbiegi, póki nie zginęli z głodu i zimna. Ale nawet i wybrzeża nie wszędzie są zamieszkane (głównie na południo-zachodzie, gdzie więcej nizin i klimat cieplejszy), tak np. wybrzeże południowo-wschodnie jest bezludne z powodu sandr; za to wzdłuż zacisznych dolin niektórych rzek (np. Jökulsa a Fjölum i a Bru) ludność wtargnęła tu i owdzie nieco głębiej we wnętrze ¹⁾.

Liczba ludności w różnych latach przedstawia znaczne wahania, wynikające z częstych klęsk, jakie nawiedzały wyspę. Tak np. po wielkim wybuchu 1783 roku, który pozbawił Islandyą przeszło 200,000 sztuk bydła (głównie owiec), liczba ludności z 47,000 spadła do 38,000. Zresztą i pomimo wybuchów śmiertelność w Islandyi jest bardzo wielka z powodu niebezpiecznego

¹⁾ Ob. mapę zaludnienia Islandyi w „Deutsche Geographische Blätter“, 1886, B. IX, H. 1.

sposobu życia ludności męzkiej, zmuszonej puszczać się na burzliwe morze celem połowu, lub wspinać się na niedostępne skały za ptastwem; dalej z powodu zmienności temperatury, oraz niehygienicznych nieprzewietrzanych mieszkań (z powodu zimna). Prócz tego emigracya (do Kanady i Stanów Zjednoczonych) jest znaczna, szczególnie po różnych klęskach, jak np. po zimnem lecie 1882 roku, które zniszczyło pastwiska i zadało klęskę hodowcom bydła. Szczęściem, liczba narodzin jest także znaczna, tak, że pomimo powyższych niekorzystnych warunków ludność Islandyi wzrasta.

Położenie osad jest w związku z warunkami rybołówstwa (osady rybackie na wybrzeżach), istnieniem źródeł gorących i oaz trawiastych (fermy hodowlane). Osady nadbrzeżne z powodu wielkiej stromości wybrzeży, szczególnie na północo-zachodzie, północo-wschodzie i wschodzie wyspy (bazałty), leżą często u ich stóp na stożkach nasypowych, utworzonych z gruzu bazaltowego, który, zesuwał się ku morzu, uczynił w dolnej części wybrzeża spadek łagodniejszym. Związek osad ze źródłami gorącymi odbija się w nazwach, w których często zachodzą sylaby: reyk, laug, hver, oznaczające termy; przyczynę zaś swą znajduje w tem, że źródło gorące nietylko warunkuje bujniejszą roślinność, ale zarazem służy człowiekowi do gotowania, prania i kąpeli ciepłych—względy ważne, szczególnie w kraju tak ubogim w materyały opałowe, jak Islandya. Tak np. źródło gorące Laugarnes pod Reykjavik służy całemu miastu do prania bielizny: widać tam zawsze mnóstwo praczek przy swem zajęciu; przyrządzenie obiadu nie sprawia im kłopotu: jadło gotuje się w źródłach.

Co do materyałów budowlanych i architektury, to przede wszystkim wobec braku lasów drzewo musi być bardzo oszczędzane, a wobec chłodnego i wietrznego klimatu, oraz braku materyałów opałowych liczba otworów domu, przez które powietrze może się przedostać z zewnątrz, musi być ograniczona do minimum i wogóle przy całej budowie główna uwaga zwraca się ku ochronie od zimna. Nie posiadając dżewia, Islandya posiada

wprawdzie podostatkiem kamienie budowlane, ale należytemu ich zużytkowaniu w tym celu stoi na przeszkodzie brak wapienia. Wprawdzie znajduje się tutaj węglan wapnia, lecz tylko w postaci szpatu wapiennego w licznych wydrążeniach bazaltu; w górach Esja pod Reykjavik występuje on w znaczniejszej nieco ilości, tak, że wypalają zeń wapno w małym piecu wapiennym nad przystanią reykjawiicką. Ale ilość ta nie wystarcza na potrzeby nawet tego jednego miasta; to też nawet tutaj mało jest budowli stawianych na sposób europejski (np. dwupiętrowy parlament zbudowano z reykjawiickiej przedlodowej lawy). Większość budowli w tem mieście i w całym kraju jest albo z drzewa, bądź sprowadzonego z Europy i bardzo drogiego, bądź z tańszego, lecz gorszego, napływowego; albo też i to najczęściej, są to budowle kamienne, głównie bazaltowe, w których torf służy za spoiwo; wreszcie bywają budowle z samego z torfu (nawet wiele kościołów).

Ponieważ wogóle w budowlach islandzkich torf przeważa ilościowo nad cienkimi płytami kamienia, a zielone powierzchnie torfu są układane na zewnątrz, więc po pewnym czasie darń pokrywa cienkie płyty kamienne i cała ściana domu wygląda, jak pionowo prawie postawiona łąka. Skutkiem wilgotności powietrza w Islandyi większość roślin wytrzymuje doskonale tę zmianę miejsca i położenia i rosną dalej jako rośliny domowe. Dach, wobec trudności o drzewo, składa się z chróstu brzozonego, pokrytego znów torfem, tak, że i dachy wyglądają w lecie, jak wiszące łąki, z których mieszkańcy zbierają trawę sierpem. Na wyspach Faroer, gdzie panuje ten sam styl budowlany, tylko, że dachy są bardziej płaskie, służą one za pastwiska, na których pasą się owce, przywiązane na sznurach do komina.

Dla ochrony od zimna do domu islandzkiego prowadzi jedno tylko wejście, umieszczone zwykle między dwoma domami; okna są też odpowiednio do tego zbudowane. Jako najpierwotniejsze otwory do przepuszczania światła, widział Keilhaek w kilku fermach zapuszczone w dach obręcze z naciągniętym pęczem rybim. Zamożniejsi Islandczycy starają się mieć w swych chatach prawdziwe okna, ale i te różnią się znacznie od naszych,

mianowicie nie mają zawias, tak, że nie można przez nie wpuścić świeżego powietrza. Nie też dziwnego, że w mieszkaniach islandzkich zaduch jest nie do wytrzymania.

Głównem zajęciem Islandczyków jest rybołówstwo na wybrzeżach i gospodarstwo wiejskie (hodowlane) we wnętrzu.

Rybołówstwo jednak przeważa i procentowa liczba rybaków, wynosząca obecnie 73% ciągle się zwiększa. Poławiają głównie sztokfisz; obfitość łososiów i pstrągów w rzekach i jeziorach nie jest dostatecznie wyzyskana, łowią je jednak pod sztucznymi wodospadami, zatamowując w tym celu całe rzeki. Obok rybołówstwa Islandczycy polują na ssaki morskie, niedźwiedzie białe, lisy, szczególnie zaś na ptastwo, zbierają jaja i puch na „górach ptasich“. Zbieranie puchu jest uregulowano całym szeregiem surowych praw. Najważniejszym, ale i najmniejbezpiecznym miejscem gnieźdzenia się ptaków jest przylądek Hornberg (północny); ptaki gromadzą się tutaj tak licznie, że strącają się wzajemnie. Zbieracze puchu i jaj muszą tu wspinać się na zawrotne wysokości, uwiązani na linach. Prawo zbierania puchu należy do księży, którzy je wydzierżawiają.

Gospodarstwo wiejskie ogranicza się głównie do hodowli bydła, ponieważ warunki klimatu i gruntu prawie zupełnie wykluczają rolnictwo: Hodowla bydła (głównie owiec) opiera się na istnieniu łąk; fermerzy islandzcy rozróżniają trzy ich rodzaje: tun, uteng i affrettir.

Tun są to takie łąki, które leżą bezpośrednio przy domu (rodzaj naszego ogrodu), są otoczone wałem, lub murem kamiennym, nawożone i służą tylko do zbioru siana, nie jako pastwiska. Tresowane umyślnie w tym celu psy wypędzają zaraz każdą owcę, któraby, zwabiona smaczną trawą tunu, przedostała się przez jego ogrodzenie.

Uteng są to łąki zewnętrzne, leżące po za ogrodzeniem, obszary porośłe bądź trawą, bądź wrzosem i służące po części do zbioru siana, po części na pastwiska dla bydła, którego w celach dojenia nie pędzą zbyt daleko od domu.

Afrettir są to pastwiska odległe od siedzib ludzkich, leżące na wyżynach wnętrza, będące zwykle własnością wielu wieśniaków. Odpowiadają one almom alpejskim, lub halom tatrzańskim i stanowią podstawę hodowli owiec. Zwierzęta te na wiosnę bywają zapędzane w te pustynie i tam przez całe lato prawie sobie samym pozostawione, poczem w jesieni odbierają je pojedynczy właściciele według pewnych znaków, ponacinanych zwykle na uszach. Naturalnie, że przytem wiele owiec ginie: zbłąkawszy się w górach, padają one ofiarą zamieci śnieżnych, albo lisów polarnych.

Odległość i odosobnienie pastwisk wywołało w Islandyi, analogiczne do alpejskiego, gospodarstwo mleczne: na lepszych z tych pastwisk mieszkańcy wznoszą w zacisznym miejscu chatę z kamieni i torfu, i pozostawiają na lato kilka pasterek, pod opieką których w tym oddalonym, oddzielonym od reszty świata, zakątku, pasie się część owiec oraz krów, przeznaczonych do dojenia. Ale nie słyhać tu wesołego śpiewu pasterek alpejskich, ani melodyjnego dźwięku dzwonek, tylko szum dalekiego wodospadu, świst wiatru po skałach, lub krzyk orła, szukającego zdobyczy, pochwytuje tu ucho człowieka.

Hodowla owiec dostarcza Islandczykom wielu ważnych produktów: mleka i mięsa na własny użytek, łożu i skór na wywóz, a szczególniejszej wełny, która, podobnie jak na Faroer, nie strzyże się, lecz obrywa; wełna islandzka odznacza się połyskiem oraz miękkością i jest bardzo poszukiwana w Anglii; znaczna jej część jednak jest przerabiana w kraju na różne części ubrania.

Ponieważ owce i bydło stanowią główną podstawę bytu islandzkiego fermera, więc los jego jest ściśle związany z rezultatem zbioru siana, ono tylko bowiem umożliwia przetrzymanie bydła przez długą zimę. Zły rezultat zbioru siana jest dla islandzkiego fermera równie fatalny, jak złe zniwo dla naszego rolnika. Tymczasem zbiór siana w Islandyi jest połączony z wielu trudnościami, albowiem „tuny“ tamtejsze są pokryte mnóstwem nierówności, mianowicie mniej więcej na stopę wysokimi garbami i grzbietami, powstałymi prawdopodobnie przy współdziale mro-

zów i deszczów; z powodu tych nierówności rzadko można używać tutaj kos (i to specjalnych, małych), zwykle trzeba się uciekać do sierpów. Zbieranie siana na wielkich obszarach bagnistych jest znów utrudnione przez to, że trawa rośnie tam odosobnionymi kępami, między którymi człowiek zapada często w głębokie błoto. Suszenie tego siana musi się też odbywać w innym suchszym miejscu i jest utrudnione przez częste deszcze. Przy znacznem oddaleniu pastwisk (affretir) transport siana do fermy jest trudny, albowiem musi się skutecznie na końach juczych. Okoliczność ta dała powód do oryginalnego oconiania ilości siana w Islandyi; mówi się tam: „ile koni będzie z tej łąki“ („koń“ = około 70 kg. siana). Wiemy wreszcie, jakie przeszkody i klęski dla zbiorów siana sprowadzają zimne lato, deszcze popiołu podczas wybuchów wulkanicznych, lub zamiecie starego popiołu i piasku lotnego, unoszonych przez burzę. Klęski te zmuszają nieraz farmerów do zabijania bydła, któreby nie przetrwało zimy, a nawet—do zupełnego opuszczania osad. Wówczas wszystko drzewo z budowli, jako ich część najcenniejsza, zabiera się i tylko nagie ściany z kamienia, lub torfu, sterczące wśród ponurych, czarnych zasp piaszczystych, świadczą o lepszej przeszłości wielu okolic, obecnie zupełnie bezludnych.

Jakkolwiek obecnie zbieranie siana z bagien, choćby w normalnych warunkach, jest, jak widzieliśmy, bardzo utrudnione i niewiele przynosi Islandczykom korzyści, to jednak, według zdania ludzi kompetentnych, w bagnach tych spoczywa przyszłość Islandyi. Albowiem za pomocą odpowiedniej kultury, to jest z jednej strony za pomocą odwodnienia, z drugiej za pomocą uregulowanego nawadniania, bagna te mogą się zmienić w bujne łąki, a wtedy Islandya mogłaby wyżywić ludność dwa razy liczniejszą, niż obecnie.

Obok zbioru siana i hodowli bydła, gospodarstwo wiejskie Islandczyków potrafiło wyciągnąć wszelką możliwą korzyść z ubogiej flory tamtejszej; robią oni nawet próby rolnictwa i ogrodnictwa.

Z brzozy otrzymują Islandczycy materiał opałowy i budowlany (chróst na dachy), oraz korę do garbowania. Kora *Salix herbacea*, sok *Geranium silvaticum* i *Spiraea ulmaria* dostarczają środków farbierskich. Różne rośliny na wrzosowiskach dostarczają jagód (*Vaccinium Myrtillus* i *uliginosum*, *Empetrum nigrum*, *Fragaria vesca*, *Rubus saxatilis*), nawet jagody jałowca (*Juniperus nana*) służą tu człowiekowi na pokarm z masłem, lub sztokfiszem. Korzenie i łodygi *Archangelica officinalis* służą jako jarzyna, podobnie *Taraxacum officinale*, *Potentilla argentea* i inne. *Pinguicula vulg.* używa się zamiast czosnku. Nasiona *Elymus arenarius* i *Polygonum bistorta* dostarczają surogatu zboża na chleb. Porosty też służą na pożywienie, szczególnie słynny mech islandzki (*Cetraria islandica*): wygotowana z niego galareta stanowi wraz z mlekiem prawie codzienną potrawę wielu rodzin. Nawet morze dostarcza Islandczykom roślin na pożywienie (*Iridaea edulis*, *Rhodonema palmata*); rośliny te, po wymoczeniu, wysuszeniu i wyciśnięciu, bywają jadane bądź na surowo, bądź gotowane na zupę, bądź w dodatku do mąki na chleb ¹⁾).

Islandczycy robią nawet próby aklimatyzacyi: zasiewają owies i jęczmień, ale ziarna rzadko dojrzewają, tak, że zasiew służy tylko na paszę; kartofel, uprawiany po ogrodach (drobny i niesmaczny), sięgnął tu aż do koła biegunowego. Uprawiają też kapustę, sałatę, rzepę, rzodkiew w małych ogródkach. W ogrodzie w Reykjavik widział Keilhack krzak porzeczki pokryty kwieciami i słyszał, że w jesieni owoc ma nabierać barwy czerwonej i być znośnym dla niezbyt wybrednych.

Co do innych gałęzi gospodarstwa narodowego, to, pomijawszy, wyżej zaznaczony, domowy przemysł wełniany, są one bardzo mało rozwinięte.

I tak, górnictwo ogranicza się prawie jedynie do wydobywania kamieni budowlanych i szpatu wapiennego. Siarka, która wydziela się z wulkanów, była dawniej eksploatowana w okoli-

¹⁾ Ob. Keilhack w „Deutsche Geographische Blätter“, 1882. Ratzel w „Anthropogeographie“, I, 1886.

cach jeziora Myvatn i stąd na koniach jucznych transportowana do portu Husavik. Sól otrzymywano dawniej z wody morskiej przez odparowanie (przy pomocy źródeł gorących) na przyłądku Reykjanes. Mioceniczny węgiel brunatny (surturbrand), zmieniony w części żarem law na antracyt, jest mało eksploatowany. Torf jest wydobywany na opał i jako materiał budowlany. Do tegoż samego celu służy zbierane na wybrzeżach drzewo napływowe, przynoszone przez prądy—po części przez polarny z rzek syberyjskich, po części przez Golfstrom z cieplejszych okolic, Amazonki, Orinoco, Mississipi. Odarte z kory, wyblakłe, podziurawione przez pholady, pokryte różnemi tworami morskimi, spotykają się, mówi Keilhack, na tem samym wybrzeżu dzieci dwu części świata. Pod cieniem jednych bujały zręczne małpy i czerwonoskóry Indyanin polował na pumy; pośród drugich sybirski mieszkaniec tajgi uganiał się za wiewiórką, lub gronostajem, a uchodzący renifer wikłał swe rozłożyste rogi. I komuż nie przyjdzie tu na pamięć Heinogo „Fichtenbaum und Palme“?

Szczególnie obficie nagromadza się tu drzewo na północno-zachodnim półwyspie koło przyłądka Hornberg; drzewo to należy do, bardzo daleko nieraz leżących, parafii, które wydzierżawiają swym owieczkom prawo zbiórki, podobnie jak prawo zbierania śniegu na Etnie; podobnie też wydzierżawiano dawniej w Europie północnej „strandgut“, t. j. prawo rabowania przedmiotów z rozbitych okrętów. Z powodu obfitości drzewa napływowego, domy w tej części Islandyi są budowane z drzewa, a mieszkańcy są zręcznymi cieślami i stolarzami.

Zresztą zły po większej części stan drzewa napływowego, oraz trudność jego transportowania ku wnętrzu na koniach jucznych, zmniejsza znacznie doniosłość tego daru morza.

Najważniejszy materiał opałowy przygotowuje się z nawozu: gnój krwi układa się naprzód na łąkach (tun) dla ich użyźnienia, a gdy tak poleży przez zimę i obeschnie, zwozi go się napowrót do domu na opał. Gnój owczy, udeptany w owczarniach i zbity w twardą skorupę, kraje się na czworokątne cegiełki i układa na polach w celu wysuszenia; daje on wiele ciepła, ale

też i wiele woni, szczególnie z przyczyny pomieszania z wełną. Rybacy, nie hodujący bydła, używają w braku drzewa napływowego wysuszonych wodorostów i tłustych ptaków na opał (szczególniej na archipelagu Vestmannaeyjahr). Można sobie wyobrazić, jak piekielny zaduch panuje w nieprzewietrzanych chatach islandzkich z tego rodzaju materyałów opałowych.

Widzimy z powyższego, jak ciężkie, pełne niebezpieczeństw i smutno życie pędzą Islandczycy: w dusznym powietrzu izb, lub wśród mglistej, burzliwej przyrody, skazani przytem często na samotność wskutek rozrzucenia osad, trudności komunikacyi, lub życia rybackiego. Niedziw też, że duch ich nosi pewien odcień melancholii.

Nigdzie jednak walka ta nie jest tak ciężka, życie tak smutne, jak na północno-zachodnim półwyspie w okolicach Hornberga. W najpółnocniejszej punkcie wyspy wśród rozpaczliwych złomów lawy, na przylądku, spadającym stromo ku falom morskim, pod niebem chmurnem i mglistem, stoi jedno samotne domostwo; jakiejże siły ducha potrzeba, mówi Thoroddsen, by wyżyć w tej samotni, gdzie jedynemi dźwiękami, uderzającemi ucho człowieka, jest ryk fal rozbijających się o wybrzeże, chrzęst rumowiska przez nie poruszanego i przeraźliwy krzyk mewy. To też mieszkańcom tych okolic reszta Islandyi wydaje się jako kraina szczęśliwości, jako „ziemia obiecana“. Przez pół roku wybrzeże to jest zwykle zaparte lodami, czasami zaś lody ieżą tu do środka, a nawet do końca lata. Na topnienie lodów zużywa się wtedy ciepło słońca, lato jest chłodne, a przytem bardzo wilgotne i mgliste, siana nie można wysuszyć, co, jak wiadomo, jest klęską dla hodowców bydła. Lecz i dla rybaków lody są też wielką klęską: w wątych lodziach pośród lodów i przy częstych tu wicherach rybacy są narażeni na zgniecenie; przytem w czasie wiatrów północnych wskutek silnego falowania na stromych wybrzeżach wyładowanie jest niepodobne i rybacy muszą przebywać wtedy po całych tygodniach na morzu podczas burz i silnych mrozów (do -20°), cierpiąc brak wody do picia i środków żywności. Odosobnienie człowieka w tych okolicach i niebezpieczeństwa, na

które jest narażony, wywarły silny wpływ na jego umysł: mieszkańcy półwyspu północno-zachodniego są bardzo zacofani, niektórzy nie umieją nawet czytać, co jest osobliwością w Islandyi; nie trzymają dzienników, co jest również osobliwością w tym kraju, nie przyjmują też udziału w życiu politycznym. Odznaczają się oni wielką religijnością, uczęszczają pilnie do kościołów, co wymaga nieraz 4 — 5-dniowej podróży. Na nich też spoczywają najbardziej ciężary w daninach, składanych parafiom, za prawo zbierania drzewa, puchu lub siana. Trudność komunikacji daje się tu we znaki, szczególnie gdy w zimie nastąpi wypadek śmierci i ciało trzeba odprowadzić do odległego kościoła: trumna wiąże się do dwu obok idących koni, prowadzący ciało też jadą na koniach, tak, że cały orszak pogrzebowy robi zdala wrażenie oddziału kawaleryi. Transport taki trwa nieraz wiele tygodni i w razie zawiei śnieżnej jest wystawiony na wielkie niebezpieczeństwo. Dzieci w okolicach Hornberga bywają chrzczone zwykle dopiero w parę lat po urodzeniu, gdyż tak dalekich podróży do kościoła nie mogłyby wytrzymać. Zabobony miały tu, a po części i dotąd mają ważne znaczenie: według niektórych istnieją tu widma, które szczególnie przybywają z lodami. Naturalnie, że przy samotności w długie noce polarne, oraz przy częstych mgłach, fantazja znajduje obszerne pole.

Tym sposobem te cechy życia i charakteru człowieka, jakieśmy spotykali w całej Islandyi wogóle, występują na odosobnionym i ponurym półwyspie północno-zachodnim w spotęgowniu; tutaj Islandczyk, jako produkt ciężkich zapasów z surową i skąpą przyrodą, występuje najbardziej typowo.

DWIE PERŁY UROCZEJ ITALII.

(Malarya i Pellagra).

„Znasz-li ten kraj, gdzie cytryna dojrzewa?
Pomarańcz blask majowe złoci drzewa;
Gdzie wieńcem bluszczy ruiny dawne stroi,
Gdzie buja laur i cyprys cicho stoi?“

Komuż z dźwiękiem powyższych słów nie przyjdzie na myśl „urocza“ Italia; któż z wyrazem Italii nie łączy pojęcia o krainie piękna tak w świecie przyrody, jak i człowieka? A jednak ta piękna przyroda nosi w łonie jad dla swych synów, których jedna część jest zmuszana przez drugą do jego spożywania. Mamy tu mianowicie na myśli choroby, trapiące ubogą ludność włoską; choroby, że się tak wyrazimy, geograficzno-społeczne, z których najbardziej typowymi, najstraszliwszymi są właśnie dwie wymienione w tytule.

Febra, zwana malaryą, nadaje, mówi Trolle ¹⁾, nosogeografii Włoch, szczególnie południowych, wybitne piętno. Ze wszystkich krajów nadśródziemnomorskich, Włochy są najbardziej trapione przez tę chorobę. Przyczyną naturalną tego nieszczęsne-

¹⁾ „Das italienische Volkstum“, 1885.

go przywileju jest, według Th. Fischera ¹⁾, budowa geologiczna Włoch: przeważają tu mianowicie warstwy gliniaste i marglowe, łatwo rozmałakujące, a następnie ześlizgujące się z pochyłości; następstwem tego jest zatamowanie swobodnego odpływu wód, zabagnienie. Jaka jest istota malarycznego zarazku, nie wiadomo dotąd napewno. Wiadomo tylko, iż tenże rozwija się głównie na nieprzepuszczalnym gliniastym gruncie, zwłaszcza gdy do tego łączy się obecność wód stojących, szczególniejsz słonawych, które obfitują w gnijące cząstki organiczne. Przeciwnie, przebywanie w miejscowościach wyniosłych (według Reclusa, nie mniej jak na 300 metrów nad pow. m.) zapewnia ochronę. W nizinach zaś, gdzie istnieją wyżej wspomniane warunki, malarya panuje z gwałtownością; a więc: na płaskich, bagnistych wybrzeżach morza, w dolinach i ujściowych okolicach rzek, podległych częstym wylewom, w okolicach jezior błotnistych lub zmiennych co do poziomu wody, jakich właśnie we Włoszech jest mnóstwo. Najbardziej niebezpieczne okolice stanowią Maremmy, Agroromano (szczególniej obszar ujściowy Tybru), bagna Pontyjskie i wybrzeża zatoki Tarenkiej, oraz wybrzeża Sardynii. Zresztą, z całego rozległego wybrzeża Włoch wolnemi są tylko te okolice, gdzie wybrzeże spada stromą ścianą ku morzu i uniemożliwia zbieranie się wód stojących, jak np. zatoka Genueńska, wybrzeże Adryatyku od Rimini do Chieti i północne wybrzeże Sycylii.

Wenecya, gdzie znajdują się odpowiednie dla malaryi warunki, zawdzięcza swą względną zdrowotność febryczną (na chorobę tę umiera tutaj tylko 0,12⁰/₁₀₀ całej ludności) przypływom i odpływom Adryatyku, oraz prądowi morskemu, płynącemu z północy na południe wzdłuż zatoki Weneckiej, co przeszkadza stagnacyi wód w lagunie. Wprawdzie nizina rzeki Po w tych miejscach, gdzie w celach kultury ryżu stworzono sztuczne bagna, podlega też malaryi, ale nie w takim stopniu, jak błotniste

¹⁾ Ob. „Italien“ w wydawnictwie Kirchhoffa „Unser Wissen von der Erde“, 1893 r., oraz artykuł Fischera w Pettermann's „Mitteilungen“, 1895 roku.

okolice środkowych i południowych Włoch. Podczas gdy w północno-włoskich garnizonach z 1000 żołnierzy, chorujących na malaryę i malaryczne charłactwo, umiera tylko 1,7, to w południowych Włoszech cyfra ta podnosi się do 2,9, w środkowych zaś (Maremmy, Sardynia, Agro i t. d.) nawet do 5,2. Z ludności miast najwięcej umiera na malaryę w Rzymie ($1,51\%$). Liczba zaś wogóle chorych na malaryę jest około 100 razy większa, niż liczba śmierci. W okolicach Rzymu (a także Sardynii, Salerno) zachorowują rocznie z garnizonujących tam wojsk $15,3\%$; i w tym względzie Rzym wykazuje najniekorzystniejszą cyfrę.

Reclus jeszcze w czarniejszych kolorach maluje tego raka, toczącego piękne Włochy. Z tysiący biednych robotników rolnych, mówi on, którzy każdego lata spuszczają się w Maremmy na żniwa, wielu nie powraca do domu, wielu powracających nosi w sobie już zaród śmierci. W czasie lata roku 1840 i 1841 rachowano nawet na wyniosłościach (na które ludzie chronili się z Maremmów wieczorem) pośród 80,000 ludzi 30,000 chorych na malaryę. Jednakże nie ostra malarya zabiera najwięcej ofiar, gorsze jest w swych skutkach charłactwo malaryczne, które przede wszystkim należy uważać za przyczynę wielkiej śmiertelności w okolicach febrycznych.

Naturalną jest rzeczą, że choroba tak rozpowszechniona musi wywierać szkodliwy wpływ na wszystkie objawy narodowego życia. W najbardziej przez malaryę trapionych okolicach gęstość zaludnienia spada do 30 na kilometr kwadratowy, niezmiernie przestrzenie pozostają bez uprawy; straty ekonomiczne, jakie stąd powstają, szacuje pewien pisarz na 40 milionów lirów rocznie.

Malarya, jak powiedzieliśmy, ma źródło poczęści w warunkach przyrodzonych, t. j. geograficznych i topograficznych, już więc w odległej starożytności była znana we Włoszech; wiemy np. że Syrakuzy zawdzięczały po wielkroć swój ratunek malaryi, która tępiła wojska oblegające; ale zło to z natury było dość ograniczone, dopiero w nowszych czasach za przyłożeniem się człowieka wzrosło ono do obecnych rozmiarów. Tak np. Maremmy Toskanii, stanowiące obecnie z powodu malaryi bezludną pu-

stynię były niegdyś krainą kultury etruskiej, jak świadczą wielkie zwaliska miast dawnych. Toż samo stosuje się do opustoszałych okolic Tarentu, gdzie w starożytności gęsto cisnęły się bogate miasta (Sybaryci!), gdzie kwitła kultura „Wielkiej Grecji“ i t. d.

Człowiek przyłożył się do wzrostu malaryi dwojako: z jednej strony przez wyniszczenie lasów, a stąd wywołanie niestałości w poziomie rzek, co sprzyjało wytworzeniu się bagien, tymbardziej, że ludność, tępiona w licznych wojnach, odstraszona od wybrzeży przez piratów, nie mogła czuwać nad regulowaniem wód; powtóre, przez egoistyczne niedozwalanie osuszania tych bagien. Rozwój malaryi w okolicach Rzymu zawdzięczają mieszkający papieżom, którzy w celach finansowych wycinali lasy np. Benedykt XIV-ty wyciął las piniowy Viterbo, zastaniający Rzym od miazmatów wybrzeża. Według świadectwa Reclusa ¹⁾, księża i tyrani włoscy stawiali wciąż tamę osuszaniu bagien, a to w celach religii i moralności. Pierwsi mieli na wybrzeżach morza liczne sadzawki z bogatym rybołóstwem; zniszczenie tych sadzawek nie dozwoliłoby im obchodzić postów, jak należy. Drudzy, chcąc pozbyć się jakiejś zawadzającej im osobistości, w delikatny sposób, bez wyrzutów sumienia, posyłali ją na wygnanie w okolice zabójcze. Również i królowie hiszpańscy postarali się o nabycie kilku punktów w najniezdrowszych okolicach dla zbudowania tam miejsc wygnania, czyli presidios, które były prawdziwymi cmentarzami. Nakoniec latifundia, których właściciele, mając dobre dochody z pastwisk, nie pozwalają na uprawę gruntów, też przyczyniają się do utrzymania znacznych obszarów w stanie zabagnienia. Jednakże obecny rząd, ożywiony demokratycznymi ideami, stara się wszelkimi siłami naprawić zło, zrządzone za dawnych złotych czasów. W toskańskich Marenmach i nad wielu jeziorami, dzięki robotom od-

¹⁾ „Geogr. Univers.“, I.

wadniającym, znaczne obszary stały się zdrowymi i zamieszkanymi. W dolinie Chiany np., gdzie dawniej wędrowiec napotykał jedynie blade i trzęsące się z febry postacie, znajdują się obecnie liczne wsie ze zdrową i rzeźką ludnością. W Neapolu od czasu osuszenia Lago d'Agnano stosunki zdrowotne tak się polepszyły, iż tylko 0,53⁰/₁₀₀ rocznie umiera tam teraz na malaryę. Jednym ze środków, uzdrawiających miejsca błotniste, jest też zasadzanie australijskich eukaliptów, zalecone przez Garibaldiego.

Niestety, z drugiej strony prowadzenie kolei żelaznych i związane z tem roboty ziemne, jak rozkopy i groble, przyczyniły się znów do wzmożenia malaryi w niektórych miejscach.

Drugą chorobą niemniej ważną i typową, choć mniej zależną od geograficznych warunków, jest pellagra, która od środka przeszłego stulecia występuje w Hiszpanii, a szczególnie w północnych Włoszech; w nowszych zaś czasach daje się też napotykać w południowo-zachodniej Francji, oraz na Korfu i w Rumunii. Ta straszliwa choroba, która początkowo objawia się wstępnymi wyrzutami i rozraniem na skórze, a następnie każdej wiosny coraz gwałtowniejszymi katarami i napadami melancholii, może trwać 10 — 15 lat, jeżeli już przedtem ostry tyfoidalny atak lub samobójstwo w przystępie melancholii nie położy końca nieznośnym męczarniom chorego. Pellagra szerzy się głównie we Włoszech północnych do linii Ankona-Rzym i w tym obszarze, według Sormaniego, choruje przeszło 97,000 ludzi na pellagrę.

Istota tej choroby nie jest znaną, wiadomo tylko, iż musi ona mieć jakiś związek z używaniem na pokarm przeważnie chleba kukurydzowego oraz polenty; mianowicie, gdy ziarno zostało zebrane przed dojrzeniem lub gdy było przechowywane w wilgoci. Z pomiędzy 626 chorych na pellagrę 522, jak się okazało, karmiło się prawie wyłącznie polentą, znaną narodową potrawą północnych Włochów (zupa z kukurydzowej mąki). Jak pierwsze ukazanie się choroby było w związku z wprowadzeniem uprawy kukurydzy, tak też i obecnie występuje ona tam naj-

gwałtowniej, gdzie uprawa tej rośliny osiągnęła największego rozprzestrzenienia, a więc w północnych Włoszech, gdzie przytem tak silne ciepło letnie, jakoteż równocześnie występujące opady, sprzyjają jej rozwojowi. Wprawdzie i w innych częściach Włoch uprawiają kukurydzę, ale nie gra tam ona w pożywieniu ludzi roli dominującej, jak we Włoszech północnych. Prowincye z najbardziej rozwiniętą kulturą kukurydzy, posiadają też najwięcej chorych na pellagrę, mianowicie: Lombardia, Emilia, Wenecya, gdzie 20 — 40⁰/₀₀ ludności ulega tej chorobie. W najgorszych okolicach, jak Łodi, Brescia i t. d. cyfra ta wznosi się nawet do 60⁰/₀₀.

Jeszcze smutniejsze jednak stosunki ujawnią się, jeżeli wyłączymy stąd ludność miast, która po większej części znajduje się w lepszym położeniu od wiejskiej. Wówczas okaże się, iż w prowincyi Brescia znajduje się 80⁰/₀₀ chorych na pellagrę; okropność tego faktu nie potrzebuje komentarzy. W ostatnich latach zło przybierało coraz większe rozmiary, co skłoniło rząd do przedsięwzięcia energicznych środków. Bez wątpienia, najpewniejszym środkiem byłoby poprawienie losu biednego ludu wiejskiego, który tu żyje w jaknajgorszych warunkach, dzięki stosunkom społecznym. Na nizinie północnych Włoch, gdzie rolnictwo jest w związku z prowadzeniem i utrzymywaniem kosztownych kanałów, wyzysk pracy przez kapitał odbywa się na wielką skalę: ziemia należy do wielkich właścicieli, którzy ją po większej części wydzierzawiają, a sami żyją zdala trudem nieszczęśliwego ludu, który na najżyźniejszych i najbogatszych niwach, skropionych swym potem, żyje w nędzy i głodzie, trapiiony malaryą i pellagrą.

Przyroda kryje w swem łonie karmiącem równocześnie narzędzia cierpienia i śmierci. Człowiek, walcząc z przyrodą, stara się złagodzić lub zniszczyć szkodliwe jej wpływy i to stanowi jego zaszczyt, jego piętno człowiecze. Niestety jednak, czasami, jak widzieliśmy wyżej, człowiek stara się te szkodliwe wpływy, te śmiertelne narzędzia przyrody, — skierować ku pierśsiom swych braci!...

Gdy przyroda na bagniskach Afryki, niby tajemniczy sfinks, zadaje śmierć dziesiątkom podróżników, pragnących zbadać jej zagadkę, to duszę naszą przejmuje groza i żałość. Lecz gdy człowiek, równie bezlitośny jak przyroda, zadaje śmierć tysiącom swych współbraci, to groza i żałość zmieniają się we wstręt i oburzenie: przyroda jest bezlitośna przez swą nieświadomość, człowiek — przez świadomą chęć zysku.

Znaczenie geograficzno-dziejowe

MORZA ŚRÓDZIEMNEGO.

„Kwestya wschodnia jest kwestyą morza Śródziemnego“ — wyrzekł ktoś, uderzony ogromnem znaczeniem, jakiego morze to nabrało znów w ostatnich czasach i związkim tego znaczenia z kwestyą tak wielkiej wagi politycznej, jak „kwestya wschodnia“. W wyrażeniu powyższem jest wiele prawdy, lecz nie jest ono zupełnie dokładne: dwa pojęcia: „kwestya wschodnia“ i „kwestya morza Śródziemnego“, to jest jego znaczenie, nie pokrywają się w zupełności; „kwestya morza Śródziemnego“ jest czemś więcej, niż „kwestyą wschodnią“, ma się do niej, jak całość do części, zawiera prócz niej jeszcze i inne elementa. Morze Śródziemne jest środkiem ciężkości równowagi politycznej państw europejskich; najśłabsze dotknięcie tego środka, z jakiej-bądź strony, nawet niezależnie od „kwestyi wschodniej“, zagraża tej równowadze.

Wykazanie elementów tak wielkiego znaczenia morza Śródziemnego na tle geograficzno-dziejowem — jest zadaniem niniejszego szkicu.

Żadne morze nie wdziera się tak głęboko we wnętrze lądu, jak morze Śródziemne we wnętrze Starego Świata (od Gibraltaru

do wybrzeży Syryjskich 500 mil), który wskutek tego uległ podziałowi na trzy części: Azyę, stronę wschodu słońca; Libię czyli Afrykę, krainę południa i Europę, krainę zachodu, „Fer West“ Fenicyan. Morze Śródziemne, w ściślejszem znaczeniu (bez morza Czarnego), ma kształt trójkąta, którego bokami są trzy powyższe Części Świata; w punktach przecięcia się boków, na zetknięciu różnych Części Świata, leżą cieśniny, których ważność komunikacyjną, a więc handlową i strategiczną, oznaczały dawniej: Gades, Ilium, Aleksandrya, dziś: Gibraltar, Konstantynopol, Suez. Trudność dostępu do tego morza przez owe cieśniny, a więc łatwość ich obwarowania, wywołała oddawna ideę zawładnięcia niomi, uczynienia go czymś „jeziorem“.

O ile dostęp do morza Śródziemnego jest utrudniony (a raczej łatwy do zamknięcia) z mórz sąsiednich, o tyle jest ułatwiony z lądu, wskutek bogato rozwiniętych półwyspowych wybrzeży i mnóstwa wysp, których wiele widać z lądu (Korsykę z wybrzeża Genui, Sycylię z Tunisu, Cypr z wybrzeża Fenickiego) i które wiążą przeciwległe wybrzeża. Szczególniejszem bogactwem rozwinięcia odznaczają się wybrzeża europejskie; są to „niby bogate zwoje mózgowie, w których wyrabia się myśl ludzka“. Albowiem rozwój wybrzeży i bogactwo wysp ośmielają ludy w dzieciństwie żeglugi do puszczenia się na morze, wpływają na rozwój handlu, który prowadzi za sobą nie tylko wymianę towarów, ale i idei, a więc—rozwój cywilizacyi. „Jak pszczoły — mówi Peschel — z kielichów kwiatowych wynoszą na swych łapkach, prócz miodu i wosku, pyłek kwiatowy i zapładniają nim żeńskie organa kwiatów, tak też i handlarz nie tylko towary przywozi do domu: do jego szat przylega technienie niewidzialnych substancyi, najwyższych i najidealniejszych dóbr myślącej ludzkości; bezwiednie przenosi on je z miejsca na miejsce, wraz z towarami.“

Kraje nadśródziemnomorskie, ograniczone z północy górami („górska oś Starego Świata“), a z południa pustyniami (Sachara), stanowią razem całość jednolitą, związaną morzem; mają więcej wspólności, tak pod względem fizycznym, jak i dziejowym, ze sobą niż z resztą krajów swoich Części Świata. Pierścień górsko-

pustyniowy, oddzielający kraje nadśródziemnomorskie od reszty świata, nie jest jednak zupełnie zamknięty; posiada on przerwy, umożliwiające komunikację na zewnątrz. Cieśnina Gibraltarska stanowi wyjście na Atlantyk; na północy przerwy w pasie górskim, Liońska i Czarnomorska, prowadzą na ląd Europy; prócz tego, znajduje się tu jeszcze jedna, choć mniej wybitna przerwa, mianowicie brózda Macedońsko-Serbska między systematem Bałkańskim i Iliryskim, prowadząca na dolinę średniego Dunaju, a z niej przez bramę Morawską dalej na północ. Na wschodzie zamknięcie przez wyżynę Syryjską można ominąć tam, gdzie zatoka Iskenderun zbliża się do Eufratu. Na południo-wschodzie nizki i wązki przesmyk Sueski stanowi łatwą drogę na morze Czerwone. Na południe jeden tylko Nil, przecinając pas pustynny, prowadzi daleko do serca Afryki, zresztą z pewnemi utrudnieniami (katarakty, tamy roślinne). Przytem w nowszych czasach przerwy powyżej wymienione udoskonalono lub pomnożono, przecinając przesmyk Sueski kanałem, świdrując tunele przez Alpy (Cenis, St. Gotard) i wogóle prowadząc koleje żelazne z lądu Europy na wybrzeża, szczególnie na trzy południowe półwyspy; postawiono też projekty kolei Transsaharskiej do Tsadu lub Timbaktu, oraz kolei wschodnio-afrykańskiej od Nilu do Kapsztadu.

Ze wszystkich krain nadśródziemnomorskich największe znaczenie mają trzy południowe półwyspy Europy (wraz z półwyspem Azyi Mniejszej i wybrzeżem fenickiem). Każdy z tych półwyspów, odpowiednio do położenia i wogóle — cech geograficznych, grał inną rolę dziejową. Najwschodniejszy, Bałkański, zbliżony do Azyi przez cieśniny i związany z nią przez wyspy, stał się pośrednikiem w wymianie kultury między Azyą i Europą. Środkowy, Apeniński położeniem swoim był niejako przeznaczony do zapanowania nad wybrzeżami morza Śródziemnego. Nakoniec zachodni, Pirenejski, zbliżony do Afryki, stał się ogniskiem panowania Arabów, a jako w części już nadatlantycki, grał najmniejszą rolę w dziejach śródziemnomorskich i osiągnął większego znaczenia dopiero później, gdy żegluga przeniosła się na ocean.

Każdy z tych półwyspów prócz tego dzieli się na dwie części, dwie pochyłości, wschodnią i zachodnią, bardzo różne pod względem fizycznym i kulturalnym. Na półwyspie Bałkańskim strona wschodnia, rozczłonkowana, obfitująca w obszerniejsze, żyzne kotliny, zwrócona ku Azji, była stroną kulturową; zachodnia zapchana górami, z jednostajnym skalistym lub błotnistym wybrzeżem — stroną barbarzyńską. Na półwyspie Apenińskim stosunek tych dwóch stron był odwrotny: strona zachodnia, żyzniejsza, była stroną kulturową, punktem wyjścia potęgi rzymskiej. Na półwyspie Pirenejskim w historii śródziemnomorskiej grała rolę tylko wązka strona wschodnia (królestwo Aragonii), stąd najmniejsze znaczenie tego półwyspu w historii śródziemnomorskiej. Z powodu ostrego oddzielenia tych dwóch pochyłości na półwyspie Pirenejskim, prawie pustynnego wnętrza i zwrócenia „twarzą“ ku próżni oceanu półwysep, ten jako pośrednik między Europą śródziemną i atlantycką, grał mniejszą rolę, niż kontynentalna Francya, z dogodną komunikacją i zwróceniem ku atlantyckiej Wielkiej Brytanii.

Zresztą kraje nadśródziemnomorskie niepółwyspowe grały naturalnie daleko mniejszą rolę w historii śródziemnomorskiej (wyjąwszy Fenicyę) niż półwyspowe. Szczególniej uderza pod tym względem kraj najdawniejszej kultury, Egipt: nie zdołał on wyjść w dziejach z fazy potamicznej (rzecznej); ludność jego, osiadła nad rzeką z użyzniającymi wylewami, całą swą energię zużywała na pracę około roli i regulację wylewów; nie dążyła też, podobnie jak ludność nadgangesowa, do wypraw morskich, nie opanowała nawet wysp sąsiednich (Krety, Cypru); owszem, żyzny, bogaty ten kraj był celem wypraw dla Fenicyan i Greków (a później i innych ludów), którzy fazę dziejową śródziemnomorską rozpoczęli korsarstwem. Drugi nadśródziemnomorski kraj afrykański, Berberya, utrzymał się w stanie korsarstwa nie tylko w fazie dziejów śródziemnomorskich, ale do ostatnich prawie czasów.

Przytem udział w żegludze, czy to korsarskiej, czy kulturowej, mieli we wszystkich tych krajach głównie tylko mieszkań-

cy pasów nadbrzeżnych, podczas gdy mieszkańcy górzystych i wyżynowych wnętrzy pozostali aż do dni naszych w stanie pasterskiego barbarzyństwa (Arkadya, Albania, Abruzzo, Kastylia, wyżyny Berberyi, Syrii i Azji Mniejszej; wyspy, Korsyka, Sardynia i t. d.).

Długi półwysep Apeniński, wraz z przedłużeniem swoim, Sycylią, zbliżając się do północnych brzegów Afryki (Kartagina, dziś Tunis) dzieli morze Śródziemne na dwie kotliny, północno-zachodnią i południowo-wschodnią, połączone cieśniną Sycylijską czyli Kartagińską (17 mil szerokości), na straży której stoi Malta.

Zachodnią kotlinę charakteryzują na europejskim brzegu łukowate zatoki, powtarzające się rytmicznie, „jak łańcuch rozwieszony od kołka do kołka”. Taką jest np. zatoka Liońska, leżąca w przerwie równoleżnikowej górskiej osi Starego Świata (między Pirenejami a Alpami), a więc mająca ważne znaczenie dla stosunków Północy z Południem (dolina Saony-Rodanu i Garonny). Podobnie — zatoka Genueńska, której wybrzeże, odosobnione przez góry od reszty lądu, kamieniste i bezpłodne, oblane morzem, ubogiem w ryby, zmusiło mieszkańców do dalekich morskich wędrówek i zakładania handlowych kolonii. Wybrzeże afrykańskie zachodniej kotliny posiada tylko drobne, skaliste zatoki, dostępne jedynie dla żeglarzy, znających dobrze miejscowość; dlatego było, jak wiemy, przez długie czasy przytułkiem piratów. Zachodnia kotlina składa się z dwóch części, rozdzielonych przez bliźniące wyspy: Korsykę i Sardynię.

Wschodnia kotlina składa się z kilku części, głęboko wkraczających w ląd: między półwyspem Apenińskim i Bałkańskim leży w północnej części morze Adryatyckie, wdzierające się najdalej w głąb europejskiego lądu (Tryest, Wenecja); stąd cieśnina Otranto, w miejscu największego zbliżenia obu półwyspów (Brindisi), broniona przez wyspę Korfu, prowadzi na południe do morza Jońskiego. Jeszcze dalej na południe, morze Śródziemne wdziera się w ląd Afryki zatoką Obu Syrt, zbliżającą się do jeziora Tsad (na tej linii morze Śródziemne osiąga największej szeroko-

kości, 250 mil.). Na wschód stąd wyspa Kreta, położona w środku wschodniej kotliny, dzieli ją jeszcze na dwie części: morze Lewanckie czyli Syryjskie z wyspą Cypr, na południu i morze Egejskie, usiane wyspami, na północy.

Morze Śródziemne ma na wschodzie trzy naturalne komunikacyjne linie przedłużenia.

Na południo-wschodzie — przez morze Czerwone, wązki i długi korytarz, prowadzący do oceanu Indyjskiego przez cieśninę Babelmandeb, bronioną przy pomocy wysepki Perim; dawniej było to tylko pośrednie przedłużenie przez Nil (znaczenie Aleksandryi), dziś, po przekopaniu Sueskiego kanału, stało się bezpośrednio (znaczenie Suez), tak, iż morze Śródziemne jest teraz łącznikiem między dwoma oceanami, Atlantyckim i Indyjskim.

Na wschodzie — przez zatokę Iskanderun, zbliżony do niej (na 37 mil) Eufrat (projekt kanału lub kolei żelaznej, znaczenie Cypru, Aleksandretty) i zatokę Perską, zamkniętą przez wyspę Ormuz.

Na północo-wschodzie — przez cieśninę Dardanelską (2 kilometry szeroka), Propontis (morze Marmara), Bosfor (tylko 550 metrów szeroki, znaczenie Konstantynopola) i morze Czarne; a stąd albo przez cieśninę Kerczeńską, morze Azowskie, Don (znaczenie dawnej Tany, „północnej Aleksandryi“), zbliżony do Wołgi (Dubowskiy wołok z koleją żelazną) i Wołgę, albo przez Rion (Phasis) i Kurę do morza Kaspijskiego. To północno-wschodnie przedłużenie możnaby udoskonalić sztucznie (podobnie jak południowo-wschodnie) za pomocą kanału, przywracającego dawne połączenie morza Czarnego z Kaspijskim doliną Manyczu i łączącego morze Kaspijskie z Aralem, oraz Amudaryą za pomocą doliny Uzboju. Tak uzupełnione przedłużenie sięgnęłoby do serca Azji, do granic Indyi (zamiast tego zbudowano koleją żelazną Zakaspijską).

Te trzy przedłużenia graty, i po części grają dotąd, ważną rolę w handlu Europy ze Wschodem.

Ostatnie przedłużenie, a w szczególności morze Czarne, ważne jest prócz tego i dla stosunków Północy z Południem; leży bowiem, podobnie jak zatoka Liońska, w przerwie górskiej osi Starego Świata (między Karpato-Bałkanami i Kaukazem). Do tych stosunków pomagają południkowe rzeki: Dniepr, Don i Wołga. (Równoleżnikowa zaś rzeka, Dunaj, pomaga równorzędnie z morzem Śródziemnym do stosunków Zachodu ze Wschodem przez morze Czarne).

* * *

Wskutek tyłu swych komunikacyjnych przymiotów, morze Śródziemne, ów łącznik między trzema częściami Starego Świata, od najdawniejszych czasów skupiło około swych wybrzeży ludność, „jak żaby około bagna“ (ludy Nadśródziemnomorskie); stało się ogniskiem i motorem kultury. „Nigdy cywilizacya zachodnia nie byłaby się zrodziła, mówi Reclus, gdyby morze Śródziemne nie oblewało wybrzeży Egiptu, Fenicyi, Azji Mniejszej, Hellady, Italii, Kartaginy, Hiszpanii.“ Ale zarazem od samego zarania dziejów ludy nadśródziemnomorskie walczyły ze sobą o panowanie nad tem morzem, z którem tak ściśle związane były ekonomiczne warunki ich pomyślności.

Najdawniejszymi władcami morza Śródziemnego byli Fenicyanie. Wąskie, nieurodzajne, odosobnione od reszty lądu, lesistym niegdyś, wałem Libanu, lecz bogate w porty, syryjskie wybrzeże na północ Karmelu, wykołysało ten naród i zmusiło go szukać środków utrzymania w żegludze i handlu. Bliskość Cypru ułatwiła puszczenie się na morze; szybko rozpostarli Fenicyanie swą władzę na wyspy i wybrzeża tego morza, aż do słupów Melkarta.

Niezadługo wystąpili Grecy, jako współzawodnicy Fenicyan. I oni także w swej ojczyźnie, rozczłonkowanej „jak liść klonu“, otoczonej wieńcem wysp, „niby rondem Oceanid, tańczących dokoła morskiego boga“, stali się narodem żeglarskim. Najprzód zwrócili swą żeglugę, handel i kolonizację na morze Czarne (wyprawa Argonautów), a liczne ich kolonie na brzegach

Scytyi, zjednały mu nazwę „gościnnego“ (Pontus Euxinus). Za pośrednictwem Dniepru prowadzili handel z wybrzeżami Bałtyku (bursztyń), a za pomocą rzeki Phasis (Kolchida) z Indyami. Z biegiem czasu, po pokonaniu azjatyckich piratów, którzy z wybrzeży greckich porywali nie tylko „piękną Helenę“, ale i rzeczy *pożyteczne*, kolonie greckie zakwitły na wybrzeżach Azji Mniejszej, Cyrenaiki (wyżyna Barka), Sycylii, Włoch południowych („Wielka Grecja“), zatoki Liońskiej (Massilia), Hiszpanii.

Usiłowania narodów wschodnich do wydarcia Grekom panowania na morzu Śródziemnym nie udały się: koloniści fenicyj, Kartagińczycy, napadli na sąsiednią Sycylię, lecz Grecy zwyciężyli ich pod Himorą, a ich sprzymierzeńców, korsarskich Etrusków, pod Kymae. Persowie posunęli się ku morzu Śródziemnemu i chcieli zalać Grecyę, lecz Grecy znaleźli ochronę za „drewnianymi murami“, a zwycięstwa morskie pod Salaminą i Mykale odrzuciły Persów od wybrzeży morza Śródziemnego. Następnie Aleksander Macedoński, zdobyciem Tyru, zadał ostatni cios Fenicyanom i przeniósł ognisko handlu do Aleksandryi, otworzył drogi handlowe daleko na wschód do Azji.

Pozostała jednak potężna kolonia Fenicyan — Kartagina, założona prawie w środku południowego wybrzeża morza Śródziemnego, w punkcie najbardziej na północ wysuniętym, gdzie obecnie stoi Tunis, i skąd widać pobliską Sycylię. Usadowiwszy się na skalistych wysepkach Aegackich, Kartagińczycy zawładnęli wkrótce Sycylią, Sycylią, Korsyką, wybrzeżami Hiszpanii.

Tymczasem, po rozpadnięciu się państwa Aleksandra Macedońskiego i upadku potęgi Greków, do walki z Kartaginą wystąpili Rzymianie, którzy przez centralne położenie Italii między zachodnią i wschodnią kotliną morza Śródziemnego, byli przeznaczeni stać się jego panami. Nie mogli oni zbyt długo ścierpieć hańbiącego układu z Kartaginą, mocą którego okrętom ich nie wolno było wypływać po za obszar morza Tyrreńskiego; polem walki stała się najprzód Sycylia, łącznik między Europą i Afryką. Rzymianie nie mieli floty, „nie mogli nawet umyć rąk w morzu bez pozwolenia Kartagińczyków“, lecz wkrótce zbu-

dowali flotę, mogli już przepływać cieśninę Sycylijską i atakować Kartagińczyków w ich własnej ojczyźnie; zajęli wybrzeża Dalmacyi, skaliste gniazdo Iliryskich piratów, następnie zajęli Sycylię, Sycylię, Korsykę, Hiszpanię, Grecyę, przeprawili się przez Hellespont i zajęli Azyę Mniejszą, aż do Kaukazu, którego górale stawili mężny opór; przedtem już uzyskali protektorat nad Egiptem; nakoniec ostatecznie podbili Kartaginę, Macedonię i Grecyę. Punktem wyjścia ich flot na Wschód było Brundisium (Sulla, Cezar), leżące w miejscu największego zbliżenia do półwyspu Bałkańskiego, gdzie znów od nadbrzeżnego miasta Dirrachium prowadziła na wschód, w poprzek półwyspu, droga lądowa (Via Egnatia). Podbiwszy Grecyę i Kartaginę, stali się Rzymianie wszechwładnymi panami morza Śródziemnego, państwo Rzymskie, Imperium Romanum, było zarazem Imperium Mediterraneum, a morze Śródziemne stało się „jeziorem rzymskiem“. Jeżeli Grecy otworzyli głównie drogi na wschód, to Rzymianie — na północ, za Alpy. Zbudowali oni na północnym brzegu Adryatyku Aquileę, która prowadziła handel z północą; przez Bramę Morawską Rzymianie prowadzili handel z Bałtykiem (bursztyn), przez dolinę Rodanu z W. Brytanią.

Na początku wieków średnich na wybrzeżach morza Śródziemnego zjawiają się ludy germańskie i na walącej się w gruzy rzymskiej imperyi zakładają nowe państwa. Wandalowie przez półwysep Pirenejski, ów most między dwiema Częściami Świata, dostali się do Afryki, założyli tam na gruzach rzymskiej prowincyi państwo Wandalskie, opanowali stąd Sycylię, wyspy Balearskie, zajmowali się korsarstwem i rzucili wyprawami swemi postrach na całe morze Śródziemne (wandalizm); zjawili się nawet z flotą u ujścia Tybru i złupili Rzym, a połączoną flotę obu rzymskich imperyi zniszczyli pod Kartaginą. Po upadku cesarstwa rzymsko-zachodniego, wschodnie, choć ścięzione z północy i zachodu napływem Słowian, walczyło jeszcze czas jakiś o władzę na morzu Śródziemnem z ludami germańskimi.

Tymczasem w VII-ym wieku, z wnętrza gorącej i bezpłodnej Arabii, wyroiły się fanatyczne, mahometańskie tłumy i, jak

wicher pustyni, rzuciły się na wybrzeża morza Śródziemnego; przez północną Afrykę dosięgnęły Atlantyku i cieśniny Gibraltarskiej, a przeprawiwszy się przez nią, opanowali Hiszpanię. W sto lat państwo Kalifów rozciągało się od Indyi do Pirenejów, wzdłuż wybrzeży Syryi, Afryki północnej i Hiszpanii. Udało im się też zawładnąć Kretą oraz Sycylią i zakwitła nad brzegami morza Śródziemnego kultura arabska. Gdyby nie Karol Martel na równinach Poitiers i „ogień grecki“ pod Konstantynopolem, to morze Śródziemne stałoby się było „jeziorem arabskiem“.

W XI-em stuleciu plemiona tureckie, przebiegające konno bezpłodne stepy Turanu, zwróciły się na zachód, zawładnęły brzegami morza Czarnego i parły Arabów ze wschodu, podczas gdy z zachodu parli ich chrześcianie i wyparli nakoniec za cieśninę Gibraltarską (a skaliste wybrzeża Afryki stały się znów na długo siedliskiem piratów). Zajęcie Ziemi Świętej przez plemiona tureckie wywołało bezużyteczne wojny krzyżowe; jednakże, pomimo tych wojen, pomimo religijnej nienawiści, jaką one wywołały, rozwinął się w średnich wiekach ożywiony handel ze Wschodem, bo interesa materyalne mają większą siłę od religijnego i rasowego antagonizmu.

Wówczas panowanie nad morzem Śródziemnem objęły dwie handlowe republiki włoskie, Genua i Wenecya, położone w środku morza Śródziemnego, w punktach wybrzeża, najbardziej na północ, w głąb europejskiego lądu, wkraczających. Miasta te ofiarowały Krzyżowcom na posługi swe floty, nie zapominając przytem o interesie własnym. Genuańczycy założyli kolonie na południowych wybrzeżach Krymu, na tym „odłamku pięknego greckiego południa, przyklejonym do chłodnych stepów Scytyi“, i przez morze Azowskie, Don i Wołgę prowadzili handel ze Wschodem; Tana, przy ujściu Donu, stała się nową Aleksandryą. Wenecyanie zajęli Kandyę oraz Cypr i prowadzili handel przez owe drugie, środkowe, przedłużenie za pomocą zatoki Iskanderun i zbliżenia Eufratu (Aleppo).

Jednakże ciągle wzrastająca potęga ludów tureckich, które w końcu zupełnie zawładnęły północnym wybrzeżem Afryki, pół-

wyspem Bałkańskim, wybrzeżami morza Czarnego i zagroziły dolinie Dunaju; a jeszcze bardziej odkrycie Ameryki i nowej drogi do Indyi, około przylądka Dobrej Nadziei, sprowadziło upadek handlowych republik włoskich i wogóle — upadek znaczenia morza Śródziemnego. Na początku wieków nowych „cykl historii nadśródziemnomorskiej został zamknięty“. Ludy europejskie zwróciły się na szerszą arenę oceanu. Pośrednikiem w tym względzie stał się półwysep Iberyjski, zwrócony pochyłością wyżyn i biegiem rzek ku Atlantykowi, odwrócony tyłem do morza Śródziemnego i z tego powodu najmniej biorący udziału w historii nadśródziemnomorskiej, która postępowała ze Wschodu na Zachód (Fenicya, Grecya, Rzym, Hiszpania), w kierunku podłużnej osi morza Śródziemnego.

Morze Śródziemne na początku wieków nowych opustoszało, legło w stagnacyi pod popiołem mahometanizmu, pod ciągłą grozą berberyjskich piratów; w ostatnich dopiero czasach zaczęło się budzić, dzięki słabnięciu, rozkładowi mahometanizmu i parciu, jakie nań zaczęły wywierać żywotniejsze ludy.

Parcie to rozpoczęło się od wybrzeży morza Czarnego.

Ludy północne oddawna dążyły ku temu morzu (Waregowie, książęta ruscy), lecz dążenie to przez długi czas nie mogło sprowadzić trwałych rezultatów, to jest opanowania jego wybrzeży. Zawładnęły niemi, jakieśmy rzekli, dążące od wschodu ludy mahometańskie: Tatarzy i Turcy. Główną podporą ich panowania na wybrzeżach północnych był Krym (forteca), połączony tylko wązkim przesmykiem, i to przekopanym fosą (Perekop), z dalszym lądem. Przytem wybrzeża morza Czarnego bronione były z północy przez pas trudnych do przebycia stepów, które, jak nie dopuściły wiewiórki do lasów Krymu, tak też utrudniały północnym narodom dostęp doń. Jedyne drogi były tu rzeki, płynące z północy: Dniestr, Dniepr, Don i Wołga; to też Turcy u ujść tych rzek (jak w górach u wyjść dolin) pozakładali warownie (Akerman, Oczaków, Azów), których zadaniem było wstrzymywać wyprawy, przedsiębrane na morze z północy. Korsarskie republiki kozackie: Dnieprcowska (Zaporożcy) i Dońska,

owe najbardziej na południe wysunięte forpoczty ludów północnych, dążących ku południowi, przedzierały się wprawdzie przez te warownie, lub je zdobywały i przedsiębrały wyprawy na morze Czarne aż do Stambułu, Sinopy i Trebizundu; ale republiki te były za słabe do opanowania wybrzeżami, wyprawy ich miały charakter korsarski.

Dopiero gdy za plecami korsarskich kozaków wzrosła silna potęga lądowa, państwo rosyjskie pod Piotrem Wielkim, udało się nareszcie Rosyanom, po wielu wyprawach, owładnąć północnymi wybrzeżami morza Czarnego i zdobyć Krym, gniazdo łupieskich Tatarów. Równocześnie powstała idea owładnięcia dalszemi wybrzeżami (Cherson, „droga do Konstantynopola“), uczynienia morza Czarnego „jeziorem rosyjskiem“, a opanowawszy cieśniny, „złamać kraty kontynentalnego więzienia“, otworzyć sobie wyjście na właściwe morze Śródziemne. Ale inne narody, mające też interesa na morzu Śródziemnym, patrzyły z obawą na te postępy „północnego niedźwiedzia“ i wojna krymska powstrzymała je na czas pewien.

Drugim, choć chwilowym tylko, wyłomem w mahometańskim pierścieniu, okalającym morze Śródziemne, było podbicie Egiptu przez Bonapartego. Egipt ma bardzo ważne strategiczne i handlowe znaczenie, jako kraj leżący na przejściu z Azji do Afryki, oraz z morza Śródziemnego na Czerwone, na ową brzoźdę prostopadłą do morza Śródziemnego, ów dalszy ciąg Adryatyku, prowadzący z Europy do Indyi. Dlatego już w średnich wiekach Wenecyanin Marino Sanudo podał plan zawojowania Egiptu, aby tym sposobem rozerwać żelazny pierścień państw mahometańskich w samym centrum i odebrać sułtanowi tureckiemu ważne źródło jego materyalnej potęgi (haracz). Dlatego samego później Portugalczyk Albuquerque powziął śmiały plan odwrócenia Nilu powyżej Philae do morza Czerwonego, ażeby zamienić Egipt w pustynię; Leibniz także podawał plan zawojowania Egiptu Ludwikowi XIV-mu. Jednakże dopiero Napoleon podjął ten plan, ażeby z Egiptu zagrozić angielskim koloniom w Indyach, przekopać kanał przez międzymorze Suez i z morza

Śródziemnego uczynić „jezioro francuskie“. Ale gdy, odparty od St. Jean d'Acree, nie zdołał opanować syryjskiego wybrzeża, gdy Anglicy zniszczyli jego flotę pod Abukir i Trafalgar i zajęli Malte, musiał porzucić swoje wielkie plany.

Trzecim wyłomem w szeregach mahometanizmu było oswobodzenie Grecyi, czwartym zdobycie korsarskiego Algieru przez Francuzów.

Francuzi nie zapomnieli o planie Napoleona I-go i za sprawą Lessepsa przekopali nareszcie kanał Sueski, „uczynili lukę w łańcuchu państw mahometańskich, przez którą może się teraz wdzierać falanga zachodniej kultury“. Kanał Sueski zwrócił znów handel Europy z Indyami na morze Śródziemne.

Lecz i Anglicy nie dali się ubiedz: posiadając już Gibraltar Malte i Aden („wschodni Gibraltar“), zajęli teraz wyspę Perim i tym sposobem stali się „furtyanami morza Śródziemnego“.

Równocześnie najnowsze odkrycia we wnętrzu Afryki uchyliły z owego „ciemnego kontynentu“ zasłonę niewiadomości i wprowadziły nowy czynnik na widownię dziejów morza Śródziemnego. Ta Część Świata była przez długie wieki olbrzymią, groblą, rzuconą pomiędzy bogato rozwiniętymi południowymi wybrzeżami Europy i Azji, groblą, która tamowała międzynarodowe stosunki i rozwój cywilizacyi; tylko Nil, zbliżając się do morza Czerwonego, ułatwiał nieco przebycie grobli (stąd znaczenie Egiptu i Aleksandryi). Dopiero opłynięcie przyładka Dobrej Nadziei przez Wasco de Gamę było pierwszym krokiem do omińnięcia tej grobli, przekopanie zaś kanału Sueskiego — drugim, doskonalszym. „Jeżeliby dzieje ludzkiego rodu — mówi Peschel — były zgóry przez Boską Opatrzność obrachowanym dramatem, to Afryka po to tylko istniałaby na tej wielkiej scenie, aby przeciwnościami, jakie przedstawia do pokonania, pobudzić duchowy rozwój europejskich ludów“.

Teraz jednak, po utorowaniu drogi do Indyi, gdy przy użyciu skonałonych środków żeglugi, podróży lądowych, inżynieryi i t. d., poznaliśmy nieco wnętrze tej grobli, znaleźliśmy tam nowe skarby przyrodzone, odkryliśmy drugi „Nowy Świat“.

Afryka przestała być groblą, tamującą komunikacye, nieprzenikliwym i nieruchawym cielskiem hipopotama; stała się nowym Eldorado, nowymi Indyami, atrakcyjnym punktem dla europejskich ludów, które chciałyby zdobytemi tam skarbami z bogacie swe wyczerpane, przeludnione kraje. Wprawdzie te skarby Afryki środkowej oddziela od wybrzeży morza Śródziemnego trudna do przebycia Sahara, ale w nowszych czasach udało się kilku nieustraszonym podróżnikom przedrzeć przez nią do bogatego Sudanu (Barth, Rohlfs, Lenz); jeżeli projekt kolei transsaharskiej (Duponchel) zostanie urzeczywistniony, to zbliży ona Sudan do Europy; bogate jego płody, które dotąd idą z trudnością na Zachód lub Wschód, na Atlantyk lub ocean Indyjski, spłyną na północ ku morzu Śródziemnemu. To też, jak niegdyś Hiszpanie, Portugalczycy, Anglicy i Francuzi współubiegali się w Ameryce, tak teraz Anglicy, Francuzi, Włosi i Niemcy współubiegają się w Afryce i morze Śródziemne odzyskało swe dawne znaczenie.

Przypatrzmy się teraz, dla doprowadzenia dziejów morza Śródziemnego do chwili obecnej, stanowiskom i interesom różnych potęg na morzu Śródziemnym w ostatnich czasach.

Anglicy, jakkolwiek nie mieszkają bezpośrednio nad morzem Śródziemnym, jednakże, przez obsadzenie ważnych strategicznych punktów nad niem, zmienili je prawie w „jezioro angielskie“: przez Gibraltar i Perim z Adenem posiadają doń klucze, przez Maltę i Cypr są jego panami. Gibraltar ma wyborne strategiczne położenie, lecz za ciasno Anglikom na tej stromej skale; dlatego pragnęliby oni zająć wybrzeże Marokańskie, skąd możnaby się rozszerzyć wewnątrz lądu. Hiszpanie mają też ochotę na Marokko (już dawniej Portugalczycy kusili się bezskutecznie o zdobycie tej górskiej warowni, położonej między dwoma morzami i nad ich połączeniem), ale, pomimo Ceuty, trudno im rozprzestrzenić swą władzę nad całym krajem, bo trzeba by przeskoczyć Gibraltar (stąd projekt tunelu podmorskiego między Algesiras i punktem między Ceutą i Tangerem). Silnie ufortyfikowana Malta broni przepływu przez cieśninę Sycylijską, z kotliny zachodniej do wschodniej. Cypr ma tę wyższość nad

Malta i Gibraltarem, że można na nim skoncentrować znaczną liczbę wojsk. Leży on prócz tego blisko cieśnin tureckich i Suezu, oraz naprzeciwko zatoki Iskanderun i Aleksandretty, to jest na wstępie do owego średniego przedłużenia morza Śródziemnego, przez zbliżenie Eufratu. Jeżeli projektowana kolej żelazna od zatoki Iskanderun (port Aleksandretta) przez Aleppo do łuku zbliżonego tu Eufratu przyjdzie do skutku, to Anglicy będą mogli łatwo rzucić swe wojska z Cypru na dolinę Eufratu, której Rosyianie mogliby zagrozić ze swej naturalnej fortecy — Kaukazu, a tym sposobem zagrozić też drodze do Indyi przez Eufrat i zatokę Perską. Dla większego bezpieczeństwa Anglicy zajęli wyspę Ormuz u wylścia z zatoki Perskiej.

Anglicy są następcami Fenicyan na morzu Śródziemnem, ale jak Fenicyanie i ich koloniści, Kartagińczycy, ludy czysto żeglarskie, handlowe, kupieckie, nie posiadające sił lądowych i walczące hufcami najemnymi, musiały ustąpić silniejszym potęgom lądowym, Grekom, a szczególnie Rzymianom; tak Anglicy, którym trudno zdobyć się na znaczną armię lądową, których wojska ponoszą klęskę po klęsce, muszą z czasem, mimo obsadzenia ważnych punktów nad morzem Śródziemnem, ustąpić silnym potęgom lądowym, dążącym do zawładnięcia brzegami tego morza.

Obecnie taką potęgą najbliższą tego zawładnięcia jest Francya. Dla zneutralizowania Gibraltaru, Francuzi projektują kanał morski między zatoką Biskajską i Liońską za pomocą Garonny, dostępny dla wielkich okrętów; urzeczywistniony zaś projekt kolei Transsaharskiej uczyni Francję pośredniczką w handlu między bogatym Sudanem i Europą. Dawniej już zawładnęli Francuzi Algierem, a obecnie Tunisem, mimo protestacyi Włochów, którzy mieli tam interesa handlowe i uważali Tunis za swe »naturalne przedłużenie«. Zajęcie żywnego Tunisu, który był kiedyś śpichlerzem Rzymu (*ager frugum fertilis*) przez Francję, jest faktem bardzo ważnym i niepokojącym, szczególnie dla Anglii: a to nie tylko dlatego, że Tunis, z którego północnej kończy się (przylądek Bon) widać Sycylię, panuje nad przejściem z za-

chodniej kotliny morza Śródziemnego do wschodniej (założenie portu wojennego w Bizercie) i zmniejsza znaczenie posiadania Malty; ale głównie właśnie dlatego, że Francya jest państwem, które, oprócz floty, posiada też wielką potęgę lądową; zajęcie więc przez to państwo jakiegoś punktu na wybrzeżu, grozi rozprzestrzenieniem lądowej potęgi wzdłuż wybrzeży morza. Pierwszym etapem do tego był Algier, Tunis drugim, za tym może nastąpić trzeci: Trypolis, przez który znów Francya zyskałaby lądowe czucie ze swym dawnym wpływem w Egipcie (gdzie współubiega się z Anglią, która wykupiła akcyę Sueskiego kanału i której okręty stanowią 78^o/_o wszystkich okrętów, przepływających przez kanał) i Syrii. Tym sposobem powtórzyłby się ten sam proces, który przeprowadziła niegdyś inna lądowa nadśródziemnomorska potęga świata starożytnego — Rzym.

W ostatnich czasach jednak Anglicy przez pokonanie Mahdistów, odparcie Francuzów od górnego Nilu (wyprawa Marchanda) i projekt kolei od Nilu do Kapsztadu zapanowali w dorzeczu nilowem.

Włosi, odtrąceni od Tunisu, pragnęliby usadowić się na innym, bogatym w porty (np. Bomba) wybrzeżu, w krainie Barka, starożytnej Cyrenaice, lub w Trypolisie. Zajęli też zatokę Asab i Massauę nad morzem Czerwonem (Eritrea) i stąd chcą rozszerzyć swój wpływ na Abisynię; to zmniejszyłoby znaczenie Perimu. Również i na europejskiem wybrzeżu, mianowicie wzdłuż Adryatyku, pragnęliby rozszerzyć swe panowanie („Italia Irredenta“) i zamienić Adryatyk we „włoskie jezioro“. Dlatego to niechętnem okiem patrzą na postępy Austrii na półwyspie Bałkańskim, które dają większe znaczenie pustemu, dotąd i mało uczęszczanemu Dalmackiemu wybrzeżu, stwarzając mu bośniacki „Hinterland“. Włoskie miasto Brindisi (starożytne Brundisium) po przebiciu tunelu Cenis i St. Gotarda, stało się końcowym punktem europejskich kolei żelaznych i punktem wyjścia parowców do Levantu i Indyi; przytem leży ono w punkcie największego zbliżenia półwyspu Apenińskiego do Bałkańskiego, niedaleko ważnego w starożytności Dirrachium (dziś Durazzo) i wznoszącego się do niego górnego Nilu.

szącego się obecnie portu Avlona. Włosi więc chcieliby odnowić dawną Via Egnatia, która przerywała cały półwysep Bałkański od Dirrachium do Saloniki i Konstantynopola.

Za dążenia Włochów nad Adryatykiem oburzają się na nich Niemcy. „Tylko Niemcy — mówi patetycznie pewien niemiecki autor — tylko Niemcy, którzy niegdyś władali cieśniną Messęńską, którzy umierającą Italię utrzymywali przy życiu swą krwią, którzy dodali świeżego życia Galii i Hiszpanii; Niemcy, z biegiem czasu, zostali odtrąceni od tego skarbu (morza Śródziemnego), ograniczeni do jednej, jedynej zatoki na skrajnej północy Hadrii, a i tej zazdrości im Italia. Czyż około morza Śródziemnego mają zasiąść wszystkie narody, jak około obfitego stołu historyi, z wyjątkiem Niemców? To byłoby niegodne! Niemcy musieliby być zależni od kaprysu innych państw, stać się ich wasalami. Ktokolwiekby chciał wydrzeć Niemcom ten jedyny pas nadbrzeżny, oni bez zadrżenia chwycą za broń od Bałtyku do Hadrii!“

Postępy Austrii na półwyspie Bałkańskim i pragnienie rozciągnięcia ich „au de la Mitrowica“, by odetchnąć pełniejszą pierś morską powietrzem Saloniki (która, po przeprowadzeniu kolei, stała się końcowym punktem europejskich kolei żelaznych na drodze od Calais do Indyi) krzyżują się nie tylko z interesami Włochów nad Adryatykiem, lecz także z dążeniami Rosyi, która po Francyi jest drugą wielką potęgą lądową nadśrodkomorską (dotąd tylko nadezarnomorską). Dwie czarnomorskie rzeki, Dunaj, prowadzący z zachodu na wschód, i Dniepr, prowadzący z północy na południe, są wyobrazicielkami i drogami dążeń Austrii i Rosyi i, sprowadzając obie te potęgi na jedną arenę, półwysep Bałkański, czynią je naturalnymi nieprzyjaciółkami.

Rosya, odzyskawszy siły po wojnie krymskiej („la Russie se recueille“), znów podjęła swe dawne dążenie do opanowania morza Czarnego, przez zajęcie cieśnin tureckich, owego „twardego orzecha“, i — Konstantynopola, owego ujściowego portu

wszystkich rzek czarnomorskich (i Wołgi), ażeby też odetchnąć szerszem powietrzem morza Śródziemnego.

A jakkolwiek „koncert europejski“, patrzący ze drzeniem na „północnego niedźwiedzia“, który „wstrząsa kratami kontynentalnego więzienia“, zredukował do minimum rezultaty Rosyi (traktat St. Stefano i kongres berliński), i przeciwstawił jej dążenia Austrii; to jednak przez ostatnią wojnę z Turcją Rosya przerzuciła panowanie tureckie za Bałkany; Bułgarya stała się forpocztą rosyjską, a wszystkie drobne ludy półwyspu czekają tylko sygnału, by do reszty rozebrać walącą się budowę turecką i wygnać Turków za Bosfor. Anglia, która ciągnie materyalne zyski ze słabości państwa tureckiego, bo trzyma przez nią w swych rękach handel wschodniej części morza Śródziemnego, pragnęłaby, ażeby spadkiem po „chorym człowieku“ obdzieliły się same tylko drobne ludy bałkańskie (bo możnaby je dalej wyzyskiwać) bez współdziałania Rosyi („delenda est Russia“) i Austrii („hands off“).

Te powikłane kombinacye dążeń różnych narodów do opanowania wybrzeży morza Śródziemnego, wywołują ciągłe chwianie się sympatyj i antypatyj państw europejskich, ciągłą zmianę tonów w „koncercie europejskim“ („delenda est Russia“ zmieniła się na „hands off“, zwrócone przeciw Austrii, „Italia Irredenta“ po zajęciu Tunisu przez Francję ucichła i t. d.), tak, iż nawet najbystrzejszy polityk nie byłby w stanie z góry ugrupować potęg, które kiedyś wystąpią do walki o panowanie na morzu Śródziemnem.

Z tego krótkiego przebiegu dziejów morza Śródziemnego możemy wyprowadzić wnioszek, że ważność tego morza, które grało tak wielką rolę w starożytnych i średnich wiekach, upadło w wiekach nowych, a znów wzniosło się w najnowszych, polega w tej swojej ostatniej fazie, na trzech następujących podstawach:

1) *Na rozkładzie mahometanizmu, w szczególności państwa tureckiego, a stąd blizkim spadku po «chorym człowieku» («kwestya wschodnia»).*

2) *Na stanowisku morza Śródziemnego, jako pośredniego ogniwa w handlu Europy, z Indiami, wogóle — z Azją (kanał Sueski, obsadzenie cieśnin przez Anglików, współubieganie się ich z Francuzami w Egipcie i Azji Wschodniej, rozwój kolei w Azji Mniejszej, projekt kolei od Iskanderun do Eufratu, wreszcie ostatnio: kwestya chińska).*

3) *Na nowo odkrytych bogactwach Afryki i dążeniu do ich eksploatacyi (projekt kolei Transsaharskiej, projekt kolei od Nilu do Kapsztadu, zajęcie Tunisu przez Francycę, dążenia Włoch do zajęcia Barki i Trypolisu).*

Tak więc „kwestya wschodnia“ jest tylko jednym z trzech potężnych elementów nowoczesnego wzrostu znaczenia morza Śródziemnego; przytem naturalnie znaczenie tych wszystkich elementów potęguje się przez ciągłe doskonalenie środków komunikacyi i budowanie nowych dróg.

SYSTEMAT NILU I JEGO ZNACZENIE.

Któż, co w latach młodości lubił czytać opisy dalekich krain i przenosić się do nich na skrzydłach fantazyi, nie zatrzymał się dłużej w czarownej krainie Faraonów, nie płynął w lekkiej łodzi po tajemniczych falach tej świętej rzeki, której początku nawet bogowie nie znali. Kto nie odpoczywał pod cieniem uroczych palm, co wznoszą dumnie swe królewskie głowy na wiecznie pogodnem lazurze nieba po nad żary i piaski pustyni. Kto nie stawał na szczytach piramid, tych niezniszczalnych pomników wielkiej, zamartej przeszłości, tych najwyższych prawie dzieł człowieka, z których „czterdzieści wieków spogląda“, które same jedne z całego stworzenia „nie lękają się czasu“. Kto z pod wiekowego piasku pustyni nie odgrzebywał starożytnych posągów, nie wsłuchiwał się w tajemnicze głosy Memnona, witającego w blaskach poranku piękną Aurorę. Kto nie zachwycał się klasycznym profilem Ramzesa Miamuna, tego słonecznego potomka, tego ideału władzy, potęgi i królewskiego blasku!...

Ale w latach późniejszych, gdy młodość fantazyja ustępuje miejsca krytycznej rozwadze, oko człowieka dojrzałego, oko badacza dostrzega wyraźniej po za barwną zasłoną poezyi przedmioty świata realnego: po za olśniewającym przepychem Faraonów—

nędzę niewolników, co rękami swemi wznosili olbrzymie budowle dla kaprysu władców; po za wszystkimi tęczowemi barwami Wschodu — bydłęcy żywot Fellahów, co wylewają krwawy pot na pola nie swoje, dla napełnienia złotem kasy kedywa i jego chciwych urzędników; pośród łodzi mknących lekko po falach Nilu — korsarskie statki obrzydłych handlarzy „żywego hebanu“, co niosą pozogę i zdziczenie głęboko w serce „tajemniczego kontynentu“.

Lecz czyż po zniknięciu świetnych tkanek poezji starodawnej, poezji gwałtu i miecza, oko badacza nie dojrzy dziś nic, prócz tych smutnych i wstrętnych objawów; żadnego światełka, coby zastąpiło utracony bezpowrotnie urok dawnej poezji, coby było zapowiedzią lepszej, naprawdę jasnej przyszłości? Przeciwnie, po nad tym światem gwałtu i nędzy ludzkiej, oko badacza dojrzy światło wyższej nowoczesnej poezji, poezji poświęcenia dla prawdy, dążenia do niej z wolą niezłomną, choćby kosztem osobistego szczęścia, choćby nawet kosztem życia. A prócz poezji, oko badacza dojrzy coś więcej, dojrzy często żelazną, matematyczną zależność między geograficznymi warunkami krainy i dziejową działalnością jej mieszkańców; a poznanie praw tej zależności sprawi mu niemniejszą rozkosz, niż poetyczne młodzieńcze zachwyty.

Odwiecznego geograficznego zadania: „caput Nili quaerere“, nie rozwiązał świat starożytny i średniowieczny. Świat gwałtu i ucisku, świat religijnego fanatyzmu rzadko zdobywał się na poświęcenia dla czystych naukowych zadań; dopiero w naszych czasach, gdy bohaterstwo miecza i ucisku, lub męczeństwo dla złudzeń, ustąpiło miejsca bohaterstwu i poświęceniu dla nauki, trudność zadania źródeł nilowych pękła przed niezłomną wolą nowoczesnych bohaterów.

Jak niegdyś, wiedzione chimera lub żądzą łupów, szły tłumy krzyżowców do Ziemi Świętej, tak obecnie, żądzą wiedzy trawieni, bohaterowie nowi idą wgłąb Afryki, by w straszliwych zapasach z tym nowym sinksem wydzierać mu tajemnice jedną po drugiej. Dzięki im, ład afrykański wynurza się coraz wyraźniej

z kryjącej go wiekowej pomroki. Dzięki im, wiemy obecnie, że na wschodniej krawędzi centralnej Afryki, po obu stronach równika, między kotłina, odkrytej przez Stanleya Lualaby-Kongo, na zachodzie i wybrzeżem łukowatej zatoki Zanzibarskiej na wschodzie; od doliny Zambezi na południu, do morza Czerwonego (Abisynia) na północy, rozciąga się potężna wyżyna. Jest to wyżyna Wschodnio-Równikowa, złożona ze starych skał krystalicznych, której plastyka uległa zróżniczkowaniu przez zapadnięcia i związane z nimi powstanie gór wulkanicznych; zapadnięcia ciągną się głównie jako dwie fosy południkowe, wzdłuż których leży podłużne jeziora (Albert i Albert-Edward w fosie zachodniej; Baringo i Rudolf — we wschodniej). Między temi dwiema fosami utworzyło się zagłębienie kotlinowate z czworokątnym jeziorem Ukerewe. Zapadnięcia te muszą być niedawne, gdyż towarzyszą im świeże zjawiska wulkaniczne (nawet dotąd czynny wulkan Virunga w fosie zachodniej), oraz niewykształcone łożyska rzek (wodospady, jeziora); jest to oznaka młodości, zwłaszcza wobec obfitych opadów zwrotnikowych, które przyspieszają zniszczenie wodospadów i zniknięcie jezior — ujednostajnienie łożysk rzecznych.

Naczelne miejsce w tej krainie jezior zajmuje jezioro Ukerewe albo Wiktorya Nyanza, odkryte w r. 1858 przez Speka, opłynięte i zbadane w r. 1875 przez słynnego Stanleya. Obszarem przenosi ono blisko pięć razy Ładogę i dorównywa amerykańskiemu jezioru Wyższemu. Trapezoidalne jego zwierciadło, na 1200 metr. nad poziom morza wzniesione, północną podstawą opiera się o równik; jest to źródłowe jezioro Nilu, owe odwieczne geograficzne *desideratum*. Z zachodu, południa i wschodu, otaczają je wieńcem wysokie góry; między ostatnimi wznoszą się dwa olbrzymy afrykańskiego ładu: Kenia i Kilimandżaro, wygasłe wulkany, uwieńczone wiecznymi śniegami. Z gór, okalających zblizka jezioro, spływają ku niemu liczne strumienie, zasilające je swemi wodami.

Głównym dopływem jest, wpadająca z zachodu, Kagera z biegiem krętym, pełnym wodospadów i jezior, z bujną roślinno-

ścią wodną (papyrus). Źródła jej, odkryte przez O. Baumana ¹⁾ niedaleko jeziora Tanganika pod 4^o szer. pd. są prawdziwymi źródłami Nilu. Rzeka Simiu, wpadająca do jeziora z południa, uważana dawniej jako równorzędna z Kagerą ²⁾, została obecnie badaniami Baumana „pozbawiona głowy“: jej mniemana górna część okazała się należąca nie do niej, lecz do innego systematu (Sembiti), tak iż Simiu spadła do roli bardzo skromnej, nie przewyższającej drobnych dopływów wschodnich (Ruwana, Mori) i północno-wschodnich (Nsoia, Sio) ³⁾.

Wielki rezerwoar nilowy, zbierający te wszystkie wody, jezioro Ukerewe, jest największym słodkowodnym jeziorem Afryki, posiada błękitną barwę wód i brzegi po większej części wyniosłe, a na nich liczne wsie toną wśród zieleni bananowych gajów. Wzdłuż północnych wybrzeży porasta gęsty las trzciniowy. Liczne wyspy jeziora, pokryte bujną roślinnością, zamieszkuje ludność, która tu znalazła schronienie przed napadami wojowniczych plemion. Stanley, podczas swej żeglugi po tem jeziorze, miał wiele do walki z korsarzami, hipopotamami i burzami; ale przyznaje, że pod względem krajobrazowego wdzięku jezioro Ukerewe jest perłą łądu afrykańskiego ⁴⁾.

Olbrzymia masa wód Nyanzy znajduje odpływ na północnym brzegu, za pośrednictwem rzeki Victorya Nil, płynącej ku północo-zachodowi; lecz, niestety, zaraz po wyjściu z jeziora rzeka ta, torując sobie łożysko przez, zagradzający jej drogę, skalisty wał, tworzy wodospady Ripona. Poniżej wodospadów znajdują się jeszcze prądy, a dalej rzeka płynie już w niskich brzegach, zarosłych papyrusem i trzcina, i w czasie wysokiego stanu wód zalewa znaczne obszary; wtedy z nieprzejrzaną

¹⁾ Ob. Petermann's, „Mitteilungen“, 1893.

²⁾ Ob. J. Chavanne, „Afrikas Ströme und Flüsse“. Wien, 1883. str. 25 i nast.

³⁾ Ob. E. de Martonne, „Die Hydrographie des oberen Nil-Beckens“ w Zeitschr. der Gesellschaft für Erdkunde zu Berlin, B. XXXII, 1897, № 5.

⁴⁾ Ob. Stanley, „A travers le continent mystérieux“, I.

przestrzeni wodnej sterczą tylko chaty mieszkańców na pagórkach i olbrzymie kopce termitów. Ta część Nilu, zwana Sommerset Nil, przepływa dwa pomniejsze jeziora i jest żeglowna; dopiero poniżej wielkiego kolana ku zachodowi, około 30° dług. wsch. od Paryża, rzeka, zstępując z wyżyny Unioro na niższy taras jeziora Mwutan (Albert Nyanza), toruje sobie znów przejście przez granitowe skały i tworzy liczne wodospady, z których największy, Murchisona, ma 36 metr. wysok. Po obu stronach tego wodospadu wznoszą się do wysokości 90 metr. skaliste brzegi, pokryte najbujniejszą roślinnością zwrotnikową, a po za niemi rozciągają się nieprzejrzone sawanny, t. j. równiny trawiaste, poprzerzynane tu i owdzie parkowemi lasami; ten krajobraz, pełen wdzięku, odtworzył w swym opisie Baker, odkrywca wodospadu. Poniżej uspokojona rzeka staje się znów żeglowna i wlewa się do jeziora Mwutan.

Drugi rezerwoar nilowy, jezioro Mwutan, zwane Albert Nyanza, przez odkrywcę swego Bakera, znacznie mniejsze od poprzedniego, przyjmujące z południa rz. Semliki, odpływ jeziora Albert-Edward, leży na wysokości 700 metr., wśród stromych brzegów skalistych (wyjawszy północne), z których staczają się ku jezioru wspaniałe wodospady. Sommerset Nil przepływa to jezioro tylko po linii stycznej do północnego skraju.

Po wyjściu z jeziora rzeka płynie dalej, w głównym północnym kierunku, pośród gór skalistych i z tego powodu otrzymała miano „rzeki górskiej“ (Bahr el Gebel); poniżej Wadelaj dorzecze jej ulega silnemu zwężeniu, gdyż tu dorzecze Kongo (Uelle) podchodzi prawie do samego łożyska rzeki. Poniżej Dufile rzeka znów przerzyna się kataraktami, tamującemi żeglugę, na niższy stopień pod Lado (5° szer. pn.). Scenerya rzeki między Dufile i Lado jest miejscami niezwykle wspaniała: w głęboko wyżłobionem łożysku szumi błękitna rzeka na niezliczonych małych kaskadach i prądach; na prawym brzegu, wzgórza podnoszą się zwolna do bujnie zalesionych gór, podczas gdy na lewym przeplatają się z okolicami parkowemi, żółtawemi płatami piasku i chaotycznie nagromadzonemi głazami; małe lesiste wysepki nadają

też rzece wiele wdzięku. Przed Lado Nil przepływa około zwalisk dawnej misji katolickiej Gondokoro, która odegrała ważną rolę w historii zbadania Afryki: albowiem tu był koniec żeglugi w górę rzeki i punkt wyjścia wypraw lądowych w głąb kraju. Gondokoro upadło wskutek zmiany nilowego ramienia.

Na północ od Lado Bahr el Gebel traci charakter rzeki górskiej i jeziornej, zachowując północny kierunek, i wstępuje na aluwialną, błotnistą równinę wschodniego Sudanu (jednak jeszcze na 460 metr. wysok.). Rzeka, pod nazwą Kir, toczy się tu powoli w licznych zakrętach, dzieli się na odnogi, tworząc liczne wyspy i mielizny, i osiąga znacznej szerokości. W tej tylko części swego biegu systemat Nilu posiada gęstą sieć dopływów tak z lewej jak i prawej strony; podróżnik austriacki Marno, badacz krain nilowych, który padł ofiarą swego zapału naukowego, w następujący sposób charakteryzuje tę część nilowegodorzecza. „W przeciwieństwie do rzek wschodniej części nilowego systematu, to jest do wypływających z górskiej krainy Abisynii, lewe dopływy ekwatorialnego Nilu posiadają krótki bieg górny, a długi dolny z mało wybitnymi łożyskami. Brzegi, gdzie wogóle może o nich być mowa, rozplaszczają się i spływają z sąsiednią równiną, która leży na jednym z nimi poziomie, przedstawia mniej więcej znaczny obszar zalewu; to stanowi dogodny warunek do osadzania mułu, przynoszonego przez rzeki z gór. Stąd powstają zmiany w kierunku rzek, wznoszenie łożysk, zmniejszenia spadków i zniwelowania całej krainy — czynniki, które, działając bezustanku przez setki i tysiące lat, muszą zmieniać ukształtowanie całej krainy“. Te właśnie warunki sprzyjają podziałowi rzeki na ramiona i tworzeniu się wysp; z licznych ramion tej części biegu najznaczniejsze zowie się Bahr el Seraf. Ramię to oddziela się na prawo od głównej rzeki, nieco na pn. 7° szer., a łączy się znowu poniżej ujścia Bahr el Gazalu i zwrotu rzeki głównej ku wschodowi (pod 9½° szer.). Utworzona tym sposobem między rzeką główną i Serafem deltowata wyspa, osiąga przeszło 10 mil szerokości i blisko 30 mil długości. To jest właściwa bagnista kraina gór-

nego Nilu; dotąd też tylko osiągnęła wyprawa rzymska, za cesarza Nerona (60 r. po Chr.).

Na tej przestrzeni, tak rzeka główna, jak i Seraf, rozlewają szeroko i tworzą liczne kanały, łachy, jeziora i bagna. Te boczne kanały dają nieraz jedyną możliwość obejścia głównego koryta, zapchanego często roślinnymi tamami. Zabagnienie, tworzenie się kanałów i wogóle stagnacya wód tutejszych, zależy też, w znacznej części, od bujnego rozwoju pływającej roślinności wodnej, oraz papyrusów i ambaczu, które wstrzymują bieg wody i sprzyjają tworzeniu się osadów. W czasie wysokiego stanu wód odrywają się nieraz wielkie masy pływającej roślinności i, unoszone prądem, gromadzą się w miejscach węższych, czasem zupełnie zagradzając łóżysko rzeki, stawiając takie tamy żegludze, jak wieczne lody w morzach polarnych. Słaby prąd wody nie jest w stanie usunąć tych przeszkód, które potęgują się coraz nowemi, nadpływającemi, masami traw. Woda, wznosząc się po za taką tamą, wzmożonem ciśnieniem wypycha nowo nadpływające masy pod poprzednie, tak, iż rzeka nie tylko w całej swej szerokości, ale i w całej głębokości, zapełnia się roślinnymi masami. Tym sposobem powstaje w końcu niepokonana dla statków grobla roślinna, zwana w języku miejscowym „sett“. Te tamy są tak zbite, mocne i elastyczne, że pędzący parowiec, który do połowy zagłębia się w nie aż po koła, odskakuje następnie, jakby od elastycznej poduszki, a karawany przebywają po nich rzekę, jak po moście.

W niektórych latach tamy te dosięgają tak znacznych rozmiarów, iż rzeka przy najwyższym stanie wody nie jest w możności ich usunąć i trzeba do tego pomocy człowieka. Tak np., w latach od 1878 — 1880 tamy roślinne przerwały zupełnie żeglugę na Bahr el Gebelu, między 7° a 9° szer. W r. 1880 wyprawa egipska pod wodzą Gessiego, złożona z 500 żołnierzy i wielu czarnych niewolników, ugrzązłszy w tych tamach, wymarła prawie cała z głodu i chorób. Usiłowaniom podróżnika Marno udało się wyswobodzić jej resztki i otworzyć rzekę dla żeglugi, ale wkrótce potem Gessi zmarł, zarówno jak i Marno.

Po obu stronach tej części rzeki widnieją wśród błot niezliczone wzgórza termitów, dość wysokie, by wysterczać nad poziomem wylewu. W okolicy tej mieszkają Nuerowie, lud ichtyofagów, i również rybami żywiące się ptaki; jest to *balaeniceps rex* naturalistów. „Gdy spostrzeżemy zdala na wzgórzu termitowem tego dziwnego ptaka z wielką głową, długimi nogami i szaremi piórami, zapytujemy siebie: czy to ptak, czy rybak Nuer natarty popiołem?”¹⁾

Przy końcu północnego biegu Bahr el Gebelu (pod $9\frac{1}{2}^{\circ}$ szer.) obfite wody Bahr el Gasalu uderzają z lewej strony, pod kątem prostym, w prąd rzeki głównej i stąd tworzy się tu jeziorowaty rozlew Mokren el Bohur (jeziro No na dawnych mapach), pokryty pływającymi wyspami roślinnymi, powiększający się znacznie w czasie deszczów i zabagniający okolice. Wody rzeki głównej, ulegając parciu wód dopływu, zwracają się na chwilę w jego kierunku, to jest ku wschodowi wzdłuż $9\frac{1}{2}^{\circ}$ szer. i przyjmują nazwę Bahr el Abiadu („rzeka biała“). Brzegi rzeki nika tu dla oka, wśród wysokiej trawy i dopiero w odległości 2 — 3 klm. po obu stronach szeregi drzew palmowych (deleb, dum) i akacyowych, oznaczają granice rozlewu. Wkrótce po przyjęciu z prawej Sobatu, którego ujście leży na jednej szerokości geograficznej z ujściem Gasalu, rzeka główna pod Faszodą zwraca się znów ku północy i płynąc dalej aż do Chartumu, jak wprzód przez kraj płaski i błotnisty, rozszerza się znacznie (do 6,400 metr.) i tworzy liczne wyspy Szylluków. Szyllukowie są ludem po części pasterskim, po części rybackim, który uwija się po falach Nilu, na swych maleńkich i lekkich łodziach z wodnej rośliny ambacz. Łodzie te są tak lekkie, że, jak twierdzi Schweinfurth, jeden człowiek może trzy łodzie wziąć na plecy, choć jedna łódź może unieść trzech ludzi. Szylluk po przebyciu pewnej części drogi wyciąga łódź na brzeg, bierze ją na ramię „jak hoplita swą tarczę“ i przynosi napowrót do domu. Szyllukowie odznaczają się duchem wojowniczym, dawniej zajmowali się korsarstwem, napa-

¹⁾ E. Reclus. „Geogr. Univers.“, tom X.

dając na statki kupców chartumskich z kością słoniową; w odwet za to, załogi tych statków rabowały Szyllukom ich bydło.

Po prawej stronie rzeki rozciągają się tu obszerne lasy akacyowe, dostarczające gumy kupcom chartumskim; między temi akacyami szczególnie na uwagę zasługuje *A. fistula*, zwana tak przez Schweinfurtha od jej arabskiej nazwy *ssofar*, co znaczy flet, albo fujarka. Białe, jak kość słoniowa, ciernie tej akacyi, są siedliskiem pewnego rodzaju poczwarki i wskutek tego nabrzmiwiają przy nasadzie w wielkie banie. Gdy następnie owad wydostanie się przez okrągły otwór, tworzy się pusta przestrzeń dla rezonansu i pod wpływem wiatru wydaje tony fletu. W zimie, po opadnięciu liści, taki las akacyowy, z kredowo-białemi konarami, robi wrażenie tłumu upiorów, a świst i jęk, jakby tysiąca głosów, podnosi jeszcze bardziej to osobliwe wrażenie.

Tylko w tej środkowej części swego biegu Nil, jakieśmy powiedzieli, posiada bogaty rozwój dopływów (co zależy od ukształtowania dorzecza i rozkładu opadów atmosferycznych), tak, iż da się przyrównać do smukłego pnia, który tylko w połowie swej wysokości posiada pęczkowate rozgałęzienia obustronne, lecz nie przeciwległe. Zachodni z tych pęczków stanowi sieć rzek spływających z północno-równikowego działu wodnego (Uelle-Kongo) i łączących się w jedną rzekę Bahr el Gasal, która przewyższa rzekę główną obfitością wód. Drugi, wschodni, nieco poniżej leżący, pęczek dopływów, z których najznaczniejszy Bahr el Asrak („rzeka niebieska“), otrzymuje rzeka główna z Abisynii. Oba te systemata, Gasalu i Asraku, mogą być uważane za drugorzędne rzeki źródłowe Nilu.

Zachodni pęczek dopływów, rozwijający się naksztalt wachlarza, jest pod względem hydrograficznym szczególnie interesujący. Dział wodny, z którego te rzeki spływają, ma kierunek z południo-wschodu na północo-zachód, ogólny zaś kierunek całej siatki wodnej jest z południo-zachodu na północo-wschód; ale w miarę oddalania się na zachód od Bahr el Gebelu, rzeki zachodniego pęczka okazują coraz wyraźniej dążność do zboczenia ku wschodowi, tak, iż nakoniec rzeka Bahr el Arab, albo el Homr

ma czysto wschodni kierunek i w dalszym ciągu przyjmuje nazwę Bahr el Gasalu. Z kierunku działu wodnego wynika, że im dalej na zachód, tym rzeki te mają krótszy rozwój; z równomiernego zaś, północo-wschodniego, pochylenia się tego działu, nakszałt jednej tafli, wynika zadziwiający paralelizm tej siatki dopływów, tak, iż całe dorzecze przedstawia się pokrajanem w wązkie i długie parcele (podobnie jak na górnym biegu lewych dopływów średniej Kongo).

Dopływy te w górnym biegu, w pobliżu działu wodnego, złobią sobie głębokie łożyska i wrzynają się aż w skalisty podkład. W tych głębokich dolinach, wzdłuż rzek, ciągną się wysokie i gęste lasy „galeryowe”: rzeki płyną tu wśród nieprzerwanych, gęstych szpalerów, a nieraz nawet pod zielonym sklepieniem, jakby w tunelach. We wnętrzu tych lasów nadbrzeżnych, pnie drzew, niby olbrzymie kolumnady świątyń egipskich, wspierają wśród wiecznego mroku zielone sklepienie. Tajemniczą ciszę tych świątyń natury przerywa szmer sączących się niezliczonych źródeł i strumieni. Z zewnątrz widziane, lasy te przedstawiają się jako nieprzerwana ściana zieleni. Wysokość tych kolumn z wnętrza dosięga 100 stóp, ale z zewnątrz nie przedstawiają się one tak imponująco, gdyż wskutek zagłębienia rzecznych dolin nieraz tylko połowa tej wysokości sterczy nad powierzchnią okolicznego kraju; a czasem nawet cała taka „galerya“ kryje się wgłębi rzecznej doliny ¹⁾. Wynioslejsze międzyrzecza, wązkie i długie, przedstawiają stepowy charakter i obfitują w żelazo darniowe; to też u ludów, zamieszkujących ten kraj (Njam Njam, Bongo, Djur), rozwinął się znacznie przemysł kowalski, a ostrza lanc służą tu za drobną monetę. Z pośród tych stepów wyskakują tu i owdzie, niby wyspy, skały gnejsowe i granitowe o ścianach stromych i grzbietach płaskich; na nich krajowcy budują swe wsie warowne. Wiele z tych wsi pozdobywali chartumscy handlarze kością słoniową, na czele swych nubijskich band, i założyli na tych skałach, jak również nad bro-

¹⁾ Ob. Schweinfurth. „Im Herzen von Afrika“, I, str. 545.

dami rzeczniemi, w miejscach przeprawy, warowne osady, zwane seribami, służące za składy kości słoniowej i różnych zapasów. Seriby te przypominają ostrogi kozackie w epoce podboju Syberyi lub forty handlarzy futer w północnej Ameryce brytańskiej. Egipcyanie, zdobywając te seriby, zamieniają je na swe stacye wojskowe.

W dolnym biegu rzeki systematu Gasalu płyną leniwo wśród niskich brzegów, tworzą labirynt kanałów, jezior i bagien z bujną roślinnością wodną, z wodą prawie stojącą; w czasie wysokiego stanu wód przedstawiają one ogromny obszar zalewu. Pośród tych bagien i labiryntu kanałów ukrył się pasterski lud Dinków, aby uchronić swe stada przed razziami komendantów serib.

Wschodni pęczek dopływów, leżący poniżej zachodniego, składa się z trzech głównych nici: Sobatu, którego bieg górny jest niezeglowny i mało znany, Bahr el Asraku i Atbary.

Najważniejszy z nich jest Bahr el Asrak („rzeka niebieska“). Wyływa on pod nazwą Abai z górskiej krainy Abisynii, owej „afrykańskiej szwajcaryi“, owej naturalnej skalistej warowni, stanowiącej najdalej na północ wysunięty bastyon wschodnio-afrykańskiej wyżyny. Bastyon ten wyskakuje nagle skalistemi ścianami po części z błofnistej i lesistej krainy Kolla, po części ze spiekłej bezwodnej Samhary (na wschodzie). Wnętrze Abisynii przedstawia labirynt skał, piętrzących się chaotycznie „niby rozburzone prace przedwiekowych Tytanów“; skały te kształtu słupów, obelisków, piramid i t. p., o stromych ścianach i płaskich szczytach, zwane amba, dostępne nieraz tylko za pomocą drabin lub wyrąbanych schodów, stanowią każda z osobna warownię i odegrały ważną rolę w dziejach tego kraju (Magdala). To też Abisynia pozostała niepodległą, mimo zdobywczych zapędów Egiptu od faraonów do kedywów (kleśka i śmierć Munzingera Paszy), pozostała, podobnie jak Czarnogóra, chrześcijańską wyspą wśród mahometańskiego morza, którego fale roztrącały się daremnie o jej skaliste piersi.

Młodzieńczy Abai z szumem i pianą stacza się tu po skałach w głęboko wyżłobionem korycie, tworząc katarakty i wpada

do alpejskiego jeziora Tana (1800 metr. wys.), które leży w zagłębieniu wyżyny na 3,000 metr. wysokości. Po wyjściu z jeziora, Abai płynie z początku w głębokim łożysku ku południowschodowi, a następnie zatacza łuk i zwraca się pod nazwą Bahr el Asraku na północo-zachód. Płynąc wciąż w tym kierunku z początku u stóp wyżyny przez lesistą równinę Kolla, potem przez stepową równinę Sennaru, dosięga Bahr el Abiadu, i tworzy z nim kąt ostry, podobnie jak Werra z Fuldą. Ale nawet tu, na aluwialnej równinie Sennaru, rzeka zdradza swój górski charakter, płynąc bystro między wysokimi brzegami, które tylko miejscami zalewa w czasie wysokiego stanu wody. Bystry prąd Asraku zapewnia mu ważne stanowisko w systemacie nilowym i jemu to (wraz z Atbarą) zawdzięcza Egipt ów żyzny muł, wydarty Abisynii, który połączona rzeka Nil osadza w swym dolnym biegu; tym osadom zawdzięcza Egipt swe powstanie i pomyślność; Abisynia jest ojcem, a Nil matką Egiptu.

Przy spływie Bahr el Asraku z Bahr el Abiadem na wązkim półwyspie między obu rzekami leży Chartum (16^o szerok. 380 metr. wysok.), główny rynek handlowy wschodniego Sudanu; tu z obszaru Gasalu i Gebelu przywożą kość słoniową, gumę, a także pióra strusie; towary te idą dalej wdół Nilu do Nubii i Egiptu lub zbaczają od Berberu do morza Czerwonego i Arabii.

Ostatnią rzeką, zasilającą Nil, jest Atbara, zwana w górnym biegu Takassie, biorąca początek również na wyżynie Abisynii śród jej najwyższych wierzchołków. Atbara zbliża się charakterem do Asraku, tylko mniej obfituje w wodę tak, iż w porze suszy czasami rozpada się na szereg kałuż i nie dosięga Nilu. Ujście Atbary leży już poniżej Chartumu, w następnej już części Nilu.

Dolina, którą Nil przebiega od Lado do Chartumu, jak geologiczny charakter gruntu wskazuje, była jeziorem, które spłynęło, gdy rzeka wyżłobiła sobie łożysko poniżej Chartumu w piaszczewej wyżynie Nubii. Wyżyna ta, wraz z Egiptem, Saharą i Arabią, stanowi pod względem geologicznym jedną krainę („Wüstentafel“ Suessa): na sfałdowanej i wyrównanej podstawie archaicznej z granitów, gnejsów i łupków krystalicznych osadziły

się tu niezgodnie, poziomo warstwy piaskowca kredowego; zresztą, warstwy te występują głównie w Nubii (stąd „piaskowiec nubijski“), w Egipcie zaś — tylko w części południowej do Esneh; dalej zaś, na północ, jest już pokrycie trzeciorzędowe, tem młodsze, im dalej ku północy. Sama dolina rzeki i delta składają się z osadów aluwialnych, tylko w łożysku rzeki na wyżynie Nubii występują gdzie niegdzie skały podstawowe krystaliczne; tam siła wyżłabiająca natrafiła na większy opór i tam też utworzyły się wodospady, katarakty i prądy.

Wyżyna Nubii jest to skalista, bezpłodna i sucha kraina, niby „arena działalności straszliwego Neftysa i Tyfona, bóstw pustyni i chaosu“. Odnosi się to szczególnie do północnej części Nubii, owej „krajiny kamieni“ (Dar el Hadjar). Ten charakter krajiny odbił się w charakterze mieszkańców i w ich losach dziejowych. Nubia była zawsze schronieniem przed najazdem zdobywców: w czasie najścia pasterskich Hyksosów na żyzną dolinę Egiptu część Egipcyan schroniła się w „krajnie kamieni“, niby za murem skalistym. Ten labirynt skał dawał świątynie ich bogom, warowne zamki ich wodzom, bezpieczne punkta zborne wojownikom. W tej dzikiej krajnie Egipcyanie, dotąd spokojni rolnicy, nabrali energii i siły do zemszczenia się na wrogach i odzyskania ojczyzny. Bezpłodność krajiny zmuszała ich do szybkiej decyzji: dla utrzymania życia musieli oni przedsięwziąć wyprawę łupieskie na swą dawną żyzną ojczyznę; taki beduiński sposób życia przyzwyczaił ich do niebezpieczeństw wojennych i gdy dostatecznie wzrosli w liczbę, rozpoczęli wojnę o niepodległość i wyparli Hyksosów z żyznego Egiptu ¹⁾. Nubia odegrała tu taką rolę, jak skalista Asturia w dziejach półwyspu Pirenejskiego. I później jeszcze skalista Nubia stawała tamę zdobywczym zagonom Persów, Aleksandra Macedońskiego, Rzymian, Arabów i Mehemeda Alego; przed tym ostatnim skryli się tu Mamelucy i niepokoiłi czas jakiś Egipt swemi napadami. Wskutek takiego charakteru krajiny i związanego z nim przebiegu dziejowego, Nubij-

¹⁾ Ob. Robert Arnold. „Am Heiligen Nil“, str. 34.

czycy wyrobili w sobie wysokie poczucie wolności i godności osobistej w przeciwieństwie z rolniczemi Egipcyanami. U Nubijczyków nie spotykamy bynajmniej tej uniżoności, jaką odznaczają się Egipcyanie. Gdy Schweinfurth pytał się pewnego razu Nubijczyka, dlaczego tenże nie tytułuje go *sidi*, jak to czynią Egipcyanie, usłyszał odpowiedź: „sidi znaczy pan, a pan jest tylko jeden, wszechmocny Bóg“. Natomiast ubóstwo krainy wyrodiło też ujemne strony charakteru i życia narodowego, jak chciwość, łupieztwo, emigracye za zarobkiem, handel niewolnikami i t. p. Handlarze niewolników, tak zwani gellabowie, i handlarze kością stoniową na czele najemnych band Nubijczyków przedsiębrali dalekie wyprawy w obszar Bahr el Gasalu, który zyskał miano „pastwiska głodnych Nubijczyków“. Niegdyś Nubijczycy płacili niewolnikami rodzaj daniny mahometańskim władcom Egiptu, a otrzymywali wzamian brakujące im zboże.

Taką to krainę przeryna Nil poniżej Chartumu. W biegu tym tak przez wyżynę Nubii, jak i w dalszej części swego dorzecza, w dolinie Egiptu Nil wygina się łukowato, tworząc dwie litery **S**; ten łukowaty kształt biegu, właściwy wielu rzekom Afryki (Niger, Kongo, Zambezi, Limpopo), wynika z większego wzniesienia pewnych centrów wyżyny, które zmusiło wody do kołowego opływania.

Pierwsze **S** sięga na północ do Korosko i posiada łuki o silniejszym napięciu, niż drugie. Na pierwszym z dwóch łuków tworzących pierwsze **S**, Nil jest żeglowny do Berberu; wprawdzie w tej części biegu leży tak zwana 6-ta katarakta (licząc w górę rzeki), ale przedstawia ona nawet w czasie niskiego stanu wody bardzo nieznaczną przeszkodę. Wzdłuż tej katarakty ciągnie się labirynt skalistych wysepek, zwany przez żeglarzy nilowych „archipelagiem 99 wysp“; wyspy te, porośnięte akacyami cudnej zieloności, robią na podróżnym czarujące wrażenie ¹⁾. Miasto Berber leży poniżej ujścia Atbary w punkcie wyjątkowego w Nubii rozszerzenia się doliny rzecznej (umożliwiającego uprawę) ²⁾.

¹⁾ Ob. Schweinfurth. „Im Herzen von Afrika“, I, str. 51.

²⁾ Ob. R. Hartmann. „Die Nilländer“, str. 39.

oraz największego zbliżenia się nilowego łuku do morza Czerwonego, gdzie leży port Suakin. Oba te miasta zawdzięczają swe znaczenia właśnie temu zbliżeniu się dwóch komunikacyjnych elementów, oraz łączącej ich poprzecznej dolinie w grzbiecie Nubijskiej wyżyny; droga ta jest oddawna bardzo uczęszczana przez kupców i mekkańskich pielgrzymów, tymbardziej, że poniżej Berberu Nil z powodn katarakt jest niezeglowny; część ruchu Nilowego zbacza tu więc na wschód ku morzu Czerwonemu i Arabii. Z powodu znaczenia tej drogi powstał w ostatnich czasach plan połączenia Berberu z Suakinem koleją żelazną, lecz powstanie sudańskie pod wodzą Mahdiego odwlekło urzeczywistnienie tego zamiaru. Walka, jaka toczyła się na tej drodze, wykazuje też wielkie jej znaczenie: powstańcy zawładnęli, broniącym tej drogi, fortem Sinkat i tym sposobem przecięli komunikację Berberu z Suakinem.

Dalsza część łuku Berberu i część następnego (łuk Dongoli) do Wadi Halfa z powodu katarakt są niezeglowne. Rzeka ma tu charakter bystrego górskiego potoku, w wielu miejscach tak wąskiego, że można przezeń kamień przerzucić. Katarakty te stanowiły obronę zbuntowanych Mahdistów, utrudniały bowiem wysłanie w górę Nilu wojennej flotyli dla dania odsieczy Chartumowi; opanowując miejsca wąskie i katarakty, powstańcy mogli nawet nie przepuścić najmniejszej łodzi. W końcu jednak udało się Anglikom i Egipcyanom przy pomocy sterników, sprowadzonych aż z Kanady, klasycznego kraju wodospadów, przeforsować po wielu próbach i stratach te przeszkody i stłumić powstanie. Po zboczach skalistych, ścieśniających tu rzekę wije się tylko wązka ścieżka dla pieszych, a w głębi widnieją gdzie niedzie szczeliny ze zbożem i palmami, ciągnące się wązkim, przerywanym rąbkiem wzdłuż rzeki.

Katarakta pod Wadi Halfa, zwana 2-gą (licząc w górę Nilu), lub wielką kataraktą, nawet w czasie wysokiego stanu wody da się, przepłynąć tylko na maleńkich, umyślnie w tym celu budowanych łodziach. Dlatego tutaj statki, płynące w górę Nilu, przeladują towary na wielbłądy i dalej podróż wodna zamienia się na

karawanową, która idzie przez pustynię Korosko i Bajuda wzdłuż cieciew łuków nilowych do Berberu (obecnie kolej żelazna) lub Chartumu.

Poniżej katarakty Wadi Halfa leży Ebsambol, olbrzymia świątynia egipska, w skale wykuta. Ritter sądzi, że tu był niegdyś punkt centralny kultu religijnego i związanego z nim zwykle handlu; tu musiało być targowisko, w którym Egipt i Nubia wymieniały swe płody. W tej świątyni składano bogom ofiary za szczęśliwe przebycie drogi karawanowej przez pustynię. Poniżej Ebsambola leży Ibrim, gdzie była forteca na skale, broniąca wstępu do górnej Nubii, a zarazem stanowiąca punkt wyjścia dla wypraw Nubijczyków na Egipt ¹⁾. Poniżej Ibrimu pod Korosko kończy się pierwsze **S** nilowe.

Drugie **S** posiada łuki mniej wygięte; na pierwszym z nich prawie w połowie, pod miastem Assuan w starożytności Syene (prawie pod zwrotnikiem Raka — pierwszy pomiar południka), leży ostatnia katarakta nilowa, zwana 1-szą, która w czasie wysokiego stanu wody da się przebywać łatwo. Z wyższych okolic Nubii, mówi Ritter ²⁾, toruje tu sobie Nil po raz ostatni drogę, jako rzeka górską, przez skaliste wyspy i cieśniny: na przestrzeni od wyspy Philae do Elefantyny spada z szumem i pianą przez katarakty Syeny do nowej błogosławionej krainy Egiptu, przez którą płynie dalej już z majestatycznym spokojem, jako dobroczynna, zyciodawcza rzeka. Gdy karawana, która długo ciągnęła przez monotonną, skwarną i bezwodną pustynię Nubii, zbliży się do tej granicy wyższego Egiptu, to przygnębioną duszę podróznika orzeźwi najprzód daleki szum katarakt, a następnie widok zieleni palmowych gajów Syeny; człowiek uczuwa się tu jakby odrodzony, powołany do nowego, rozkosznego życia. Ponure wrażenie, którem spiekła rozpaczliwa pustynia przygniatała duszę wędrowca, znika, a natomiast otwiera się widok na ożywiony, ludny kraj egipski, przy wejściu do którego ciemne granitowe

¹⁾ Ob. C. Ritter. „Erdkunde“, I, str. 621, 622.

²⁾ Ob. tamże, str. 677.

łańcuchy gór, cieśniny skalne, pieniaące się nurty i skaliste wyspy z ich olbrzymimi pomnikami strzegą z południa krainy cudów starego świata, niby tajemnicze straże, postawione przed wiekami przez same żywioły. Według pojęć Egipcyan, tu na wyspie Philae, gdzie kończy się żyzna ziemia egipska, a zaczyna pustynia, państwo Tyfona, był grób Osirisa i tu mu kapłani składali ofiary (zwaliska świątyń); w grobie tym Osiris spoczywał przez czas suszy i niskiego stanu wód, a zmartwychpowstawał w czasie wylewu. Poniżej Philae leżą katarakty Syeny, a poniżej tych — pokryta zielenią palm i akacyi wyspa Elefantyna; na tej wyspie są też zwaliska świątyń, na jednej ze ścian widać wyobrazenie statku, któremu składano tu ofiary, jako przy końcu i początku żeglugi (analogia Elefantyny z dnieprzańską Chortycą) ¹⁾. Tutaj też był nilometr, według wskazówek którego nakładano podatki; cheiwi kapłani nie dozwolali tu zwykłym śmiertelnikom wstępu; aby móżd podawać przesadną wysokość nilometru i na tej podstawie zdzierać lud jak największe podatki.

Przy wyspie Elefantynie leży na prawym brzegu rzeki miasto Assuan (Syene); od tego miasta do wyspy Philae zbudowali Egipcyanie na prawym brzegu rzeki drogę lądową dla obejścia wodospadów; droga ta dla obrony od łupieskich napadów z gór Arabskich była zasłonięta z tej strony murem, którego ślady, widne wśród piasków, noszą nazwę Hayt el Adjour. Z powodu tych wodospadów Assuan miał niegdyś ważne znaczenie handlowe i strategiczne; tu stały zawsze załogi egipskie; za czasów Herodota, który w swych podróżach aż dotąd osiągnął, stała tu załoga perska, za czasów Strabona — kohorty rzymskie. Dopiero za Augusta Rzymianie pod wodzą Petroniusza posunęli się po katarakty Syeny i zdobyli twierdzę Ibrim; ale, jak sądzi Ritter, nie zdołali rozprzestrzenić swej władzy po za wielką kataraktę pod Wadi Halfa. Arabowie dopiero w XIII-ym wieku tam dosięgnęli, później udało się tam usadowić Mamelukom, przeciw

¹⁾ Ob. W. Nalkowski. „Rzeki Wajdajsko-Sarmackie.“ Przewodnik Naukowy, Lwów, 1877,

którym francuski generał Desaix zbudował pod Assuanem bastyon. „Kraina kamieni“ zawsze stanowiła ważną zapórę, schronienie i Mamelucy stawiali tam długo opór; dopiero po uporczywych bojach i zdobyciu twierdzy Ibrim udało się Mehemedowi Alemu zawojować Nubię. Okolice Assuanu obfitują w łomy kamieni, jako to granitu, który tworzy katarakty („syenit“), piaskowca i dalej na północ wapienia. Odłamy tutejszych kamieni spuszcza-no wdół Nilem dla wznoszenia świątyń, pałaców i pomników.

Poniżej Assuanu Nil wstępuje w szerszą dolinę Egiptu, rozciągającą się równolegle do morza Czerwonego i zachodniego pasa oaz, między dwoma wyżynowemi wałami, Arabskim na wschodzie i Libijskim na zachodzie, podobnie jak dolina wyższego Renu między Szwarzwaldem i Wogezami. „W tej krainie, rozciągającej się na sto kilkadziesiąt mil długości, a zaledwie kilka mil szerokości, łączy się blask nieba, świeżość wody, żyzność równiny, bezpłodność przyległych wyżyn, ciężka nędza dzisiejszego człowieka i kolosalne pomniki zamierzchłych wieków, — jednym słowem, wszystkie kontrasty, aby napełnić duszę postrzegacza niemym podziwem lub wprawić go w głęboką zadumę“ (Robert Arnold).

Z dwóch, ściskających dolinę, wałów, wyższy Arabski spada ku niej stromo, nieraz nawet bezpośrednio do rzeki; wał Libijski leży nieco dalej od Nilu, pozostawia szerszą dolinę i spływa ku niej łagodniej. Oba te wały wapienne, szczególnie Libijski, mają dziki, chaotyczny, pustyнный charakter. Pośród rumowiska i piasku sterczą tu miejscami nagie skały wapienne z powierzchnią gładką, wyszlifowaną przez lotny piasek i odbijającą silnie palące promienie słońca. Okolica ta robi wrażenie południowo-europejskiego Karstu, tylko wszystko jest tu bardziej puste, bezpłodne i martwe. Gdy podróżny stanie na wyniosłości i powiedzie wzrokiem dokoła, to duszę jego przejmują przygnębiające uczucie pustki i osamotnienia ¹⁾. Dzięki jednak tym nagim wa-

¹⁾ Ob. J. Chavanne. „Afrika im Lichte unserer Tage“, 1881, str: 42.

łom skalistym, ściskającym, „niby mury więzienia“, zieloną nąpływową dolinę Nilu, miała ona materiał budowlany tym cenniejszy, iż wskutek bezleśności krainy mieszkańcy nie mogli używać do budowy ani drzewa, ani cegły palonej. Te wały stanowiły prócz tego naturalne graniczne warownie Egiptu; dlatego to państwo egipskie tak długie wieki przetrwało, ale dlatego też, gdy nadeszła chwila stanowcza zmierzenia się z wrogiem, Egipcjanie wykazali tak mało siły odpornej. Albowiem ta wyspowość niejako Egiptu, otoczonego części morzem, po części skalistą pustynią, miała ochronne, ale zarazem i zgubne znaczenie; ochronne, bo do czasu utrudniała dostęp obcym zdobywcom; zgubne, bo gdy raz szranki zostały przerwane, to wrogowie zastali Egipcjan niezahartowanych w zewnętrznej walce o byt, jak wogóle wyspiarzy, i to tymbardziej, że żyzność ziemi wyrodziła zniewieściałość i despotyzm. Egipcjanie, podobnie jak Indusi, nie umieli nigdy mężnie stawić czoła wrogowi i w nowszych czasach ten sam brak hartu uwidocznił się w powstaniu Arabiego baszy, oraz w walkach Fellachów przeciw powstańcom nubijskim. Wprawdzie udało się starożytnym Egipcjanom wyprzeć Hyksosów, ale to dopiero wtedy, gdy pod wpływem surowej nubijskiej przyrody charakter Egipcjan uległ zmianie, zahartował się.

Na początku tego biegu Nilu, zaraz poniżej Assuanu, skały jeszcze parę razy obustronnie przystępują do samej rzeki, to znów oddalają się naprzemian i tym sposobem tworzą się kotliny nadrzeczne, połączone z morzem Czerwonem poprzecznymi dolinami w górach Arabskich; dlatego tu powstały osady ludzkie. Przed pierwszym zwężeniem doliny, pod Selseleh, jedna z gór, zbliżających się do rzeki, nosi miano „góry burz“, albowiem po nad nią przy najpogodniejszym niebie i silnym upale zbierają się nagle chmury gromowe, z których padają gromy i błyskawice do rzeki, a wicher rzuca i roztrzaskuje barki o nagie piaskowcowe skały wybrzeża. Tu mieszkają nieliczni ludzie jaskiniowi, którym wśród pustyni tylko te burze przynoszą przypadkowe dary, jako „Strandgut“. Poniżej tej góry leży cieśnina Selseleh z łomami piaskowca, a jeszcze poniżej, gdzie góry się oddalają, w ko-

linie, leży Edfu i dalej Esneh, od których prowadzą doliny do morza Czerwonego; od pierwszego — do starożytnego portu Beringe, od drugiego — do Kosseir. Dalej następuje drugie zwężenie, Gebeleyn, gdzie skały tak z obu stron zbliżają się do rzeki, że nie ma nawet ścieżki na wybrzeżu, lecz trzeba skręcać daleko drogą lądową, by się dostać do trzeciej, największej kotliny, tebańskiej. Nil tworzy tutaj łuk ku wschodowi, zbliżający go do morza Czerwonego, do którego (Kosseir) prowadzi dolina; na łuku tym leżą zwaliska Teb, a nieco poniżej miasto Keneh. „Ta kotlina tebańska przedstawia miejscowość, jakby przeznaczoną od natury na wielkie ognisko ludności. Tutaj zbiegają się handlowe drogi Azji i Afryki. Tutaj mają swe ujście najprostsze drogi z Sudanu i zachodniego pasa oaz, z Abisynii i Nubii. Stąd biegną wadi (wyschłe łożyska potoków) do morza Czerwonego. Tutaj też leżało „miasto Amona“ Biblii, albo „stubramne“ Teby Egipcyan. Dziś jeszcze widne tu rozrzucone zwaliska tego miasta, którego sława za czasów Homera aż do odległej Grecji sięgała. Tu za panowania wielkiego Ramzesa Miamuna spływały bogactwa całego znanego naówczas świata, spotykali się czarni kupcy Sudanu i poławiacze pereł z Indyjskiego oceanu. Świątynie i pałace, budowane i upiększane przez cały szereg faraonów, wespółbiegały się ze sobą we wspaniałości i blasku; orzeźwiająjące gaje palm i mimozy okalały je wraz z rozrzuconymi wdzięcznie kłębami kwiatów; czyste i surowe linie tych wspaniałych budowli odbijały się w modrych falach marmurowych lub porfirowych rezerwoarów, a promienie wiecznie pogodnego słońca igrały z żywymi barwami płaskorzeźb na granitowych pylonach, czerwonych obeliskach, na głowach olbrzymich sfinksów i kolumnów. Żaden język dzisiejszy nie jest w stanie wyrazić wspaniałości tego miasta, żaden pędził go odtworzyć; nawet w myśli, po zbadaniu jego szczątków, pozostaje zaledwie słaby obraz jego minionej wielkości“ (Robert Arnold). Obecnie wśród ruin rozciągających się po obu stronach Nilu leżą tu cztery nędzne wioski, a po lewej stronie wznoszą się dwa kolosy Amenhotepa III, z których jeden zwany „kolosem Memnona“ wydaje dźwięki o wschodzie

słońca, gdyż cząsteczki jego ogrzane nagle po silnem oziębieniu nocnem (kontynentalny klimat) pękają.

Poniżej tebańskiego łuku Nilu, pod Assiut, góry oddalają się od rzeki, dolina stale się rozszerza i tu po Egipcie górnym zaczyna się Egipt średni. Dolina ta, to dawna morska zatoka, równoległa do morza Czerwonego, zapełniona żyznym mułem rzeczynym z Abisynii. Rzece zawdzięcza ona swe powstanie, jest „darem rzeki“ (Αἴγυπτος δῶρον τοῦ ποταμοῦ). Ten pas żyznej, ciemnej ziemi stanowi wybitny kontrast z otaczającą jasną, piaszczystą lub wapienną, pustynią; stąd egipska nazwa kraju, „Kemi“, co znaczy czarny.

Ilość wody w Nilu znacznie się tu zmniejsza, gdyż mieszkańcy używają jej na irygacyjne kanały, które leżą głównie po zachodniej (libijskiej) stronie rzeki, albowiem po wschodniej wyżyna Arabska zbyt blisko przystępuje do Nilu. Pola uprawne leżą między rzeką i kanałem, ciągnącym się u podnóża wyżyny Libijskiej; kanał ten, zwany kanałem Józefa, jest pozostałością staro-egipskich budowli wodnych; boczną swą odnogą, idącą przez szczelinę skalną w górach Libijskich, zasila on oazę Fajum, różnany ogród Egiptu, i kończy się u lewego ramienia Nilu, Rozetty.

Ostatnią fazę swego biegu, deltę, tworzy Nil pod 30° szer. poniżej Kairu. Tutaj skaliste wały, ścieśniające dotąd dolinę rzeki, znikają, a przez to otwierają się drogi z zamkniętej doliny: na zachód — do oazy Siuah (Jowisza Amona), ogrodu drzew daktylowych, oliwnych i figowych, wśród piaszczystej pustyni („szmaragd w złotej oprawie“); na wschód — na przesmyk Sueski i do morza Czerwonego. To są dwie bramy Egiptu, strzeżone w starożytności przez dwie twierdze: Marea na zachodzie, przeciw nomadom Libijskim i Pelusium na wschodzie, przeciw nomadom Semickim z Azyi (trzeciej bramy Egiptu broniło Syene przeciw Nubijczykom). Droga na wschód przez przesmyk Sueski, ścieśniony dwoma morzami, broniona po części przez linię jezior Gorzkich, była prócz tego, jak to się zwykle zdarza na przesmy-

kach, zamknięta murem obronnym, zbudowanym przez Ramzesa Miamuna. Ten „mur egipski“ składał się z licznych warowni, połączonych wysokimi szanćami, i biegł od Pelusium nad morzem Środiemnem, wzdłuż jezior Gorzkich, do dzisiejszego Suezu nad morzem Czerwonem. Tu Egipcyanie powstrzymywali najścia Azyatów, tu rozstrzygały się losy Egiptu (zwycięstwo Kambizesa nad Psamenitem pod Pelusium). Obecnie cytadela, broniąca z tej strony doliny nilowej, wznosi się na ostatniej odrośli Arabskiego łańcucha, stromym i białym Mokattamie; u stóp tej cytadeli rozciąga się dzisiejszy Kair, Masr el Kahira, to jest „zwycięzka“, tak zwą Arabowie „królowę doliny nilowej“, stolicę egipskiego państwa: „Różnobarwne życie kipi na ulicach tego miasta: obok ruchliwego Europejczyka, stąpa zamyślony Turek, dumny Arab, przygnębiony Fellach, ubogi handlarz wody, w skórzanych worach roznoszonej i nędzny murzyński niewolnik; wszelkie kontrasty dzisiejszego wschodu i zachodu są tu reprezentowane“. Ze szczytu cytadeli rozciąga się wspaniały widok, ustępujący chyba tylko nieźrównanej panoramie Bosforu: z morza domów wznosi się las smukłych minaretów, rysujących się na żółtawem tle przeciwległych gór pustyni, a nad tem rozpościera się niezmacony lazur pogodnego nieba. Niżej za miastem, zielona smuga pól zraszanych Nilem. Po za tem w dali na występie Libijskiej wyżyny rysują się ciemne trójkątne sylwetki piramid; rankiem owiane mgłą błękitnej dali; w południe ostro odcięte, wyraźne, zbliżone; wieczorem płonące łuną zachodu, rzucające przedłużone gigantyczne cienie na zwaliska Memfisu, starożytnej stolicy faraonów.

Poniżej Kairu Nil, uwolniony od ścieśniających go wyżyn, dzieli się na odnogi i tworzy obszerną deltę; z dwóch głównych odnóg zachodnia uchodzi do morza pod Rozetą, wschodnia — pod Damietą (klucz Egiptu w czasie wojen krzyżowych). Gęsta sieć odnóg bocznych i sztucznych kanałów łączy te dwie główne odnogi, oraz rozprzestrzenia się na zewnątrz ich, tworząc żyzną i gęsto zaludnioną krainę delty, poprzerzynaną groblami, po których snują się ciemne postacie Fellachów, a niekiedy przeciągają

sznury wielbłądów; wzdłuż północnego rąbka delty ciągną się, obfite w ryby, nadbrzeżno jeziora (Mariutt, Burlos, Manzaleh), dziedzina niezliczonego ptactwa wodnego (pelikanów, flamingów i t. d.). Jeziora te oddzielone są od morza wązkami, piaszczystymi smugami, które dla żeglarza, zawijającego z północy do wybrzeży Egiptu, stanowią zaledwie dostrzegalną granicę między ciemną zielenią fal morskich i błękitem nieba. Jeziora te powstały wskutek wdarcia się morza na niskie wybrzeże, albowiem budownicza praca Nilu walczy tu z elementem burzącym: z powolnem obniżaniem się wybrzeża ¹⁾. Na pasie piaszczystym, oddzielającym od morza jezioro Mariut (Mareotis), leżała starożytna Aleksandrya, zbudowana dlatego na zachód od ujściowych ramion Nilu, że prąd morski unosi muł rzeczny ku wschodowi i zanurła tam porty. Handlowe znaczenie Aleksandryi polegało na zbliżeniu się Nilu do morza Czerwonego w okolicach delty. Zbliżenie to i potrzeba komunikacyi z Arabią wywołała oddawna myśl połączenia tu Nilu z morzem Czerwonym za pomocą kanału; dzieła tego dokonał pierwszy Ramzes Miamun. Kanał ten szedł od Bubastos (dziś Zagazik) nad Nilem do Arsinoe (dziś Suez). Następcy Miamuna kilka razy odnawiali ten kanał. Jeden z kalifów zaś kazał go zniszczyć w celach wojennych. W naszych czasach myśl kanału podjęto nanowo, lecz, jak wiadomo, połączono bezpośrednio morze Śródziemne z Czerwonym. Kanał ten idzie od Port Said (dawne Pelusium) przez wschodnią, osu-

¹⁾ W najnowszych czasach uczony węgierski, Janko, wyraził w tej kwestyi pogląd przeciwny: zaprzecza on obniżaniu się wybrzeża, wogóle zalewowi morskiemu, wkroczeniu morza na dawną deltę, świeżemu powstaniu jezior nadbrzeżnych. Na mierzei, oddzielającej jezioro Burlos od morza, znalazł Janko morskie osady (wapienne) i stąd wnosi, że dzisiejsze wybrzeże morza nie stanowi rąbka delty, lecz jest starym szeregiem wysepek, które się zrosły i zamknęły zatokę, wypełnioną obecnie osadami Nilu, ale jeszcze nie zupełnie: prawdziwy brzeg północny delty leży na południe jezior nadbrzeżnych. Jeziora te więc nie powstały przez zalew morski, lecz są pozostałością dawnej zatoki, nad której wypełnieniem rzeka dotąd pracuje (Petermann's, „Mitteilungen“, 1892).

szoną część jeziora Manzaleh i przez jeziora Gorzkie do Suezu (ukończ. 1869 r.). Kanał ten można uważać za ujście Nilu do morza Czerwonego; prócz tego miejscowego, ma on też uniwersalniejsze znaczenie: skrócił on drogę z Europy do Indyi, która dawniej prowadziła około przylądka Dobrej Nadziei, a przez to podniósł znaczenie morza Śródziemnego, które od epoki wielkich odkryć bardzo opustoszało. Dzisiejsza Aleksandrya leży na grobli, łączącej dawne miasto z nadbrzeżną wyspą Pharos i łączy się z Kairem kanałem Mahmudieh, oraz koleją żelazną, która dalej idzie do Suezu, a wzdłuż Nilu do Assuanu. Kraina delty w dziejach Egiptu ma w części znaczenie podobne, jak Nubia; jakkolwiek bowiem krainy te pod względem ukształtowania powierzchni przedstawiają antypodyczną sprzeczność, to jednak mają jedną cechę wspólną — niedostępność; jedna z powodu górzystości, druga — błotnistości i labiryntu kanałów. To też delta była często schronieniem żywiołów niezadowolonych, siedliskiem rozbójnictwa, punktem wyjścia powstań. Prócz tego morze, oblewające ją z północy, stanowiło drogę do Egiptu dla ludów południa Europy. Tu, jak wiadomo, Psametyk zawiązał stosunki z korsarzami greckimi i przy ich pomocy odzyskał panowanie. Tędy dostawali się do Egiptu Rzymianie, Bizantyni, wreszcie Francuzi z Bonapartym.

Tajemnicze dla starożytnych, peryodyczne wylewy Nilu, użyzniające mułem dolinę Egiptu, tłómaczą się, jak wiadomo, peryodycznością deszczów zwrotnikowych. Na nilometrze wyspy Rhoda pod Kairem obserwują przybór rzeki w początku lipca; przybór ten trwa do początku października; przez połowę tego miesiąca rzeka zachowuje dość stałą maksymalną wysokość, następnie zaczyna opadać; w drugiej połowie czerwca dosięga najniższego stanu. Jeżeli maximum wezbrania Nilu Białego i Niebieskiego przypadną równocześnie, to nilometr wyspy Rhoda wskazuje należytą wysokość $7\frac{1}{2}$ — 8 metr. i rolnik egipski cieszy się nadzieją obfitego zniwa. Jeżeli maximum Nilu Niebieskiego nastąpi wcześniej bez współdziałania powolniejszych fal Nilu Białego, to wezbranie będzie podzielone, nie dosięgnie wy-

maganej wysokości i zniwa wypadną niepomysłnie. Jeżeli narzecie odwrotnie: powolniejsze fale Nilu Białego wprzód dosięgną maximum, to na nie należy się szybsza fala Nilu Niebieskiego i Egipt ucierpi od nadmiernego wylewu.

W czasie wylewu rzeki delta i cała dolina Egiptu są zalane; nie trzeba jednak sądzić, że zalew ten odbywa się zupełnie swobodnie i że cały kraj zalewany bywa bezpośrednio: człowiek opanował tu żywioł wody i z niszczącego zamienił go na pożyteczny, a to za pośrednictwem licznych tam i kanałów, które rozprowadzają i utrzymują wodę, gdzie potrzeba. Cała zdatna pod uprawę ziemia, mówi Schweinfurth, podzielona jest przez groble na ogromne baseny; w baseny te wprowadza się kanałami użyźniająca woda i utrzymuje się tak długo na pewnej wysokości, aż grunt dostatecznie się napoi, a woda osadzi potrzebną ilość mułu. Na wyżej leżące pola podnosi się woda środkami sztucznymi; są one dwojakiego gatunku. Jedne podnoszą wodę za pomocą kół z kubłami, poruszanych przez woły; drugie za pomocą koszów, zawieszonych między dwiema linami i wprawionych przez człowieka w ruch wahadłowy: kosz taki, wahając się, w najniższym punkcie swej drogi zaczerpuje wodę, a w najwyższym wylewa ją na pole. W nowszych czasach wprowadzono prócz tego pompy parowe.

Tymczasem woda w rzece opada, co daje możność spuszczenia wody z basenów do rzeki i przygotowania roli do uprawy. Głównymi produktami są: pszenica i bawełna. Podczas tych wylewów wiele wiosek Fellachów łączy się ze sobą jedynie groblami, wiele musi komunikować się ze sobą tylko za pomocą łodzi; cały kraj tworzy wtedy nadzwyczaj malowniczy i charakterystyczny widok. Jak Holendrzy wydzierają grunt do uprawy morzu, tak Egipcjanie wydzierają go pustyni przez rozprowadzenie kanałami wody nilowej; ale przez szczeliny w wałach, otaczających dolinę nilową, wichur nawiewa często piasek. „ów ruchomy element zniszczenia“ i pustynia znów opanowuje dawną zdobycz Nilu i człowieka. Jest to walka złego Tyfona z dobrym Ozirisem, podstawa egipskiej mitologii.

Ta walka człowieka z pustynią, przy pomocy Nilu stała się podstawą nie tylko religii, ale w ogóle całej kultury Egiptu. „Przy dobrym rządzie, wyrzekł charakterystycznie Napoleon, Nil dosięga pustyni, przy złym pustynia Nilu.“ Drugim warunkiem rozwoju egipskiej kultury jest bezdeszczowość, która wobec użyzniających wylewów Nilu była błogosławieństwem. Dzięki tym dwom warunkom, człowiek w Egipcie nie był narażony na zgubne, tak pod względem materialnym, jak i moralnym, dla rolnika zmiany meteorologiczne; plony rolnika nie mogły tam być zniszczone nieprzewidzianą posuchą lub niepogodą; obfitość ich zależała jedynie od wysokości nilowego wezbrania, którą można było wymierzyć i tym sposobem wiedzieć naprzód, jak obfite będą żniwa i do tego zastosować się ¹⁾. Wobec takich warunków musiało w Egipcie zakwitnąć rolnictwo, najsilniejsza dźwignia cywilizacji; sam faraon przy koronacji musiał skosić snop zboża, rosnącego na polach świątyni, a symbol rolnictwa, wół, odbierał cześć boską (Apis). Zależność zbiorów od wysokości wylewu naprowadziła na myśl budowania tam, kanałów i wodozbiorów (jeziro Meri), aby w czasie wysokiego wylewu można było nagromadzić zapas wody na rok mniej korzystny. Niszczenie granic poszczególnych pól przez wylewy, wymagało corocznie nowych pomiarów i wytykania granic; stąd rozwinęła się nauka geometrii. Domy trzeba było budować na silnych, kamiennych podstawach, by ich woda nie uniosła; stąd rozwinęła się sztuka inżynierska i budownictwo, którego pomniki są tak trwałe, że dotąd się dochowały, że „czas ich się lęka“ (do czego przyczyniła się zresztą także suchość klimatu). Współczesność między wylewami Nilu i ukazywaniem się pewnych gwiazd na niebie, wywołała najprzód cześć dla ciał

¹⁾ Już Herodot (ks. II) zwrócił uwagę na znaczenie bezdeszczowości Egiptu dla rolnictwa: „Dowiedziawszy się bowiem (Egipcjanie), iż cała kraina Greków deszczami skrapiana bywa, a nie rzekami, jak ich własna, mówili, iż Grecy raz oszukani w wielkiej nadziei, nędznie głodem mrzeć będą. To zaś wyrażenie się oznacza, że jeżeli kiedy nie zechce Bóg spuszczać im deszczu i posuchą ich uciesnie, głodem wygubieni zostaną. Grecy bowiem nie mają innego sposobu dostania wody, jak od Zeusa.“

niebieskich (obok czci dla Nilu, wody i jej przedstawiciela—krokodyła, którego egzystencya związana jest z wodą), a następnie dała popęd do rozwoju astronomii (pierwszy pomiar południka). Szkodliwy wpływ, jaki przy gorącym klimacie wylewy mogły wywierać na zdrowie, dał popęd do rozwoju higieny i medycyny; liczne przepisy sanitarne Egipcyan odbiły się też w prawach Mojżesza. Balsamowanie też było w związku z wylewami Nilu: bano się, by trupy, uniesione wodą, nie zarażały powietrza, palić zaś trupów nie można było z przyczyny braku drzewa.

Z drugiej strony, owe wielkie hydrauliczne roboty, których wymagały wylewy Nilu, mogły być dokonywane tylko zbiorowo, z ofiarą interesów jednostki dla interesów ogółu: „tutaj przedstawiały się, mówi Reclus, dwie alternatywy dla mieszkańców: zostać stowarzyszonymi, równymi wobec prawa, lub też niewolnikami władcy, swego czy obcego“. Z tych alternatyw urzeczywistniła się druga; stąd to, za współudziałem też żyzności gruntu, wytworzył się despotyzm i kastowość. Całe życie Egipcyan koncentrowało się w faraonie; był on dla nich synem bogów, posiadającym boską siłę i wszechmoc; bogiem w ludzkim ciele: „mówisz do wody wytryśnij ze skały, a natychmiast na twoje słowa wypływa ocean“, przemawiano do Ramzesa, który też przed swemi własnymi posagami składał ofiary, jak przed bóstwem. Ilustrację tego despotyzmu widzimy do dziś dnia w pozostałych olbrzymich piramidach, budowanych ciężką pracą ludu, dla fantazyi władców, dla dogodzenia ich pysze. Sam nawet ten despotyzm przetrwał dotąd: widzimy go w nędzy Fellacha, którego jednym z czterech żywiołów (palma, Nil, słońce, bat) jest bat; który musi płacić wysokie podatki od wszystkiego, nawet od gnoju, jako materiału opałowego; zamiast dawnych piramid, buduje on obecnie, wprawdzie bardziej potrzebne kanały, ale warunki jego pracy nie polepszyły się wcale; tak np. podczas budowy kanału Mahmudieh wzdłuż błotnistej, niezdrowej delty, zmarło 20,000 ludzi na 100,000 pracujących. Napoleon tak mówi o tej sile, której z natury rzeczy rząd w Egipcie nabyć musiał nad poddanymi: „W żadnym kraju rząd nie ma takiego wpływu

na pomyślność ogółu. Gdy rząd jest dobry, to kanały są dobrze wykopane i utrzymane, porządek w nawodnieniu jest dobrze przeprowadzony i wylew jest rozciąglejszy. Gdy, przeciwnie, rząd jest zły, błędny lub słaby, wówczas kanały napętnia szlam, tamy są źle utrzymane, porządek w nawodnieniu zaniedbany, zasady systemu nawodnienia zwichnięte przez wewnętrzne niezgody i indywidualne interesa oddzielnych osobistości lub obwodów. Rząd francuski nie ma żadnego wpływu na deszcz lub śnieg, lecz w Egipcie rząd ma bezpośredni wpływ na rozciągłość wylewu, który tam zastępuje miejsce deszczu.“

Przebyliśmy Nil w całej jego rozciągłości, od źródeł do ujścia, badając charakterystyczne cechy tej rzeki, oraz skrapianych przez nią krain; w czasie tej badawczej wędrówki przekonaliśmy się, że w żadnym może innym kraju geograf nie byłby w stanie wykryć ściślejzego, bardziej matematycznego, związku między warunkami geograficznymi i dziejowym rozwojem mieszkańców. Na zakończenie spójrzmy raz jeszcze po za siebie na całość tego, tak ważnego w dziejach, nilowego systemu.

Nil jest jedną z największych rzek na ziemi (800 mil), ustępująca, co do długości, tylko olbrzymowi Nowego Świata — Missuri-Missisipi. Kierunek Nilu nie wiele zbacza od linii prostej (550 mil), to też i dorzecze (trzecia część Europy) ciągnie się wąską i długą smugą, wyjąwszy między 5° i 15° szer., gdzie rozszerza się znacznie. Tę linię prostą reprezentuje mniej więcej 30° południk od Paryża, przecina on jezioro Ukerewe, a o 30° przeszło dalej na północ jedno z ujść delty. Nil przecina ten południk swemi zwojami z ośm razy, nie oddalając się odeń nawet w największem odchyleniu więcej niż na 24 mil; tym sposobem rzeka obwija się około 30° południka, jak wąż około laski. Dzięki takiemu kształtowi biegu i znakomitej długości, Nil sięga daleko we wnętrze lądu i za pośrednictwem Bahr el Gasalu zbliża się do centralno-afrykańskiej rzeki Kongo (Uelle); jest on jakby mostem rzuconym wpoprzek pustyni, po którym przeszedł w głąb Afryki mahometanizm, a z czasem przejdzie zapewne wyższa europejska cywilizacya. Według Schweinfurtha, Nil jest

najdogodniejszą drogą do serca Afryki ¹⁾), jakkolwiek twierdzenie to należałoby odnieść do czasu przyszłego, gdy sztuka usunie liczne przerwy, sprawione w tej długiej wodnej linii przez wodospady i od czasu do czasu przez tamy roślinne. Drugą charakterystyczną cechą Nilu, odróżniającą go od wszystkich rzek na ziemi, jest to, że w ostatniej trzeciej części swego biegu nie przyjmuje ani jednego stałego dopływu; płynie on tu samotnie między dwiema skalistymi pustyniami, których pałaca powierzchnia chciwie pochłania ulatniającą się z rzeki wilgoć, a podróżnika mami tylko złudnym mirażem fal wodnych („woda dyabelska“). Tę siłę osiągnięcia morza, bez pomocy dopływów, wśród bezdeszczowej krainy, Nil zawdzięcza Abiadowi: rzeka ta, wypływając z obfitej w deszcze jeziornej, równikowej okolicy, ma zawsze obfitość wód; ona jest „karmicielką“ nilowego systemu, ona ma, pod względem hydrograficznym, pierwszeństwo, podczas gdy Asrakowi zawdzięcza Nil swój żyzny muł, swe dziejowe znaczenie.

Wielka dziejowa przeszłość Nilu, wiekowa jego tajemniczość, przyszłość, jaką wyróżzyć mu można, kontrast, jaki przedstawia z okoliczną pustynią, oto przyczyny, dla których rzeka ta była, jest i będzie upragnionym przedmiotem myśli i dążeń wielu: młodzieńcy i pocii marzą o niej, uczeni udają się tam dla badań, wędrowiec w pustyni pragnie jej jak raj, a wrażenie, jakie ona sprawia, pozostawia niezatarte ślady we wspomnieniach, oraz pragnienie powtórnego jej ujrzania. Własność tę Nil bezwątpienia dzieli z wielu pięknymi i bogatymi w dziejowe wspomnienia krainami i rzekami. Klunzinger, który wynajduje wiele analogii między Nilem i Renem ²⁾ przytacza też, między innymi, i ten ostatni взгляд. O Renie śpiewa powien poeta niemiecki:

¹⁾ „La vraie porte par laquelle la civilisation doit entrer dans l'Afrique“ (l'Exploration. 1883, XVI, 102).

²⁾ Ob. „Nil und Rhein als geographische Homologien“ v. Klunzinger. Die Natur. 1881, Nr. 3.

Nad Ren, nad Ren, ach nie idź nad Ren
Mój synu, ja radzę ci dobrze,
Tam życie twe nowe zbyt słodko popłynie,
Tam dusza twa zbyt bujnie rozkwitnie.

A w końcu:

I teraz wciąż śpiewasz: nad Renem, nad Renem
I już nie wrócisz do swoich.

Egipcyanin zaś powiada o swym ukochanym Nilu: „kto raz napije się wody nilowej, tego trapić będzie potem nieugaszone pragnienie, nie zazna spokoju, musi pić powtórnie“.

ABISYNIA

i jej mieszkańcy ¹⁾.

(1889).

Gdy żeglarz, płynący po falach morza Czerwonego w bliskości wybrzeża spiekłej Samhary, skieruje wzrok ku zachodniej stronie horyzontu, to oczom jego przedstawi się olbrzymia ściana skalista, która niby *fata morgana*, zdaje się wyrastać z równiny nadbrzeżnej, owiana lekką zasłoną błękitnej dali, i nęci znużonego i spragnionego podróżnika obietnicą ożywczego chłodu, orzeźwiającej zieleni i szumu kryształowych potoków. Jest to stroma, uwieńczona licznymi szczytami, wschodnia krawędź Abisynii, która tworzy niby olbrzymi bastyon wschodnio-afrykańskiej wyżyny.

Kraina ta w obszerniejszem znaczeniu ciągnie się od 5° do 15° szer. płn. wrzynając się ostrzem prostokątnego trójkąta między

¹⁾ Podstawę do niniejszego geograficznego szkicu Abisynii dały nam następujące dzieła: R. Hartmann: „Abyssinien und die übrigen Gebiete der Ostküste Afrikas“, 1883; Petermann's Mitteilungen, 1869: „Die geographischen Ergebnisse des englischen Feldzuges in Abessinien“; Revue des deux Mondes, 1884: „L'Abyssinie et son négus“; E. Reclus: „Geographie Universelle“, t. X; J. Chavanne: „Afrika im Lichte unserer Tage“, 1881 i t. d.

wybrzeże morza Czerwonego i dorzecze Nilu (do którego przeważnie należy). W ściślejszem jednak znaczeniu Abisynią nazywa się zwykle tylko północna część tego obszaru (krainy: Tigre na północy, Amhara we środku i Szoa na południu) do wysokiego działu wodnego między systematem Nilu (Abai) i oceanu Indyjskiego. Część, ciągnąca się na południe od tego działu (krainy, Kaffa i Enarea), stanowi już przejście do wyżyny wschodniorównikowej, od której dolina rzeki Juba, płynącej do oceanu Indyjskiego, stanowi niezbyt wybitną granicę.

Abisynia jest wyżyną, której najwyższe szczyty (Ras Daszan, Abba Jared) sięgają prawie wysokości Mont Blancu, a której środkowe zagłębienie zajmuje jezioro Tsana (1,800 m.). Wyżyna ta spada na wschód znaną już nam stromą, na 3000 metr. wysoką, ścianą ku zbudowanemu przez korale, niskiemu, pustynnemu wybrzeżu Samhary, w której piaskach giną, spływające z wyżyny, potoki; wybrzeże to ku południowi coraz bardziej się rozszerza, w miarę, jak krawędź wyżyny, biegnąca w kierunku południkowym, oddala się od, ukośnie biegnącego, wybrzeża morza. Tylko nieliczne schodowate przejścia prowadzą przez tę „ścianę“ z wyżyny na wybrzeże. Na zachód wyżyna pochyla się zwolna za rzekami systematu Nilu (Abai z jeziorem Tsana; Takassie) ku stepowym równinom Sennaaru.

Płynące wody pokrajały tę wyżynę, tę naturalną skalistą fortecę, głębokimi dolinami, których materiał uniosły dla zbudowania żyznego Egiptu. Wskutek tego, jednolita pierwotnie, wyżyna zmieniła się na labirynt skał, forteca rozpadła się na oddzielne forty, piętrzące się tarasowato jeden nad drugim, w dzikim bezładzie, „niby rozburzone prace przedwiekowych Tytanów“. Abisyńczycy powiadają, że „Bóg, wyprowadzając ziemię z chaosu, zapomniał o Abisynii“. Skały te, kształtu piramid, graniastostupów, walców, stożków, wyglądają to jak wieże kościołów, to jak piszczałki organów, to jak olbrzymie katedry gotyckie. Na płaskich zwykle szczytach tych skał, zwanych amba, wznoszą się często osady, klasztory i warownie (Debra Tabor, Magdała i t. d.), do których dostać się można nieraz

tylko przy pomocy sznura, drabiny lub wyrąbanych schodów skalistych. Wogóle Abisynia jest jedną z najnieodostępniejszych krain na ziemi; nie dziw też, że pozostała ona niepodległą, mimo zdobywczych zapędów Egiptu od faraonów do kedywów: że pozostała, podobnie jak Czarnogóra, chrześcijańską wyspą wśród mahometanckiego morza, którego fale roztrącały się daremnie o jej strome skaliste wybrzeża.

Dziko malownicza górska przyroda Abisynii zjednała jej miano „afrykańskiej Szwajcaryi“, jakkolwiek szczyty jej podczas lata nie błyszczą w promieniach słońca srebrną oponą wiecznych śniegów, a do ich stóp nie spływają „błękitną piersią“ lodowce - delfiny. Abisynia posiada jednak malownicze górskie jeziora, zapewne wypełnione wodą kraterzy wygasłych wulkanów.

Fundament wyżyny tworzą granity, gnejsy i łupki krystaliczne; na nim spoczywa żelazisty piaskowiec, przez który przebieły się w epoce trzeciorzędowej skały wybuchowe (źródła gorące), szczególnie bazalt, tworzący, podobnie jak w Dekanie, rozległe pokrywy i dzielący się na prawidłowe słupy. Zapadnięcie wzdłuż wschodniej krawędzi wyżyny posiada wulkany świeższej daty, które były czynne jeszcze w bieżącym stuleciu. W związku z wulkanizmem, mianowicie ze źródłami gorącymi, są, jak się zdaje, często w Abisynii napotymane drzewa skamieniałe: prawdopodobnie pod działaniem gorącej wody drzewa te obumarły, a następnie, roztworzony w wodzie, kwas krzemowy przeniknął na podstawie włóskowatości przez włókna drzewne aż do wierzchołków.

Abisynia nie jest zupełnie pozbawiona skarbów mineralnych, szczególnie obficie znajduje się żelazo, służące do wyrobu broni, oraz siarka (w kraterach wulkanów), której używają do wyrobu prochu. Samhara obfituje w sól, szczególnie obficie osadza się ona w jeziorze Assal, leżącym w pobliżu zatoki Tedzura, poniżej poziomu morza: wskutek silnego parowania na powierzchni tego jeziora tworzy się skorupa solna na dwa cale gruba. Na wyżynie znajduje się sól kamienna.

Klimat Abisynii, jako krainy bardzo urozmaiconej pod względem plastyki terenu, jest też bardzo urozmaicony. Na nizkiem wybrzeżu Samhary jest gorący, zapewne najgorętszy na ziemi: do portu Massaua możnaby z całą słusznością zastosować formę wyrażenia, używaną w różnych krajach Wschodu: „Al-lahu, mając Massauą, po co stwarzałeś piekło?"; średnia temperatura roku sięga tam $+35^{\circ}$ C. (u nas tylko $7\frac{1}{2}^{\circ}$ C.), nie dziw też, że nawet, dość wytrwali na gorąco, Włosi z utęsknieniem spoglądają z Massauy na chłodniejsze wyżyny Abisynii.

W samych górach, stosownie do różnych kondygnacji kraju, spotykamy różny klimat i związane z nim życie roślinne i zwierzęce: ponad gorącą, lesistą krainą bawełny (a zarazem febrj), rozestaną u stóp wyżyny i w głębokich dolinach (Kuolla), wznoszą się piętrami krainy umiarkowane (woino dega), gdzie na niższych piętrach rozsiały się najczęściej rolnicze osady ludzkie, tonące w zieleni ogrodów; gdzie rosną olbrzymie sykomory, banany, drzewa cytrynowe, oliwne i t. d.; na wyższych piętrach rozścielają się zielone kobierce łąk alpejskich, tełnące wonią róż i jaśminów; jest to kraina pasterzy odzianych w skóry zwierząt, abisyńska Arkadya. Wyżej wznosi się dzika kraina alpejskich szczytów (dega), gdzie w zimie panują już mrozy. Na góry Abisynii wkraczają z równin okolicznych wielkie gruboskórne, oraz lew, który w chłodniejszych okolicach porasta bujnym włosem; zwierzęta te nie przechodzą jednak zwykle ponad Kuolla i niższe piętro woino dega. Wyżej bujają antylopy skalne i liczne ptaki drapieżne, które tutaj, jak wogóle na wschodzie, spełniają rolę policji sanitarnej, usuwając padlinę. Gwarne uczty tych ptaków dowodzą nam w sposób naoczny, że najwyższem prawem przyrody jest siła: zasiadają one zawsze we wzorowym porządku wedle wielkości i siły, niby wytworni goście przy etykietalnym stole magnata.

Abisynia leży w pasie deszczów letnich zenitalnych. Na dega, a czasem i na woino dega pada grad i śnieg; na szczycie Ras Daszan ma on się podobno utrzymywać przez cały rok. Deszcze, jak wogóle w krajach gorących, są gwałtowne; wezbrane od

nich, górskie potoki zrzadzają straszliwe spustoszenia: podmywają skały, spłókują ziemię rodzajną, unoszą lasy. Wszystko stacza się w szumiącą, spienioną otchłań wód; biada zwierzętom i ludziom, zaskoczonym przez rozszalały żywioł. Masy mułu i rumowiska, osadzone przez takie dzikie potoki, zmieniają żyzne niwy i bujne pastwiska w pustynie. Wylewy obejmują nieraz wielkie obszary i przerywają komunikacye na tygodnie, a nawet miesiące. Całe obozy, rozłożone w suchych łożyskach rzek, giną nieraz, zaskoczone przez wezbrany potok. Wiadomo, że na równinach Sennaaru, nagle wezbrane w porze deszczów, potoki zrzadzają straszne zniszczenia, o ileż straszniejsze być one muszą w krainie alpejskiej, jak Abisynia.

Nie należy jednak zapominać, że to zniszczenie w jednym miejscu jest zarodem życia dla drugiego: ze skał Abisynii, rozkruszonych i uniesionych przez potoki, został zbudowany Egipt, który już Herodot nazwał „darem rzeki“.

W czasie suchej pory roku mniejsze rzeki zupełnie wysychają; nawet dopływ Nilu, Takassie nie dosięga wtedy rzeki głównej i rozpada się na łańcuch kałuż, w których, niezbyt wygodnie ściśnięte, roją się zwierzęta wodne: ryby, żółwie, krokodyle i hipopotamy.

* * *

Pewniejsze historyczne wieści o Abisynii datują się dopiero od czasu Ptolemeusza III Euergetesa (247 — 222): wtedy na wybrzeżu tego kraju, na zachód dzisiejszej zatoki Annesley, leżało miasto portowe Adulis, które zakwitło handlem dzięki kolonistom greckim. Stąd galery handlowe przywoziły kość słoniową, rogi nosorożców, baty ze skóry hipopotamów i t. d. Wówczas w Abisynii nie tylko polowano na słonie, ale chwytano je żywe i tresowano do wojny; wówczas w północnej części kraju, w dzisiejszej krainie Tigre, powstało kwitnące państwo Axum, do którego przeniknęła kultura grecka i które zawiązało ścisłe stosunki z południowo-zachodnią Arabią i rozprzestrzeniło tam

swą władzę; wówczas ludność arabska zaczęła się dobrowolnie lub z musu przesiedlać do Abisynii. W pobliżu dzisiejszego miasta Axum napotykają się liczne pomniki, świadczące o dawnej kulturze. Axum uległo zniszczeniu wskutek wojen, a może i trzęsienia ziemi.

W państwie tem rozpowszechniła się religia chrześcijańska, zaprowadzona około połowy IV-go wieku, przez dwóch rozbitków, Frumencyusza i Aedizyusza; pierwszy z nich został mianowany przez patriarchę Aleksandryjskiego arcybiskupem (abuna) Abisynii. Następnie Abisyńczycy przedsięwzięli wyprawy do Arabii, o czem się przekonywamy z wyżej wspomnianych pomników koło Axumu i z ksiąg historycznych; wyprawy te nie natrafiały na przeszkody wobec wązkości morza Czerwonego, szczególnie w pobliżu cieśniny Bab el Mandeb, i wobec wielkich zdolności żeglarskich, jakie dziś jeszcze spotykamy u rybackiej ludności, osiadłej na wybrzeżu Abisynii. Wyprawy te sprowadziły za sobą pomieszanie się dwóch etnicznych elementów, murzyńskiego i semickiego w pobliżu cieśniny Bab el Mandeb; z Arabii przeszła też do Abisynii religia żydowska, której abisyńscy wyznawcy, zwani Falasza, wzrosłszy w siłę, zapanowali na czas jakiś nad Abisynią; ale następnie chrześcijanie znów odzyskali swe polityczne znaczenie.

W Szoa panuje do dziś dnia dynastia Salomona, reprezentowana przez inteligentnego króla Menileka; historia tej dynastii jest nawpół mityczną; w Biblii czytamy, jak wiadomo, o pewnej królowej, Saba, która odwiedziła Salomona; owocem ich miłości był Menilek. Hartmann sądzi, iż owa „królowa“ była to jakaś księżna abisyńska lub meroityjska. Menilek założył w Abisynii kolonię żydowską i dynastję Salomona z tytułem królewskim (*negus*).

Ile historycznej prawdy mieści się w tem całym podaniu, trudno rozstrzygnąć, to jednak pewna, że już w odległej starożytności przeniknął do Abisynii judaizm. Musiało się to stać za panowania tej starej dynastii, która wyprowadza swój początek od Salomona. Władcy Szoy, używający tytułu królewskiego, wy-

prowadzają właśnie, jak już wspomnieliśmy, swój ród od Salomona i noszą często imię Menilek.

Około roku 1530 dom Salomona siedział też w Gondar (Amhara) na tronie cesarskim, czyli króla królów (*negus negesti*). W owym czasie pewien fanatyk mahometański, Mohammed Guranje, zgromadził mahometańskie ludy i poprowadził je na chrześcijańskie państwo Abisynii. Abisyńczycy zwrócili się o pomoc do, kolonizujących wybrzeża Afryki, Portugalczyków. Dzielny zastęp luzytański, w rodzaju towarzyszy Korteza lub Pizarra, zjawił się w Abisynii pod wodzą Doma Christovao da Gamy, zwyciężył tłumy mahometańskie i wypędził je z Abisynii. Tron Salomona został uratowany i Galaudies (Klaudysz) zyskał godność *negusa negesti*. Jako nagrody żądali Portugalczycy ziemi, oraz uznania papieża za głowę kościoła abisyńskiego. Ale Galaudies odrzucił to żądanie i wygnał przybyłych jezuitów. Później udało się jednak jezuitom zapuścić w Abisynii silne korzenie; rozpoczęły się, jak zwykle, prześladowania i walki religijne, ale w końcu (rok 1632) zostali oni po raz drugi wygnani.

Później władza cesarza upadła. Namiestnicy w Szoa, Amhara i Tigre stali się niezależnymi władcami. Około roku 1760 Mikael, ras (t. j. władca) Tigre, zamordował cesarza Joasa i osadzał kolejno jego krewnych na tronie w Gondar. Taka zabawka w manekinów z towarzyszeniem zdrad i rozlewu krwi ciągnęła się do najnowszych czasów. Ras Mikael w roku 1771 został zwyciężony przez jednego z gubernatorów (dedjas), Wend Bowsana; dragi gubernator, Kefla Yasus, chciał się połączyć z pierwszym dla zamordowania Mikaela, nie znalazł jednak poparcia: Bowsan wypuścił Mikaela, który pobił Yasusa, wziął go do niewoli i kazał stracić. Następnie syn Mikaela, Wolda Selasie, został rasem w Tigre. Po jego śmierci (1816) wielu pretendentów walczyło o tę godność, nakoniec posiadł ją ras Ubie, władca surowy, ale roztropny.

W Amharze od roku 1833 władał mężny intrygant ras Ali, który przez pewien czas trzymał cesarza Sagalu Dengela, jakby w niewoli; nakoniec w porozumieniu z duchowieństwem

zupełnie złożył go z tronu (1833 r.). Tron cesarski w Gondar pozostał pustym.

Namiestnicy Szoy, jak już wiadomo, wyemancypowali się od władzy centralnej i utworzyli oddzielny tron. W roku 1811 na tron ten wstąpił mądry władca Sahela Selasie. Synowie tego króla, ras Ali i ras Ubie władali około 1855 roku Abisynią, gdy w tem pojawiła się tu nowa gwiazda w osobie Kasy, gubernatora Kuary. Kasa był dzieckiem ludzi ubogich, którzy jednak szczylicili się pochodzeniem z krwi Salomona; po śmierci ojca, matka Kasy prowadziła handel znanym środkiem leczniczym kuso. Młody Kasa zaś wychowywał się w klasztorze, gdzie przykładał się z zapałem do nauki; ale gdy klasztor w zamieszkach wojny domowej został zburzony, Kasa uszedł w góry, zebrał koło siebie gromadę śmiazków i rozpoczął wojnę domową, aby urzeczywistnić swój ambitny plan stania się panem Abisynii; plan ten podzielała i podsyciała jego roztropna i energiczna żona, imieniem Tauawicz („ona jest piękna“), do której Kasa był tak przywiązany, że jeszcze w kilkanaście lat po jej śmierci wylewał łzy na jej wspomnienie. Stawszy się panem jednej prowincyi, Kasa zaczął przedsiębrać śmiałe wyprawy w sąsiednie kraje mahometańskie, skąd uprowadzał bydło i niewolników. Wyprawy te przyniosły mu środki materyalne, a jego szalona odwaga zjednała mu mnóstwo zwolenników i pozwoliła urzeczywistnić ambitne plany. W zwyciężkach bitwach pokonał on jednego po drugim władców oddzielnych krain Abisynii i rozkazał się koronować jako cesarz, *negus negesti*, pod imieniem Teodorosa II.

Wśród Abisyńczyków oddawna utrzymywało się podanie, że w tym, rozdartym, trapionym przez wojny wewnętrzne, kraju zjawi się jakiś niby mesyas, który przywróci tronowi cesarskiemu dawny jego blask i zdobędzie na mużnłmanach święte miasta Arabii. Teodoros umiał to podanie wyzyskać na swoją stronę; po koronacyi pociągnął przeciwko Szoy, której król Hailu Mulakut, najstarszy syn Sahela Selasiego, przegrał bitwę i utracił tron.

Teodoros stał się teraz jedynym władcą Abisynii. Roztropny, mężny, szalenie ambitny, surowy, ale sprawiedliwy, stał on się bożyszczem swego narodu; niestety jednak, z czasem dał się unieść szałowi cesarów, stał się bezmyślnie okrutnym, wywołał reakcję. Ta jego zmiana była w związku z jego życiem domowym. Za życia pierwszej żony i pewien czas po jej śmierci Teodoros prowadził życie bardzo surowe, nawet swym urzędnikom wzbraniał konkubinatu. W roku 1860 spotkał on pewnego dnia w kościele dziewczynę, modlącą się gorąco do Matki Boskiej; uderzony jej pięknnością i skromnością, zasięgnął o niej wiadomości i dowiedział się, iż jest jedyną córką byłego władcy na Tigre, jego dawnego współzawodnika, którego pokonał i wtrącił do więzienia. Teodoros zażądał jej ręki, ale został grzecznie odrzucony; nie należał on jednak do ludzi, którzy łatwo wyrzekają się swych pragnień: położył za warunek uwolnienie ojca z więzienia; wówczas Waisero Terunisz („ty jesteś czysta“) poświęciła się dla ojca i oddała rękę Teodorosowi bez miłości. Małżeństwo to nie było szczęśliwe; Waisero była dumna, patrzyła na swego męża z góry, jako na przywłaszczyciela, parweniusza; nie ukrywała braku miłości i szacunku. Gwałtowny Teodoros oddalił ją od siebie i wziął konkubiny; następnie oddał się pijaństwu, stał się okrutnym, tyranem, mordercą. Dla utrzymania w posłuszeństwie wasalów, Teodoros powołał pod broń czwartą część mieszkańców swego państwa, na którą pozostałe trzy czwarte musiały pracować (i to z wyłączeniem bardzo licznego duchowieństwa). Uciskana ludność rolnicza zaczęła się burzyć, Teodoros dla wyżywienia swego wojska musiał przedsięwziąć łupieskie wyprawy we własnym kraju. Rolnicy skryli się na niedostępne amby, cesarz zastawał wszędzie pustynie; środków żywności brakowało, głód, choroby i dezercya osłabiły i uszczupliły jego niezwykłą armię. Z resztkami jej wykonał Teodoros niesłychanie utrudzający marsz po górach i schronił się przed swymi wasalami na niedostępną ambę Magdała.

Tymczasem przeciw „królowi królów“ wystąpił nowy, potężny wróg — Anglia. Teodoros oddawna z właściwym mu uporem

układał plan politycznego i handlowego sojuszu z Anglią w celu zawojowania Egiptu i napisał w tym przedmiocie list do królowej Wiktoryi; rząd angielski jednak nie miał naówczas żadnego interesu występować wrogo przeciw Egiptowi; Teodoros więc długo czekał na odpowiedź, w końcu Anglicy odmówili współdziałania Dumny i rozdrażniony Teodoros kazał uwięzić konsula angielskiego, a nawet i nadzwyczajnego posła; wówczas Anglicy wypowiedzieli Teodorosowi wojnę; generał Napier, wylądowawszy z armią w zatoce Annesley, wkroczył do Abisynii i pociągnął ku Magdali. Gdy Anglicy stanęli u stóp tej amby, armia Teodorosa była już zupełnie zdeorganizowana. „Tam w górze na ciemnej skale bazaltowej — mówi Markham — znajdował się król tylko z 3000 zbrojnych w karabiny skałkowe i lontowe, gromadą zbrojną w dzidy i z kilku armatami, stworzonemi przez jego potężną wolę, któremi jednak nikt nie umiał kierować; przybył on tu na krótko przed Anglikami po niewysłowionych trudach marszu, aby tu umrzeć. Gdy już najdzielniejsza część jego wojska była wybita przewagą broni, Teodoros, podczas układów, napisał do wodza angielskiego te dumne słowa: „wojownik, co najsilniejszych mężów kołysał na rękę, jak dzieci, nie zniesie nigdy, ażeby był kołysany przez innych.“ Teodoros, mówi dalej Markham, „był za dumny, aby jak Abd el Kader lub Szamil przyjąć łaskę zwycięzcy i swe barbarzyńskie, ale bohaterskie życie zakończyć w złożonem więzieniu, jako interesujące trofeum schlebiać narodowej dumie Anglików; gdy więc już wszyscy jego towarzysze opuścili go, lub zginęli, odebrał sobie życie wystrzałem z pistoletu. Wolał sobie zadać śmierć, niż żyć w poniżeniu i pogardzie. Zginął jak bohater.“

Tak skończył człowiek, który był jednym z najważniejszych zjawisk w nowej historii Afryki. „Przez swe własne zdolności — mówi Markham — bez pomocy z zewnątrz doszedł on do władzy, swą szaloną odwagą i militarnym talentem ścieląc wszystko przed sobą. W początkach swego panowania kierowany był wzniosłym i szlachetnym celem, ideą zgniecenia mahometanizmu, lecz nieumiejętność rządzenia i szalona duma doprowadziły go

do zguby. Duma ta rosła w miarę jak napotykała opór, aż na koniec doszła prawie do szaleństwa, które się wyraziło w bezmyślnych okrucieństwach i mordach. Ale nawet pośród tych wstrętnych czynów miał Teodoros przebłyski szlachetności; nie znał, co to bojaźń ludzi: jego najniebezpieczniejsi wrogowie, gdy wpadli mu w ręce, najczęściej nie ponosili śmierci, lecz byli ła-skawiani.“ „Porywany wrażeniem chwili — mówi pewien Europejczyk, który służył na dworze Teodorosa — z temperamentem namiętnym, przechodził on, zarówno w gniewie jak i w do-broci, wszelkie granice praw boskich i ludzkich. Jego niepoaha-mowana ambicya i duma nie pozwalała mu przyznać się do winy, upokorzyć się, lub posłuchać czyjejs rady. Czy karał, czy nagra-dzał, czynił to bez wszelkiej miary. Miał on wielką pamięć, umysł żywy, sąd trafny i szybki. Dwie siły: zła i dobra, wal-czyły w jego duszy i w miarę, jak zwyciężała jedna, lub druga, stawał on się bohaterem, lub dzikiem zwierzęciem.“

Teodoros więc był mieszaniną złych i dobrych popędów, mających potęgę namiętności; był typem swego narodu. Dlatego dłużej zatrzymaliśmy się nad jego charakterystyką.

Anglicy nie dali się omamić tylko przypadkowo łatwem zwycięstwem; wiedzieli, jak trudne jest utrzymanie tego górzystego kraju i jego wojowniczych mieszkańców, opuścili więc Abisynię. Syn pewnego abisyńskiego gubernatora, który po części wskutek sprytu, po części wskutek osobistej niechęci do Teodorosa, trzymał stronę Anglików, imieniem Kasai, opanował tron negusa i zaczął panować pod imieniem Jana (Johanes). Potrafił on pozyskać sobie powszechne uznanie, nawet dumny Menilek z Szoy poddał się jego władzy. Krainy Enarea i Kaffa, też przyłączyły się do Abisynii. Johanes rezydował zwykle w Samara na wyżynie Debra Tabor, ku wschodowi od jeziora Tsana; był to władca utalentowany i wojownik mężny: zniszczył on trzy armie egipskie, wysłane na zawojowanie Abisynii, w czem naturalnie wielką pomocą była górzysta, niedostępna przyroda kraju. W r. 1889 Johanes zginął w walce z mahometanami Sudanu,

a jego miejsce zajął Menilek, który odparł najście Włochów na Abisynię, zniszczywszy ich armię pod Aduą w r. 1896.

* * *

Mieszkańcy Abisynii są mieszaniną ludności napływowej, która tu przyszła z południowo-zachodniej Arabii i z okolicznych równin, oraz ludności pierwotnej, która dotąd stanowi główny pień etniczny Abisynii i jest rasą przejściową między pierwotnymi Egipcyanami a Murzynami. Ci pierwotni mieszkańcy noszą nazwę „Agau“, co znaczy „wolni“, i zamieszkują dotąd, niezmiészani, okolice nad górną Takassie i na zachód jeziora Tsana. Według niektórych egiptologów, Agau są potomkami nubijskiego ludu Uaua, o którym wspominają starożytne pomniki egipskie i który stopniowo został wyparty ku górnemu Nilowi. Różne obrzędy u Agau przypominają starożytną religię Egipcyan: u źródeł Nilu niebieskiego i u źródeł Takassie Agau obchodzą święto na cześć boskiej rzeki. Czczą oni też węże, które grają tak ważną rolę w pierwotnej mitologii egipskiej. Mówią osobnym dyalektem hamatenga lub hamoa, który zresztą jest pokrewny językowi amharinia, powszechnie używanemu w Abisynii.

Do Agau należy też zaliczyć bardzo rozsiany po Abisynii lud Falasza, czyli tak zwanych „żydów abisyńskich“. Ludzie ci zajmują się przemysłem, szczególnie żelaznym, i dlatego, jak to zwykle bywa w Afryce, uważani są za czarodziejów. Według samych Falaszów, mają oni pochodzić z Jerozolimy; są bardzo religijni, obserwują szabas w sobotę, zaprzeczają boskiego pochodzenia Chrystusowi, uważają położnicę za nieczyste, w dzień wielkiejnocy zabijają baranka na ofiarę, zanurzają dzieci przy chrzcie, pięcioksiąg Mojżesza mają w wysokiej czci i t. d. Według Heuglina, Falaszowie zewnętrznie nie różnią się od reszty Abisyńczyków. O języku hebrajskim nic nie wiedzą. Żyją podobnie jak mahometanie, odosobnieni w oddzielnych wsiach i kwartałach miejskich, posiadają ziemię i prócz przemysłu zajmują się

rolnictwem. Pracowitością i sprytem przewyższają, podobnie jak mahometanie, abisyńskich chrześcian.

Nabożeństwo Falaszów jest mieszaniną starych obrzędów chrześcijańskich z żydowskimi. Ostatnie pochodzą z owych czasów, gdy przeniesiony przez jemeńskich Arabów do Abisynii zopsuty judaizm stał się tu religią państwową. W owe czasy Falaszowie mieli wielką władzę w Abisynii i posiadali własnych królów, następnie utracili tę władzę i ulegli prześladowaniom religijnym ze strony władców chrześcijańskich.

Falaszowie bywają uważani przez niektórych badaczy za prawdziwych Żydów, Hartmann jednak stanowczo temu zaprzecza; według niego, są oni, podobnie jak czarni Żydzi Indostanu i wybrzeża Loango, jak Żydzi Madagaskaru i Karaici krymscy, tylko pseudo-Żydami, to jest ludami, które przyjęły tylko zwyczaje Żydów, ale zresztą nic z nimi nie mają wspólnego. Prócz Falaszów żyje w Abisynii jeszcze wiele ludów blisko pokrewnych ludowi Agau, wyznających różne religie, będące mieszaniną judaizmu, chrześcianizmu i poganizmu.

Prócz plemion pokrewnych Agau, żyją też w Abisynii plemiona od nich różne, przeważnie liczbą i znaczeniem politycznym, mówiące dyalektami starego, kościelnego języka geez, należącego do grupy języków semickich; do plemion tych należą Amharowie, zamieszkujący krainę tegoż nazwiska, oraz krainę Szoa; dalej mieszkańcy krainy Tigre i t. d.; są to mieszaniny Agau z innymi narodami, mianowicie z Galami, ludem murzyńskim, zamieszkującym po części Abisynię, po części krainy na południe od niej oraz z Arabami, którzy tu przywędrowali przez morze Czerwone. Mimo tych prowincjonalnych różnic, lud abisyński jest dość jednolity; głównym pniem jest tu wyżej wspomniany lud Agau, pokrewny Nubijczykom, którzy znów stanowią ogniwo łączące między Agau i Egipcyanami. Tych ostatnich, lud Retu starożytnych pomników, uważa Hartmann za potomków Nubijczyków (Barabra), którzy ulegli zmieszaniu z Berberami, Murzynami Sudanu i Semitami (Arabami). Dalsze pomieszanie się Egipcyan, w czasie wojen, z Persami, Grekami i mahometanami wytworzyło dzi-

siejszych Fellachów. Wobec pokrewieństwa Egipcyan z ludem Barabra, a dalej z Agau, nie należy się dziwić, gdy na wyzy-
nie Abisynii spotkamy indywidua, których rysy twarzy przy-
pominają typy ludu faraonów, napotykanie na starożytnych
pomnikach.

Z drugiej strony, ciż sami Agau są przez wielu słusznie
uważani za pokrewnych ludowi Gala, których nie można znów
oddzielić od Murzynów. Cały szereg przekonywających dowo-
dów prowadzi nas wogóle do uważania centralno- i wschodnio-
afrykańskich ludów za nierozzerwany łańcuch grup etnicznych.
Dowodzą nam tego zarówno liczne wspólne cechy fizyczne, jako
też wspólne urządzenia państwowe i domowe, podobne prawidła
moralne i obrzędowe, podobne zasady językowe. Jeżeli mianowicie
przejdziemy kolejno wszystkie narzecza tych plemion, to znajdzie-
my w nich wiele wyrazów wspólnych, co do których przypuszcze-
nie zapożyczenia jest wykluczone tak, iż wspólność ta musi pole-
gać na wewnętrznem pokrewieństwie języków. Naturalnie, że,
chcąc w tym kierunku porównywać z sobą różne te plemiona, trze-
ba naprzód wziąć pod uwagę stykające się z sobą, sąsiednie ogni-
wa, a nie przeciwstawiać odrazu ogniw ostatecznych. Jeżeli ktoś
zechce wziąć do porównania człowieka wyższego stanu z narodu
Agau i Murzyna Hausa lub Njami-Njam, to znajdzie między tymi
ludźmi tak wielkie różnice cielesne, że wszelka myśl o pokrewień-
stwie wyda mu się niemożliwą; jeżeli jednak porównywać będzie-
my kolejno każdy naród z sąsiednim, to znajdziemy dostateczną
ilość analogii.

Plemiona Amhara i Tigre, a szczególnie to ostatnie, są
zmieszane z elementem semickim (syro-arabskim); jednakże
zmieszanie nie było na tyle intensywne, aby mogło wpłynąć
znacznie na zmianę typu fizycznego. Wobec ważkości morza
Czerwonego, nie ulega kwestyi, że już w odległej starożytności
handlowe ludy wybrzeża arabskiego musiały odwiedzać wybrze-
że Abisynii i osiedlać się na niem; ruch ten trwa do chwili obec-
nej. Arabowie, osiedlający się w Abisynii, wstępują chętnie
w związki małżeńskie z kobietami abisyńskimi, co nie pozostaje

bez śladów na fizycznym typie ludności Abisynii, nie w tym jednak stopniu, jak sądzi Hartmann, aby ludność tę można było zaliczyć do Semitów.

Abisyńczycy wogóle są średniego wzrostu (1600 mm.), ale pojedyncze indywidua dosięgają 1730 mm. Dobrą budowę napotyka się szczególnie u górali, podczas gdy mieszkańcy Samhary i Kuolli są chudzi. Kształt czaszek jest najczęściej długogłowy (*dolichoccephal*); nos prosty lub zgarbiony, czasem nawet silnie, wązki, lecz z rozszerzonymi nozdrzami i końcem częścią tępym, niż ostrym; usta nieco wystające, mięsiste, nawet wydęte; podbródek zwykle ostry, czasem zaś zaokrąglony i w tył odchylny. Spłaszczone i szerokie nosy, właściwe Murzynom środkowej i zachodniej Afryki, napotykają się w Abisynii, lecz rzadziej. Oczy są wielkie o wyrazie żywym i inteligentnym. Abisyńczycy, jak wszyscy Afrykanie, mają zwyczaj zmruczania oczu dla ochrony od słonecznego blasku, co nadaje twarzy wyraz podejrzany, nawet zdradziecki. Wskutek ciągłego mrugania skóra przy kątach ocznych pokrywa się licznymi, drobnymi zmarszczkami. Włosy czarne, kędzierzawe, czasem wełniste jak u Murzynów. Zarost na brodzie słaby. Ręce i nogi są dość duże, te ostatnie wskutek chodzenia boso po górach są na podszewkach pokryte rogowo twardą skórą.

Kobiety abisyńskie są niskie (1450 — 1480 mm.), w młodości odznaczają się niemałym wdziękiem. Piękna twarz o oczach rozumnych, zaokrąglone ramiona, odstające półkuliste piersi, cienka kibić, harmonia w całej budowie są to, mówi Hartmann, zalety, których antropolog nie potrzebuje długo szukać u córek Habeszu. Zresztą, jak wogóle na południu, tak i w Abisynii wdzięki te więdną szybko; widziałem, mówi ten uczony, w Chartumie i innych miejscach Abisynki, żony Europejczyków, ale ani w rysach, ani w wyrazie twarzy nie można było poznać ich „przeszłości“.

Barwa skóry Abisyńczyków jest żółtawo-brunatna, to ciemniejsza, to jaśniejsza, często wpadająca w czerwona. Zdarzają

się też odcienie ciemniejsze: czarno-brunatny i zielonawo-brunatny. Na jaśniejszych wogóle twarzach kobiet można wyraźnie rozemnać zarumienienie. Usta są ciemniejsze, niż u nas, brunatno-czerwone, często wpadają w fioletowe, rzadko w wiśniowe.

Włosy, obficie smarowane masłem, bywają splatane różnemi sposobami w liczne, drobne warkocze; mieszkańcy krainy Szoa wkładają we włosy drewniane patyki, aby się niemi w razie potrzeby podrapać, często też owijają głowę kawałkiem czerwonej materyi, lub skóry.

Abisyńczycy noszą spodnie, sięgające zwykle tylko do kolan, ciało obwijają fałdzistą, czerwoną lub białą, materyą, przy czem górną część ciała pozostawiają odkrytą lub też nadziewają bawełnianą koszulę z szerokimi, lecz krótkimi rękawami. Nieodzowną część składową męskiego ubrania stanowi szama, to jest biała bawełniana toga, oblamowana czerwono lub niebiesko; tą togą umieją się oni obwijać na różne sposoby bardzo malowniczo.

Wojownicy używają prócz tego na ubranie skór rozmaitych zwierząt, szczególnie na futrzane kołnierze, zdobne srebrnemi blaszkami. Wodzowie przystrajają się jeszcze w srebrne obręcze na ramionach i głowie, w które zatykają powiewające pióra strusie.

Duchowni gołą głowę zupełnie i obwijają w biały, czerwony lub żółty turban; na szyi noszą różaniec, a w ręku wachlarz na muchy z ogona końskiego, żyrafy lub antylopy.

Parasole od słońca są w powszechnem użyciu; gdy władca jedzie na koniu, lub mule, wówczas noszą nad nim z wielką pomocą olbrzymi parasol.

Kobiety noszą różne ozdoby, jak obręcze metalowe na rękach i nogach, srebrne łańcuszki i szklane perły na szyi, wielkie kolczyki i t. d. Brwi, skąpe z natury, bywają wrywane i malowane na niebiesko. Brzegi powiek bywają malowane na czarno, policzki na czerwono, ręce i nogi również. Szoanki prócz

tęgo napychają sobie do nosa skórki cytrynowe lub wonne zioła, które zwisają aż do ust.

Abisyńczycy należą bezwątpienia do najbrudniejszych ludzi na ziemi; brud uważają oni za cnotę, mile widzianą przez Boga: według ich mniemania, nie ma bardziej budującego widoku nad pustelnika, który dwadzieścia lat przeżył, nie myjąc się wcale. Masło, którem Abisyńczycy smarują włosy i ciało, napawa zwolna wszystkie używane przez nich rzeczy i wydaje woń nie do zniesienia.

Broń Abisyńczyków nie jest zbyt urozmaicona, pistolety używane bywają rzadko, są to zwykle długooprawne, arabskie. Strzelby są lontowe, tylko gwardya królewska ma karabiny Remingtona. Za kule służą kawałki żelaza. W powszechnem użyciu są lance z krótkimi lub długimi drzewcami, szable zgięte sierpowato lub nawet pod kątem rozwartym, które wraz z długim krzywym nożem, zawieszane są u prawego boku. Tarcza, zawsze okrągła, jest zrobiona ze skóry słonia lub bawołu.

Domy Abisyńczyków są zbudowane bądź z kamieni, bądź z gliny i trawy. Za cement do kamieni używają gliny, błota, wapna lub nawozu krowiego. Domy pierwszego gatunku mają kształt kostkowy, drugiego — są okrągłe ze stożkowym dachem. Te ostatnie zdarzają się nietylko po wsiach, ale i po miastach; nawet stolica Szoy, Ankober, składa się z takich domów; okna są tu wprost tylko przedziurawieniami w ścianach i bywają zasłaniane deskami; jeżeli z powodu niepogody i drzwi zostaną zamknięte, to wszelki dostęp światła do wnętrza zostaje przerwany. W domach zbudowanych na górach nieraz zachodzi potrzeba opalania, ale dla dymu nie ma innego wyjścia, jak otwór w dachu lub szpary popękanych ścian; dym ten czerni ściany i pułap, napętnia izby i wywołuje częste zapalenie oczów.

Głównem pożywieniem Abisyńczyków jest surowe mięso, szczególniej wołowe. Abisyńczycy lubią spożywać je zaraz po zabiciu bydłęcia, krwawe, prawie jeszcze drgające. Zdarza się nawet, że wycinają mięso żywemu bydłęciu i pożerają natych-

niast całemi funtami. Drastyczne wyrażenie pownego podróżnika, że Abisyńczycy jedzą jak wilki i młasczą przytem jak świnie, znajduje zupełne potwierdzenie; niemlaskanie podczas jedzenia uważane jest w Abisynii za znak złego wychowania! Abisyńczycy przygotowują też różne odurzające napoje, szczególniej piwo z sorgum. Hartmann powiada, że uraczeni tym napojem Abisyńczycy z radości pieją jak koguty i kwiczą jak prosięta.

Z powodu spożywania mięsa na surowo Abisyńczycy cierpią często na solitera; szczęściem jednak kraj posiada wiele roślin, służących za lekarstwo; szczególniej skuteczne jest kusso, kwiat pięknego drzewu, o liściu pierzastym, z rodziny różowatych. Podróżnicy opowiadają anegdotę, iż gdy Abisyńczyk chce się uwolnić od niemiłych gości, każe mówić służącemu: „getana (to znaczy: nasz pan) przyjął kusso“.

Głównem zajęciem Abisyńczyków jest rolnictwo. Hildebrand powiada o Samharze, iż gdy w lecie powietrze, silnie rozgrzane nad piaskami i obszarami czarnej lawy, wznosi się, drząc w górę, wówczas pochłania ono wszelką wilgoć, przynoszoną przez wiatry od morza wiejące, które dopiero wznosząc się na góry, sprowadzają tam opad. Inaczej rzecz się ma w zimie, gdy napełnione parą zimne powietrze z gór Abisynii spada na wybrzeże i użyzcza mu deszczów ¹⁾. Wówczas budzi się tu nagle życie; z ciernistych krzaków wyrastają liście i kwiaty, ziemia pokrywa się zielonym kobiercem traw, a wyschłe dawniej łożyska rzek napełniają się szumiącemi wodami, zmierzającemi do morza.

¹⁾ Hildebrand myli się w objaśnieniu tego zjawiska: zimne powietrze, spadające z gór, nie może zjawiać się na cieplej nizinie, jako wilgotne, gdyż spadając osusza się, podobnie jak szwajcarski Föhn. Sądzymy więc, że ten dziwny napozór fakt, iż wiatry z gór Abisynii sprowadzają deszcze w gorącej Samharze, tłumaczy się własnością powietrza Samhary: powietrze to, dzięki blizkiemu morzu i dzięki wysokiej temperaturze, posiada *bardzo wielką ilość pary wodnej, a bardzo małą wilgotność*. Wiatr zimny, spadający z gór, jest sam przez się suchy, ale oziębiając powietrze obfite w parę, wywołuje skroplenie.

Wówczas pasterz opuszcza swą letnią górską siedzibę i rozbija swe namioty w tej krainie nadbrzeżnej. Rolnik chwytą za pług i tutaj, gdzie przed niewielu tygodniami pałacy wiecher unosił resztę zeschłych liści nad nagą równiną, pasą się teraz wesołe stada i falują bujne niwy. Zresztą, nie każdego roku zdążą one dojrzeć, gdyż deszcze są tu bardzo niestałe.

Wschodnia Kuolla jest lepiej uposażona dla rolnictwa, ale z powodu rzadkiego zaludnienia też tylko miejscami bywa uprawiana; udają się tu liczne gatunki sorgum, kukurydza, tytoń, pioprz czerwony i cobula.

Woino dega jest główną krainą rolnictwa, które ku dega znów coraz bardziej ubywa. Pola i zabudowania, dla ochrony od zwierząt, otoczone są ciernistym ogrodzeniem; często też są wyrównane tarasowato i skrapiane sztucznie przez zatamowanie potoków i system kanałów.

Pasterstwo, jak u wielu afrykańskich ludów, stanowi tu ulubione zajęcie: dojeniem krów, podobnie jak u Kafirów, zajmują się mężczyźni; masło wyrabia się w skórzanych worach przez wstrząsanie.

W życiu domowem, społecznem i politycznem, Abisyńcy przedstawiają naród nawpół barbarzyński, szarpany przez nienawidni wewnętrzne, naród z rozkiełznanemi namiętnościami, prowadzącemi do czynów gwałtownych, zarówno bohaterskich jak i zbrodniczych. Podróżnik Munzinger był gorącym rzecznikiem Abisyńczyków: „Abisyńczyk — powiada on — myśli, marzy, kocha i nienawidzi; czuje on, jak i my, tylko surowiej, często naturalniej i swobodniej, szczerzej. Czyż czarne oblicze ma zawsze czarne pokrywać serce? I tam znajdziesz serca współczujące! Gdy ostry wiatr wieczorny napędzi na wyżynę gęste mgły, wtedy podróżny może śmiało zapukać i nawet natrętnego żebraka spotka przyjazne powitanie, wesoło trzaskający ogień i ciepła strawa. I tam są rycerze, obrońcy kobiet i słabych. Możesz tam również pozyskać przyjaciela, choć nie zaraz, który cię ochroni w dzień niebezpieczeństwa. Wierna miłość, szczęśliwe małżeństwa nie są tam rzadkością, a jakże często żona, opłakująca męża, idzie za

nim dobrowolnie na śmierć przedwczesną! Zobacysz w latach głodu matki wychudłe, a dzieci wesole i rześkie. Żona jest niezmordowaną w pielęgnowaniu chorego męża. Dzielni synowie poświęcają się przez całe lata pracy, by swemu staremu ojcu zapewnić życie bez troski. Nie brakuje uczuć, ani werwy i humoru; śpiewają oni i tańczą podczas gwiazdzistych nocy; pieśni opiewają bohaterów, zwycięzców ludzi i lwów. Pieśnią wyraża Abisyńczyk radość i smutek lub skargę, pieśń towarzyszy pracy i weselu.“

Chłodniejszy Hartmann robi na to uwagę, iż podobnych ludzi znajdujemy wogóle od bieguna północnego ku południowemu i od krańców zachodu do wschodu. Nie zgadza się jednak na to, by Abisyńczyk czuł zupełnie tak, jak my: żyje on, myśli, czuje i kocha wprawdzie, ale jak człowiek swej afrykańskiej ojczyzny. Ze ściśle badawczego stanowiska należy rozważać każde plemię w jego miejscowym otoczeniu, we właściwej mu sferze narodowej działalności. Jeżeli z tego stanowiska uważać będziemy Abisyńczyka, to przyjdzie nam się dziwić, że mogło się w nim jeszcze rozwinąć tyle pierwiastku etycznego. Łączy on bowiem dobre i złe właściwości Afrykanina i Azyaty, chrześcijanina i mahometanina, a nawet poganina. Żle pojęta kultura, ciągłe niepokoje polityczne, wywołane rozdrobnieniem kraju przez przyrodę i sąsiedztwem ludów mahometańskich, spory religijne, gwałtowne czyny władców, wszystko to pozostawiło w tym narodzie swe niekorzystne ślady. Przejdźmy jednak do szczegółów.

Pośród uboższych Abisyńczyków panuje monogamia; gdy kawaler, mający zamiar się żenić, jest w posiadaniu pewnej ilości talarów, wówczas wysyła swaty, przytem rodzice dziewczyny często targują się o cenę. Po skończeniu umowy, małżeństwo bywa zawierane zwykle bez ceremonii ślubnych. Gdy para bogata, naówczas urządzone bywają uczyt jedna za drugą, przyczem narzeczony ze swemi przyjaciółmi wykonywa pozorne porwanie narzeczonej. Małżeństwo rozwodzi się łatwo, dzieci idą za matką, ale ojciec musi do ósmego roku pamiętać o ich utrzymaniu.

Wierność małżeńska jest tu równie rzadka, jak w Sudanie, wielożeństwo bywa cierpiane, lecz praktykuje się głównie u bogatych. W tym razie każda kobieta ma oddzielne domostwo, co przypomina zwyczaj Kafrów. Abisyńczycy, którzy, jako kupcy, wiele podróżują, mają w różnych miejscowościach po jednej żonie i odwierają je przy sposobności. Dziewczyny dziesięcioletnie, a nawet młodsze, bywają pojmwane w małżeństwo; zdarza się, iż siedmudziesięcioletni starzec bierze za żonę dziesięcioletnie dziecko! Dzieci obojga płci bywają obrzezane, zwyczaj właściwy wszystkim Afrykanom aż do Kafrów. Mali chłopcy pilnują bydła, zbierają drzewo i piorą odzienie. Kobiety noszą wodę, mielą mąkę, gotują, tkają i plotą. Abisyńczyk traci wiele czasu na uporządkowanie swej fryzury, na wizyty i gawędy. Przy ucztach bywa nieraz gorąco: kije, a nawet noże bywają w robocie.

Abisyńczyk, uposażony od natury, posiada wiele technicznych zdolności, jest dobrym rzemieślnikiem. Rzemieślnicy, mający do czynienia z żelazem, są tu, podobnie jak w sąsiednich krajach Afryki, otoczeni jakimś nimbem, uważani za czarowników, którzy nocną porą zmieniają się w hyeny i dopuszczają różnych złych czynów.

Ulubionem zajęciem Abisyńczyków jest wojna, albowiem wówczas zdarza się gratka do rabunku, ucztowania, picia i włóczenia się. Gdy tylko jakiś ambitny i awanturniczy wódz zabiera się do roboty, zaraz gromadzi się koło niego kupa zbrojnych nieponiów, między którymi w znacznej liczbie znajdują się stare wygi, obznajmieni z wszelkimi krajowemi zwyczajami i szykanami sztuki wojennej. Żołd tylko wyjątkowo bywa płacony: tak np. w Szoa tylko strzelcy królewscy pobierają żołd, mianowicie po ośm kawałków soli rocznie, wartości około 1 $\frac{1}{2}$ marki każdy.

Armia abisyńska, za którą ciągną kobiety, dzieci i niezliczone bagaże, pstrocizną swą zdaje się cofać nas w czasy wielkiej wędrówki ludów. Heuglin maluje nam żywemi barwami widok armii Teodorosa, który wyprawiał się przeciwko Galom. Wczes-

nym rankiem zdjęto obóz, żołnierze zapalili swe, naprędcy sklecone, chaty. Dokoła walały się liczne trupy koni, mułów, osłów i bydła w różnym stopniu rozkładu, a między nimi leżały też pojedyncze trupy mężczyzn i kobiet, zmarłych z zimna, głodu lub ran. Po małych dzieciach bądź zmarłych, bądź porzuconych z biedy przez matki, stąpali bez litości ludzie i konie. Stada ptaków drapieżnych i nawpół dziczałych psów ciągnęły za armią, znajdując obfitą strawę w trupach, których pogrzebem nikt się nie zatroszczył. Czerwony namiot króla tworzył zawsze środek, w miejscu, o ile możności, wzniesionem; drzwi tego namiotu zwrócone były zawsze w tę stronę, gdzie nazajutrz miano maszerować. Przed namiotem króla stał namiot kościelny, a po bokach namioty dwóch królowych; nieco dalej namiot głowy kościoła czyli abuny i namiot komendanta obozu. W marszu król jechał, jak zwykle, na czele wojska, którego masa zajmowała miłą szerokości, a 2 — 3 długości. Widać tu było oficerów na mułach w otoczeniu licznej służby, brudnych księży, żołnierzy, trażarzy, osły, konie juczne, kucharki z atrybutem swego kunsztu — długimi łyżkami w ręku lub u boku, niby z szablami. Na pięknym mule z dzwonekami jechał abuna w czarnym turbanie, niebieskim ubraniu i czerwono wyszywanym burnusie.

Jeden oddział, złożony z eunuchów i żołnierzy, szedł śpiesznym krokiem, rozpychając ludzi; w jego środku jechała jedna z królowych, ubrana w niebieski aksamitny płaszcz, wyszywany bogato srebrem, oraz utkany drobnymi złotymi i srebrnymi dzwoneczkami, z twarzą zawołowaną na sposób czerkieski. Dalej następował oddział mułów, uginających się pod ciężarem worów skórzanych z mąką i zbożem; za nimi jechał szanowny eczege, głowa kongregacyi zakonnych, w białym ubraniu i turbanie, z olbrzymim indyjskim parasolem; dalej bracia klasztorni, z których każdy trzymał oganiaczkę od much z włosienia końskiego lub krwi ogon.

Za eczege i jego pobożną świtą szedł w trop mnich, dzwoniąc w dzwonek, a za nim niesiono na krzesłach szereg drewnianych tablic Mojżesza, owiniętych w czerwoną materję. Najcie-

kawszą jednak rzeczą w tym duchownym pochodzie był niezmiernie tłusty kogut, tuczony i skazany na celibat, ażeby możliwie najpóźniej rozpoczynał poranek i nie budził zbyt wczesnie do modlitwy tych pobożnych mężów, którzy nie pozbyli się jeszcze błogich wspomnień wieczornej libacji.

Chorych i rannych, zawiniętych w długie szama, niesiono na lekkich noszach, dalej szli jeńcy w kajdanach, matki z dziećmi w koszykach, polityczni przestępcy często bez ręki lub nogi i t. d.

Za stajnią negusa szły cztery ułaskawione lwy, zupełnie wolno puszczone i dobrze karmione; chłodne górskie powietrze i dżdżysty dzień wprawiały je w stan ponury i gniewliwy.

W podobny sposób musiał niegdyś występować na wojnę Ramzes lub Nebukadnecar. Teodoros, który lubował się w dziełach komedyach, miał zwyczaj udzielać audyencji w towarzystwie swych lwów; tak odtworzył uzurpatora podróżnik Lejean. Podobnież faraonowie i władcy asyryjscy bywają na dawnych pomnikach przedstawiani w towarzystwie tych zwierząt.

Abisyńczycy odznaczają się męstwem w boju, dowiedli tego w niezliczonych wojnach; z pogardą śmierci rzucają się oni na wielokroć liczniejszego wroga. Walczą bezładnymi masami, ich sztuka wojowania sięga wielu stuleci w tył. Gdy w r. 1868 wojska Teodorosa rzuciły się ze szczytu Magdali na armię angielską pod Arogi, w szeregach ich nie było nawet tyle porządku, ile go wedle tradycyi przedstawiał kwiat rycerstwa francuskiego w pamiętnym krwawym dniu pod Azincourt. Po nieprzespanej nocy rycerze francuscy rzucili się w niezwartych szeregach przez rozmiękzone deszczem pola na zastępy Henryka V-go, aby znaleźć swą zgubę. Dzień Azincourtu przypadł jednak na r. 1415; dzień pod Arogi zdarzył się w przeszło cztery stulecia później; w Afryce rozwój, nawet wojowniczy, wolniej się odbywa, niż u nas.

Abisyńczyk, jako zwycięzca, odznacza się okrucieństwem: kaleczy trupów i rannych w sposób straszliwy; obeina im części płciowe! Z temi wstrętnemi trofeami urządzi sobie obrzydłe za-

bawki, jest on w tym względzie naśladowcą owego faraona, przed tronem którego usypywano całe góry tych trofeów (obrazy ścienne w Medinet Abu i Tebach).

Lud abisyński posiada skłonności handlowe; wobec mało rozwiniętego przemysłu, wywóz ogranicza się głównie do przedmiotów surowych (wosk, kość słoniowa, pieprz czerwony, sól, kawa, skóry i t. d.); głównym produktem wywozowym byli, a po części są i dotąd niewolnicy, mimo wszelkich środków, jakie przeciw temu przedsięwzięciu narodziły się w państwach cywilizowanych. Jedni z tych nieszczęśliwych bywają prowadzeni do Sennaaru, inni przez morze Czerwone lub na północ. Na pograniczne prowincje Abisynii napadają mahometanie i uprowadzają chrześcijan w niewolę. Zwycięstwa Teodorosa i Jana ukróciły wprawdzie te napady, ale nie na długo (Jan zginął, jak wiadomo, w walce z mahometanami). Abisyńczycy odpłacają się mahometanom pięknem za nadobne; szczególniejsze mieszczą się na północ i zachód Abisynii lud Szangala stanowi ulubioną zdobycz grasujących oddziałów abisyńskiej kawalerji, podobnie rzecz się ma z mieszkającymi od południa Galami. Tylko febryczny klimat Kuolli wstrzymuje czasem górali od tych wypraw na niziny.

Na zachodnich granicach Abisynii ukrył się pewien zbieg egipski, który popierany i zaopatrzony w broń przez abisyńskiego gubernatora, długo plądrował sąsiednie prowincje Egiptu, uprowadzał ludzi i sprzedawał Abisyńczykom. Porty: Massaua, Berbera, Zeila i Tedżura były głównymi rynkami niewolników. Według Rueppela, obrót niewolnikami w Massaua wynosił dawniej 120,000 talarów Maryi Teresy. W Chartumie jeszcze w r. 1860 piękne dziewczyny abisyńskie i Gala stanowiły ulubiony artykuł handlu dla muzułmanów i Europejczyków. Wielu z tych ostatnich wstępowało nawet w związki małżeńskie ze swymi niewolnicami, które wkrótce uczyły się panować w domu i brały swych dawnych panów pod pantofel.

Jako moneta, służy w Abisynii materya bawełniana, mateb, sól i talary Maryi Teresy. Mateb jest to jedwabny niebieski sznur, noszony przez chrześcijan, jako oznaka ich wiary. Sól, wy-

dobywana na wschodzie Abisynii, rośnie w cenie ku zachodowi i używana jest jako drobna moneta: kilkadziesiąt kawałków idzie na talar. Do przewożenia takiej monety używane są muły, „chodzące portmonetki“, ale najsilniejszy muł uniesie jej zaledwie za trzy talary. Talary Maryi Teresy były bite umyślnie dla Abisynii w Wenecyi, później w Austrii; każda taka moneta musi nosić wyraźny obraz cesarzowej i datę 1780.

Abisyńczycy są niezmiernie chciwi. Strabon powiada, że za jego czasów Etyopowie mieli dwóch bogów: jednego nieśmiertelnego, któremu przypisywali powstanie świata; drugiego śmiertelnego, którego nie znali bliżej. Dzisiejsi Etyopowie znają się doskonale na tym drugim bogu, śmiertelnym; jest to właśnie talar Maryi Teresy. Dźwięk tych talarów ma wpływ magiczny, usuwa wszelkie skrupuły, otwiera drzwi, serca, wszystko. W Abisynii żebractwo jest bardzo rozpowszechnione, podniesione do godności sztuki, prowadzone metodycznie z wielką umiejętnością; są tu nawet żebracy konni.

Podział hierarchii urzędniczej w Abisynii jest bardzo ściśle i konsekwentnie przeprowadzony. Cesarz lub król otoczony jest nimbem majestatu, co jednak złych poddanych nie wstrzymuje od tego, aby w razie sposobności przygotować „miłosiernej łasce świętej trójcy“ gwałtowny koniec. Wogóle jednak, jak Abisyńczykom, tak i władcom nie zbywa na pewnym zmyśle sprawiedliwości. Teodoros w początkach swego panowania był prawie ubóstwiany właśnie głównie dlatego, że starał się, aby wszystkim udzielana była sprawiedliwość. Heuglin i inni podróżnicy opowiadają, jak Teodoros na wszystkich swych wyprawach wojennych zajęty był od rana do nocy sprawowaniem sądów. Na długo przed wschodem słońca zgromadzali się suplikanci przed namiotem króla, wołając „*abiet, abiet*“ (panie, panie!). Negus wstawał, sądził, udzielał łask i podarków. Następnie przychodziły raporty, patrole przyprowadzały złoczyńców lub szpiegów; sprawy i egzekucye szły szybko, bez tracenia czasu na frazesy. Teodoros był wtedy uważany za sprawiedliwego, wspaniałego i hojnego, ale zarazem za nieubłagane surowego; później jednak

surowość ta przerodziła się, jak wiadomo, w zwierzęce okrucieństwo. Zresztą okrucieństwo jest rzeczą zwykłą w tym kraju ciągłych wojen domowych, rabunków i wendety: za powstanie przeciw rządowi, za obrazę domu panującego, za rabunek, napad — naznaczone są surowe kary, jak: powieszenie, zaćwiczenie na śmierć, ukamienowanie, obcięcie rąk i nog i t. d. Obcięte członki bywają w oczach delikwenta pieczone, a następnie zanurzone w masło i oddawane właścicielowi; dzieje się to dla zadośćuczynienia względom religijnym: chodzi o to, aby członki te mogły być po śmierci właściciela pochowane z resztą ciała tak, iżby mógł on zjawić się w całej osobie na sąd ostateczny! Gdy królowi Janowi wpadł w rękę jego współzawodnik, zwyczaj krainy upoważniał do napełnienia mu uszów prochem i wysadzenia czaszki jak miną. Jan kontentował się jednak skromnem wydtubaniem oczu za pomocą rozpalonego żelaza. „Łagodność“ ta wprawiła naród w prawdziwy zachwyty! Wobec tego rodzaju „łagodności“ więzień w Abisynii nie ma zbyt wiele; z więzień tych przytem łatwo byłoby uciec, więc zwykle skazańca w ten sposób kępują, że nie może ani myśleć o ucieczce.

Religią Abisyńczyków jest chrystyanizm; są oni, podobnie jak egipcyscy Koptowie, monofizytami z domieszką judaizmu, mahometanizmu, a nawet poganizmu. Abisyńczycy są szczególniejszymi czcicielami Maryi. są, jak się ktoś wyraził, „maryolatami“. Na czele duchowieństwa stoi abuna (nasz ojciec), biskup, który jest naznaczony przez patryarchę Koptyckiego w Aleksandryi. Tylko abuna może pomażać na króla i wraz z wyższem duchowieństwem musi praktykować celibat. Każdy nowy abuna kosztuje Abisynię wiele pieniędzy, które trzeba składać Egiptowi. Władza abuny jest znaczną, ale czasami energiczni królowie nie wiele sobie z niej robią. Tak Teodoros zamknął intrygującego abunę do więzienia, a gdy ten groził kłatwą, negus kazał go umieścić w domu, umyślnie zbudowanym z suchych gałęzi, i zapalić. Naturalnie, że wobec tak przekonywającego dowodu niewinności Teodorosa, abuna cofnęła kłatwę jak najskwapliwiej. Nie lepiej udało się samemu patryarsze Aleksandryjskiej.

mu, który zwiedzał Abisynię w celach politycznych i występował z wielką pychą. Objawił on Teodorosowi, że negus powinien być poddany księciu kościoła, a gdy Teodoros odpowiedział drwiąco, patriarchy rzucił nań klątwę, Teodoros jednak nie dał się upokorzyć: wyjąwszy z za pasa pistolet, zmierzył do patriarchy i rzekł z uszanowaniem: „wasze błogosławieństwo, ojcze święty“ — naturalnie, że i na ten raz nie potrzebował długo nań czekać.

Liczba niższego duchowieństwa jest tu bardzo znaczna: mnichów i mniszek też nie brak. Wyrażenie Harrisa, że w Abisynii dwanaście tysięcy duchownych trutniów żyje w bezczynności, karmiąc się potem klas pracujących, charakteryzuje doskonale stan rzeczy. Mnisi rekrutują się nietylko z ludu, ale i z wyższych klas: jest to ucieczka wszelkiego rodzaju bankrutów moralnych. Mniszki też rekrutują się w znacznej części z „podstarzałych kobiet wyższego stanu, przesyconych już rozkoszami życia.“

Z praktykami religijnymi abisyńscy duchowni nie robią sobie wiele kłopotu. W ciągu dwudziestu czterech godzin odprawia się 3 — 4 razy nabożeństwo; przy mszy używają kwaśnego chleba i wina importowanego, a w jego braku — odwaru z rodzenków; gdzie są winogrona (które wskutek choroby winorośli obecnie zdarzają się w Abisynii rzadko), tam wyciskają jagody w wodzie i używają zamiast wina. Śpiewy kościelne odbywają się przez nos. Czytanie długiej liturgii odbywa się w niezrozumiałym dla ludu języku (geez), w ten pośpieszny bezduszny sposób, w jaki dzieci mahometańskie recytują swe zadania szkolne. Duchowni chrzczą, dają śluby, odprawiają msze, spowiadają. Te praktyki religijne są tu bardzo kosztowne: za odpuszczenie grzechów np. trzeba dobrze płacić, za to jednak są udogodnienia: kto chce dopełnić grabież, może się z tego zawczasu wypowiedzieć i za odpowiednią zapłatą otrzymać rozgrzeszenie (być może, iż w tym kierunku bywa nawet udzielany kredyt, zwłaszcza gdy penitent budzi zaufanie). Szczególniej drogo kosztuje pogrzeb: biedni ludzie muszą ciuć przez całe życie, aby zebrać sumę potrzebną na przy-

zwoity pogrzeb. Dla uchronienia duszy od mąk piekielnych, kapłani polecają krewnym urządzenie uczt, na których grają oni naturalnie główną rolę i na koszt ubogich nieraz ludzi oddają się hulance. „Po takich libacyach słudzy kościoła wracają do domu, ledwie trzymając się na nogach.“

Niżsi duchowni mogą się żenić, ale tylko raz w życiu; nie wystarcza im to widać, bo podróżnicy zarzucają tamtejszym duchownym grube ekscesy w kulcie Wenery. Przy tych aferach duchowni abisyńscy znajdują wielką pomoc w szanownem stanowisku, jakie zajmują wobec ludzi świeckich: panuje mianowicie w Abisynii wiara, że pocałowanie ręki spotkanego księdza dziada oczyszczająco; to też nie skąpią w Abisynii duchownym tych oznak czci, w czem naturalnie kobiety okazują najbardziej przykładną żarliwość. Podobnież święte chuchnięcie abuny ma wywierać olbrzymie działanie, a nie jest zbyt drogie: można je kupić za kilka kawałków soli; są też pewne ułatwienia: kto nie może udać się po to do Gondaru, ten sprowadza sobie pudełko, które „ojciec“ napełnił swem świętem technieniem.

Abisyńczycy są zapaleni do subtelnych dysput teologicznych, stąd umieją oni wynajdywać różne kruczki; kręctwo i łgarstwo jest wśród nich bardzo rozpowszechnione: pewien władca abisyński, gdy przyrzekł jakąś rzecz, której nie chciał dotrzymać, spluwał następnie dokoła siebie, aby okazać nadwornym, że wymył sobie usta; tym sposobem uwalniał się od przyrzeczenia. W związku z tą cechą Abisyńczyków jest ich wielka gadatliwość: Rohlfs twierdzi, że gdyby narody oceniać z ilości słów, jaką są wstanie wypowiedzieć od wschodu do zachodu słońca, to Abisyńczycy dostaliby z pewnością palmę pierwszeństwa — „nawet przed Francuzami“.

Harris powiada, że w Abisynii zapewne więcej jest kościołów, niż w jakiejkolwiek innej chrześcijańskiej krainie. Kto tutaj zbuduje kościół, sądzi, że już zupełnie zrzucił z siebie wszelkie grzechy ziemskie; niektóre kościoły są wykute w skałach. Z powodu wyżej wspomnianej „maryolatryi“ misjonarze katolicycy więcej znajdują w Abisynii posłuchu, niż protestancy. Nawet

w XVI i XVII-em stuleciu jezuita próbowali całą Abisynię nawrócić na katolicyzm; pozyskali negusa, zaczęli więc prześladować lud, wprowadzili inkwizycję. Ale po strasznych rozlewach krwi negus znużył się okrucieństwami, ogłosił tolerancję i jezuita zostali wygnani. Późniejsze usiłowania misjonarzy nie odniosły wielkich skutków: bystry Teodoros mawiał: „najprzód misjonarz, później konsul, wreszcie armia“. Jednakże i tak niemiecki podróżnik Rohlf, „zbierający we wszystkich krajach przezeń zwiedzanych kamyki dla rzucenia ich na Francuzów“, ma za złe wpływ misjonarzy francuskich w Abisynii; zarzuca z tego powodu Francuzom, że „protegują zdaleka tych jezuitów, których wyganiają z Paryża. Pod tym względem wszystko jedno, kto we Francji panuje: król arcykatolicki, cesarz, czy prezydent, komunard. W kwestyi polityki zagranicznej ten ostatni stanie się wkrótce komunardem arcykatolickim, aby tylko nie skompromitować powagi swego kraju na wybrzeżach morza Czerwonego. Na to odpowiada pisarz francuski (Valbert w „Revue des deux Mondes): „Oby Rohlf mógł jak najdłużej zarzucać nam tę szczęśliwą niekonsekwencję! Czemże byłby rząd wielkiego narodu, gdyby poświęcał swe interesy fanatyzmowi logiki“ (!). Otwarte to zdanie w piśmie poważnem i wpływowem świadczy, jak dalece szowinizm zaślepia dziś, już nie etykę, ale najprostszą logikę. Naturalnie, że i sam Rohlf nie byłby konsekwentniejszy, oceniając z jednej strony położenie Niemców w guberniach nadbałtyckich, z drugiej — Polaków w Poznańskiem. Francuski pisarz jest jednak klasyczny swą naiwną, jeśli nie cyniczną, otwartością.

Prócz właściwych Abisyńczyków, mieszka w tej krainie, głównie w południowej części, murzyński lud Gala (lub Galla), którego siedziby rozciągają się prócz tego daleko po za granice Abisynii: na wschód w krainę Somal, na południe w okolice jeziora Ukerewe. Gala znac „szukać ojczyzny“, a więc Galowie są to „przybysze“. Sami Galowie zowią się Ilm Orma, co znaczy „mężni ludzie“.

Cechami fizycznymi Galowie zbliżają się raczej do Abisyńczyków, niż do typu murzyńskiej brzydoty; szczególnie kobiety ich odznaczają się pięknnością i stanowią przedmiot bardzo poszukiwany do haremów. Dumna postawa Galów, ich powne siebie zachowanie, swobodne ruchy, ogniste oczy i t. d. nadają im coś imponującego. Galowie ubierają się w szama, które umieją drapować malowniczo; we włosy zatykają strusie pióra, co jest oznaką pokonaniu wroga. Żywią się mlekiem, mięsem, masłem i chlebem; na północy piją miód, na południu wolą krew świeżo utoczoną z bydłęcia; przypomina to podobny zwyczaj u plemion nad Nilem Białym, które nie tylko piją świeżą krew, ale prowadzą nią handel.

Galowie są dumni i w boju dzielni, ale nadzwyczaj okrutni. Nienawidzą i ścigają wroga z dziką energią. Padłym w boju lub rannym obcinają krzywymi nożami części ciała, zdzierają skórę, posiekane kawałki depczą nogami, złorzecząc wrogowi. Niezwykłe zamiłowanie wolności jest górującą cechą charakteru tego narodu: Gala nie zna, co to służba u obcych, tem mniej, co niewola. Wskutek niepokonanego oporu, jaki oddawna okazywali schwytni do niewoli Galowie, Arabowie przestali zupełnie przedsiębrać na nich wyprawy. Opowiadają, że zmuszany do niewoli Gala pozwolił sobie raczej obie ręce odrąbać, a nie ugiął dumnego karku do jarzma; inni oddawali się sami śmierci głodowej z niewzruszonym stoicyzmem. Wzięte do niewoli dziewczęta szybko opanowują swych panów i nadają ton całemu domowi. W nowszych czasach Galowie utracili wiele ze swej energii wskutek nieszczęśliwych walk z Somalami.

* * *

Centralną krainą Abisynii, która była też w różnych epokach siedzibą cesarstwa, jest żyzna kotlina Amhary, której środkowe zagłębienie zajmuje jezioro Tsana (Tana). Średnia wysokość tej krainy uprzywilejowanej nie wiele przenosi 2,000 m., jest to pas woina dega, odpowiadający umiarkowanemu klimato-

wi Europy, lecz z temperaturą jednostajniejszą i roślinnością bujniejszą; tutaj powstały najludniejsze miasta. Jednym z nich jest Gondar, który uważany bywa często za stolicę Abisynii, właściwie jednak jest to tylko stolica religijna. Gondar nie jest miastem zbyt dawnym, pochodzi ono dopiero z wieku XVII-go, jednakże ma więcej ruin, niż domów mieszkalnych. Większa część kościołów została zburzona przez Teodorosa w napadzie złości.

Na zaokrąglonem wzgórzu, które panuje nad miastem od północy, widać zwaliska warownego zamku, który, mimo swego złego stanu, należy do najwspanialszych budowli w Abisynii. Jego mury z różowego piaskowca z bazaltowemi ozdobami, jego okrągłe baszty i t. d. nadają mu widok wspaniały. Ale drzewa i krzaki biorą go coraz bardziej w posiadanie, a nawet ludzie niszczą go systematycznie: „ponieważ my nie budujemy pomników—powiedziała pewna królowa w połowie bieżącego wieku—więc dla czegoż mielibyśmy zachowywać cudze?“ Widziany zdaleka u stóp tych malowniczych ruin, pośród kościołów i drzew, Gondar ma pozór miasta europejskiego i to bardzo pięknie położonego, dzięki amfiteatralnie otaczającym go wzgórzom, dzięki strumieniom, które wiją się wężykowato po łąkowej równinie Dembea, dzięki modremu zwierciadłu jeziora, które błyszczy zdaleka.

Położony na wysokości około 2,000 m. Gondar zajmuje południowy i zachodni stok łagodnego wzgórza. Domy jego nie są tak ugrupowane, jak w naszych miastach: składa on się z oddzielnych kwartałów, porozdzielanych placami pustemi lub kupami śmiecia, wśród których lamparty i hyeny odbywają swe nocne harce. Podróżnik Rüppel miał do walczenia z trzema lampartami, które wdarły się do kurnika w jego domu. Kilkotysięczna ludność Gondaru składa się z chrześcian i żydów, mieszkających w oddzielnych kwartałach. Gondar byłby przez pięć miesięcy w roku zupełnie pozbawiony komunikacji z prowincjami południowemi, gdyby Portugalczycy nie byli zbudowali mostu na rzece Magecz, przepływającej równinę Dembea; most ten oparł się wszystkim wylewom, przetrwał aż do naszych czasów i stanowi osobliwość architektoniczną Abisynii.

Równina Dembea, rozciągająca się na północ jeziora Tsana, łączy się z pasem nadbrzeżnym wschodniej strony jeziora tylko za pomocą wąskiego przesmyku, gdzie wznosi się osada celna, używająca smutnej sławy u podróżników. Na południe od tej miejscowości osady oddalają się od brzegów i leżą na znacznej wysokości ponad powierzchnią wód jeziornych.

Na wschód jeziora Tsana wznosi się żyzna wyżyna Debra Tabor, która od czasu Teodorosa stała się miejscem pobytu cesarzów. Położenie tej wyżyny jest ważne pod względem strategicznym dla kraju, będącego w chronicznym stanie wojennym: ku zachodowi rozciąga się żyzna nadbrzeżna kraina jeziora Tsana; z wyżyny tej, na 2,600 m. wysokiej, władca Abisynii obejmuje więc wzrokiem pola, dostarczające pożywienia dla armii; może on łatwo wyruszyć stąd bądź na wschód ku dolinie Takassie i wyżynie Tigre, bądź na południe do doliny Abai i dalej do Szoy. Miejsce obozu królewskiego na tej wyżynie często się zmieniało; wieś, gdzie „król królów“ najczęściej rezyduje podczas pory deszczów, zowie się Samara.

Na południo-wschód Debra Taboru wznosi się słynna amba Magdała na 2760 m. wysoka, gdzie Teodoros poniósł śmierć bohaterską; bazaltowe jej zbocza spadają ku zachodowi prawie pionową ścianą; część tej wyżyny, na której wznoszą się fortyfikacye, łączy się z resztą tylko za pomocą wąskiego grzbietu. Fortyfikacye, zburzone przez Anglików, zostały odbudowane z powodu ważności Magdali, jako niedostępnej amby, wysuniętej ku krainie Galów na drodze do Szoy.

W północnej części Abisynii, w krainie Tigre, głównem miastem jest Adua w dorzeczu Takassie na wysokości 2000 m. W pobliżu tego miasta widać zwaliska klasztoru jezuitów, wygnanych z Abisynii w XVII stuleciu; ludność okoliczna unika tych ruin, uważając je za siedlisko złych duchów. Dalej ku zachodowi leży Aksum, niegdyś stolica wielkiego państwa etyopskiego, które się rozciągało od Nilu do przylądka Guardafui. Obecnie Aksum znajduje się w upadku, utrzymał tylko znaczenie

jako miasto święte, składające się przeważnie z klasztorów, gdzie mieszka mnóstwo mnichów i dzieci, wychowywanych na mnichów. Aksum obfituje w pomniki, których napisy świadczą o dawnych stosunkach Abisynii z Arabią i Grecją. Na południo-wschód od Aduy, w pobliżu wschodniej krawędzi Abisynii, leży Antalo, opuszczone prawie, dawne miasto główne krainy Tigre, na ambie wysokiej na 2400 m., otoczonej głębokimi przepaściami, w których szumią dopływy Takassie. Antalo leży przeważnie w ruinach, mieszkańcy przenieśli się do pobliskiego miasta Czalikut; jest to jedno z najbardziej malowniczych miast Abisynii, tonące w zieleni ogrodów. Czalikut i Antalo, jako leżące w pobliżu wschodniej krawędzi Abisynii, mają znaczenie dla handlu solą, która idzie z Samhary do Abisynii i rośnie w cenie ku zachodowi. Na północo-wschód od Aduy na ambie, której najwyższy szczyt jest dostępny tylko za pomocą lin, wznosi się klasztor Debra Damo, jeden z najświętszych w Abisynii: za najmniejszą oznaką grożącej wojny okoliczni mieszkańcy ukrywają tu swe mienie; żywność tej wyżyny dostarcza pożywienia, a sto kilkadziesiąt cystern—napoju.

Na północ od Aduy na drodze prowadzącej do portu Massaua leży, w upadku będące, miasto Debaroa, w którym rezydował niegdyś Bahr Nagach, t. j. „król morza“; taki tytuł nosił niegdyś gubernator prowincyi nadbrzeżnych. Domy w tem mieście nie są, jak w środkowej Abisynii, z kamieni i ze słomianymi dachami; są to mieszkania podziemne, jakie napotykają się na Kaukazie i w Kurdystanie: stok góry bywa skopany schodowato, otrzymane tym sposobem prostokątne zagłębienie pokrywa się dachem, który w tyle opiera się na ścianie a z przodu spoczywa na palach. Patrząc z góry nie widzi się zupełnie miasta, lecz tylko tarasy trawiaste. Jest to zwykła budowa wsi w tych okolicach. Dym wychodzi przez otwór zrobiony w dachu, gdy pada deszcz, otwór się zatyka i wtedy mieszkanie zamienia się w jaskinię pozbawioną światła i powietrza. Później rezydencją „króla morza“, który teraz nosi ten szumny tytuł jak *lucus a non lucendo*, była Asmara, leżąca na północo-wschód

stał, na samej krawędzi Abisynii, spadającej stromo ku równinie Massauy. Wiadomo, że Włosi, którzy opanowali Massauę, posunęli się następnie do Asmary w celu opanowania drogi, prowadzącej tędy do Abisynii, i zyskania chłodniejszego, zdrowszego pomieszczenia dla swego wojska, które w niezmiernie gorącej Massauy jest trapięne chorobami.

Na południe Amhary rozciąga się kraina Szoa, gdzie najbardziej typowo występuje, właściwe Abisynii, pokrajanie wyżyny płynącymi wodami na oddzielne przyzmatyczne kloce. Zdala kraj wydaje się jakby rozległa jednolita równina, wśród której doliny tylko czasami manifestują się jako przerwy zielonego kołnierca; lecz podróżując po niej, natrafimy na rozkwierające się niespodzianie u naszych stóp przepaści (jedna przy szerokości 600 — 700 m. na 1250 m. głębokości), w które rzeki rzucają się wspaniałymi wodospadami. Drugą osobliwością tej krainy są liczne wulkany po części zupełnie wygasłe, po części wydzielające gazy i osadzające w kraterach siarkę. Niektóre kraterki stały się jeziorami; nad jednym z tych wulkanicznych jezior wznosi się klasztor, zbudowany przez „poskramiacza demonów“. Pośród tych wulkanów biją źródła gorące, nawet gejzery. Zapewne działaniu tych wód gorących mineralnych przypisać należy petryfikację drzew skamieniałych, jakie często dają się tam napotykać.

Jak wogóle w Abisynii, tak i tutaj miejsce stolicy ulega częstym zmianom w miarę potrzeb strategicznych lub kaprysu władców. Z tych licznych miejscowości najbardziej historyczną jest Ankober na wschodniej krawędzi wyżyny, na drodze do zatoki Tedzura, w malowniczej wulkanicznej okolicy. Na północ stąd wznoszą się dwie niedostępne amby: Ememret i Fekere Gemb, połączone z resztą wyżyny tylko wązkimi grzbietami, scieśnionymi przez przepaście. Amby te dźwigają fortyfikacje, uważane w Abisynii za niezdołbane; w ostatniej ukryte są skarby królewskie i zapasy dla armii.

Na południe Szoy rozciągają się mało znane krainy Enarea i Kaffa, obfitujące w kawę; pierwsza jest zamieszkała przez

mahometan Galów, druga przez tak zwanych „chrześcian“; wskutek długiego odosobnienia pośród mahometan „chrześcianie“ ci niewiele wiedzą o Chrystusie, czczą głównie trzech świętych: Jerzego, Michała i Gabryela, obserwują ściśle pewne ograniczenia w potrawach: nie używają na pokarm żadnych zbóż i nazwa „ziarnożerca“ jest u nich obelżywą; ziarno służy tu tylko dla bydła i do wyrobu piwa.

Pas wybrzeża, dzielący Abisynia od morza Czerwonego i zatoki Aden, leżący w pobliżu ważnego pod względem handlowym i strategicznym punktu — cieśniny Bab el Mandeb, został obsadzony przez potęgi europejskie: Anglię, Francję i Włochy; leżą tu z północy na południe następujące porty: Massaua, Zulah, Assab, Obok i t. d.

Massaua należy do najgorętszych punktów na ziemi; panują tu tak straszliwie upały, jakie chyba po raz drugi zdarzają się tylko na osławionem wybrzeżu zatoki Perskiej (Germisir) i na dalej ciągnącym się wybrzeżu Beludżystanu. Ulatnianie z gorącej powierzchni morza Czerwonego odbywa się silniej, niż z jakiegokolwiek innego morza, a że powietrze jest bardzo spokojne i gorące, więc robi wrażenie łaźni. Miejscowości, leżące dalej na południe, choć też piekielnie gorące, ustępują jednak Massauy. Tutaj temperatura w dzień wznosi się do 40° C., w nocy zaś rzadko spada poniżej 35°. Podróżnik Józef Menges opowiada, że wpływ tego, obfitego w parę i w sól, powietrza ujawnia się szczególnie na przedmiotach żelaznych: karabiny nabite, nie posmarowane tłuszczem, po kilku dniach pokrywają się rdzą i nie dają wystrzału; stal polerowana nabiera barwy czerwonej, a przepoczone ubranie schnie bardzo wolno, pomimo wielkiego upału. Wskutek takich stosunków klimatycznych Massaua przez większą część roku jest prawdziwem piekłem, gdzie choroby, właściwe krainom międzyzwrotnikowym, występują z niezwykłą siłą. Udar słoneczny nie oszczędza nawet krajowców, dysenterya i febra zagarniają liczne ofiary. Do tego dodać należy niezliczone masy robactwa, a także jadowitych węży i skorpionów.

To odstrasżające miasto leży na nadbrzeżnej wysepce ko

ralowej, która za pomocą grobli na 900 kroków długiej łączy się z drugą wyspą, połączoną za pomocą grobli na 1500 kroków długiej z lądem Afryki. Dla oka Massaua, jak wogóle miasta na wschodzie, przedstawia widok powabny, nawet imponujący: białe błyszczące domy Massauy z koralowego wapienia zdają się jakby wyrastać z morza i odbijają się efektownie od lśniącej powierzchni wody i od górzystego tła Abisynii.

Po Chartumie Massaua ma najbardziej pomieszaną i najmniej budzącą zaufania ludność na całym południu, rozciągającą się dawniej aż dotąd, egipskiego państwa. Samuel Baker powiedział, że Massaua jest miejscem, „gdzie cywilizowana Europa i barbarzyńska Azja mieniają swe występki — piekłem dla ludzi uczciwych, rajem dla łotrów“. Handel Massauy spoczywa głównie w rękach Greków, słynnych z szachrajstwa, i yemeńskich Arabów, których nিকেzemość idzie w zawody z bigoteryą i fanatyzmem. Massaua przed kilkunastu laty została zajęta przez Włochów, którzy stąd pragnęli rozszerzyć swą władzę lub przynajmniej wpływ na wyżynę Abisynii; dotąd jednak męstwo Abisyńczyków i niedostępna górską przyrodą kraju nie dozwoliły Włochom urzeczywistnić tych zamiarów (klęska Włochów pod Aduą 1896 r.).

Na południe od Massauy wybrzeże morza wdziera się w ląd głęboko zatoką Annesley, inaczej zwaną Adulis od starożytnej kolonii greckiej, której dziś zaledwie ślady pozostały. Nazwa Adulis utrzymała się w dzisiejszej nazwie miejscowości Zula: port ten należy do Francuzów, którzy dawniej zupełnie o nim zapomnieli, tak, iż Anglicy, z powodu wielkiego zbliżenia tutaj morza do Abisynii, obrali go w roku 1867 za punkt wyjścia swej wyprawy. W tym celu dla ułatwienia wylądowania zbudowali tamę, biegnącą od brzegu w morze więcej niż na kilometr; dla ułatwienia zaś drogi przez suchą i gorącą Samharę, zbudowali konną koleją żelazną.

Dalej na południe, już tylko w odległości 60 kilometrów od cieśniny Bab el Mandeb, nad zatoką usianą wysepkami leży włoska kolonia Assab z wygodnym portem, ale bez wygodnej komu-

nikacji z Abisynią; albowiem okolica jest prawie zupełnie pozbawiona roślinności i wody (wodę do picia otrzymuje się przez dystrylację wody morskiej), przedstawia tylko nagie skały i ruchome diuny.

Minąwszy cieśninę Bab el Mandeb, do której wejścia broni ufortyfikowana angielska wysepka Perim, Gibraltar morza Czerwonego, spotykamy głęboko wdzierającą się w ląd zatokę Tedzura, której okolica posiada wygasłe wulkany. Potok zastygłej lawy oddzielił część tej zatoki i utworzył jezioro Assal, którego poziom obniżył się wskutek parowania i które stało się magazynem solnym Abisynii; w pobliżu wybrzeży jego tworzy się tak twarda skorupa solna, że obciążone wielbłądy mogą po niej przechodzić na odległość kilometra od brzegu. Z miejscowości, leżących nad zatoką Tedzura i należących do Francuzów, szczególnie zasługuje na uwagę Obok, leżący przy wejściu do zatoki, bliżej cieśniny Bab el Mandeb, niż przeciwny angielski Aden; okręty mogą tu zaopatrzyć się w węgiel, nie zbaczając z drogi, wodę do picia też można znaleźć w niewielkiej głębokości. Dalej, ku końcowi zatoki Tedzura leży znane z awantury kozaka, Aszynowa, Sagalo.

Wszystkie powyższe porty abisyńskiego wybrzeża, jak również dalej na południe leżące, a zajęte przez Anglików, Zeila i Berbera, nie mają tego handlowego znaczenia, jakiego się po nich Europejczycy spodziewali. Karawany abisyńskie przywożą tu wprawdzie kość słoniową i kawę, ale wobec ciągłych niepokojów i uciążliwych dróg karawany te przychodzą bardzo nieregularnie. Z czasem jednak postać rzeczy zmieni się bezwątpienia: szyny kolei żelaznych przetną pustynny przesmyk Samhary, Abisynia zostanie niby przesunięta ku morzu. Utraci ona wprawdzie urok swej pierwotności, swej dzikiej niezawisłości, ale przestanie być odosobnioną i bierną, stanie się czynnem, produkcyjnym ogniwem w łańcuchu międzynarodowych stosunków.

DZUNGARSKA BRAMA NARODÓW.

Olbrzymią czworokątną wyżynę Azji Wschodniej, ów „kontynent w kontynencie“, otaczają zewsząd prawie potężne góry skrajne, spadające mniej więcej stromo na zewnątrz ku sąsiednim nizinom i tworzące zeń świat oddzielny, który mało ma komunikacji z częścią Azji zewnętrzną, „peryferyczną“. Jednakże w północnej części zachodniego boku tego wyniosłego czworokąta, na przestrzeni między zachodnimi częściami Thian-Szanu i Ałtaju (42°—50° szer. pn.) przerywają się góry skrajne, a wkraczająca zatokowato między te dwa łańcuchy wyżyna Mongolii przechodzi zwolna i stopniowo w nizinę Turanu. *Ten kraj przejściowy* od wyżyny do niziny, bez wybitnych granic od zachodu i wschodu, owa „brama“ z wyżyny Azji Wschodniej na nizinę Turanu, owa rynna olbrzymiej czworokątnej kadzi z wyniosłemi krawędziami, dawna cieśnina, łącząca Han-Hai z morzem Turańskiem, które pozostawiło ślady w jeziorze Bałkasz z rzeką Ili i kilku jeziorach pomniejszych; ten kraj to Dzungarya, kraj Ili albo Kuldża w obszerniejszem znaczeniu.

Ta najbardziej kontynentalna na całym Łądzie Starym kraina, bo leżąca w równej odległości od morza Czarnego, jak i Żółtego, od zatoki Obskiej jak i Bengalskiej, przedstawia pewną analogię z Afganistanem. Obie są krainami przejściowemi; pierwsza

ze względu na swą budowę pionową, druga głównie ze względu na swe położenie; obie ze względu na stanowisko geograficzno-dziejowe. Jak Afganistan był drogą przemarszów z ubogiego Turanu do bogatej Indyi, tak i przez Dżungaryę, ową „rynnę“, wylewały się narodowe fale z wyżyny wschodnio-azyatyckiej na nizinę Turanu, aby stąd dążyć dalej do Europy lub Iranu i Indyj; tak więc poczęści Dżungaryja była w tych wędrówkach pierwszym etapem, Afganistan drugim¹⁾. Przed wejściem na nizinę Turanu, na piaszczyste, bezpłodne stepy Kirgizów (Głodny step), ludy wędrownie zatrzymywały się, niby ptaki przelotne, na obfitych w wodę i żyznych obszarach Ili i Bałkaszu dla przygotowania się na daleką i uciążliwą drogę. Tędy w wiekach średnich odbywały się stosunki dyplomatyczne i handlowe między Europą i Azyą Wschodnią. Jest to droga misyonarzy do potężnych hanów mongolskich (Piano Carpini i Wilhelm Rubruquis) oraz kupców włoskich z Tany nad Donem (Balducci Pegoletti), droga legalnych książąt ruskich dla składania czołobitności hanom w ich stolicy Karakorum, około źródeł Amuru (Jarosław, Aleksander Newski); tędy w nowych wiekach Rosyja zawiązała stosunki dyplomatyczne z Chinami (podróż Bajkowa do Pekinu); tędy uczeni podróżnicy rosyjscy ostatnich czasów (Przewalski i jego epigoni) udawali się na zbadanie dalekich krain „Państwa Niebieskiego“. Tutaj, jako w zatokę Turanu, wtargnęły w nowszych czasach i wojska rosyjskie, rozszerzające swe podboje w Turanie. Tutaj więc bez geograficznych przeszkód stykają się dwa (po Anglii) najobszerniejsze na świecie państwa: Rosyja i Chiny. A gdzie dwa państwa stykają się na takim obszarze przejściowym bez wybitnych granic naturalnych, tam muszą powstawać spory o granice polityczne; tak powstała w nowszych czasach między Rosyją a Chinami „kwestyja Kuldży“, która tylko co nie doprowadziła tych dwu potęg do wojennego starcia.

* * *

¹⁾ Ob. niżej: „Afganistan i jego stanowisko geograficzno-dziejowe“.

Północną granicę Dżungaryi stanowi Altaj, a właściwiej południowe jego przedmurze, Tarbagaj, gdyż leżąca między tym ostatnim a Altajem wyżyna bezodpływowego jeziora Ulungur (z r. Urungu) i odpływowego jeziora Zaisan (400 m.) z górnym Irtyszem, należy już (przynajmniej w części) hydrograficznie do Syberyi. Altaj, w tej części zwany Ektag Altaj, ciągnie się z pustyni Gobi na północ-zachód do Syberyi; jest to łańcuch krystaliczny, wysoki (3,000 m.), niedostępny, pustylny, tylko w północno-zachodnim krańcu lesisty. Tarbagataj jest to łańcuch również krystaliczny, długością i wysokością równy Pirenejom, nawet nieco wyższy (do 3,700 m.), z wierzchołkami gdzieniegdzie wiecznym śniegiem pokrytymi, bogaty w węgiel kamienny, grafit oraz rudę miedzianą i żelazną. Od swej wschodniej kończyny (u jeziora Ulungur) Tarbagataj wysyła we wnętrze kraju w kierunku południowo-zachodnim niższy łańcuch, Barłyk.

Południową granicę stanowi najwyższa i najbardziej rozgałęziona zachodnia część Thian-Szanu, na zachód od grupy Bogdo Ola, a właściwie od źródeł Kungesu (jedna ze źródłowych rzek Ili). Góry te składają się tutaj przeważnie ze starych skał krystalicznych; wylewy młodych skał wulkanicznych występują na północnych, stromszych stokach łańcuchów. Thian-Szan należy do systematów fałdowych młodych, albowiem osady trzeciorzędowe są tu zdyslokowane i leżą wysoko ¹⁾; przytem występują tu dotąd silne trzęsienia ziemi (np. trzęsienie 1887 r., które zniszczyło miasto Wiernoje). Są to góry alpejskie, pokryte wiecznymi śniegami i lodowcami, czyniące wspaniałe wrażenie; leżąca poniżej wiecznych śniegów, kraina lasów stanowi powabny kontrast z pustyniami, z pośród których te góry się wznoszą. W miarę posuwania się ku zachodowi, Thian-Szan przybiera coraz większe rozmiary, tak w kierunku pionowym, jak i poziomym: rozczepia on się na liczne łańcuchy prawie równoległe, oprócz tego wysyła ku północno-zachodowi odgałęzienia, nie ustępujące prawie co do wyso-

¹⁾ E. Suess „Das Antlitz der Erde“ t. I, str. 598, 599.

kości łańcuchom głównym: wysokość szczytów wynosi tu około 4000 m.; wysokość przejść nie wiele mniej. Łańcuchy północnego stoku omawianej zachodniej części Thian-Szanu, poczynając od wschodu, są następujące: Temurlik, ograniczający z południa dolinę Ili i oddzielający ją od doliny Tekesu (druga ze źródłowych rzek Ili), który, dążąc do Ili, tworzy wyłom w tych górach; góry Narat, na południe poprzednich, dzikie i poszarpane, równie jak poprzednie, z przejściem tegoż nazwiska, prowadzącem z doliny Kungesu na stepową wyżynę Juldus i do Lob-Noru droga Przewalskiego); góry Mussart, na zachód od poprzednich do źródeł Tekesu, z pokrytem lodowcami przejściem tegoż nazwiska prowadzącem z doliny Tekesu do doliny Tarimu (Kaszgar) i z leżącą w pobliżu (na południo-zachód) grupą Chan-Tengri, to jest król niebios, jedną z najwyższych w Thian Szanie (7,300 met.). Na zachód stąd (od źródeł Tekesu) góry rozszczepiają się na 4 równoległe łańcuchy, występujące dwiema parami (Transilijski Alatau i Kungei Alatau, przedłużenia Temurliku; Terski Alatau i Koktaltau, przedłużenia Chan-Tengri).

Thian-Szan dosięga tu największej szerokości (300 klm.) na południku Kaszgaru, albowiem powyższe dwie pary łańcuchów obejmują tu między źródłami Tekesu i Czu na 1600 m. wysoką kotlinę zamkniętego alpejskiego jeziora Issik-Kul. Jezioro to, dziesięć razy większe od Genewskiego, wskutek swej wielkiej głębokości nigdy nie zamarza; stąd jego nazwa, oznaczająca „ciepłe jezioro“. Z północy ograniczają je Kungei Alatau i Transilijski Alatau, oddzielając od doliny Ili, z południa Terski Alatau, oddzielając je od doliny górnej Syr Daryi czyli Narinu, za którym ciągnie się łańcuch Koktaltau, przytykający swą gałęzią (Alaj) do Pamiru. Zagłębione między śnieżnymi górami jezioro Issik Kul jest bezpośrednio obrąbione pasem niskiego piaszczystego pobraża, które bliżej ku jezioru składa się z otoczków i czerwonej słonawej gliny: woda jeziora jest też słonawa, przezroczysta, jasno-błękitna. „Po za jeziorem — mówi rosyjski podróżnik Siewiercow — widnieje Kungei Alatau, którego dolne części są często przysłonione mglistymi oparami,

jakby lekko-fioletowem teńnieniem, podczas gdy jego śnieżne zębate szczyty błyszczą jasno w promieniach słońca, odcinając się ostro od ciemnego ultramarynu nieba. Modre niebo, modre jezioro, a między nimi srebrno-białe szczyty górskie, na przednim planie czerwono-żółty brzeg—oto widok prosty, ale wspaniały i powabny⁴.

Na zachód od południka Kaszgaru i zachodniej kończy się Issik-Kulu, Thian-Szan pod różnymi nazwami wkracza daleko w nizinę Turanu, ograniczając z południa dolinę rzeki Czu; rzeka ta, oddzielona od doliny Ili północno-zachodnią gałęzią Transilijskiego Alatau (łańcuch Czu-Ilijski albo Suok-Tiube), należy już do Turanu (niegdyś Czu była odpiływem Issik-Kulu a dopływem Syr-Daryi¹). Tak więc dolina Czu na południu, jak dolina górnego Irtyszu na północy, stanowią hydrograficzne łączniki krainy Ilijskiej z sąsiednimi. Od głównej masy Thian-Szanu, mianowicie od grupy Bogdo-Ola na źródłach Kungesu, odgałęzia się ku północno-zachodowi, równoległe do Suok Tiube, i ciągnie we wnętrze kraju po prawej stronie systematu Ili, wysoki łańcuch gór, Iren Chabirgan albo Borochoho z przejściami Ziterte i Talkin prowadzącymi z doliny Ili na dolinę rzeki Borotala. Na źródłowskich tej rzeki łańcuch ten przytyka pod kątem ostrym do drugiego łańcucha, który pod nazwą Cisilijskiego albo Dżungarskiego Alatau ciągnie się na północo-wschód ku południowemu przedłużeniu Tarbagataju, wspomnianym już górom Barłyk. Góry te, t. j. Cisilijski Alatau i Barłyk, zmierzając ku sobie i zbliżając się znacznie, nie łączą się jednak ze sobą: rozdziela je dolina, prawie nizinna (nizej 250 m.) wieńca jezior Bałkasz - Ebinor; jest to najgłębsze koryto owej rynny, zwanej Dżungaryą, właściwa Brama Dżungarska.

* * *

Opisane powyżej łańcuchy gór pozwalają nam ująć Dżungaryę (jakkolwiek tak niepochwytną pod względem granic) w pe-

¹) E. Reclus „Geogr. Univ.” VI, str. 351. „Bulletin de la Société de Géographie”, Paryż 1879, str. 542.

wną określoną formę, ułatwiającą jej geograficzny opis. Przedstawia się nam ona mianowicie w kształcie leżącej litery M (\mathbb{M}), opartej swą podstawą na 80^o połud. od Greenw., t. j. składa się z trzech ostrych kątów, z których dwa skrajne, północny i południowy, są zwrócone na zachód ku Turanowi, środkowy zaś na wschód, ku Mongolii; ramionami tych kątów są wyżej opisane łańcuchy gór, a ponieważ Cisilijski Alatau, jak wiadomo, nie dochodzi do Barłyku, przeto ramię, oddzielające kąt północny od środkowego, jest przerwane.

Kąt północny, zawarty między Tarbagatajem i Alatau-Barłykiem, zamyka w sobie dolinę jezior Sassik-Kul i Ala-Kul (z rzeką Emil, wypływającą z wierzchołka kąta), t. j. krainę Tarbagatajską a także część północnego stoku Alatau, czyli część Kraju Siemireczyńskiego (Siedmiorzecza). Kąt środkowy, między Alatau-Barłykiem i Iren Chabirganem, zawiera dolinę Borotala z rzeką tejże nazwy, wpadającą do jeziora Ebinor. Kąt południowy nareszcie, między Iren-Chabirganem i Narat-Mussarstem, zajmuje górną część dorzecza Ili. Dwa kąty skrajne posiadają w jeziorze Bałkasz, leżącym po za granicą litery M i tylko przytykającym do jej podstawy, hydrograficzny łącznik: jezioro to z południowego kąta zbiera wody rzeki Ili, a z północnego — wody rzek, spływających z południowego stoku Tarbagataju i z północnego stoku Dżungarskiego Alatau, a prócz tego w historycznych jeszcze czasach łączyło się ono z zamkniętymi dziś jeziorami, leżącymi w kącie północnym (Sassik-Kul i Ala Kul), których dolina przechodzi dalej między Alatau i Barłykiem w kąt środkowy. Nadto Bałkasz zamyka z północy i zachodu resztę należących tu krain, a mianowicie resztę kraju Siemireczyńskiego między Lepsą i Ili, oraz kraj Zailijski między doliną Ili i Zailijskim (Transilijskim) Alatau. Obszar objęty powyższymi granicami przedstawia, tak pod względem pionowego wzniesienia, jak i charakteru przyrody trzy różne formy geograficzne: góry, doliny podgórskie i równiny (stepy).

1) Co do gór, to prawie wszystkie sięgają ponad krainę wiecznych śniegów, która się tu zaczyna na wysokości około

3500 m., i posiadają olbrzymie lodowce: przejście Mussart, co znaczy przejście lodowców, otrzymało właśnie swą nazwę od olbrzymich lodowców, zawalających jego drogę; piorunowy grzmot pękających lodów, szum potoków, szkielety juczych wielbłądów i koni przerażają wędrowca w tym straszliwym przejściu: buddyści i mahometanie składają też tutaj ofiary duchowi lodowców¹⁾; poniżej linii śnieżnej, od 2500 m., zaczynają się lasy iglaste, a jeszcze niżej, od 2000 m. — liściaste (Przewalski).

2) Doliny podgórskie, w których właściwy tej krainie suchy i spiekły klimat miarkują chłodne i wilgotne powiewy z gór, wiecznym śniegiem pokrytych, porośłe są poczęści bujną trawą (szczególniej doliny wynioślejsze, np. górnego Kungesu i Zanny) na szańc wysoką, przez którą, według świadectwa Przewalskiego, przedrzeć się trudno, poczęści lasami jabłoni i brzoskwiń. U wyjścia takich dolin podgórskich, na granicy stepów, powstało tu wiele miast, częścią ze względów strategicznych i handlowych, częścią ze względu na możność uprawy gruntu za pomocą sztucznego nawadniania. Tak np. u wyjścia jednej z południowych dolin Tarbagataju powstało chińskie miasto Czuguczak, a na zachód stąd; w punkcie zniżenia się Targabataju, nad rzeką Ajaguz (jedyny północny dopływ Bałkaszu)—rosyjskie miasto Sergiopol; przy wypływie rzeki Kopalki z Cisilijskiego Alatau, w kraju „Siedmiu rzek“, powstało rosyjskie miasto Kopal, a przy wyjściu malowniczej żyznej doliny Almatyńskiej z Transilijskiego Alatau, w kraju Zailijskim,—rosyjski fort Wiernoje.

Lecz najobszerniejsza, najżyźniejsza, najlepiej uprawna z tutejszych dolin jest dolina górnej Ili, zawarta w kącie południowym. Tylko najwyższe z dolin jej systematu, jak dolinę Zanny, górnego Kungesu (powyżej ujścia Zanny) i poczęści dolinę Kaszu zastał Przewalski niezamieszkanemi; ale posiadają one nadzwyczaj bujną roślinność, a dolina Kungesu jest, wedle świadectwa Przewalskiego, żerowiskiem dla dzików, niedźwiedzi i sarn, które schodzą tu przy końcu lata z okolicznych gór dla nasycenia się jabłkami,

¹⁾ Ritter „Erdkunde“.

gęsto zalegającemi ziemię¹⁾. Poniżej ujścia Zanmy, a szczególnie poniżej ujścia Kaszu, aż do wyłomu Ili, dolina Kungesu-Ili, 4 do 7 mil szeroka, około 500 m. nad poziom morza wzniesiona, przedstawia poczęści wyborne pastwiska, poczęści żyzne, nawadniane sztucznymi kanałami (arykami) i starannie uprawne pola i ogrody (pszenica, proso, ryż, bawełna, morwy, tytoń, arbuzy, melony, jabłka, brzoskwinie, granaty, nawet winogrona). Wśród tych pól i ogrodów leżą liczne miejscowości, zamieszkałe przez Taranczów (wsie) i Dunganów (miasta), a najznaczniejszą z nich jest Stara Kuldża (około 30,000 mieszk.), dawna stolica Dżungarskiego państwa, znana już w wiekach średnich pod nazwą Almalig (Armalek), jako ważna stacya handlowa w tej krainie przejściowej. Z Kuldży lub jej pobliza rozechodzą się drogi w różne strony: dwie idą przez przejścia Talkin i Ziterte do doliny Borotala (w kącie środkowym) i łączą się w chińskiej miejscowości Dzinho, na południu Ebinoru, aby dalej, wzdłuż północnego stoku Thian-Szanu, przez Urumtsi i Barkul, osiągnąć Pekinu (jest to tak zwana droga północna — Thian-Szan-Pelu, dla odróżnienia od drogi południowej — Thian-Szan-Nanlu, ciągnącej się wzdłuż południowych stoków Thian-Szanu). Wzdłuż doliny Tekesu, przez przejście Mussart, prowadzi droga do Kaszgaru a wzdłuż Kungesu przez Narat — do Lob-Noru. Wzdłuż Ili idzie droga do miasta Wiernoje, a stąd jedna do Turanu (Taszkentu), a druga do Syberyi (przez Kopal do Siemipałatyńska). Niedaleko wspomianej już Starej Kuldży (nieco ku zachodowi), także nad rzeką Ili, leżało dawniej kwitnące miasto chińskie Nowa Kuldża. Podróżnik rosyjski, Radłow, który zwiedził te strony w r. 1862, opisuje ²⁾ Nową Kuldżę jako miasto rozległe i ludne (miało ono liczyć 300,000 mieszk. ³⁾), pełne sklepów, fabryk, ruchu i gwaru, leżące wśród pól uprawnych, ogrodów owocowych i sieci sztucz-

¹⁾ Przewalski w „Petermanns Mittheilungen, Ergänzungsband“ 1879 r.

²⁾ Obacz „Peterm. Mittheil.“ 1866.

³⁾ Obacz „Bulletin de la Soc. Géogr.“ Paryż 1879, str. 449, 500.

nych kanałów. Po bezpłodnych, monotonnych stepach Kirgizkich Kuldża wydała się Radłowskiemu, czemś czarownym. Wówczas Kuldżę, ów kwitnący, ludny węzeł dróg karawanowych, leżący prawie na skraju bezpłodnych stepów, można było, z większą jeszcze słusnością, niż Timbaktu, nazwać „królową pustyni“. Lecz wkrótce powstanie Dunganów przeciągnęło nad tem miastem, jak druzgocący huragan; to też gdy w 15 lat po Radłowie (1877 r.), inny podróżnik, dr. Regel ¹⁾, zwiedzał te same strony, zastał już tylko same zwaliska, a drogi wolne między gruzami, dawne ulice, były literalnie usiane czaszkami i kośćmi dawnych mieszkańców; dziś, mówi Regel, jest to „miasto kościotrupów“.

Zewnątrz kąta południowego, tam, gdzie rzeka Ili zwraca się na północo-zachód, dolina jej przybiera już charakter stepów.

3) Nakoniec obszerne stepy, trzecia geograficzna forma tej krainy, zajmują kraj Zailijski aż do północnych dolin Transilijskiego Alatau, niższą część kraju Siemireczyńskiego, między Ili i Lepsą, aż do jego wyższej części, t. j. do dolin Cisiliskiego Alatau; dalej wkraczają w kąt północny, a przez przerwę w jego boku południowym (między Alatau i Barłykiem)—w kąt środkowy i zlewają się dalej z pustyniami Mongolii. Powierzchnia tych stepów składa się z lotnego piasku, gliny i soli; prócz roślin solnych i krzaków saksaula pozbawiona jest roślinności. Tylko nad błotnistymi brzegami jezior stepowych porastają lasy trzciny, tak wysokiej, że w niej jeździec z koniem schować się może. W lasach tych kryją się dziki, ptaactwo wodne i zjadliwe owady, czasami nawet tygrysy. Kirgizi w czasie zimy schodzą tu z okolicznych gór ze swemi stadami i szukają w lasach trzciniowych schronienia przed stepowymi burzami: silne bowiem wichry, wiejące głównie od Mongolii i wdzierające się przez bramę między Barłykiem i Alatau, pędzą gwałtownie tumany pyłu lub śniegu i jak Samum grożą śmiercią ludziom i stadom; „to szatan stroi żarty* — powiadają Kirgizi.

¹⁾ „Peterm. Mittheil.“ 1879 r.

Śród tych stepów ciągnie się wieniec jezior gorzko-słonnych, mianowicie: Bałkasz, zewnątrz litery M, Sassik-Kul i Ala-Kul w kącie północnym, Ebinor w kącie środkowym (o górskim jeziorze Issik-Kul jużśmy mówili). Wszystkie te jeziora leżą prawie na jednym poziomie (niżej 250 m.), a trzy pierwsze z nich, jakieśmy już wspomnieli, w historycznych jeszcze czasach były z sobą połączone ¹⁾. Największym z nich jest Bałkasz, ciągnący się sierpowato z południo-zachodu na północo-wschód, mający blisko 18,500 km. □ obszaru, 600 km długości, 90 km. szerokości, 250 m. wysokości nad poziomem morza; głębokość nieznaczna, silne wiatry odstaniają nieraz spore części dna. Północne jego brzegi są wyższe i ściśle określone; z tej strony nie wpada do Bałkaszu żadna rzeka, wyjąwszy Ajaguz z Tarbagataju, wpadający w samym rogu północno-wschodnim. Brzegi południowe, przeciwnie: niskie, błotniste, porośnięte trzciną, otoczone piaszczystymi wyspami i półwyspami oraz lagunami, nie mają stałych zarysów, noszą „charakter amfibiczny“. Z tej strony wpadają (?) do jeziora liczne rzeki (Lepsa, Aksu, Bien, Karatal, Ili) prawie równoległe, jednak prawie żadna z nich nie dosięga w rzeczywistości jeziora, gubią się one w trzcinie. Te lasy trzcinowe i brak ujść rzecznych utrudniały niezmiernie podróżnikom rossyjskim zbadać Bałkaszu i tylko niepospolite ich doświadczenie w żegludze rzecznej, nabyte na wielkich rzekach Wschodnio-Europejskiej niziny, mogło pokonać te trudności. Oto jeden z wielu przykładów. Porucznik Infantjew popłynął r. 1852 statkiem w dół rzeki Lepsy dla dosięgnięcia Bałkaszu. Ponieważ stan wody w rzece był niski, trzeba więc było bagaże wysłać lądem; ale nawet mimo to, łódź na wielu mieliznach osiadała i musiano ją z wielkim trudem wyciągać. Po niesłychanych wysileniach podróżni dosięgnęli nareszcie końca rzeki i sądzili że tu skończyły się ich trudy; tymczasem one się tu dopiero właściwie zaczęły: okazało się bowiem, ni mniej ni więcej, tylko, iż rzeka nie ma ujścia, lecz gubi się

¹⁾ Ob. Spörer w „Peterm. Mittheil.“ 1868.

w trzcinie. Wtedy Infantjew każe wycinać drogę w trzcinie i kopać kanał od rzeki do jeziora na dwie wiorsty długi; lecz w tym kanale ilość wody była niedostateczna, aby łódź mogła płynąć; Infantjew i tem nie daje się zbić z tropu, wpada na prawdziwie genialną improwizacyę: z namiotów filcowych każe robić tamę ruchomą; tamę tę ciągną ludzie, idący po obu brzegach kanału w dół poprzed czółnem; woda po za niem wznosi się i czółno dosięga Bałkaszu.

Z rzek, zmierzających do południowego brzegu Bałkaszu, jedna tylko Ili dosięga go w rzeczywistości. Ili, o której częstośmy już wspominali przy opisie jej doliny, powstaje z połączenia dwu rzek źródłowych: Kungesu, wypływającego z okolic Naratu i Bogdo Ola, i z Tekesu, wypływającego z okolic Mussartu i grupy Chan Tengri. Do Kungesu wpada z lewej strony Zangma (Zangma), która przedstawia tę osobliwość, że płynie doń równolegle, w odległości tylko dobrej mili, a jednak dolina jej jest na 600 m. wyższa od doliny Kungesu. Z wysokości gór, dzielących obie rzeki, mówi Przewalski, widać jak na dłoni z jednej strony głęboko wyżłobioną dolinę Kungesu, z drugiej szeroką, wysoko położoną dolinę Zanmy. Kunges płynie w kierunku zachodnim i po połączeniu się z nadpływającym od południa Tekesem (do którego z prawej wpada Dzirgalan), tworzy rzekę Ili, która przyjmuje z prawej znaczny dopływ Kasz, płynący bystro wśród bardzo wąskiej doliny górskiej. Wszystkie dotąd wymienione rzeki, z wyjątkiem Tekesu, mają kierunek zachodni, są więc do siebie prawie równoległe. Dalej Ili nie przyjmuje już znaczniejszych rzek, a drobne strumienie górskie, spływające z pobliskich gór, ograniczających jej dolinę, po większej części nie dosięgają rzeki głównej, gdyż wodę ich zużytkowują mieszkańcy na irygacyjne kanały, koniecznie potrzebne do uprawy w klimacie tej całej krainy, który nawet w dolinie Ili okazuje się, choć w mniejszym stopniu, suchym i krańcowym (deszczo, prócz wiosny, padają rzadko, upał w Kuldży dochodzi w cieniu 38° R., mróz do 25° R.). Około fortu Ilijsk, tam, gdzie przez Ili przechodzi droga z Siemipałatyńska i Kopalu do Wiernoje, rzeka ta

przerzyna się krętym i stromym wąwozem przez skaliste płaszczyny najdalszych odnóg obu Alatau (Trans- i Cisilijskiego). Na porfirowych ścianach wąwozu widać wykute wyobrażenia Buddy i tybetańskie napisy („drukowane kamienie“), zabytki panowania Dżungarów, których państwo dotąd zapewne się rozciągało. Stąd rzeka zwraca się na północo-zachód i przez bezpłodne stopy dosięga Bałkaszu, tworząc rozgałęzioną deltę. Długość Ili od źródeł Tekesu wynosi przeszło 170 mil ¹⁾.

* * *

Ludy, zamieszkujące Dżungaryę, ten kraj przejściowy od etnograficznego obszaru ludów Mongolskich, buddyjskich, do Turecko-Tatarskich, mahometańskich, należą do obu tych gałęzi rasy Mongolskiej; do drugiej mianowicie: Kirgizi, Tarancze i Dunganie; do pierwszej: Kałmu(y)cy, Sibosy i Chińczycy; prócz tego w zachodniej części kraju mieszkają Rosyianie.

Kirgizi, ci nomadzi *par excellence*, beduini Azji Centralnej, dzielą się na Kirgizkajzaków, — spokojne pasterskie plemię, które zamieszkuje w lecie góry kąta północnego, a w zimie schodzi do lasów trzcinowych nad jeziorami — i na Karakirgizów (Diko-kamiennyje) albo Burutów, dzikie wojownicze i łupieskie plemię, żyjące na górach, ograniczających kotlinę jeziora Issik Kul. *Tarancze* (rolnicy), najliczniejsze plemię po Kirgizach, stanowią głównie ludność wiejską doliny Ili (od połączenia Kungesu z Tekesem do fortu Ilijskiego); są to przesiedleńcy z Kaszgaryi, osadzeni tu przez Chińczyków dla uprawy pól. *Dunganie*, zdaje się potomkowie Ujgurów, a więc plemię tureckie, ale schińszczone; mimo to jednak wyznają oni, podobnie jak i dwa ludy poprzednie — Islam, ale nie wiele więcej zeń wiedzą nad zakaz jedzenia wieprzowiny. Wysokiego wzrostu, silni, męźni, gościnni, są oni mieszkańcami miast i stanowią najbardziej cywilizowany żywioł Dżungaryi. *Kałmucy* (Eluty albo Ojraty) dzielą się na Dżunga-

¹⁾ Siemionow „Географическiй Словарь“ art. Ili.

rów i Turgutów; pierwszych nieliczne resztki, pozostałe po rozgromieniu przez Chińczyków w zeszłym stuleciu, zamieszkują niedostępną dolinę Kaszu; drudzy, przybyli tu w powrocie z siedzib nad Wołgą, zamieszkują doliny Kungesu, Tekesu i Dżyrganu; jest to lud po części pasterski, po części rolniczy. Sibosy, podobno rezultat skrzyżowania Chińczyków z kobietami kałmuckimi, lud rolniczy, zamieszkujący prawy brzeg Ili powyżej Ilijska.

Wszystkie powyższe nieliczne plemiona są to resztki tych ludów, które w ciągu *dziejów* stykały się i ścierały tu z sobą, w tej rynie odpływowej dla narodowych fal Azji Wschodniej. Najdawniejszymi (przed Chrystusem) mieszkańcami tej krainy, o których wspominają dzieje, byli Usuni, lud blondynów, a ściślej—rudyh, z niebieskimi oczyma, prawdopodobnie Indo-europejskiego pnia (Klaproth i Remusat); niektórzy jednak uważają go za przodków Kirgizów, wśród których i obecnie napotyka się osobniki o jasnych włosach i oczach (Siemionow). Usuni zniknęli, wyparci przez ludy tureckie, Hunnów i Ujgurów, ci zaś znowu musieli ustąpić z kolei Mongołom - Elutom, czyli Kałmukom. Z pomiędzy tych ostatnich najpotężniejszymi byli Dżungarowie. W wieku XVII wyparli oni swych pobratymców, Turgut-Kałmyków, którzy wynieśli się nad Wołgę, a sami założyli wielkie państwo Dżungarskie, które rozciągało się od mongolskiego chanatu Kulkas na wschodzie do Bałkaszu i od Syberyi do Thian-Szanu. Państwo to, którego założycielem był Galdan Bokoštu¹⁾, trwało przeszło wiek cały, wiodło zwycięskie walki z Chińczykami, napadając na ich miasta i posterunki wzdłuż „drogi północnej“ (Thian Szan Pelu), zajęło wschodni Turkiestan, a nawet część Tybetu. W wieku XVIII państwo Dżungarskie uległo zamieszkom wewnętrznym, z których skorzystał niejaki Amursana i opanował tron z pomocą Chińczyków; gdy jednak później usiłował wyłamać się z pod ich zwierzchnictwa, Chińczycy

¹⁾ Ob. „Das Kuldsha Gebiet“ w „Russische Revue“ 1870.

wysłali przeciw niemu wielką armię; wówczas Amursana uciekł pod opiekę Rossyi, do Syberyi, i tam umarł. Chińczycy zajęli jego kraj i do szczętu prawie wytepełili Dżungarów (blisko milion ludzi). Z zawojowanego państwa Dżungarów Chińczycy utworzyli namiestnictwo Ili, ze stolicą Nowa Kuldza, w której rezydował namiestnik (dsjan-dsjan). Była to chińska ukraina, chińskie pogranicze wojskowe, z koloniami żołnierzy, zesłańców i ubogich. Chińczycy przesiedlili tu Taranczów z Kaszgaryi dla uprawy pól; około tego czasu zapewne przesiedlili się tu ze wschodu (z prow. Kansu) chińscy muzułmanie, zwani Dunganami, i nakoniec powrócili z nad Wołgi, wygnani stąd przez Dżungarów, Turgut-Katmycy. Chińczycy zaprowadzili w tym kraju niepokojów ład i porządek: zakwitnął handel, powstały miasta, fabryki, kanały, kraj został zamieniony w jeden ogród; lecz przytem uciskali i wyzyskiwali mieszkańców, szczególnie rolników Taranczów. „Posiadał Taranczyn, mówi Ujfalwy ¹⁾, ładny jedwabny kaftan, to pierwszy lepszy Chińczyk mu go odebrał; miał piękną córkę lub żonę, to mu ją porwano, a gdy szemrał, to w dodatku ucięto głowę”. Chińczycy znajdowali oparcie tak nieludzkiego panowania w zasadzie „divide et impera”, we wzajemnej nienawiści różnorodnych etnograficznych pierwiastków tej krainy; lecz „biada Chińczykom—przepowiadał Radłow—jeżeli kiedyś nienawiść do nich stanie się silniejszą, niż nienawiść plemion między sobą. Gdyby tylko dwa z nich połączyły się z sobą, to panowanie Chińczyków zostałoby zniszczone”. I tak się rzeczywiście, jak zobaczymy, stało niebawem. Tymczasem od strony przeciwnej, od zachodu, zaczęła wkraczać tu nowa potęga, Rossyanie. Po roku 1830, rozszerzając podboje wśród Kirgizów, Rossyanie osiągnęli Bałkaszu, a w r. 1844 zajęli cały kraj Siemireczyński, zbudowali Kopal, założyli faktoryę w Kuldzy i zawiązali stosunki handlowe z Chinami. Na tę nową posiadłość rosyjską zaczęli napadać łupieżcy Buruci z Transilijskiego Ala-Tau, Rossyanie więc przeszli

¹⁾ „Unsere Zeit“ 1878.

rzekę Ili, zajęli kraj Zailijski i u wyjścia jednej z dolin założyli fort Wiernoje (1855 r.), dla trzymania na wodzy Burutów. Tym sposobem granice Rosyyi zetknęły się z granicami chińskiej prowincyi Ili, gdzie długi ekonomiczny ucisk władz chińskich wywołał nareszcie przewidywany wybuch: powstanie Dunganów i Taranczów, którym pomagali także Kirgizi (1863—65), srogo pomściło długoletnie krzywdy; Chińczycy i trzymający z nimi Turguci zostali prawie do szczętu wytępieni, miasta ich z ziemią zrównano. Pewien Taranczyn opowiadał Ujfalwemu, że jako wódz powstańczego oddziału, zdobywszy pewne miasto i znalazłszy w niem licznych mieszkańców, kłopotał się, iż bardzo dużo czasu kosztować będzie zabijanie ich; jednakże ludzie jego bardzo szybko rzecz załatwili, ustawiając do tej operacyi Chińczyków w szeregi. Gdy tak oczyszczono kraj od ciemieżców, Dunganie i Tarancze zaczęli się spierać o pierwszeństwo i wybuchła wojna domowa. Tarancze zwyciężyli i założyli chanat ze stolicą Kuldza, lecz w państwie tem panowały niepokoje, na czem cierpiały granice rosyjskie; chan Kuldży nie chciał zadość uczynić żądaniom Rosyyi; władzca Kaszgaru, Jakub beg, był także względem Rosyyi źle usposobiony. Rosyjanie więc, dla zabezpieczenia swych granic, obsadzili w 1870 r. przejście Mussart, a w 1871 r. po kilku utarczkach, zajęli Kuldzę. W kilka lat później Chińczycy zaczęli się upominać u Rosyyi o zwrot tej prowincyi, co o mało nie doprowadziło do wojny o tę przejściową pograniczną krainę; dopiero po długich rokowaniach dyplomatycznych udało się Chinom uzyskać to, czego żądali. Według traktatu, zawartego w Petersburgu w 1881 roku, granica obu państw idzie między 80° i 81° dłuł. wsch. od Greenw. z północy na południe, po większej części wzdłuż Chorgosu, prawego dopływu Ili i Małego Mussartu, prawego dopływu Tekesu; następnie biegnie wzdłuż Thian Szanu na wschód do przejścia Suok. Tak więc niebezpieczeństwo zostało wówczas zażegnane i kilkanaście lat następnych upłynęło spokojnie dla tej przejściowej krainy, która, jak mówi Ujfalwy, „byłaby rajem, gdyby jej człowiek od czasu do czasu nie zamieniał w pustynię”.

AFGANISTAN

i jego stanowisko geograficzno-dziejowe.

Afganistan w nowszych czasach stał się głośnym, jako „magazyn prochowy“ Azji, a może i Europy; za każdym razem, gdy iskra pada nań, politycy i geografowie z trwogą i zajęciem natężają uwagę i usiłują przewidzieć, jak dalekie obszary obejmie wybuch. Nie bez interesu więc zapewne będzie i dla naszych czytelników *geograficzny zarys Afganistanu*, jaki tu dać zamierzaliśmy, ze szczególnem uwzględnieniem jego geograficzno-strategicznych stosunków.

Interes, jaki budzi Afganistan, zależy głównie na ciągłym zbliżaniu się rosyjskich bagnetów, ku jego północnej krawędzi: „orzeł dwugłowy — mówi Vambery — coraz dalej rzuca cię swych skrzydeł od Kaspii i Jaxartu po za Oxus ku podnóżom Hindukuh!“ Stosownem przeto wydaje się nam rzucić przedewszystkiem choć przelotnie okiem na *historyczne i przestrzenne warunki* tego tak ważnego w dzisiejszej polityce zjawiska.

Od chwili, gdy w roku 1580 „północny Pizarro“ na czele kozackiej watahy przekroczył „Pas Kamienny“, rozpoczynają się podboje rosyjskie w Azji i trwają dotychczas; jakkolwiek bowiem kozacy przelecieli, rzec można, galopem Syberyą i po kil-

kudziesięciu latach stanęli już nad cieśniną Beringa, to jednak Rosya nie dosięgnęła jeszcze wszędzie naturalnych granic.

Na przestrzeni między zachodnimi odnogami Altaju a Uralem stepy południowo-zachodniej Syberyi zlewają się bez przeszkody ze stepami Turanu (Kirgiskie), ową dziedziną Arimana, „krajną piekielną“ (Tartarya), solno-piaszczystą, bezwodną, bezdrzewną, z horyzontem bez końca, tęsknym jak nieziszczone pragnienie; gdzie „każda kropla wody jest kroplą życia“, gdzie samotne drzewa są czczone jako osobliwość i świętość, gdzie powietrze drżące nad rozpalonym piaskiem tworzy ruchome miraż, a słone bagna chłoną wędrowca w swych zdradliwych głębiach; gdzie tumany piasku (tebbad) w lecie, a śniegu (buran) w zimie przebiegają pustynię „jak demony“, a w zawody z nimi—ruchliwe hordy łupieskie, co „nie spoczywają ani pod cieniem drzew, ani pod opieką króla“, „na koniu nie znają ni ojca, ni matki“, co „łączą się z wrogiem, łupiącym kibitkę ojcowską“—i gdzie tylko nad nielicznymi rzekami „siewcami złota“ (Serafszan) powstało życie osiadłe, uciśnione, niewolnicze, pogardzane i pogardy godne (Tadziki, Sarty).

U wrót takiej krainy stanęli Rosyanie, podbiwszy Syberyę; tu już i *geograficzne* i *etnograficzne* względy pchały ich naprzód, nie mogli się już powstrzymać, jak kula tocząca się po równi pochyłej i od tego czasu posuwają się ku południowi „z żywiołową koniecznością sił przyrody“, „refleksyjnym ruchem człowieka dręczonego przez muchy“. Albowiem na całym tym obszarze aż do Iranu nie napotkali naturalnej granicy, pierwsze zetknięcie się z Kirgizami było niby kamykiem rzuconym w mrowisko: pobiwszy jedno plemię, a nieuzyskawszy strategicznej granicy, wikłali się w wojnę z drugim: po Kirgizach, Kokańcach, Chiwińcach, Bucharcach przysła kolej na *Turkomanów*.

Kraj Turkomanów leży między Amu-Darią na północy, północną krawędzią Iranu na południu i morzem Kaspijskim na zachodzie. Łańcuch skalistych, dziko poszarpanych gór, ciągnący się od zatoki Bałkan na południo-wschód do krawędzi Iranu (Paropamizus), pod nazwami: Bałkan, Kiurrendag i Kopetdag dzieli Turkmenię na dwie części: południową i północną.

Południowa część, zasłonięta od północnych wiatrów górami, zraszana wodami Atreku i Giurgieniu, żyzna i wydająca płody południa, jest jedną z najrozkoszniejszych krain na ziemi. Pełno tu romantycznych widoków, skał stromych, łąk kwiatnych, niw bujnych, lasów i kryształowych strumieni, spadających w kaskadach ku rzekom głównym. „Tu — mówi pewien podróżny — łączy się wdzięk krajobrazów angielskich, z majestatycznymi formami świata alpejskiego“. Tu spotykamy ślady dawnej cywilizacji w ruinach miast i kanałów, na miejscu których obecnie leżą tylko nieliczne wsie Turkomanów, a w pobliżu ujścia Atreku nad morzem Kaspijskim rosyjski fort Czykisar.

Północna część wogóle zupełnie odmienny przedstawia widok. Składa się ona z bagnisto-solnej wyżyny Ust-Urt między morzem Kaspijskim i Aralskim i z piaszczystej pustyni Karakum na południe od Amu-Darii. Jest to kraina bezwodna, nie liczne studnie nad drogami karawanowymi zawierają wodę słoną, gęstą, o nieprzyjemnej siarczanej woni. Gorąco dochodzi tu 54° C., a powietrze napełnia pył tak subtelny, że przenika przez namioty filcowe, pudruje włosy, sprawia zapalenie w oczach i trzeszczenie w zębach; oraz miryady owadów tak dokuczliwych, że od ich ukąszeń wielbłądy z bólu tarzają się po ziemi, a czasem nawet zdychają. Roślinność tylko zrzadka daje się spotykać i składa się z krzaków ciernistych, roślin solnych i twardej trawy, stanowiącej paszę dla wielbłądów. I ta kraina jednak inną była niegdyś, miała w swych dniach młodzieńczych chwile potęgi i świetności. „Depeçemy tu nieraz — mówi dr. Jaworski ¹⁾ — po milowych zwaliskach, których minioną świetność zdradzają zabytki starożytnej kultury, o której jednak dzisiejsze pokolenia nie mają żadnej świadomości. I nic w tem zaiste dziwnego, gdyż hordy światoburzców — Czyngischana, Tamerlana i Nadira przesunęły, jak straszliwy huragan ponad tą krainą, a śmiertelne technienie pustyni dokonało dzieła zniszczenia“. Wogóle Turan

¹⁾ Ob. Petermann's „Mitteilungen“, 1883, str. 410.

jesf „krainą upadku, gdzie wysychają źródła, opadają rzeki, rujnują się kanały, morza zamieniają w jeziora, jeziora w kałuże, a te ostatnie w wykwity solne, albo przestrzenie piaszczyste“. Podanie ludów tutejszych mówi, iż „żaby wypłyły morze, a teraz dopijają jego resztek — Kaspijskiego i Aralu“¹⁾.

Tylko na skraju tej pustyni wzdłuż północnych stoków Kiurrendagu i Paropamizu ciągnie się szereg zielieniejących oaz, błogostawionych krain Ormuzda, staczających śmiertelną walkę ze spiekłami piaskami pustyni Arimana; walkę zupełnie analogiczną do tej, jaką według pojęć egipskich staczał Osiris z Typhonem. Szereg tych oaz u stóp Kiurren—i Kopetdagu zowie się Achal-oazą; tu wśród bujnych niw i ogrodów leżą turkomańskie osady, jak Kizil Arwat i Beurma, zdobyte przez Rosyan, Geok-Tepe, ów „garczek gliniany“, jak go nazywali Rosyanie, który został zdobyty przez Skobelewa (1881 r.); nakoniec Aschabad. Na wschód od Achal-oazy u stóp Paropamizu nad rzekami, spływającymi z Afganistanu (Tedżend i Murghab), już na progu do tego kraju, leżą jeszcze dwie oazy Sarachs i Merw, też w nowszych czasach zajęte przez Rosyę. Ważniejszą z nich jest *oaza Merw*.

Jak żyzny Egipt jest „darem Nilu“, tak Merw jest darem bystrej i głębokiej rzeki Murghab (Marghus starożytnych), spływającej z Paropamizu. Rzeka ta tworzy na wysokości 170 m. wązką (2 mile) i długą (30 mil) oazę i ginie w palących piaskach pustyni. Dzięki swej żyzności, tak kontrastującej z bezpłodnością okolicznej pustyni, Merw był znany i słynny już w głębokiej starożytności. Merw to „piękny i święty“ Mouru Zend-Avesty, trzecia z rzędu kraina obfitości, stworzona przez dobrego Ormuzda. Później u Strabona znajdujemy znów Merw (Margiana), jako nadzwyczaj żyzną oazę, którą Antiochus Soter otoczył murem na 1500 stadyi w obwodzie. Winogrona miały tu rosnać tak bujnie, że pnie ich zaledwie dwóch ludzi obejmować mogło, a grona

¹⁾ Ob. „Aus Allen Weltteilen“, 1885, str. 90.

bywały na dwa łokcie długie. Podobnie arabscy geografowie sławią żyzność Merwu i zowią go „królem świata“ (Merw Szach Dżechan). Kalif Al Mamun obrał go sobie za rezydencję; był on wtedy pełen pałaców, ogrodów, gajów, strumieni, kwitną uprawą jedwabiu, bawełny i melonów, był siedliskiem nauk. Upadek zupełny Merwu datuje od końca zeszłego wieku, gdy chan Buchary, zawojowawszy tę oazę, zniszczył groble i kanały, a mieszkańców uprowadził w niewolę. Oaza stała się pustynią; aż dopiero w r. 1834 osiedliło się tutaj jedno plemię Turkomanów i zajęło uprawą zboża i melonów, oraz hodowlą wielbłądów.

Turkomanie, czyli Turkmeni (w liczbie około 1 miliona), są narodem tureckiego plemienia, u którego typ turecki, dzięki niedostępności pustyni, zachował się najczyściej; są to, jak się wyraża Vambery, „Turcy *par excellence*“. Turkomanie dzielą się na kilka pokoleń, jako to: Jomudów, żyjących nad dolnym Giurgenem, Atrekiem i na północ od niego i należących nominalnie częścią do Rosyi, częścią do Persyi; Goglanów między Atrekiem i Giurgenem (na wschód poprzednich), którzy należą do Persyi. Na północ od Jomudów, na półwyspie Mangiszlak żyją podlegli Rosyi Ogurdzale, Szichco lub Szichlary i wogóle mieszanina różnych pokoleń. Tekowie, pokolenie do niedawna niepodległe, najpotężniejsze (blisko połowa wszystkich Turkmenów), dzielą się na Achal-Teków i Merw-Teków, zamieszkujących oazy, od których noszą swe nazwy; Turkmeni Saryk i Salera mieszkają nad Murgahabem w górę od Merwu i nad Tedżendem.

Co do cech zewnętrznych, to Turkmeni są smukli, ale do brze zbudowani, łatwo znoszą głód, oraz niewygody klimatu i dalekich podróży. Zmysły wzroku i słuchu nadzwyczaj rozwinięte. Cera ciemna, prawie brązowa, kości policzkowe wydatne, lecz nie tak znacznie, jak u Kirgizów. Oczy małe i głęboko osadzone, zmrużone, zapewne skutkiem blasku i pyłu pustyni, lecz spojrzenie śmiałe, dumne i pełne zaufania w swe siły. Włosy na głowie i brodzie kruczej czarności, zęby olśniewająco białe. Tu i owdzie zdarzają się piękne kaukaskie typy wskutek skrzyżowania z perskimi brankami. Noszą długie, szlafrokowego kroju

odzienie, czapkę bardzo wysoką barankową, która chroni od zima, jak również od promieni słonecznych, i służy za poduszkę. Strój kobiet tem się różni, że zamiast czapki noszą na głowie szale, oraz różne ozdoby ze złota, srebra i różnobarwnych kamyków, i to w takiej ilości, że twarz ich, której nie zasłaniają, wygląda jak „święty obraz w kaplicy“. Za mieszkanie służą namioty filcowe stożkowego kształtu, podobne do uli (Kirghahs). Jedyne ich upiększenie stanowi rozwieszona na ścianach różnorodna broń.

Turkmeni wiodą życie po części osiadłe, po części koczujące. Osiedli zajmują się już-to rybołówstwem, dozywaniem soli i nafty na wybrzeżach i wypuch morza Kaspijskiego, już rolnictwem (pszenica, jęczmień, ryż, proso, a przeważnie rodzaj kukuzydzy dżugara, która daje 200 ziarn; z owoców arbuzy i melony). Turkmeni koczujący trudnią się hodowlą bydła, owiec, koni i wielbłądów; jednak uboga kraina zmuszała ich do szukania zyskowniejszego zarobku w rabunkach, w niespodzianych napadach na Chiwę i północną Persyę; Turkoman jest „rabusiem z profesyi“. Z tych rabunków zasłynęli szczególnie Tekowie; wyprawy ich sięgały na mil 150; z jednej strony przeszkadzali oni handlowi karawanowemu między rosyjskim portem Krasnowodzkiem (nad zatoką Bałkan) i Chiwą, z drugiej, dostając się doliną Tedżendu do Iranu, zamienili okolicę Meszedu w pustynię. W północnej Persyi napady ich były postrachem i zarazem podstawą chronologii. Życie takie wyrobiło w Tekach charakter okrutny, tembardziej, że Persowie, gdy im się udało schwycić rabusiów, mścili się na nich straszliwie: „gdy spotkasz — mówią oni — żmiję i mieszkańca Merwu, to wprzód zabij mieszkańca Merwu“. Oto co w tym przedmiocie powiada Stein (w Petermann's „Mittheilung“, 1860 r.). W roku 1861 łupieżka banda Turkomanów (alaman), która zapędziła się w okolice Meszedu, została przez Persów rozbita, przyczem około stu Teków dostało się do niewoli. Z najwyższego rozkazu powiązano im ręce i nogi, przykuto do żelaznych sztab i popędzono mil 150 do Teheranu, gdzie mieli być rozstrzelani. Ministrowie, chcąc urządzić ludowi widowisko we-

dło gustu, rozkazali przywiązać tych nieszczęśliwych do murów miejskich i rozstrzeliwać oddziałowi piechoty z odległości 300-tu kroków. Niewprawni w strzelaniu, Persowie bardzo źle trafiali w swe żyjące tarcze i ten charakterystyczny sport mógłby się być przedłużać do nocy, gdyby posłowie europejscy nie byli się w to wdali i nie skrócili mąk tych nieszczęśliwych przez to, że oddział piechoty został posunięty bliżej. Mimo to, strzelanie trwało do wieczora. Wielu jeńców uwolnionych przez kule, które poprzecinały powrozy, wlokło się umyślnie ku strzelającym, aby przedź mękom koniec położyć. W roku znów 1875 dla nowomianowanego gubernatora Chorossanu urządzono powitalną uroczystość, dla uświetnienia której dwudziestu schwytanych Turkomanów nadziano na bagnety i obnoszono dokoła.

Życie wśród ciągłych niebezpiecznych łupieżkich wypraw wyrobiło w Turkomanach wielkie zamiłowanie do koni. Ręczęści i wytrzymałości konia zawdzięczał Turkoman życie; bez konia zginąłby niechybnie, z koniem był królem pustyni. To też konie opiewają oni w pieśniach pod nazwą „czuprasli“, t. j. bystry, ręczy (tylko w zastosowaniu do konia) i „karughli“, t. j. wojownik i koń.

Mimo srogości dla wrogów, wywołanej łupieżkiem życiem i straszliwemi odwetami Persów, Turkomanie nie pozbawieni są szlachetnych stron charakteru, które wyrażają się w wolnem stanowisku kobiety (mimo rzadkiej zresztą poligamii), przywiązaniu do dzieci, zamiłowaniu w poezji narodowych bardów, czei dla poległych bohaterów, wierności danemu słowu (rewers pozostaje tam w rękę dłużnika nie wierzyciela), gościnności, mężtwie i nieograniczonem zamiłowaniu wolności. To ostatnie posuwają oni aż do negowania wszelkiej władzy, wyjąwszy chwilowych wodzów w czasie wyprawy lub niebezpieczeństwa, gdy woda grozi przetrwaniem grobli i zalaniem oazy. Zresztą chan nosi tytuł tylko tak sobie, dla przyjemności. Niemożebną też do urzeczywistnienia była niedawno w Anglii powstała myśl utworzenia z Turkomanów jednolitego państwa jako przedmurza Afganistanu i Indyi od strony Rosyi. Rosya ze swej strony tak dla zabezpieczenia han-

dlu, jak i swych granic od ciągłych napadów, musiała raz skończyć z Turkomanami, opanowała ich oazy, nareszcie ich główne ognisko Merw. Zająwszy Merw, Rosya zagroziła Afganistanowi, a pośrednio — indyjskim posiadłościom Anglii.

Stein, mówiąc w zacytowanej wyżej pracy o konieczności podbicia Turkomanów, tak kończy: „kończymy życzeniem, aby obie wielkie potęgi europejskie (Rosya i Anglia), których interesa w Azji są tak zaangażowane, mogły się porozumieć w interesie najwyższego dobra ludzkości, aby wspólnym usiłowaniem położyć koniec azyatyckiemu barbarzyństwu i dopomóc do zwycięstwa dzieła cywilizacyi.“

Przytaczając przed kilkunastu laty powyższe słowa, uczyniliśmy następującą uwagę:

Piękne to zaiste, lecz, naszym zdaniem, zbyt idylliczne życzenie; albowiem do tych *szczególnych*, miejscowych, geograficzno-etnograficznych czynników posuwania się Rosyan w Turanie, któreśmy na początku wymienili, dołączają się jeszcze *ogólniejsze*, a mianowicie: dążenie ludów kontynentalnych do wyłamania „krat kontynentalnego więzienia“, aby z okrzykiem „talassa“ wstąpić na ów „najdogodniejszy most międzynarodowych stosunków“ i powtórnie: odwieczne dążenie ludów północnych ku bogatym krajom południa drogami, stanowiącemi przerwy w górskiej równoleżnikowej osi Starego Świata. Objawy dziejowe, związane z warunkami geograficznymi, mają cechę stałych praw; zmieniają się aktorzy, t. j. państwa i narody, lecz nie zmienia idea. Rosya w Europie objęła dążenie ku południowi (przez bramę Czarnomorską) po Waregach, w Azji (przez Turan i bramę Chorosszańską) po Mongołach. Wolno, ale nieustannie, krok za krokiem posuwa się „olbrzym północy“ ku południowi przez stepy Turanu; z pierwotnych pikiet kozackich powstają miasta, w miarę jak linia pikiet posuwa się dalej. Projekta kolei żelaznej, ku półnózom Hindukuh i odnowienia koryta Amu-Darii, usadowienie się nad ujściem Atreku, którego dolina jest najdogodniejszą drogą do Merwu i wciąż ponawiające się wyprawy w tę stronę — wszystko to dowodzi, że chmura gromowa, dążąca z północy,

wciąż zbliża się, potężnieje, nabrzmiewa... A gdy pioruny wypadły z niej rozlegną się kiedyś wśród śnieżnych szczytów Hindukuh i Pamiru, to potężnym echem wstrząsnąć mogą w posiadach cały Łąd Stary od Atlantyku do oceanu Wielkiego.

Słowa te zaczynają się spełniać: echa strzałów odbijały się już o zachodnie gałęzie Hindukuh i Rosya, zbudowawszy kolej zakaspijską prawie do bram Heratu, postawiła nogę na próg Afganistanu.

I.

Między górnemi częściami Indu (Attok) i Amu Darii (Kunduz), gdzie najbardziej zwęża się (do 60 mil) „pacierzowy grzbiet“ wielkiego azyatyckiego kontynentu, wyżyna Iranu północno-wschodnim kątem trapezu (Hindukuh) przytyka do olbrzymiej wschodnio-azyatyckiej wyżyny (Pamir, „Dach świata“) i niby tępym klinem oddziela surowe i mroźne niziny Azji północnej — dziedzinę ruchliwych, wojowniczych nomadów, od zwrotnikowych rozkosznych nizin Hindostanu — owej „krainy cudów“, owego „celu zdobywców“. Klin ten, to *Afganistan*, Drangiana i Arachosia starożytnych. Pasztunka (Paktunka) Afganów.

Już samo wyżej oznaczone *położenie* Afganistanu uczyniło go krajem przejściowym („Das Land der Passage“, „Durchzugsland“ u Rittersa) między centralną i zachodnią Azją z jednej a Indyanami z drugiej strony; rzeczywiście bowiem, wykluczysz drogę morską, która przed odkryciem Portugalczyków i rozwojem żeglugi mało była używana, kto chciał dostać się do Indyi, ten musiał przejść Afganistan. Ztąd przysłowie Indusów: „nie może być panem Indyi, kto nie stał się wprzód panem Kabulu.“ To znaczenie Afganistanu, jako kraju przejściowego, które wywarło wielki wpływ na jego etnograficzne i dziejowe stosunki

znajduje poparcie także w jego *oro- i hydrograficznych* warunkach, do których obecnie przechodzimy ¹⁾).

II.

Afganistan w ścisiejszem znaczeniu, jako pewna fizyko-geograficzna, a po części i etnograficzna całość, przedstawia czworokątną wyżynę wielkości półwyspu Pirenejskiego ²⁾, która na północy i wschodzie ma za naturalne granice potężne góry skrajne — Hindukuh i Soliman; na zachodzie zaś i południu, jakkolwiek nie posiada tak wybitnych granic geograficznych, to jednak ciągnące się tam trudne do przebycia pustynie Persyi i Beludżystanu, oddzielając Afganistan od reszty wyzny, zapewniają mu i z tych stron przynajmniej granice strategiczne ³⁾.

A) Góry skrajne. 1. *Góry Soliman* ciągną się z południa na północ, równolegle z Indem, do wylomu rzeki Kurum. Są to nagie, dziko poszarpane, skały wapienne, spadające ku nizinie Indu stromemi ścianami i krótkimi tarasami; tarasy te poprzedzielane są przez liczne łańcuchy gór, wznoszące się rów-

¹⁾ Fakta do niniejszej pracy czerpaliśmy z Rittera „Erdkunde“, Reclus'a „Nouvelle Geogr. Univers.“, artykułów Vanbery'ego i Trumppa w „Unsere Zeit“ i „Allg. Ztg.“, z czasopism wojskowych: „Wehr-Ztg.“, „Vedette“ i t. d., pozostawiając sobie samodzielność usystematyzowania i niektórych wniosków.

²⁾ Wymiary geometrycznego czworokąta są następujące: bok północny = 160 mil, wschodni = 130, południowy = 120, zachodni = 80. Przekątnia dłuższa, od Barogilu do jez. Hamun = 200 mil, przekątnia krótsza od wylomu Herirudu w Paropamizie do południowego końca Solimanu = 150 mil. Powierzchnia tego geometrycznego czworokąta jest nieco większa od geograficznego, gdyż geograficzne boki północny i wschodni zaginają się we wnętrze figury geometrycznej.

³⁾ *Polityczne granice* Afganistanu niezupełnie zgadzają się z jego granicami naturalnymi i na północy daleko po za nie wybiegają.

noległe do głównego, jeden za drugim, „w militarnym szyku“. Jeden z najwyższych szczytów, Takti Soliman („tron Salomona“), leżący w połowie łańcucha, w odległości 14 mil od Indu sięga przeszło 11000'. Na północ wyłomu rzeki Kurum góry rozgałęziają się i tracą nazwę Solimanu; te, które ciągną się nieco ku północo-wschodowi, na granicy Afganistanu, noszą nazwę gór Solnych, z powodu obfitości soli kamiennej; dalej na północ, do wyłomu rzeki Kabulu, ciągną się góry Khyber.

Przez tę wschodnią krawędź wyżyny Afgańskiej prowadzi kilka przejść (*kotul* Afganów), które łączą świat Irański z Indyjskim; najważniejsze z nich są: Guleri, utworzone wyłomem rzeki Gomal, dalej ku północy wyłom rzeki Kurum i nakoniec słynne przejście Khyberskie, leżące nieco ku południowi od wyłomu rzeki Kabulu; w samym zaś wyłomie skały przypierają bezpośrednio do rzeki i czynią przejście niemożliwym. Na północ wyłomu Kabulu ciągną się między dolinami Kunaru i Indu już południowe gałęzie Hindukuh.

2. *Góry Hindukuh (Caucasus Indicus) i Paropamisus* starożytnych), złożone ze skał gnejsowych i paleozoicznych, ciągną się z północo-wschodu na południo-zachód, od wyłomu Indu i gór Karakorum do zachodniej granicy Afganistanu, to jest do rzek Murghab i Herirud, gdzie te zwracają się ku północy. W ścisłym znaczeniu nazwę Hindukuh nosi tylko wschodnia, wyższa część północnej krawędzi Afganistanu (z wierzchołkami do 25000', leżącymi jednak nie w głównym łańcuchu, lecz w jego południowych odgałęzieniach) do wąwozów Bamiańskich, pochylająca się na północ ku dolinie Amu-Darii, a na południe ku dolinie Kabulu. Hindukuh wysyła odgałęzienia prawie prostopadłe do linii rzeki Kabulu, oddzielone od siebie dolinami lewych jej dopływów (Ghorbendu, Pandżiru i Tagau, Aliszengu, Kunaru, Pandżikory i Swatu). Doliny te, noszące po części miano Kohistanu, po części (ku północy) Kafiristanu, są w dolnych częściach bardzo żyzne, pokryte ogrodami drzew owocowych i łąkami zboża. Najbardziej z tych gałęzi Hindukuh wysunięta na wschód,

zwana górami Lahori (szczyty do 22000'), oddziela się od głównego łańcucha między dolinami Kunaru i Indu (Gilgit), wysyła ku południo-zachodowi poboczne gałęzie, rozdzielone dolinami Pandzikory i Swatu i przecięta przez ich połączenie, Lundi, dobiega rzeki Kabulu na północ Khyberu. Ta gałąź Hindukuh, wraz z Solimanem, tworzy wschodnią krawędź wyżyny Afgańskiej.

Przez główny grzbiet Hindukuh prowadzą z Turanu do Afganistanu przejścia liczne, lecz bardzo uciążliwe; niektóre bowiem przewyższają wysokość szczytów Alpejskich, i z tego powodu przez większą część roku są niedostępne (śniegi i wody powstałe z nich). Z kilku przejść w północno-wschodniej części gór najdogodniejsze jest Barogil (12,000'), prowadzące z wyżyn Pamiru na dolinę Kunaru; według zdania Biddulpha, „główny grzbiet azjatyckiego łańcucha można tu łatwo przebyć w powozie.“ Ku zachodowi przejścia są daleko wyższe, przewyższają wysokość Mont-Blanc'u i przez cały rok są zawałone śniegami i lodami; dogodniejsze z nich są: Nuksan („droga niedoli“) i Dora. Nieco na wschód Nuksanu w bocznej gałęzi gór wznosi się najwyższy szczyt Hindukuh: Tiracz Mir (25000'). W zachodniej łukowatej części gór, objętej z obu stron, północnej i południowej, przez dwa bardzo rozgałęzione i głęboko w góry sięgające systemata rzeczne, Kunduzu (Surkhab i Inderab) i Barauu (Ghorbend i Pandzir), których cztery doliny tworzą romb, przejścia, prowadzące z jednego systematu do drugiego, cisną się obok siebie i są niższe od dwóch poprzednich; a mianowicie zaczynając od wschodu: Chewak (przeszło 12000', prowadzące z Inderab do Pandziru, Tal, Saria, Sze-wa, Bazarak Szatpał, Parwan, Doszak (Sar Alang), Kuoszan (Kipczak), którym Baber wkroczył z północy do Kabulu, Gwasgar, Czardar, Farindshal, Szibertu (Szabar), i na koniec słynne wąwozy Bamiańskie. Te ostatnie leżą na zachodnim krańcu właściwego Hindukuh i prowadzą bezpośrednio do doliny Kabulu. W tym punkcie gór różni autorowie podają różne nazwy przejścia, tak, iż nieświadomy rzeczy nie może rozstrzygnąć, jakie właściwie przejście prowadzi tędy z Chulm do Kabulu; pochodzi to złąd,

że wskutek znacznego rozszerzenia się pasma gór w tem miejscu, droga, przecinająca je, musi przechodzić, nie jeden (jak zwykle podają), lecz kilka wąwozów, z których trzy południowe: Unna (11000'), Hadżjak (12000') i Irak (13000') (ten ostatni w tymże samym łańcuchu, co poprzedni, lecz nieco dalej na północ, między Hadżjakiem i Szibertu) są wyższe, trzy zaś północne: Akrobat, Dendanszikan i Karakotul — niższe. Dendanszikan jest z nich najniższy, ale bardzo przykry, czego wymownym dowodem jest sama nazwa, znacząca: „wybijacz zębów“. Między temi dwiema grupami przejść leży, zamknięta górami, wysoka równina Bamianu, sięgająca wysokości równin Quito i Bogoty w Kordylierach (przeszło 8000'). Okolice Bamianu były w odległej starożytności miejscem świętem buddyzmu, który tu osiągnął z Indyi przez Kabul. Liczne groty, służące niegdyś za pustelnie, któremi obie ściany bamiańskiej drogi podziurawione są, według wyrażenia Burnesa, „jak plastry miodu“; dwa olbrzymie kolosy, tak zwane But-Bamian (wyższy 140' według Jaworskiego) wykute w tychże ścianach, i inne pamiątki świadczą o rozwoju buddyzmu w tych stronach przed spustoszeniem ich przez Dżengis-chana. Przejścia Bamiańskie noszą jeszcze nazwę Hindukusz, która niewłaściwie została rozprzestrzeniona na cały łańcuch ztąd na wschód do Karakorum. Nazwa ta znaczy „zabójca Indów“ i, według Ebn Batuty, ma pochodzić ztąd, że niewolnicy indyjscy, prowadzeni niegdyś przez te wysokie wąwozy do Turkiestanu, z powodu dotkliwego dla nich zimna, umierali w znacznej liczbie.

Na południo-zachód od wąwozów Bamiańskich, między górnymi dolinami Hilmendu na południu, a Surkhabu (Kunduz) i Dehasu (Balk) na północy, ciągną się ku źródłom Murghabu i Herirudu, góry Kohi-baba („matka gór“) z wierzchołkami na 18000'. Na źródłowiskach obu tych rzek góry rozszczepiają się na trzy łańcuchy, tworząc niższą, ale dziką i niedostępną krainę Hazareh, zwaną w starożytności Paropamizem. Obecnie części tych gór noszą różne nazwy: średni łańcuch zwie się głównie Sefidkuh, t. j. „góry białe“, a południowy Siahkuh, t. j. „góry czar-

ne“. Między średnim łańcuchem i północnym leży niezdrowa dolina górnego Murghabu (Meruczak), o której istnieje przysłowie: „woda Meruczaku zabija tak szybko, że Allah nie ma czasu dowiedzieć się o tem.“ Między średnim łańcuchem a południowym leży dolina górnego Herirudu czyli Heratu. Równina Heratu (2600'), ograniczona górami i zroszona licznymi kanałami Herirudu, pokryta ogrodami i lasami drzew owocowych, obfitująca w róże, przedstawia, podobnie jak doliny Ispahanu i Szirazu, rajski widok. Herat z tego powodu otrzymał miano „miasta 100,000 ogrodów“, „perły Chorossanu“. Mimo piękności okolic, samo miasto Herat, jak wogóle miasta na wschodzie, należy do najbrudniejszych w świecie: na ciasnych ulicach napotyka się cuchnące kałuże, nieczystości i padlina. Gdy angielski podróżny, Conolly, objawił pewnego razu swe zdziwienie, iż, mimo takich brudów, klimat Heratu jest zdrowy, pewien Heratczyk odrzekł: „gdyby brud zabijał, to gdzież możnaby znaleźć Afgana?“

B) Wyżyna. Między powyższymi dwoma łańcuchami granicznymi (Solimanem i Hindukuh), zbiegającymi się pod kątem ostrym na północo-wschodzie w pobliżu przejścia Barogil, rozciąga się wyżyna Afganistanu, napełniona licznymi łańcuchami gór, rozłożonymi wachlarzowato między ramionami kąta; a ponieważ ramiona te przy końcach wyginają się rozbieżnie, więc całość przedstawia się nakształt kielicha kwiatu, z którego wychodzą liczne pręciki (rzeki). Wyżyna ta ma dwie główne pochyłości—wschodnią i zachodnią. Linia, dzieląca te dwie pochyłości i stanowiąca główny dział wodny Afganistanu, idzie od zachodniego krańca, właściwego Hindukuh, na południe przez wyżynę Ghazny; następnie wstępuje na łańcuch gór, ciągnący się do południowych granic Afganistanu pod różnymi nazwami (Džadran, Kohnak, Toba, Czappar), uogólnianemi na niektórych mapach pod jedną nazwą „zachodniego Solimanu“. Każdą z powyższych dwóch części wyżyny przerzynają, w kierunkach przeważnie ukośnych do głównego działu wód, łańcuchy gór porozdzielane dolinami rzecznyemi, tworzącemi odosobnione krainy.

1. *Łańcuchy i krainy wschodniej części.* Na północy gór Džadran ciągną się od wyżyny Ghazny i rzeki Logaru na wschód do gór Khyberu wzdłuż 34° szer. góry Sefidkuh (po persku), czyli Spinghar (po afgańsku), ograniczone z północy i południa dolinami Kabulu i Kurumu. Góry te przeszło 16000' wysokie (szczyt Sikarani), pokryte wiecznymi śniegami (z kąd pochodzi ich nazwa „góry białe“), wysyłają ku północy odgałęzienia, spadające stromo ku rzece Kabul i oddzielone często tylko szerokością jej łożyska od przeciwnych odgałęzień Hindukuh.

Sefidkuh odrzyna od Irańskiego trapezu jego północno-wschodni róg i tym sposobem wraz z górami Hindukuh tworzy trójkąt o zaokrąglonym nieco rogu zachodnim, oraz o boku południowym, przerwanym w części zachodniej (ku wyżynie Ghazny), albowiem Sefidkuh nie dochodzi tu do Hindukuh. Trójkąt ten obejmuje dorzecze Kabulu, które konturami swemi przypomina dorzecze Padu, ale przewyższa je skalą wymiarów pionowych. Dorzecze Kabulu w części południowej, wzdłuż rzeki głównej, przedstawia wyżynę Kabulu, zwaną Kabulistanem; w części zaś północnej — krainę górzystą, napełnioną odnogami Hindukuh i zwaną, jak już wiemy, Kohistanem i Kafiristanem.

Kabulistan składa się z dwóch tarasów: zachodni wyższy taras stanowi wyżyna Kabulu, w ścisłejszem znaczeniu (miasto Kabul 6000'), wschodni niższy — wyżyna Dżellalabadu (miasto Dżellalabad 1800'). Granicą między niemi jest rzeka Surkhrud, wypływająca z Sefidkuhu i wpadająca do Kabulu, powyżej Dżellalabadu. Oba tarasy, jak to już ze znacznej różnicy ich pionowego wzniesienia domyślać się można, różnią się znacznie od siebie charakterem swej przyrody.

Wyższy taras, poprzerynany łańcuchami gór, nieznacznej względnej wysokości, i głębokimi dolinami potoków górskich, spływających z Sefidkuhu do Kabulu, spada stromymi ścianami prawie bezpośrednio do rzeki tak, iż pozostawia nad nią tylko wąską ścieżkę. Klimat odpowiada strefie umiarkowanej i nosi cechę kontynentalnego. W zimie spada wiele śniegu, lato ma dni bardzo ciepłe, ale noce bardzo zimne. Zresztą

okolice Kabulu wydają południowo-europejskie owoce. Kabul był ulubioną rezydencją sułtana Babera, który w swych „Pamiętnikach“ zachwyca się malowniczością jego okolic, cudną zielenią ogrodów i obfitością kwiatów (ma się tam znajdować 50 gatunków tulipanów). Rzeczywiście, dolina Kabulu, pełna ogrodów, kwiatów, łąk i niw bujnych, stanowi cudowny kontrast z ciemną nagością skał pobliskich i ze wspaniałymi piramidami dalekiego Hindukuh, lśniącem srebrzystym dyademem śniegów i lodów. Na północ Kabulu, w pobliżu spływu Ghorbendu z Pandzirem, równina zmienia charakter: na niewielkiej przestrzeni przedstawia pustynię lotnego piasku; wiatr rzuca te piaski w szczeliny skał i jakoby wydaje tony, podobne do dalekiego bicia w bębny z akompaniamentem dźwięków harfianych. Dawni autorowie mówią o pogrzebanych tu hufcach zbrojnych, których muzyka gra wciąż jeszcze pod ziemią. Rzecz godna uwagi, że w okolicach miasta Kabulu, równie jak wzdłuż całego dorzecza Kabulu (w górach Khyber, około Dzellalabadu, koło Kabulu, na równinie Beghran przy spływie Ghorbendu z Pandzirem) dają się napotykać wieże z niepalonej cegły, zwane Topas albo Stupas, sięgające bardzo odległej starożytności. Według Rittera, są to, podobnie jak i kolosy bamiańskie, zabytki epoki buddyjskiej, która wyprzedziła epokę mahometańską w Afganistanie.

Niższy taras, czyli równina, Dzellalabadu jest niejako rozszerzeniem doliny Kabulu w ściślejszem znaczeniu, która dotąd była tylko wąską ścieżką, a znów zwęża się u wylomu Kabulu w górach Khyberu. Wskutek niższego położenia, równina ta przypomina klimatem i roślinnością (ryż, pomarańcze, nawet palma daktylowa) pobliskie Indyje. Ciepleszy klimat sprowadza tu z wyższego tarasu nomadów na zimowisko. Już sułtan Baber, bystry spostrzegacz, gdy w marszu swym z Kabulu do Indyi przyszedł na granicę obu tarasów nad rzeką Surkhrud, do miejscowości Gundamak, był niezmiernie uderzony różnicą przyrody na równinie Dzellalabadu od tej, jaką dotąd widział na wyższym tarasie Kabulu: „wszystko — powiada w swych pamiętnikach — było tu nowe, ujrzałem inny świat“. Podróżnik angielski Burnes, jadąc z Indyi

do Kabulu, podobnież zauważył tę różnicę: za Gundamuk przyroda zmienia swą fizyognomię, w Dżellalabad pszenica była już zżęta (przy końcu kwietnia), a w Gundamuk miała zaledwie trzy cale wysokości; tu trzeba było zmienić lekkie indyjskie ubranie na cieplejsze, wełniane. Podróżny spotkał się tu po raz pierwszy z koczowniczym, ruchliwym życiem wyżyny Iranu, tak różnem od osiadłego kontemplacyjnego życia Indyi, które towarzyszyło mu aż dotąd.

Tak więc Kabulistan przedstawia w szczególności to, co wogóle Afganistan, to jest — kraj przejściowy między Azyą zachodnią i Indyami: gdy wschodnia niższa jego część nosi charakter indyjski, zachodnia wyższa, według słów Rittera, ma więcej wspólności z Iranem, Anatolią, Arkadyą, Kastylią i Maghrebem, niż z Indyami. Wyższy taras Kabulu przechodzi na południu (na owej przerwie w południowym boku trójkąta) w wynioślejszą jeszcze (przeszło 7500'), chłodną, kamienistą i pustą wyżynę Ghazny, która już i pod względem hydrograficznym stanowi przejście do wyżyny Iranu, albowiem południowa jej część leży już po za działem wodnym indo-irańskim (afgańskim).

Od tegoż samego północnego krańca gór Dżadran ciągnie się na południo-wschód do Solimanu drugi jeszcze łańcuch, oddzielony od poprzedniego (Sofidkuh) wąwozami Szutargardan i Peiwar, które prowadzą z dorzecza Kurumu do dorzecza Kabulu (Logar). Ten łańcuch, zapewne północno-zachodnią gałąź Solimanu (Soliman centralny), sięgająca do wąwozu Szutargardan, wraz z północno-wschodnią gałęzią, sięgającą do wąwozu Khyber, a więc do dwóch krańców Sefidkuhu, obejmują krainę wyższego Kurumu i nadają całemu systemowi Solimanu postać olbrzymiej kolumny, podpierającej poprzeczny łańcuch Sefidkuh, a więc dźwigającej, wyżej wspomnianej, północny trójkąt Afganistanu; w dźwiganiu tem dopomaga (że się tak wyrazimy) i zachodni Soliman, jako boczna, nieco ukośna, podpora. Kapitel tej kolumny, obejmujący właśnie ową krainę wyższego Kurumu, wyrzeźbiony jest jego doliną i dolinami jego dopływów (np. Khost, dolina Szamilu) z korynckiem niemal bogactwem.

Na południe od owego centralnego Solimanu, między górami Kohnak na zachodzie i północną częścią właściwego Solimanu na wschodzie, rozpościera się trzecia kraina, równie jak poprzednie, dobrze nawodniona, kraina rzeki Gomalu, z której prowadzą przez góry Kohnak wąwozy Sarwandi i Sargo do południowej części wyżyny Ghazny, zajętej przez wodozbiór niewielkiego jeziora Ab-istada (blisko 7000'). Na południu kraina Gomalu przechodzi w bezwodną, odznaczającą się krańcowym klimatem, pustynię Siwistan, o której sami krajowcy powtarzają przysłowie: „o Boże, mając Siwistan, po co stwarzałeś piekło“.

Cała ta południowo-wschodnia część Afganistanu, zawarta między zachodnim Solimanem, stanowiącym wybitny dział wód afgańskich oraz wschodnim Solimanem, poprzerwanym przez rzeki afgańskie, dążące do Indu, ciąży ku Indyom; to też plemiona tutejsze były prawie niezależne od kabluskiego emira, a Anglicy w r. 1879 włączyli ten kraj do swych posiadłości, szukając w zachodnim Solimanie swej „umiejętnej granicy“.

2. *Łańcuchy i krainy zachodniej części.* Łańcuchy tej części, tak oddzielające się od głównego działu wodnego, jako też od Kobi-Baby i Siahkuhu, mają wyłącznie kierunek południowo-zachodni, to jest kierunek większej przekątni afgańskiego czworoboku, zbudowanego na kierunkach dwóch łańcuchów skrajnych (Hindukuh i Soliman), i ciągną się między dolinami rzek, należących do wodozbioru jeziora Hamun i naśladujących tenże sam kierunek. Góry te jednak kończą się wprzód, niż rzeki: nie dochodzą do jeziora Hamun, lecz spadają ku piaszczystemu morzu pustyni nakszaft stromych, poszarpanych przyłądków.

Najzuważniejsze z tych gór, mało znanych i noszących różne nazwy (Ghorat, Gasarman, Pagman, Gulkoh, Gondan, Ghati, Amran, Takatu) są góry Pagman, Amran i Takatu. Pierwsze, połączone z Hindukuh zapomocą poprzecznego jarzma (między źródłami Ghorbendu i Hilmendu), ciągną się od północnego łuku Ghorbendu między Hilmendem i Argandabem; w nich to leży wspomniane wyżej przejście Unna, prowadzące od źródeł Hilmendu do źródeł Kabulu. Gałęzią tych gór na lowo od Argan-

dabu są góry Gulkoh, przez które przejście Szeridana prowadzi z Ghazny do Kabulu. Góry Takatu ciągną się na granicy z Beludżystanem na północy angielskiej fortecy Quettah, są bardzo wysokie (do 12000'), ale posiadają wygodne przejście, prowadzące z południa na północ, na równinę Piszin (dolina rzeki Lory), która, dzięki swej żyzności, stanowi ważną podstawę operacyjną dla wojsk angielskich, wkraczających od Quetty do Afganistanu. Góry Amran ciągną się między dolinami rzek Lory i Dory. Przez góry te przejścia Kodżjak (7300') i niższe Gwadża prowadzą z wyżyny Piszin na wyżynę Kandaharu (3500'). Tu kończą się promienie górskiego wachlarza, wspomnianemi wyżej skalistemi przylądkami, a sama wyżyna w porównaniu z leżącą na północ wyżyną Ghazny, doznaje znacznego obniżenia i przyjmuje po części charakter piaszczystej pustyni, po części karstu, przypominającego swą bezleśnością, znikającymi rzekami i stalaktytowemi grotami Krainę i Istrię. Tylko wązkie, wyżłobione nakształt szpar, doliny systematu Hilmendu, dzielące wyżynę na szereg wązkich i długich smug wyżynowych, stanowią archipelag żyznych oaz wśród pustyni, siedlisko rolników pośród nomadów; na nich widnieją łany zboża i ogrody owocowe.

Tu więc występuje już w całej swej doskonałości typowy charakter Iranu: walka wody z suszą i spiekotą, kontrast rajskiej zieleni oaz ze spiekotami piaskami pustyni („szmaragdy w złotej oprawie“); charakter, który wyraził się w religijnych pojęciach starożytnych Persów, jako walka pierwiastku dobrego i złego (Ormuzda i Arimana), w poezyi zaś wschodniej—jako opiewanie wody, jej przezroczystości, szmeru, chłodu i t. d., jako jakieś upojenie, oczarowanie człowieka bogactwami i pięknosciami przyrody, które tem potężniej uderzały go tutaj, iż występowały na tle ubóstwa i grozy pustyni. W jednej z takich oaz, u wierzchołka ostrego kąta utworzonego rzekami Argandab i Tarnak, na równinie skropionej licznymi rzekami i kanałami, pośród ogrodów owocowych wznosi się Kandahar, trzecie wielkie miasto Afganistanu obok Kabulu i Heratu. Tutaj, podobnie jak na równinie Dżellalabadu, panuje ciepły klimat, śnieg pada bardzo rzadko,

a lata z powodu bliskości pustyń bywają zbyt gorące, tak, iż część mieszkańców Kandaharu (podobnie jak Teheranu) przenosi się na lato w okoliczne góry.

Wyżyna Kandaharu na południu i południo-zachodzie przechodzi w piaszczyste pustynie Sarawan i Sedżestan, gdzie porośnięte lasami trzciny okolice jeziora Hamun zniżają się do 1200' i gdzie tu i owdzie widać ślady dawnego życia w ruinach, sterczących, „jak białe mary“, wśród zamglonej od pyłu atmosfery. Pustynia od południowo-zachodniej części Afganistanu rozciąga się dalej ku północy wzdłuż zachodniej granicy do odgałęzień Siahkubu, które napełniają pozostałą część Afganistanu, zwaną Chorossanem.

Z tego orograficznego opisu Afganistanu widzimy, iż jego układ pionowy bardzo przypomina tenże układ półwyspu Pirenejskiego. Hindukuh, spadający ku nizinie Amu-Darii i dolinie Kabulu, odpowiada Pirenejom, spadającym ku nizinie Garonny i dolinie Ebro; podobnie też jak Pireneje, zniżając się ku zachodowi, przechodzą w rozgałęzioną górzystą krainę Galicyi, tak Hindukuh — w krainę Hazareh. Afgański dział wodny, idący z wyżyny Ghazny na południe, przypomina „Iberyjski kraj źródłowy“, idący w tymże samym prawie kierunku z wyżyny Reinosy. Dwie pochyłości Afganistanu: wschodnia, krótsza, i zachodnia, dłuższa, z rzekami odpowiednich kierunków i krainami rzeczniemi, także przedstawiają analogię z półwyspem Pirenejskim.

III.

Najwynioślejsza z opisanych wyżyn Afganistanu, wyżyna Ghazny, ma dla tego kraju ważne *hydrograficzne* znaczenie: jest ona, podobnie jak St. Gotard, jak wyżyna Wałdajska i t. p., hydrograficznym centrum, z którego w różne strony wypływają prawie wszystkie rzeki afgańskie. Ztąd-to miasto Ghazna (Ghusni), jako węzeł komunikacyi (podobnie jak Nowogród W. na wy-

zynie Wałdajskiej), było niegdyś siedliskiem władzy nad Afganistanem. Główny afgański, czyli indo-irański, dział wodny dzieli te rzeki na dwie główne grupy: wschodnią i zachodnią. Rzeki tej ostatniej biegną wzdłuż promieni górskiego wachlarza, rzeki zaś pierwszej grupy biegną przeważnie wpoprzek tych promieni i po części przerywają je. Zachodnia grupa dzieli się jeszcze na dwie podrzędne: północno-zachodnią i południowo-zachodnią, między którymi dział wodny stanowi Siahkuh. Tak więc ostatecznie mamy trzy grupy rzek afgańskich.

1. *Rzeki pierwszej, to jest wschodniej, grupy:* Kabul, Kurun i Gomal płyną ku wschodowi i wyłamawszy się przez wschodnią krawędź Afganistanu, spływają do Indu (Gomal tylko czasowo). Otwierają one drogi z wyżyny Iranu na nizinę Indyjską, stwierdzając przejściowy charakter Afganistanu i czyniąc go „państwem w obrębie indyjskiego systemu“. Są to *rzeki indo-afgańskie*; to też już w Wedach indyjskich znajdujemy o nich wzmiankę.

Najznacniejszą z tych rzek jest Kabul, Cophes starożytnych (75 mil długi). Rzeka ta powstaje z dwóch strumieni źródłowych: właściwego Kabulu, spływającego z gór Pagman w pobliżu przejścia Unna i z Logaru, spływającego z wyżyny Ghazny. Połączona rzeka, wyginając się lekkim łukiem ku północy, płynie w głównym wschodnim kierunku przez wyższy i niższy taras Kabulistanu; następnie, po wyłomie między górami Khyberskimi i odgałęzieniami Hindukuh, wstępuje na równinę Peszaweru, ów próg z Indyi na wyżynę Iranu, i pod Attokiem wlewa swe wody do Indu. Mimo obfitości wód, Kabul nie jest żeglowny z powodu bystrości biegu; tylko drzewo na nim spławiają lub czasem przemknie się maleńka łódź mekkańskiego pielgrzyma, wracającego do Indyi. Gdy w czasie wojny 1879 r. kawaleria angielska przebywała wplaw tę rzekę pod Dżellalabadem, została uniesiona silnym prądem i straciła kilkudziesięciu ludzi. Prawe dopływy Kabulu, z Sefidkuhu, są to krótkie i bystre potoki górskie, których dolinami wije się droga do miasta Kabulu na wyższym tarasie, mijając zbyt wąską dolinę rzeki głównej. Lewe dopływy, z Hindu-

kuh: Baran, Aliszeng, Kameh czyli Kunar (z Barogilu) i Lundi (ta ostatnia, spływ Pandżikory i Swatu, wpada już poniżej wyłomu, na równinie Peszaweru) są znaczniejsze i tworzą obszerniejsze doliny, prowadzące do przejść Hindukuh. Szczególniej pierwsza, która wpada nieco poniżej Kabulu w punkcie wygięcia rzeki ku północy i której systemat rozszerza się ku północy nakształt wachlarza (Pehdam, Ghorbend, Pandżir, Tagau), obejmującego swem rozwinięciem łukowatą, pełną przejść, zachodnią część Hindukuh od przejścia Chewak do wąwozów Bamiańskich.

2. *Rzeki drugiej, to jest północno-zachodniej grupy:* Herirud-Tedzend i Merwrud (Murghab) (*rud* — rzeka po persku) płyną najprzód ku zachodowi między łańcuchami Paropamizu, a potem zwracają się ku północy, przerywają północną krawędź wyżyny Iranu, otwierają drogę do stepów Turko-mańskich, tworzą tam wązkie, długie oazy i giną w piaskach pustyni. Są to *rzeki turano-afgańskie*.

Pierwsza z tych rzek przed swem zniknięciem tworzy oazę Sarachs, druga — oazę Morw, będącą progiem z Turkiestanu na wyżynę Iranu, podobnie jak równina Peszaweru — z Indyi. To też Merw ma ważne strategiczne znaczenie, tembardziej, że z powodu swej żyzności może stanowić podstawę operacyjną dla armii, wkraczającej do Afganistanu.

3. *Nakoniec rzeki trzeciej, to jest południowo-zachodniej grupy:* Hilmend, Farehrud i Harud, płyną w kierunku południowo-zachodnim, to jest w kierunku obniżania się wyżyny Afgańskiej i w kierunku przerywających ją górskich łańcuchów, porozdzielanych od siebie dolinami. Rzeki te należą wyłącznie do wyżyny Iranu, gromadzą bowiem swe wody w wewnętrznem jeziorze Hamun, ku któremu zbiegają się nakształt promieni eliptycznego kwadrantu. Są to *rzeki irano-afgańskie*.

Najznaczniejszą z tych rzek jest Hilmend, Erymanthus starożytnych (170 mil dług.). Hilmend wypływa między Kohi-Babą i Pagmanem w pobliżu źródeł Kabulu i rzek turkiestańskich: Surkhabu (Kunduz) i Dehasu (Balk), tak, iż według charaktery-

stycznego wyrażenia tamtejszych mieszkańców: „jeden człowiek w jednym dniu może pić wodę ze wszystkich czterech“. Rzeki systematu Hilmendu wypływają przeważnie z wyżyny Ghazny i płyną w tymże samym, co i główna rzeka kierunku; dlatego łączą się tak z nią, jak i między sobą, pod bardzo ostremi kątami. Taką rzeką jest Argandab, z dopływami: Tarnak, Argesan, Dora. Rzeka Lora, wytryskająca z gór Toba i przepływająca równiny Piszin i Szorawak, nie dosięgnąwszy Hilmendu, ginie w piaskach. Rzeka Kaszrud, wypływająca z Paropamizu, łączy się z Hilmendem już przy samem ujściu do jeziora Hamun. Nakoniec Fahrenrud i Harud, także wypływające z Paropamizu, wpadają, równie jak i Hilmend, samodzielnie do jeziora Hamun.

Jezioro to pięknej indygowej barwy zmienia często nietylko poziom wód, ale i miejsce; jest jeziorem wędrownem, podobnie jak i rzeki doń wpadające. Wynika to po części z osadzania mułu przez rzeki, po części z nawiewania piasku przez wiatry okolicznej pustyni. Zmiana koryt rzecznych, a stąd i kanałów irygacyjnych, wywołuje zmianę siedzib ludzkich; dlatego między innymi tak wiele tu ruin. W nowszych czasach jezioro Hamun uległo podziałowi na dwa odosobnione wodozbiory tak, iż Fahrenrud i Harud wpadają do oddzielnego jeziora. Lasy trzciny i sitowia, porastające nad temi jeziorami, służą za schronienie mierzwiom błotnego ptactwa i dokuczliwych owadów, dostarczają paszy dla bydła, a także materiału na maty, tratwy i budowę chat. Wznoszące się tu i owdzie z okolicznych równin, stożki wulkaniczne służyły za punkta obronne; takim np. jest Kohi Kwadza, albo „zamek Rustema“, oblegany niegdyś daremnie przez armię Nadira (afgańska Gergovia).

Powyższym podziałem hydrograficznym nie został objęty tylko, wprawdzie samodzielny, ale bardzo nieznaczny wodozbiór jeziora Ab-istada („śpiąca woda“). Płytkie to jezioro ma bardzo zmienny poziom i wodę tak słoną, iż ryby, wpływające doń ze słodkich wód rzeki Ghusni (Ghazny), zdychają i szczątkami swemi pokrywają wybrzeże. Dolina Ab-istady i wpadającej doń z północy rzeki Ghusni ułatwia komunikację między doliną Hil-

mendu (Tarnak) i doliną Kabulu (Logar). Zresztą cały ten systemat jest tylko niedoszłym dopływem systematu Hilmendu: tylko zbyt suchy klimat nie pozwala wodom Ghusni osiągnąć rzeki głównej; jednak w r. 1878 wody jeziora w czasie wysokiego stanu przelewały się chwilowo do systematu Hilmendu.

Wszystkie te rzeki Afganistanu, z wyjątkiem Hilmendu, nie są żeglowne, lecz woda ich, skrapiając pustynię, tworzy wśród niej pasy rolnicze i ułatwia podłużną lądową komunikację; poprzeczna zaś komunikacja odbywa się za pośrednictwem brodów, mających tu ważne znaczenie strategiczne (np. forteca Giriszsk nad brodem Hilmendu) lub za pomocą łodzi ze skór kozich. Dolina Hilmendu jest jakby zieloną wstęgą, łączącą Azyę zachodnią i centralną z Indjami („droga królewska“); to też wzdłuż tej doliny przechodziły oddawna ludy, karawany i armie; ona to głównie zjednała Afganistanowi miano: „Das Land der Passage“.

IV.

O klimacie Afganistanu jużemy wspominali nieco przy opisie niektórych ważniejszych i lepiej znanych miejscowości. Tutaj dodamy tylko, że wogóle klimat tego kraju jest chłodniejszy, niżby się tego spodziewać można z jego geograficznego położenia, odpowiadającego północnemu Egiptowi i południowej Sycylii (29°—37° szer. pn.), a przytem suchy i krańcowy. Wynika to ze znacznego wzniesienia kraju nad poziom morza. Zimy wogóle bywają mroźne i bardzo śnieżne, tak, iż kraj wtedy staje się bezdrożnym (klęska Anglików 1842 r., powolno ich posuwanie się 1879 r., choroby w wojsku indyjskim, nieprzywykłem do zimna, padanie wielbłądów i t. p.); lata przeciwnie, są bardzo gorące: nie mówiąc już o południowych i niżej położonych częściach kraju, ale nawet w Kabulu, według świadectwa Vambéry'ego, gorąco dla Europejczyka jest nieznośne. Wśród najgorętszych dni lata noce bywają chłodne, tak, iż Afganie, podobnie jak wiele ludów, zamieszkujących kraje z klimatem kontynentalnym, cały

rok bez kozucha obejść się nie mogą; możnaby do nich zastosować słowa Dantego o duszach w czyście skazanych „a tormenti caldi e geli”. W szczególności jednak napotykają się znaczne różnice klimatu w różnych miejscowościach, jak we wszystkich krajach górzystych, z powodu różnic pionowego wzniesienia. Gdy na szczytach Hindukuh, Kohi-Baby i Sefidkuhu na wysokości 13,000' wieczna panuje zima, niektóre doliny tych gór, np. doliny Kunaru i Swatu, mają klimat podzwrotnikowy; podobnie niższy taras Kabulu (równina Dżellalabadu), po części równina Heratu, wiele dolin Solimanu i t. d. Wyżyna w wysoko położonych okolicach Ghazny cierpi wielkie mrozy i groźne dla mieszkańców burze śniegowe. Idąc zaś stąd w kierunku południowym i południowo-zachodnim, spotykamy, już-to z powodu niższej szerokości geograficznej, już z powodu obniżania się wyżyny, okolice, gdzie rzadko śnieg pada i gdzie lata są tak gorące, że, jak wiemy, mieszkańcy z piekłem je porównywają; gdzie zamiast śniegowych zamieci wieje palący wicher pustyni. Z drugiej strony silne ogrzanie południowych pustyń, a stąd znaczne rozrzedzenie powietrza, wywołuje silne wiatry z chłodniejszych gór, ograniczających wyżynę Kandaharu i Hamunu z północy. Mieszkańcy tych okolic umieli użytkować siłę wiatrów północnych na poruszanie licznych wiatraków, szczególnej struktury o skrzydłach poziomych z rogoży (sitowia).

Płody roślinne składają się głównie ze zbóż europejskich (pszenica udaje się do 7000') i owoców europejskich: jednakże pomarańcze, cytryny, a tembardziej bawełna, trzcina cukrowa i palma daktylowa napotykają się tylko w niektórych nisko położonych dolinach. Za to jabłka, gruszki, śliwki, wiśnie, brzoskwinie, morele, winogrona rosną obficie, stanowiąc codzienne pożywienie i przedmiot handlu. Kabul szczególnie słynie z morw, Ghazna ze śliwek, Kandahar z fig i granatów, Herat z winogron i melonów. Obfitość owoców w ostatniem mieście wywołała oryginalny zwyczaj: każdy może wejść do ogrodu i jeść owoców do syta, a zapłata określa się stosownie do różnicy, jaka zaszła między wagą konsumenta przy wejściu i wyjściu. Z roślin le-

karskich i kuchennych roślinie w Afganistanie asafetyda, szafran i rabarbar, które stanowią przedmiot handlu. Uprawa z powodu suchości klimatu odbywa się przy pomocy kanałów irygacyjnych, które dla ochrony wody od parowania rozprowadzane są często w galeryach podziemnych. Z drzew leśnych dąb rośnie do wysokości 3000', dzika oliwa do 6000', sosna do 10000'. Kraj cierpi jednak niedostatek drzewa, z tego powodu mieszkania i całe miasta zbudowane są z niepalonej cegły. Łodzie, jak wiadomo, robią się ze skór kozich, a tratwy i skrzydła wiatraków z sitowia. Wogóle płody Afganistanu należą przeważnie do strefy umiarkowanej tak, iż dla Europejczyka, przybywającego tu z Indyi, Afganistan robi przyjemne wrażenie rodzinnego kraju.

Ze zwierząt dzikich trafiają się szakale, lisy, wilki, niedźwiedzie, lamparty, lwy i tygrysy; te ostatnie, podobnie jak i małpy, żyjące w północno-wschodniej części kraju, w górach, otaczających doliny Kunaru i Swatu, przypominają bliskość Indyi. W Seistanie gromady dzikich osłów przebiegają pustynią, podnosząc tumany pyłu. *Ze zwierząt domowych* hodowany jest wielbłąd (dromader), jako zwierzę juczne; liczne stada bydła, owiec i kóz dostarczają pożywienia (baranina) oraz surowych płodów do jedynych fabrykacji: wełnianych, szczególniejszali i skórzanych (Kandahar i Kabul). Koni jest mniej, głównie dostarcza ich krajina Hazareh (zład Herat prowadzi niemi handel).

Bogactwa mineralne, mało eksploatowane, są znaczne: żelazo miedź, siarka, węgiel napotykają się często; sól obficie w górach Solnych; także srebro w górach północnych, złoto w niektórych rzekach i t. d.

V.

W związku z oro- i hydrografią kraju, a po części i klimatem, stoi *kwestya komunikacyi, kwestya dróg*; ważna wogóle dla stosunków strategicznych i handlowych, ważniejsza tembardziej w kraju tak pełnym gór niedostępnych i pustyń trudnych do

przebycia, jak Afganistan, który do tego jeszcze leży na drdźce do bogatych Indyi i jest „baryerą“ między dwiema współzawodniczącymi potęgami. Dlatego zajmiemy się kwestyą dróg, i to nietylko dróg leżących w samym Afganistanie, ale i dróg doń prowadzących.

A) *Drogi z Turkiestanu i Persyi* idą albo od morza Kaspijskiego albo od Amu-Darii.

a) *Drogi od morza Kaspijskiego* idą albo od ujścia Atreku, albo od Krasnowodzka.

1. *Droga od ujścia Atreku* w górę tej rzeki przez Meszed (Persya) lub przez Merw (Turkiestan) do Heratu. Rosyanie od r. 1863 przedsiębrali wyprawy w górę Atreku, aby utrzymać w posłuszeństwie rozbójnicze plemię Teke-Turkomanów, które napadało często na Persyę i które wielce przeszkadzało Rosyi w usadowieniu się nad dolną Amu-Darią. Wyprawy te jednak nie mogły postępować daleko w górę Atreku, gdyż części jego, środkowa i górna, należą do Persyi.

2. *Droga od Krasnowodzka* nad morzem Kaspijskiem przez Turkomańskie stopy, przez Achal oazę i Merw do Heratu. Droga ta z początku tylko przechodzi przez pustynie solne, pozbawione wody, i napotyka pewno trudności terenu (Wielki i Mały Bałkan), lecz dalej prowadzi przez kraj dobrze nawodniony i posiadający turkomańskie osady, wzdłuż północnego stoku gór Kiurrendagh do północnego stoku wyżyny Iranu, wzdłuż którego dosięga Merwu i Heratu. W nowszych czasach, Rosyanie przeprowadzili tędy kolej żelazną, która od morza Kaspijskiego sięga do Merwu, a stąd na południe do Kuszku w pobliżu Heratu. Od tej drogi oddziela się na północo-wschód pod fortem Kisilarwat droga do Chiwy.

b) *Drogi od Amu-Darii* idą albo przez Merw, albo przez zachodnie wąwozy Hindukuh, albo przez wschodnie, to jest przez Pamir.

1. *Drogi, idące przez Merw*, prowadzą do Heratu, jest ich dwie: jedna prowadzi z Chiwy, druga z Buchary (obecnie kolej żelazna). Obie one są uciążliwe z przyczyny pustyń; szczególnie

pierwsza: nieliczne cysterny zawierają złą wodę i to w tak małej ilości, że karawana z 800 wielbłądów zużywa ją zupełnie; prócz tego pył i odbłask od piaszczystego gruntu wywołują choroby oczów. Wojska Nadir Szacha (1739) i chana Chiwy (1832) w wyprawie na Merw ucierpiały wiele na tej drodze i musiały kopać studnie. Chan Chiwy stracił przeszło 2000 wielbłądów i musiał zakopać armaty. Obie te drogi schodzą się w Merwie, skąd idą w górę rzeki Murghab i jej lewego dopływu, Kuszki, przez niskie przejście w Paropamizie do Heratu. Na tej drodze, w oazie Pendźdeh, w pobliżu ujścia Kuszki do Murghabu Afganie zostali rozbici przez następująco z północy wojska generała Komarowa w r. 1885.

2. *Drogi, idące przez zachodnie wąwozy Hindukuh* do Kabulu; jest ich także dwie: jedna prowadzi z Chulm, druga z Kunduz. Pierwsza doliną rzeki Chulm prowadzi do wąwozów Bamiańskich, któreśmy poprzednio wymienili, a przez nie do Kabulu. Tędy przechodził Aleksander W., Dżengischan, Nadir Szach; tu dotarli Anglicy 1840 r., ścigając, ustępującego na Chulm, emira afgańskiego, Dost Mohameda; tędy szło rosyjskiego poselskiego Stoletowa 1878 r. Droga ta od Bamianu może także zboczyć i przez Szibertu i dolinę Ghorbendu osiągnąć Kabulu. Wyżyna Bamiian jest kluczem całej tej drogi i posiada z tego powodu ważne strategiczne znaczenie. Już Aleksander W. zbudował tu twierdzę Alexandria ad Caucasum ¹⁾, a gdyby Anglicy zajęli Afganistan i oparli swe „umiejętne granice“ od Turkiestanu o Hindukuh, to także musieliby silnie ufortyfikować przejścia Bamiańskie. Druga droga doliną rzeki Kunduz i Inderab prowadzi przez wąwóz Chewak (przez który przechodził zdaje się Aleksander W. na północ, a Timur na południe), lub przez wąwozy ku zachodowi leżące—do doliny Pandziru i Kabulu.

3. *Droga przez Pamir* prowadzi z Kokandu przez wyżynę Pamir, przez wąwóz Barogil do doliny Kunaru (Czitrul)

¹⁾ Tak twierdzi Ritter, inni sądzą, iż twierdza ta była zbudowana na północ Kabulu, przy wyjściu Ghorbendu z gór.

i wzdłuż niej do Dzellalabadu. Według nowszych badań angielskich, można z doliny Kunaru (Mastodza) zboczyć i dostać się do doliny Gilgitu (Yassin), dopływu górnego Indu, a więc wprost do Indyi. Droga ta przez Pamir, z powodu jego znacznej wysokości i pustynności jest uciążliwa dla armii i dotąd nie praktykowana. Mimo to jednak Anglicy w roku 1879 obawiali się wkroczenia Rosyan z tej strony i polecili księciu Kaszmirskiemu strzedz tej drogi.

Wszystkie powyższe drogi, idące od Amu-Darii, łączą się ze sobą drogą poprzeczną, idącą wzdłuż doliny tej rzeki i mającą połączenia z Samarkandą i Taszkentem tak, iż Amu-Daria obok morza Kaspijskiego mogłaby stanowić podstawę operacyjną Rosyan w ich wyprawie na Afganistan.

B) *Drogi w Afganistanie* ciągną się wzdłuż dolin rzecznych i prowadzą ostatecznie do doliny Indu przez cztery wąwozy Solimanu: Khyber, Kurum, Guleri (Gomal), Bolan.

a) *Drogi z Heratu do Kabulu*; jest ich dwie: północna, prowadząca wprost do Kabulu, i południowa, prowadząca doń przez Kandahar.

1. *Droga północna* idzie doliną rzeki Herirud ku wschodowi przez krainę Hazareh, między Sefidkuhem i Siahkuhem; pod Dauletiar dzieli się ona na dwie odnogi. Jedna przekracza Sefidkuh i wzdłuż północnego stoku Kohi Baby dosięga Bamianu, a stąd albo przez Hadziak, albo przez Szibertu i dolinę Ghorbendu — Kabulu. Druga przekracza Siahkuh i, idąc wzdłuż południowego stoku Kohi Baby, łączy się z pierwszą u jej południowego wyjścia z Hadziaku (pod Charsar). Droga północna jest niedogodna z powodu dzikości krainy Hazareh; wojsko może przechodzić tędy w odpowiedniej porze roku, ale nie armaty. Drogą tą (przez Szibertu) wracał 1506 r. Baber z Heratu do Kabulu i ledwie nie zginął ze swą armią od zimna, głodu i walk z wojownikami góralami.

2. *Droga południowa* („Droga Królewska“) jest dłuższa (ma blisko 150 mil), ale dogodniejsza; otacza ona półkołem południowe gałęzie Siahkuhu i Kohi Baby, ciągnąc się przez wyżynę

wzdłuż dolin rzecznych; przez Harud, Farehrud, Hilmond (warownia Giriszki, broniąca brodu) i Argandab dosięga Kandaharu prawie w połowie drogi (80 mil), a stąd doliną Tarnaku i Ghusni przez miasto Ghusni i przejście Szeridana dostaje się na dolinę Logaru i wzdłuż niej (20 mil) do Kabulu. Droga ta tylko w pierwszej części, między Heratem i Kandaharem, napotyka na pewne trudności z przyczyny małej ilości wody i dlatego ta część posiada jeszcze drugą odnogę, która prowadzi przez południowe odgałęzienia Siahkuhu (Ghorat i Gasarman).

b) *Drogi, odgałęziające się na wschód od „Drogi Królewskiej”* i prowadzące przez wąwozy Solimanu do Indyi; jest ich cztery.

1. *Droga z Kandaharu* doliną Dory, przez wąwóz Kodżak (7300') lub Gwadża w górach Amran, przez równinę Piszin, przez fort angielski Quettah (5600') i wąwóz Bolan z Beludzystanu do Szikarpur nad Indem (przeszło 70 mil). Część tej drogi do Quettah (połowa drogi), tak w dolinie Dory jak na równinie Piszin, jest dogodna; dalej wązki i długi wąwóz Bolan z nagłymi spadkami, pozawalany odłamami skał, poprzerynany potokami, był uciążliwy, ale Anglicy zbudowali tu drogę dogodną dla artylerji, a następnie połączyli Quettah z Indem koleją żelazną. Po wyjściu z wąwozu droga prowadzi przez żyzną okolicę beludzką Katsza Gandawa, a następnie przez piaszczystą równinę do Indu. Tą drogą wkroczyli do Afganistanu Anglicy 1839, 1842 i 1878 roku.

2. *Droga z Ghazny* przez okolice jeziora Ab-istada, przez wąwozy Sargo i Sarwandi w górach Kohnak, wzdłuż doliny Gomalu przez wąwóz Guleri w Solimanie do Dera Izma'it Chan nad Indem. Drogą tą wracał do Kabulu przez Ghaznę Baber z wyprawy swej na rozbójnicze góralskie plemiona Solimanu. Tędy głównie ciągną z Indyi do Ghazny i napowrót handlowe karawany (kafila) kupców-wojowników, Powindah; to dziwne połączenie dwóch różnych stanów wynikało z niebezpieczeństwa, jakie grozi w Afganistanie karawanom od rozbójniczych plemion: karawany muszą być konwojowane przez eskorty walecznych, i od

stóp do głów uzbrojonych, ludzi, którzy gotowi są w każdej chwili na odparcie łupieckiego napadu.

3. *Droga z doliny Logaru* (z Kabulu lub Ghazny) przez wąwóz Szutargardan na dolinę Kurumu i wzdłuż niej przez wąwozy Peiwar i Derwaza, przez fort afgański Kurum (zajęty 1878 roku przez Anglików), przez wąwóz Kurum w Solimanie i pograniczne miasto angielskie Thal do Indu (do 60 mil). Droga ta idzie przez okolice dobrze nawodnione, żyzne i jest, podobnie jak droga poprzednia, dostępna dla wozów. Jestto najdogodniejsza ze wszystkich dróg do Indyi. Tędy 1878 roku wkroczyła środkowa kolumna angielska i tu w wąwozie Peiwar pod zastoną silnej pozycyji na skałach, pokrytych iglastymi lasami, na wysokości 9,000' Afganie stawili najzaciętszy opór Anglikom; tylko brak dobrych oficerów wydarł mężnym góralom zwycięstwo.

4. *Droga z Kabulu* wzdłuż doliny Kabulu przez wąwóz Khyber do Peszaweru (przeszło 40 mil). Droga ta w pierwszej części, to jest na wyższym tarasie Kabulu, jest bardzo uciążliwa, nie mogąc bowiem iść nad samą rzeką, do której przypierają strome skały, musi zdala od rzeki głównej wieść się dolinami jej licznych prawych dopływów, i aby się dostać z doliny jednego dopływu do drugiego, musi wspinać się na dzielące je odgałężenia Sefidu, przez które prowadzą wysoko położone wąwozy. Takimi wąwozami są: Kurd Kabul (7000') (kłęska Anglików 1842 r.) i Karkacza (7500') (broniony przez warownię Tessin), przez które przechodzi południowa gałąź drogi z Kabulu; oraz: Latabund i Jugdullak, przez które prowadzi północna gałąź tejże drogi. Obie gałęzie łączą się ze sobą w dolinie rzeki Surkhrud, wzdłuż której droga dosięga warownego miasta Dżellalabadu (połowa drogi); ztąd droga idzie bez przeszkód w pobliżu rzeki głównej przez równinę Dżellalabadu do Daki, gdzie napotyka góry Khyberu. Tutaj nie może już iść dalej wzdłuż rzeki, gdyż ta, przedzierając się przez góry, płynie bezpośrednio między ścianami skał, droga zbacza więc w kierunku południowo-wschodnim przez wąwóz Khyber (przeszło 3000'), który się ciągnie od Daki do an-

gielskiego fortu Dżamrud na 8 mil. Wśród tego wąwozu, tam gdzie on najbardziej się zwęża (do 50'), wznosi się na szczycie stromej skały, jak „orle gniazdo“, fort afgański Ali-Muszid, który jednak zapomocą obejścia po ścieżkach górskich można zdobyć (Anglicy 1839, 1842, 1878 r.). Dalej ku wschodowi wąwóz się rozszerza i wychodzi pod Dżamrudem na równinę Peszaweru, który jest wielką warownią, broniącą Indyi od najścia z Afganistanu, tak jak Dżellalahad broni Afganistanu od najścia z Indyi; ostatni prócz tego, jak wiemy, panuje nad drogą do Afganistanu przez Pamir.

Wąwóz Khyber ma w historii wojen i wędrówek ludów ogromne znaczenie: tędy zapewne dostali się do Indostanu Aryowie i zawojowali pierwotne tamtejsze ludy, następnie wszyscy wielcy zdobywcy Indyi, jak Aleksander W., Seleucus, Mahmud, Timur, Baber, Nadir Szach, nie licząc częstych najść Afganów, przechodzili przezeń i przepawali się następnie przez Indus pod Attokiem, gdzie prąd rzeki wolniej i umożliwia przeprawę. W ubiegłym stuleciu już cztery razy wkraczali tędy Anglicy (1839, 1842, 1878 i 1879). Jak pod względem strategicznym, tak i pod względem handlowym droga przez Khyber utrzymała swe znaczenie od najdawniejszych czasów do chwili obecnej. Prócz tego miała ona niegdyś ważne znaczenie dla rozszerzenia się buddyzmu z Indyi do Azji północnej (Stupas, But-Bamian), a potem islamu do Indyi. W zeszłym stuleciu stała się ona niestety drogą cholery, która ze swej ojczyzny, Indyi, doszedłszy do Kabulu, rozgałęziała się stąd przez Hindukuh do Turkiestanu, a przez Herat do Iranu, skąd przeszła i do Europy. W przyszłości może tą drogą rozszerzy się w Afganistanie z Indyi europejska cywilizacya.

Linia rzeki Indu, gdzie zbiegają się wszystkie drogi Afganistanu, jest dla Anglików taką samą naturalną podstawą operacyjną przeciw Afganistanowi, jak Amu-Daria dla Rosyan. Lecz linia Indu ma pod tym względem wielką wyższość nad linią Amu-Darii, bo najprzód leży bliżej wschodniego afgańskiego wiatu (Soliman), niż Amu-Daria północnego (Hindukuh), powtóre

drogi i przejścia od niej do Afganistanu są daleko dogodniejsze, niż od Amu-Darii, i nakoniec wzdłuż tej linii idzie kolej żelazna, połączona z siecią kolei indyjskich, podczas gdy linię Amu-Darii oddzielają od Rosyi europejskiej rozległe, trudne do przebycia stopy. Dlatego Rosyanie stworzyli sobie w nowszych czasach sztuczną linię operacyjną w kolei zakaspijskiej, którą przytem połączyli z Amu-Darią.

VI.

Dopiero po obznajomieniu się z drogami możemy dostatecznie ocenić *strategiczne i handlowe znaczenie trzech głównych centrów osiadłego życia w Afganistanie*: Heratu, Kandaharu i Kabulu.

W *Heracie* krzyżują się cztery drogi: jedna prowadzi z Turkiestanu (Merw), druga z Persyi (Meszed), trzecia do Kabulu, czwarta do Kandaharu i Kabulu. Droga z Persyi, oddzielonej trudnemi do przebycia pustyniami od Afganistanu, jest prawie jedyną komunikacyjną arterią między dwoma krajami; Herat więc dla Persów jest kluczem Afganistanu. Stąd jego strategiczne znaczenie, stąd ciągłe walki oń z Persami (1508 r. zdobyli go Persowie, 1715 odebrali go Afganie, 1731 zdobył go Nadir szach perski, 1749 odebrał Achmet, król afgański, 1856 r., korzystając z wojen domowych, zajęli go znów Persowie, 1862 odebrał go Dost Mohamed, emir Afganistanu). Lecz i dla władców Turanu, wobec trudnych przejść przez Hindukuh, Herat, leżący już u znacznego obniżenia północnej krawędzi Iranu (nizki łańcuch Barkhut, zachodnie przedłużenie Sefidkuhu) i u wylomu rzek turano-afgańskich, ma także znaczenie owego „klucza“. Zdobywali go Dżengishan, Kulikhan, Tamerlan, w r. 1879 zagrażała mu rosyjska wyprawa Łomakina, a w r. 1885 — Komarowa. Ze względu to na Herat Anglicy obawiali się zawsze zajęcia Merwu (skąd w dziesięć dni marszu można stanąć w Heracie) przez Rosyan; Rosyanie zaś dążyli do jego zajęcia, by stanąć na straży Heratu. Gdyby bowiem Herat zajęli Anglicy, to zagrażałoby posiadło-

ściom rosyjskim w Turkiestanie i rozpostarliby swój wpływ na Persyę, a podając tym sposobem rękę istniejącemu już wpływowi na Turcyę (dolina Eufratu i Cypr) odnowiliby z czasem państwo Aleksandra W. Gdyby zaś Herat zajęli Rosyanie, to obróciliby w niwecz angielskie poszukiwania „umiejętnej granicy“ po za Solimanem i na seryo zagroziliby Indyom.

Kandahar ma prawie centralne położenie w przecięciu się przekątni afgańskiego czworoboku i prócz tego leży w połowie półkola, które tworzy „Droga Królewska“. Stąd rozchodzą się drogi do Heratu, Kabulu i Quetty. Kandahar ma więcej handlowe niż strategiczne znaczenie, gdyż okoliczne wyniosłości panują nad jego fortyfikacyami, a z Merwu można prędzej stanąć w Heracie niż z Kandaharu.

W *Kabulu* lub w jego okolicach krzyżuje się 4 — 6 dróg. Najprzód dwie drogi z Turkiestanu, z których jedna, idąca doliną Baranu, jest zbiegowiskiem dróg, prowadzących przez wszystkie zachodnie wąwozy Hindukuh od Chewak do Szibertu włącznie; druga zaś prowadzi wprost do doliny Kabulu przez wąwozy Bamiańskie. Powtórę dwie drogi do Indyi: jedna, Khyberska wprost z Kabulu, druga, Kurumska, oddzielająca się nieco na południe Kabulu od drogi, prowadzącej z tego miasta do Ghazny. Tym sposobem Kabul leży w najobfitszym węzle dróg (τριόδος u Strabona), w ognisku promieni górskiego amfiteatru (podobnie jak Turyn), a mając, jak wiemy, przewagę klimatyczną nad, również korzystnie pod względem komunikacyjnym położoną, Ghazną, najbardziej nadaje się na stolicę kraju,

Powyższe punkta przecięcia się dróg w kraju, jakkolwiek nieposiadającym do wywozu wielu własnych płodów (wełna, owoce suszone, asafetyda), ale zajmującym stanowisko przejściowe, mają oddawna, prócz strategicznego, wielkie znaczenie handlowe. Herat na granicy z Persyą jest pośrednikiem w handlu między tem państwem a Indyami (przez Kandahar i Bolan); Herateczyk jest w Afganistanie uosobieniem celnika. Kabul, jako leżący u zbiegu dróg z Turkiestanu, jest pośrednikiem w handlu między tym ostatnim, a Indyami, z których do Turkiestanu idą przed-

mioty europejskiego przemysłu (stąd i we względzie handlowym krzyżują się w Afganistanie interesa rosyjskie z angielskimi). Handlowe znaczenie Kabulu sięga odległej starożytności: Nazwę jego (Καβόρα u Ptolemeusza) wywodzą od wyrazu zendzkiego, oznaczającego emporyum. Kandahar, leżący pośrodku kraju i dróg jest pośrednikiem w handlu między Heratem i Indyami, oraz między Heratem i Kabulem. Ważne znaczenie tych miast, i wogóle Afganistanu w tranzytowym handlu między Turkiestanem, Persją i Indyami stanowi główne źródło jego państwowych dochodów, bądź w postaci cła od przewożonych towarów, bądź w postaci opłat od karawan za prawo pastwisk.

VII.

Poznawszy fizyko - geograficzne stosunki Afganistanu, przejdźmy teraz do jego stosunków *etnograficznych i dziejowych*, które rozwinęły się na tle pierwszych.

Mieszkańcy Afganistanu, jako kraju przejściowego i górzystego, przedstawiają mieszaninę różnych narodów, podobnie jak np. mieszkańcy Kaukazu, leżącego na przejściu z Azji do Europy. Już sułtan Baber dziwił się mnogości języków, którymi mówiono w tym kraju. Prócz głównej masy ludności, Afganów, znajdują się tu jeszcze liczne, choć drobniejsze ludy, będące bądź autochtonami wypartymi w góry, bądź późniejszymi przesiedleńcami. Ci ostatni znowu są po części resztkami przeciągających tędy zdobywczych hord, po części przez nie zostali tu przesiedleni, po części przybyli tu dobrowolnie w celach handlowych. Ważniejsze z tych narodów są:

Kafiry albo *Siapusz*; pierwsza nazwa znaczy „niewierni“ i została im nadana z tego powodu, że nie dali się nawrócić na islam; druga znaczy „czarno ubrani“, rzeczywiście bowiem dawniej ubierali się oni przeważnie w skóry czarnych kóz. Kafiry mieszkają w północno-wschodniej części Hindukuh na wschód od przejścia Chewak, w alpejskiej krainie, zwanej Kafiristanem. Podanie o pochodzeniu ich od legionów Aleksandra W. jest bajką.

Już *a priori*, ze stanowiska geografii porównawczej, jest to nieprawdopodobne, albowiem w niedostępnych górach znajdujemy zwykle ludy pierwotne, wyparte tam przez późniejszych zdobywców, nie zaś kolonie tych ostatnich; dość wspomnieć góry Walii, Szkocyi, Karpaty, Biskaję, Atlas i t. d. Zresztą prof. Trumpp, znakomity znawca języków wschodnich, który przebywał dłuższy czas w Peszawerze, owem etnograficznem muzeum Indyi, Iranu i Turanu, i tam badał różne języki, sprawdził na podstawie lingwistycznej, że Kafiry nie są bynajmniej potomkami Macedończyków, lecz resztkami pierwotnego ludu Hindu, wypartemi w niedostępne góry. Pod względem cech fizycznych Kafiry zbliżają się do europejskiego typu, zdarzają się u nich nawet jasne włosy i niebieskie oczy. Kobiety kafirskie, podobnie jak opiewane przez poetów Czerkieski i Gruzinki, słyną z piękności i stanowią, równie jak te ostatnie, upragnioną zdobycz i dumę haremów; są one też powodem ciągłych wojen między różnemi pokoleniami kafirskimi, praktykującemi egzogamię. Kafiry mówią językiem pokrewnym sanskrytowi i wyznają religię pokrewną religiom wedyckim, pomieszaną z różnymi zabobonami. Odznaczają się niepospolitem męstwem, zamiłowaniem swobody i nienawiścią do mahometan; moralnym obowiązkiem każdego Kafira jest ściąć głowę czterem wrogom; prawo nie wymaga większej liczby, pochwała jednak tych, co „dla własnej satysfakcyi“ pozwalają sobie na więcej. To też Kafiry, raz ustąpiwszy w góry, nie dali się podbić, mimo ciągłych wypraw fanatycznych muzułmanów pod wodzą takich zdobywców, jak Timur, Baber, Akbar chan, Nadir szach. Kafiristan pozostał, podobnie jak Abisynia, Biskaja i Czarnogóra, wyspą wśród muzułmańskiego morza, którego fale roztrącały się daremnie o te naturalne górskie warownie.

Tadsiki jest to naród perskiego pochodzenia, choć zresztą dość zmieszany z obcymi elementami; dlatego obok pięknych perskich typów napotyka się i inne. Mieszkają oni po miastach wzdłuż zachodniej granicy Afganistanu (zwani tu Parsiwan, są autochtonami), w zachodniej części Kohistanu (doliny Ghorbendu i Pandziru) i w żyznych dolinach systemu Hilmendu. Mówią po

persku, zajmują się przemysłem, handlem i rolnictwem, wyznają islam sekty szyickiej; są chciwi i nie przebiegają dróg, prowadzących do zubożenia; służalczość, fałszywość, chytrych, pochlebstwo i t. p., są cechami ich charakteru.

Hazareh i Aimak, ludy mongolskie, pozostałe z armii Dżengischana, zamieszkują góry Paropamizu (Hazareh na północ-wschód od Aimak; za czasów Babera mówili jeszcze swym rodzimym językiem, obecnie mówią po persku, z wyjątkiem małej części, zamieszkałej w najbardziej niedostępnych górach. Jest to zjawisko zwane w etnologii lingwistyczną pseudomorfozą¹⁾. Ludy te wiodą życie pasterskie (kozy, owce, bydło, konie) i podobnie jak wiele ubogich górskich ludów (Sabaudya, Galicya, Dalekaria i t. p.) wędrują za zarobkiem do miast afgańskich. Są to ludy miłujące wolność (tworzą demokratyczne republiki) i waleczne, które, dzięki niedostępnej przyrodzie swych gór, podobnie jak Kafiry, zachowały swą niepodległość: pochody Babera i Nadira przez ich kraj były również jak i Aleksandra W. (wówczas kraj Paropamizadów) bardzo uciążliwe, tak z powodu przeszkód naturalnych, jak i waleczności mieszkańców. Nawet między sobą ludy te z powodu różnic religijnych (Hazareh są szyici, Aimak sunici), prowadzą, podobnie jak Maronici i Druzowie na Libanie, zacięte walki.

Kisilbaszi, plemię tureckie, przesiedlone przez Nadira do Kabulu, mówią po turecku, wyznają islam sekty szyickiej, stanowią kawaleryę emira, oraz klasę urzędniczą.

Prócz tych, są jeszcze w Afganistanie w nieznaczej ilości

¹⁾ Mineralogowie — mówi Peschel — odkryli, że czasami części składowe kryształu bywają uniesione przez wodę, a w opróżnione miejsce wlewa się obcy mineral i przybiera przeciwną jego naturze maskę kryształu; taki ludzki kształt nauka nazywa pseudomorfozą. Podobny proces w zjawiskach językowych odkrył Fallmerayer. Język grecki utrzymał się w swej dawnej siedzibie, ale etnograficzny materiał hellenizmu został rozłożony i uniesiony, a na jego miejsce osadziły się obce, przeważnie słowiańskie, składniki i utworzyły lingwistyczną pseudomorfozę (Peschel-Ruge: „Geschichte der Erdkunde“, 1878, str. 802).

Ormianie, Żydzi, Persowie, Hindki (z Indostanu) i t. d. osiedle-
ni jako handlarze lub przemysłowcy.

Przeważną jednak część ludności Afganistanu stanowią *Afganie*, mieszkający głównie na południu linii Herirurd-Kabul, którą przekraczają tylko we wschodniej części. Prócz tego część Afganów wywędrowała po za naturalne granice kraju na wschodzie i mieszka między Solimanem i Indem, szczególnie na dolinie Peszaweru. Nazwa Afgan, etymologicznie nie objaśniona, jest tylko konwencyonalno-literacką ¹⁾; sami Afganie nazywają siebie Pasztunah lub Paktunah i według zwyczaju muzułmańsko-azyatyckich narodów wywodzenia swego rodu od biblijnych znakomitości (np. Turcy od Jafeta) uważają się za potomków Izraela. Podanie to jest bajką, mimo to, że niezbyt dawno znaleźli się, według wyrażenia Vambery'ego, „mocni w biblii“ (bibelfest) Anglicy, którzy zapisywali całe kolumny „Timesa“ w obronie żydowskiego pochodzenia Afganów; na szczęście bowiem znaleźli się też „mocni“ w innej gałęzi wiedzy, a mianowicie w lingwistyce, którzy dowiedli, że w języku Afganów nie ma ani jednego wyrazu hebrajskiego (prof. Trumpp) i że wogóle język ten nie ma w swej budowie nic wspólnego z językami semickimi. Według tych lingwistycznych badań, Afganie należą do aryjskiego szczepu i są narodem przejściowym między Persami i Indusami—narodem indo-perskim. Rzeczywiście: zachodni Afganie pod względem fizycznym, pod względem zwyczajów, obyczajów i języka, mają wiele wspólnego z Persami, wschodni — z Indusami. Wschodni Afganie, zwani wogóle Berdurunami, zamieszkują wschodnio góry graniczne, Soliman i odnogi Hindukuh, i dzielą się na wiele pokoleń, z których ważniejsze są: Jusufsaj, zamieszkujący dolinę Kunaru, Pandżikory i Swatu, a dalej na południe plemiona Khyberu (np. Afrydzi) i plemiona właściwego Solimanu (np. Wasiraj). Plemiona zachodnie zamieszkują zachodnią część kraju od rzeki Fahrenud do

¹⁾ Niektórzy jednak wyprowadzają tę nazwę od sanskryckiego wyrazu *Asvaka* (*Assaka*), co znaczy jeździec (Ob. Vivien de St. Martin, „Nouveau dictionnaire de Geogr. Univers., str. 25).

Solimanu i od gór Hazareh i rzeki Kabul prawie do południowej granicy. Do plemion tych należą Durani, najliczniejsze ze wszystkich plemion afgańskich, zamieszkujące zachodnią część kraju od rzeki Farehrud do Tarnak, i Gilsaje — na wschód od nich.

Co do cech fizycznych, to Afganie są smukli, lecz dobrze zbudowani, szczególnie Durani i Gilsaje odznaczają się niezwykłą siłą. Włosy mają ciemne i bujne, oczy czarne i pełne ognia. Nosy orle i gęste brody nadają ich fizygnomii wiele powagi. Kolor skóry u wschodnich plemion (Berdurani), podobnie jak u Indusów, ciemny, u zachodnich oliwkowy. Piękność ich powierzchowności podnosi jeszcze obfitość uzbrojenia i strój malowniczy, o który więcej dbają niż o swe mieszkania, składające się z namiotów ze skóry baraniej lub domów z niepałonej cegły.

Język Afganów, zwany Paszto albo Pakto, należy do pnia indo-europejskiego; nie jest on dyalektem perskiego lub indyjskiego, lecz stanowi mowę samodzielną, mającą pewne cechy wspólne z obydwoma powyższymi językami, i dzieli się według tego na dyalekt wschodni i zachodni. Z biegiem czasu, gdy powstawały nowe pojęcia, nowe potrzeby, a do ich wyrażenia nie było w ubogiej i nieokrzesej mowie afgańskiej wyrazów, weszło do niej wiele wyrazów perskich i arabskich. Dźwięki afgańskiej mowy są twarde i gardłowe, „jak gdyby zimny wichur, pędzący ze śnieżnych szczytów Hindukuh, zmuszał mówiących do przychymania ust“. To też Persowie żartują sobie z nieokrzesej mowy Afganów: Burnes opowiada, iż w czasie pewnej uroczystości w Kabulu jakiś dowcipny Pers występował jako komik i improwizator. Chcąc przedstawić charakterystyczne cechy różnych narodów, obrał sobie temat: jak umarli każdego z nich będą przyjmowani przez proroka u bram raju (na straży których umieścił Herateczyka, jako przebiegłego i chciwego urzędnika celnego). Otóż, gdy między innymi zapukał Afgan, prorok nie zrozumiał jego barbarzyńskiej mowy, uznał, że jest mową piekielną i że dla mówiących nią nie ma miejsca w niebie. Dykteryjka ta przypo-

mina podobne o niektórych trudnych do wymawiania europejskich językach: o czeskim np. istnieje dykteryjka, że gdy przesłano pierwszą telegraficzną depezę po czesku, drut telegraficzny porozrywał się. O biskajskim zaś powiadają, że dyabeł uczył się go w Bilbao przez lat wiele, lecz w końcu uciekł biedak, nie mogąc nauczyć się więcej nad trzy słowa i t. p.

Przemysł i handel stoją u Afganów na niskim stopniu; zajęcia te pozostawiają oni Tadzikom, sami zaś prowadzą życie koczujące, pasterskie; tylko ci, co zamieszkują żyzne doliny nadrzeczne, np. dolinę Hilmendu, także niektóre doliny Solimanu, a głównie doliny Kunaru, Pandżikory i Swatu (Iusufsai), zajmują się rolnictwem. Koczujące ruchliwe życie Afganów wpłynęło na rozwój poczucia swobody, niezależności i odwagi — cech charakteru, którymi Afganie różnią się wybitnie od swych niewolniczych i tchórzliwych sąsiadów, osiadłych Indusów i Tadzików. Mimo ciągłych przejść zdobywców przez ich kraj, Afganie nigdy nie byli zupełnie podbici. Odwaga jednak wobec ubogiej górskiej lub pustynnej przyrody, łatwo wyradza żądze rabunków i mordów, a kontrast ubogiej pustyni z bogactwem sąsiednich oaz jeszcze bardziej podsyca tę żądzę: „inni mają ziemię, a my — siłę“, powiadają Afganie. To też, zdaniem Vambery'ego, żądzą tą Afganie odznaczają się bardziej nawet, niż na równym stopniu kultury z nimi stojący Semici i Altajczycy: „Bóg niech cię strzeże od zemsty słonia, węża i Afgana“, mówią mahometanie indyjscy. Szczególniej słyną z odwagi i żądzy rabunków Gilsaje, którzy w r. 1842 zniszczyli całą armię angielską w Khurd Kabulskim wąwozie, a w r. 1879 wymordowali angielskie poselstwo w Kabulu; także Wasirai w Solimanie i Afrydzi, którzy, trzymając w swym ręku wąwozy Khyberskie, pobierają opłatę za wolny przepust karawan lub wojsk. Wszyscy władcy Afganistanu, nawet tacy wojownicy, jak Nadir Szach, musieli im się opłacać; a jakkolwiek Anglicy po zawładnięciu Indyami, chcąc położyć koniec wycieczkom rozbójniczych górali na dolinę Indu, pobudowali u wyjść z ważniejszych dolin Solimanu (podobnie jak Rosyanie na Kaukazie, a Francuzi w Algierze) szereg fortów to, jed-

nak dla bezpieczeństwa muszą się także uciekać do opłat i podarków; a i to nie pomaga, jak tego dowiodły liczne napady górali na tyły angielskich kolumn tak khyberskiej, jak i kurumskiej w r. 1878.

Owo poczucie wolności, będące wybitną cechą charakteru Afganów, odbija się także w stanowisku kobiety, jak i wogóle w stosunkach społecznych i politycznych. Kobiety afgańskie nie żyją bynajmniej w takim odosobnieniu, jak wogóle na wschodzie i mają daleko więcej wolności, mają nawet pewne przywileje, przypominające czasy średniowiecznej szwalieryi: Afganka, która pośle jakiemuś, choćby zupełnie nieznanemu, mężczyźnie swą zasłonę, może być pewną jego pomocy i obrony w potrzebie. Poligamia trafia się rzadko i to tylko u bogatych. Wprawdzie mężczyźni kupują sobie żony, to jest płacą ojcu za córkę pewną sumę, lecz to nietylko nie wpływa ujemnie na stosunki małżeńskie, ale owszem uszlachetnia i wzmacnia wzajemną sympatyę, wymagając często obopólnej ofiary. Młody człowiek, nie mogąc często złożyć wymaganej przez ojca sumy, udaje się w dalekie strony, nawet do Indyi, na czas dłuższy i tam zebrawszy sobie pieniądze, powraca do oczekującej nań kochanki, aby osiągnąć cel upragniony. Przysłowie afgańskie oddaje pochwały tamtejszym kobietom: „po bogactwa idź do Indyi, po uciechy do Kaszmiru, po dobrą żonę do Chorossanu“. Według prof. Trumppa, Afganie są jedynym narodem Azji, u którego wyraz miłość („minah“) pojmowany jest w naszym, wyższem znaczeniu.

Zamiłowanie wolności odbija się i w formie rządu: Afganie wyznają pod tym względem też same zasady, co wogóle nomadzi azyatyckich stepów. Jak Turkomanie mówią o sobie: „my nie potrzebujemy książąt, myśmy wszyscy równi, u nas każdy królem“, i chwalać się dumnie, że „nie spoczywają ani pod cieniem drzew, ani pod opieką króla“, tak podobnie pewien Afgan odpowiedział posłowi angielskiemu, który przedstawiał mu korzyści porządnie uorganizowanego rządu: „My jesteśmy zadowoleni z naszych kłótni, rozruchów i krwawych zatargów, lecz nie ścierpimy nad sobą żadnej zwierzchności“. To też rzeczywiście

Afganistan jest zbiorem wielu respublik, po większej części demokratycznych; Afganie bowiem dzielą się na pokolenia (ulus), a te na podpokolenia czyli klany (kheil); tych pokoleń i podpokoleń ma być według rachuby afgańskich genealogistów aż 395. Na czele pokolenia stoi chan, na czele klanu malik; maliki zależą od chanów, a ci od emira rezydującego w Kabulu. Jednakże władza tych naczelników jest bardzo słaba: chanowie niewiele zależą od emira, a maliki — od chana. Pojedyncze jednostki również nie wiele zależą od malików i chanów, a ogólne sprawy rozstrzyga zebranie ludowe (dżerga), zwykle bardzo burzliwe. Podpokolenia w częściach kraju górzystych, złożonych z odosobnionych dolin, stoją w bardzo słabym związku z pokoleniem i często odosobniają się powoli, tworząc samodzielne pokolenia; wszystko dąży tu do jaknajwiększej decentralizacji. Niektóre pokolenia górskie nie mają nawet chana (Jusufsai, Khyberowie, pokolenia Solimannu) i składające je podpokolenia łączą się ściślej tylko w czasie wojny. Tylko w zachodniej części kraju, gdzie rozciąga się szerzej nieprzerwana górami wyżyna (u Duranów), panuje większa łączność między podpokoleniami; tam też rozwinęła się arystokracja rodowa i władza chana jest nieco silniejsza; zawsze jednak jest on, jak się wyraża Trumpp, tylko „primus inter pares“.

Afganie wyznają religię mahometańską przeważnie sekty sunickiej, nie są oni jednak zbyt fanatyczni i koran nie ma dla nich takiego uroku, jak dla innych mahometan (szczególniej w kwestyach prawnych nie posługują się koranem, lecz swem dawnem prawem zwyczajowem: „pasztunwal“). Religia jest dla nich tylko płaszczykiem, jeżeli chcą wyrzucić swą osobistą zemstę, wykonać mord lub grabież na ludziach innej wiary. Po za interesem własnym są oni tolerancyjni i wolnomyślni; opowiadają o pewnym wojowniku afgańskim, iż, zeszedłszy mollaha na kopiowaniu koranu, zabił go, mówiąc: „ty, bezczelny łgarzu! twierdzisz, że ta książka z nieba pochodzi, a ja cię złapałem, jak ją sam piszesz“.

Wogóle Afganie są narodem inteligentnym, wrażliwym na każdą nowość, chciwym dowiedzieć się o rzeczach nieznanych;

mają oni w swych wsiach i obozach szkółki i znaczna ich część umie czytać i pisać. Z czasem europejska cywilizacja zapewne przyjmie się i rozwinie u nich lepiej, niż u innych narodów azyatyckiego lądu i zapewni im ważną rolę w cywilizacyjnym postępie Azji.

VIII.

Rozwój *dziejowy* Afganistanu wyraża się głównie w ciągłych przemarszach przezeń różnych zdobywców do Indyi, którzy po większej części, chcąc być bezpiecznymi od tyłu, zakładali najprzód państwa w samym Afganistanie. Lecz państwa te w kraju górzystym, wśród plemion wojowniczych, miłujących wolność, nie miały silnych podstaw; upadały, a na ich miejsce z chaosu wojen domowych wyłaniały się nowe państwa, również bez silnych podstaw, również nietrwałe.

Przemarsze obcych zdobywców zaczęły się w głębokiej starożytności, kiedy jeszcze imię Afganów nie było znane. Jakkolwiek bowiem postać Semiramidy jest mityczną, to pochodź Asyryjczyków przez ten kraj, według Dunkera, nie ulega kwestyi. Znany jest dalej pochodź Aleksandra W., jak również i Seleuka. W owej epoce Afganistan zamieszkiwały po części irańskie, po części indyjskie i mongolskie ludy, wtedy to buddyzm znajdował przez wschodnią część tego „kraju przemarszów“ swe ujściowe koryto z Indyi do Azji północnej, podczas gdy w zachodniej panowała religia Zoroastra. Później, na początku wieków średnich, wtargnęli tu Arabowie; postępując ku wschodowi wzdłuż wyżyny Iranu, wyparli oni pierwotne religie i zaprowadzili islam, który miał następnie przejść ztąd do Indyi.

Dotąd nie słyhać nic o Afganach, zresztą „*Итактис*“ w wojsku Kserksesa, o których wspomina Herodot, odpowiadają, według Trumppa, dzisiejszym Paktunach. Pierwszą jednak wzmiankę o Afganach pod tą nazwą spotykamy dopiero w VII wieku po Chr. u ich historyka Feriszta. Według niego, Afganie miesz-

kali pierwiastkowo w krainie Ghor (czyli Ghar, co znaczy góry) i stąd wywędrowali na zachód i północ. Z tej wskazówki, oraz ze wskazówki Herodota, że kraj Paktyika, gdzie mieszkali owi Paktyes, leżał na granicy Indyi, nakoniec stąd, że dawniej Afganów zwano Sulejmanami, prof. Trumpp wyprowadza wniosek, że pierwotną ich ojczyzną są góry Soliman. Czynn timer występują Afganie w historii dopiero około 1000 r., gdy sułtan Mahmud z Turkiestanu założył państwo Ghaznewidów i na czele Afganów pierwszy z mahometańskich władców przeszedł Indus, jak niegdys Aleksander W. Lecz w dwa wieki niespełna powstają Afganie, obalają państwo Ghaznewidów, wkraczają do Indyi i zakładają czysto afgańskie państwo Ghoridów. Napady mongolskich zdobywców, Dżengischana w XIII-ym i Timura w XIV w. na to państwo tylko chwilowo nim wstrząsnęły. Ale sułtan, Baber, potomek Timura, ów „Cezar Wschodu“, który w swych „Pamiętnikach“ pierwszy nam dał dokładne wiadomości o Afganistanie i Afganach, położył na początku XVI wieku kres ich panowaniu: utwierdziwszy się najprzód w Kabulu, a potem wkroczywszy do Indyi i zwyciężywszy Afganów pod Paniputem, w pobliżu Dehli, założył tam potężne „państwo Wielkiego Mogoła“. Wtedy Afganistan, rządzony przez namiestników W. Mogoła, stał się baryerą między państwem perskiem i państwem W. Mogoła w Indyach (jak obecnie między Rosją i Anglią). Persowie prowadzili ciągłe walki o Afganistan z państwem W. Mogoła i zajęli zachodnią część tego kraju (Herat, Kandahar). Lecz mężne afgańskie plemię Gilsajów wyparło Persów, a nawet zawładnęło Persją. Dopiero Nadir szach 1729 r. wygnał Afganów z Persyi, przeszedł zwycięzko przez Afganistan do Indyi i po bitwie pod Paniputem zajął Dehli.

Ze śmiercią Nadira 1747 r. upadło i jego państwo: Achmed szach z drugiego potężnego afgańskiego plemienia, Duranów zrzucił nienawistne jarzmo szyickich Persów i koronował się w Kandaharze królem Afganistanu, Achmed powielekroć wkraczał do Indyi i, zwyciężywszy Mahratów pod Paniputem, utwierdził tam swą władzę; za jego panowania państwo Afganów dosięgło naj-

wyższej potęgi: rozciągało się od morza Kaspijskiego do Dżumny i od Oksu do Indyjskiego Oceanu. Lecz już przy końcu XVIII w. państwo to zaczęło się rozpadać w wojnie domowej między wnukami Achmeda (Firuz, Machmud, Ziman, Szudsza) i wodzami pokoleń, z czego korzystali Persowie, wkraczając z zachodu, i Sikkowie — ze wschodu.

Nareszcie w r. 1833 Dost Mohamed z pokolenia Duranów, klanu Baraksai, położył koniec wojnom domowym: wkroczył do Indyi, pobił Sikków, rozszerzył swe granice ku wschodowi i zaczął panować w Kabulu nad szczuplejszem już państwem, przyjąwszy tylko tytuł księcia (emir). Za panowania Dost Mohameda zaczęły się już w Afganistanie krzyżować interesa rosyjskie z angielskimi i powstała rywalizacja dwóch potęg, Romy i Kartagi naszych czasów, lądowego „niedźwiedzia“, co wstrząsa kratami kontynentalnego więzienia, i morskiego „polipa“, co ramionami swemi osnuł wszystkie wybrzeża. Wtedy już spotkali się tutaj wysłannicy obu państw, oficerowie Witkowicz i Burnes (jak później Stoletow i niedopuszczony do Kabulu Chamberlain). Anglicy nie mieli szczęścia w dyplomacyi, wypowiedzieli więc wojnę Dost Mohamedowi. W r. 1839 wojska angielskie wkroczyły przez Khyber i Bolan, zajęły Kandahar, Ghaznę i Kabul, wzięły w niewolę Dost Mohameda, a osadziły na tronie wygnanego w czasie wojen domowych szacha Szudszę. Anglicy sądzili, że Afganistan stał się ich lennem państwem, ale nie znali kraju i jego mieszkańców: nastąpiło smutne rozczarowanie. Już 1841 roku w zimie, gdy pomoc z Indyi była niemożliwa, wybuchło powstanie pod wodzą syna Mohamedowego, Akbara. Armia angielska, stojąca w Kabulu pod wodzą generała Elphinstona, zmuszona została do odwrotu, podobnego do odwrotu Francuzów z Moskwy; w tym bowiem odwrócie, w czasie srożej zimy na początku 1842 roku, armia angielska została w wąwozie Khurd Kabulskim do szczytu zniszczona; Anglicy przekonali się dotkliwie o trafności słów Achmeda szacha: „Nie dowierzajcie memu ulowi: pszczoły w nim są, ale miodu nie ma.“ Jeden tylko człowiek z dwudziestotysięcznej armii uszedł do Dżellalabadu, aby dać znać trzyma-

jącym się tam Anglikom o straszliwej klęsce! Wprawdzie tegoż samego jeszcze roku Anglicy pod wodzą Polloka wkroczyli znów przez Khyber, zajęli Kabul i pomścili klęskę, ale zawsze znaczenie ich w Azji centralnej zostało zachwiane. Nauczeni doświadczeniem pierwszej wyprawy, cofnęli się oni szybko z Afganistanu, pozostawiając go swemu losowi. Dost Mohamed, wypuszczony z niewoli, znów objął rządy kraju. Raz jeszcze miał on zamiar wystąpić przeciw Anglikom i wkroczył do Indyi dla wsparcia Sikków, lecz gdy ci zostali pobici przez Anglików, Dost Mohamed powrócił do kraju i żył odtąd w zgodzie z Anglikami, powiększając swe państwo zdobyczami na północ Hindukuh i Heratem, odebranych po długich walkach Persom.

Po śmierci Dost Mohameda 1863 r. wstąpił na tron syn jego, Szir-Ali, lecz wkrótce zmuszony był prowadzić walkę z braćmi ze zmiennem szczęściem, tak, iż na dwa lata (1866 do 1868 r.) utracił tron. Anglicy, „sparzywszy sobie już raz palce po za Solimanem“, przypatrywali się obojętnie, z „mistrzowską(?) bezczynnością“ tej wojnie domowej i na prośbę Szir-Alego o pomoc, odpowiedzieli życzeniem pogodzenia się z losem. Od tego czasu datuje się nienawiść Szir-Alego do Anglików, którzy w nieszczęściu opuścili go, a gdy potem, dzięki swemu zwycięztwu pod Ghazną, tron odzyskał, znów weszli z nim w przyjazne stosunki. Jednak Szir-Ali umiał nienawiść swą do czasu pokrywać i złudzić Anglików pozorną przyjaźnią.

Tymczasem skutek układu między Anglią i Rosyą 1872 roku, że Amu-Daria ma stanowić granicę interesów i zawojowań rosyjskich i angielskich (jak niegdyś Ebro — rzymskich i kartagińskich), granice Afganistanu rozciągnęły się na północ do Amu-Darii, a niedługo potem Rosyanie, zawojowawszy 1873 r. część Chiwy, a 1875 Khokand, stali się blizkimi sąsiadami Afganistanu i zawiązali z nim ściślejsze stosunki. Od tego czasu Szir-Ali zaczął coraz jawniej okazywać swą niechęć Anglikom, którzy, obawiając się o swój wpływ w Afganistanie, porozumieli się z Beludżystanem i obsadzili warownię Quettah u wyjścia wąwozu Bolan, klucz do Afganistanu z południa. Niechęć obustronna wzra-

stała; tymczasem wybuchła wojna wschodnia. Rosya, chcąc odplacić Anglikom za sprzyjanie Turcyi i narobić im kłopotów, wysłała 1878 r. poselstwo Stoletowa do Kabulu; niebawem toż samo uczynili Anglicy, lecz ich poselstwo pod naczelnictwem Chamberlaina zostało wstrzymane przez Afganów w Khyberze pod fortem Ali-Muszid. Rękawica, rzucona tym sposobem Anglii, została podjęta: wojska angielskie trzema kolumnami przez Khyber, Kurum i Bolan wkroczyły do Afganistanu, opanowały wszystkie ważniejsze wąwozy, zajęły Kandahar i zbliżyły się ku Kabulowi; Rosyanie zaś pozostawili Afganistan własnemu losowi, bo kongres berliński sparaliżował ich plany. Szir-Ali umarł ze zmartwienia, pozostawiając tron synowi Jakub-Chanowi.

Nowy emir, widząc grożące niebezpieczeństwo, zawarł pokój w Gundamak (1879 r.), na zasadzie którego Anglicy opuścili Afganistan i tylko pozostawili w Kabulu swego rezydenta, majora Cavagnari z licznem poselstwem. Jednakże Gilsajowie wkrótce podnieśli bunt i angielskie poselstwo zostało wymordowane. Anglicy musieli po raz drugi wkroczyć do Afganistanu (1879 r.) przeszli Khyber i Szutargardan, zdobyli Kabul, pomścili się na mordercach, wzięli do niewoli Jakub-Chana, posunęli granicę swych posiadłości do zachodniego Solimanu i gór Amran, osadzili garnizony w Kandaharze i Kabulu i zaprowadzili w Afganistanie rządy wojskowe. Ale Gilsaje ciągle się burzyli. Ghazna, owe skaliste gniazdo, stała się ogniskiem powstania; Anglicy zdobyli ją, ale, obawiając się ciągłych zamieszek, osadzili na tronie Abdurrahmana, wnuka Dost Mohamedowego i znowu opuścili Afganistan (1880 r.), zatrzymując jednak granicę wzdłuż zachodniego Solimanu.

I znów lat kilka upłynęło, Rosya tymczasem, usadowiwszy się na wschodzie morza Kaspijskiego, zdobyła oazę Achal-Teke i zaanektowała Merw. I dopiero, gdy Rosyanie stanęli już prawie u wrót Heratu, Anglicy zaczęli wchodzić w ściślejsze przy mierze z Afganistanem (zjazd Abdurrahmana z lordem Dufferinem w Rawul-Pindi 1885 r.).

„Afganistan — pisał przed kilkunastu laty Vambery — jest pionem na politycznej szachownicy Azji centralnej, a czy prędko wystąpi król-Rosya, to niedaleka przyszłość okaże. Lecz w każdym razie Rosya przy obecnem swem stanowisku w Azji centralnej może robić Anglii tylko wiele niespodzianek i kłopotów; może nawet zdobyć się na jaką szaloną wyprawę pod wodzą śmiałych i awanturnicznych Skobelewów, ale będą to tylko wyprawy *à la* Timur bez trwałych rezultatów; o nowej wyprawie Aleksandra W. (lepiej Babera) do Indyi z trwałym rezultatem, to jest zniweczeniem potęgi angielskiej w Indyach, mogłaby być tylko wtedy mowa, gdyby Turkiestan z Rosyą łączyły nie trudne do przebycia ścieżki przez suche stepy, lecz szyny kolei żelaznej¹⁾).

A obecnie szyny takie bieżą już właśnie wzdłuż północnych stoków Kiurrendagu!...

1) Odprowadzenie wód Amu-Darii (Oxus) do morza Kaspijskiego mogłoby również o wiele zwiększyć szanse Rosyan w rywalizacji ich z Anglią w Azji centralnej, otworzyłyby bowiem nieprzerwaną drogę wodną od Nowy do Hindukuh i ożywiłyby pustynię przemyku Truchmeńskiego, w której armie Perowskiego (1839 r.) i Markozowa (1872 r.) w wyprawach na Chiwę tak wiele ucierpiały i nie dopięły celu. To też podawana przed 20-tu laty przez gazety wiadomość, że Amu-Daria, przerwawszy tamę pod Bend w Chiwie, płynie „dawnym korytem“ ku morzu Kaspijskiemu, narobiła wiele hałasu i wywołała naukowe ekspedycje w celu zbadania wylewu, oraz w celu zbadania kwestyi, czy Amu-Daria łączyła się niegdyś z morzem Kaspijskiem, jak to ze starożytnych autorów zdawało się wynikać. Kwestyę tę badał inżynier Konszin i twierdzi, że Usboj nie jest dawnym korytem Amu-Darii do morza Kaspijskiego, za jakie go dotąd uważano, lecz szeregiem zagłębień wśród stepu, podobnych do rosyjskich bałek (P-term. Mit., 1894, str. 35).

Fakt ten nie wyklucza, naturalnie, możliwości dawnego połączenia Amu-Darii z m. Kaspijskiem inną drogą; w każdym jednak razie nie ma żadnego dowodu na to, aby w historycznych czasach Oxus wpadał do morza Kaspijskiego. Przytaczane dotąd dowody opierały się na niedość krytycznych rozbiórach ksiąg starożytnych, albowiem dowód czerpany z Herodota upada wobec tego, że autor ten pomieszał Oxus z Araxem, mającym dawniej rzeczywiście samodzielne ujście do morza Kaspijskiego; co zaś do do-

IX.

Na tem kończymy niniejszy zarys Afganistanu, zwrócimy tylko jeszcze w *interesie geografii uwagę*, że staraliśmy się tu traktować rzecz z umiejętno-geograficznego stanowiska, przepro-

wodu, czerpanego z Eratostenesa (cytowanego przez Strabona), mianowicie, dowodu, polegającego na świadectwie Patroklesa, żeglarsza, wysłanego przez Seleuka Nikatora dla opłynięcia morza Kaspijskiego, to jakkolwiek żeglarz ten wzmiankuje rzeczywiście o ujściu Oxu do morza Kaspijskiego, jednakże, jak to okazał K. Neumann, popełnił też błąd, biorąc wazkie ujście zatoki Kara-Bogaz za ujście Oxu (Ob. „Zeitschr. für Wissenschaftliche Geographie“, 1885, str. 271, 272).

Mimo badań Konzszina, nie zbrakło jednak na zwolennikach poglądu przeciwnego: inżynier Swincow dowodził, że Usboj posiada wszelkie cechy dawnego łożyska rzecznego (ob. „Izwestia Sobrania Inżynierow“, 1884, Nr. 9 i 10, str. 236). To też w ostatnich czasach zajął się tą kwestyą raz jeszcze gruntowniej znany geolog J. Walther (Patern. Mitt., 1898). Stwierdza on przedewszystkiem, że źródła pisane nie dostarczyły dotąd przekonywającego dowodu dawnego ujścia Amu-Darii do morza Kaspijskiego. Następnie na zasadzie badań na miejscu dowodzi, że przypuszczenie to nie ma podstawy.

Mianowicie kładzie on nacisk na to, że Amu-Daria jest rzeką nadzwyczaj obfitą w muł, a własność tę posiadała od czasów najdawniejszych, jak tego dowodzą próbki gruntu z głębi dna, otrzymane za pomocą otworów świdrowych: grunt do znacznej głębokości (do 23 m.) składa się z tego samego mułu rzecznego. Otóż mimo to Walther nie znalazł, na drodze prowadzącej od Amu-Darii do morza Kaspijskiego, *żadnych osadów rzecznych*, tylko piasek pustynny. Zresztą badania jego sięgały tylko do głębokości 4 m.; za to inżynier Uspenski w obszarze przypuszczalnej delty Amu-Darii nad morzem Kaspijskiem badał osady głębokości kilkudziesięciu metrów i znalazł jedynie utwory wietrzane: lős i piasek. Ponieważ zaś droga przez bramę Balchańską jest ze względów topograficznych jedyną, przez którą Amu-Daria mogłaby płynąć do morza Kaspijskiego, a na drodze tej nie ma żadnych osadów rzecznych, i to mimo, że Amu-Daria należy od najdawniejszych czasów do rzek najobfitszych w osady, więc można twierdzić na pewno, że Amu-Daria nigdy do morza Kaspijskiego nie wpadała; mogła tylko dosięgać, i obecnie w czasie wysokiego stanu wody dosięga, do jeziora Sary Kamysz, które leży niżej od morza Kaspijskiego.

wadzić pewną ideę. Mianowicie staraliśmy się w myśl Rittersa, tego twórcy geografii umiejętnej, rozważać fizyczne cechy kraju w stosunku ich do człowieka, narodu, do dziejów; staraliśmy się głównie zaznaczyć te zjawiska, które w rozwoju czasu noszą na sobie cechę niezmienności, cechę ogólnych praw. Oto *synteza tych zjawisk*.

Położenie Afganistanu uczyniło go jedyną niemal drogą do bogatych Indyi i oto najwięksi zdobywcy od czasów najdawniejszych do naszych przechodzą przezeń lub przynajmniej marżą o tem (Napoleon I)¹⁾. Górzysta i pustyinna przyroda kraju uczyniła go bezdrożnym, tylko niektóre wąwozy i niektóre doliny rzek wśród pustyń są stosunkowo dogodne do przejścia i oto temi samemi wąwozami, temi samemi drogami przechodzą wszyscy zdobywcy, tak, iż pochod jednego jest powtórzeniem pochodu drugiego. W punktach przecięcia się dróg powstają niesłychanie ważne warownie, o które państwa staczają uporeczywe walki, bo zajęcie ich przez jedno jest groźnem, nawet zgubnem dla interesów drugiego. Lecz te drogi, prowadzące do bogatych Indyi, nietylko strategiczne mają znaczenie: najodleglejsze narody tedy prowadzą handel z Indyami, a tego handlu nie mogą zniszczyć ani ciągle przemarsze armii, ani wywołany przyrodą kraju łupieżki charakter plemion afgańskich; nadaje on tylko kupcom wojenny charakter (Powindah); punkta przecięcia się dróg są nietylko warowniami, lecz zarazem emporjami, gdzie zbiegają się kupecy różnych narodów. Okolice, gdzie najbardziej krzyżują się drogi we wnętrzu kraju, hydrograficzny, a więc i drogowy jego węzeł, była punktem wyjścia władzy politycznej nad Afganistanem (podobnie jak wyżyna Wałdajska na nizinie Sarmackiej)²⁾ i wpływu na Indye, hydrograficznie z nią połączone (podobnie jak półwysep Bałkański z niziną

¹⁾ Ob. „Revue des Deux Mondes“, 1882, str. 635, 536.

²⁾ Z tą różnicą, iż rzeki sarmackie były bezpośredniemi drogami wodnemi, rzeki zaś afgańskie służyły za komunikacyjne arterye tylko pośrednio, umożliwiając drogi lądowe. (Ob. W. Nalkowski. „Rzeki Wałdajsko-Sarmackie. Przewodnik Naukowy.“ Lwów, 1877).

Sarmacką). Lecz owa władza polityczna nad zbiegowiskiem ludów, które tu osiadły w niedostępnych górach lub koczowały na stepach, nie mogła być silną; niektóre ludy utrzymały zupełną niepodległość; zależność innych była zawsze luźna. Stąd i państwa same były nietrwałe, tembardziej, że leżały na odwiecznej drodze zdobywców. Różnorodność ludów, odosobnienie ich przez przyrodę nie dozwalały na ich zlanie się w jeden naród, owszem, każdy z tych ludów jeszcze porozdrabniał się na pokolenia i podpokolenia, bez dostatecznej między sobą łączności, z ciągłym dążeniem do decentralizacji, partykularyzmu. Życie wśród gór, koczowanie wśród stepów rozwinęło zamiłowanie wolności w tych ludach, które, jakkolwiek wskutek braku spójni między sobą nie były w stanie przeszkodzić obcym zdobywcom do zakładania w ich kraju państw, jednak zawsze umiały prędzej lub później obalić je, a w czasie ich istnienia być tylko nominalnie podległymi. Afganistan więc, podobnie jak np. Albania, Abisynia i t. d. należy do tych krajów, w których z powodu rozdrobnienia przez przyrodę, a stąd i braku spójni między mieszkańcami, łatwym jest najazd, ale trudnym podbój; kraje takie są jak owe niższe organizmy zwierzęce, nie posiadające jednego głównego organu życia, których każdy organ żyje życiem odrębnem i które z tego powodu niezmiernie trudno zabić. Tylko na niektórych żyznych dolinach rzek, wśród stepów i pustyń powstało w Afganistanie obok życia koczującego, wolnego, życie osiadłe, niewolnicze — zjawisko powtarzające się często wśród stepów i pustyń. Ten to osiadły lud stanowił głównie poddanych całego szeregu zmieniających się państw, nie biorąc udziału w wywoływaniu tych zmian, które dlań były tylko zmianami jarzma. Przeciwnie, ludy górskie i nomadyczne, biorąc czynny udział w tych rewolucjach i zmianach, gdzie, jakby w jakim chaotycznym natłoku, jeden drugiego potracał, popychał, obalał, by z kolei uleść temuż losowi, wyrobiły w sobie waleczność, energię, spotęgowały ruchliwość, która się objawiła bądź w wyprawach wojennych na sąsiednie kraje, jednak bez trwałego rezultatu, bądź w emigracjach do bogatych Idyi. Oro- i hydrogra-

ficzny podział kraju na dwie (lub trzy) pochyłości wywołał dwa (lub trzy) różne etnograficzne, a po części i polityczne wpływy: perski i indyjski (a po części i mongolski). Obecnie z osłabieniem państwa Perskiego, z zajęciem Indyi przez Anglików, a Turkiestanu przez Rosyan, Afganistan stał się ścianą dzielącą te dwie nowe potęgi i już uległ wpływowi obu, już po niedługim spokojnym peryodzie nastąpił dlań nowy peryod przemarszów i rewolucyi. Afganistan pod względem powyższych zjawisk geograficznych przedstawia wiele analogii ze Szwajcaryą i Hiszpanią, zwłaszcza jeżeli pojęcie geograficzne pierwszej rozszerzymy nieco wzdłuż alpejskiego łuku. Wtedy i ona zamknie tak dostęp do bogatej i rozkosznej Italii, jak Afganistan do Indyi, wtedy znajdziemy w niej przyrodę górską i formę karstu i zdobywców, przeciągających przez nią odwiecznymi drogami i wąwozami do uroczych równin Lombardyi; znajdziemy życie osiadłe obok pasterstwa na almach, znajdziemy różne wpływy etnograficzne, odpowiadające różnym pochyłościom dolin rzecznych, znajdziemy ludy republikańskie z silnem zamiłowaniem swobody, których jednak krwią dokonywali obcy zdobywcy podbojów, znajdziemy Khurd Kabul w Morgartenie i t. d. Podobnie wiele analogii z półwyspem Pirenejskim, wprawdzie nie co do położenia, ale pod względem budowy pionowej i hydrografii, oraz wynikających stąd stosunków etnograficznych. Na półwyspie Pirenejskim znajdujemy także silny rozwój prowincjonalizmów, odrębności etnograficzne, a po części i polityczne, dawniej daleko wybitniejsze, obecnie po części stłumione w walce z centralistycznymi dążeniami obszernego wewnętrznego płaskowzgórza (Kastylii); znajdujemy toż samo zamiłowanie wolności i męstwo (wyparcie Napoleona I), umiejętność prowadzenia gerilli, a zarazem i rozbójnictwo w górach; znajdujemy Kafirów w Baskach, dumnych z tego, że „kopyta arabskich hufców nie tratowały nigdy ich ziemi“; znajdujemy nawadniane sztucznymi kanałami przestrzenie (vegas) obok pustyń (campos) i życie osiadłe obok pasterskiego (merinos) i t. d.

Te i tym podobne objawy etnograficzne i dziejowe są, jak

widzimy, bardzo wyraźnemi funkcyami fizyko-geograficznych warunków. Afganistan, podobnie jak Szwajcarya i Hiszpania, przedstawia bardzo wdzięczne pole dla owych, wyżej wspomnianych umiejętno-geograficznych badań, tak, iż mimowoli przychodzą tu na myśl słowa Cousina: „przedstaw mi mapę kraju, jego postać, klimat, wody, wiatry, całą jego geografiją fizyczną; podaj mi jego płody naturalne, jego florę, faunę i t. d., a obowiązuję się powiedzieć ci *a priori*, jakim jest człowiek tego kraju, jaką rolę kraj ten odegrał w historyi nie przypadkowo, lecz koniecznie, nie w tej tylko epoce, lecz we wszystkich — nakoniec ideę, do której reprezentowania jest powołany.“ Są to naturalnie słowa **Myt** śmiałe, nie mogą one być krótkoterminowym wekslem, wystawionym przez geografa, ale w każdym razie przedstawiają wysoکی ideał jego wielostronnych badań.



*02798

3978

4198 / II